

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/500

1989

500



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

Cz. MIŁOSZ : **KONIEC WIELKIEGO XIĘSTWA**

Zb. BRZEZIŃSKI : **AGONIA KOMUNIZMU**

Zb. HERBERT : **DELTA**

K. FILIPOWICZ : **WIZYTA W DOMU MALARZA Z.**

W. CHARŁAMP : **DZIENNIK ZEWNĘTRZNY**

SPIS RZECZY

Czesław Miłosz:	<i>O konflikcie polsko-litewskim</i>	3
Zbigniew Herbert:	<i>Delta</i>	10
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Krótką spowiedź egzorcysty</i>	21
Kornel Filipowicz:	<i>Wizyta w domu malarza Z.</i>	33
	WIERSZE	
Zbigniew Herbert:	<i>Śmierć lwa</i>	46
Jan Darowski:	<i>Nie mów, że ja! — Gracje</i>	49
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Zbigniew Brzeziński:	<i>Agonia komunizmu</i>	50
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli (Kwadratury i kanty okrągłego stołu)</i>	76
A.P.:	<i>Pomówmy o pierestrojce i głośności</i>	87
	K R A J	
Witold Charłamp:	<i>Dziennik zewnętrzny</i>	90
	POGROBOWCY	
Czesław Miłosz:	<i>Koniec Wielkiego Xięstwa (o Józefie Mackiewicz)</i>	102
	WYWIADY „KULTURY”	
Krystyna Jagiełło:	<i>Gdzie jest „Solidarność”? — Rozmowa ze Zbigniewem Romaszewskim</i>	121
	O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA	
Antoni Pospieszalski:	<i>Bunt teologów</i>	133
	SĄSIEDZI	
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	142
Andrzej J. Chilecki:	<i>Kronika niemiecka</i>	148
(amp):	<i>Kronika czeska i słowacka</i>	152
	KRONIKA KULTURALNA	
Marek Nowakowski:	<i>Wystąpienie na Niezależnym Forum Kultury</i>	155
Niezależne Forum Kultury:	<i>Podziękowanie dla zespołu Instytutu Literackiego</i>	160
Renata Gorczyńska:	<i>Geniusze w balonach ideologii</i>	160
Robert Kostrzewa:	<i>Między Wschodem a Zachodem</i>	165
—	<i>Oświadczenie wydawców emigracyjnych</i>	168
	CI, CO ODESZLI	
Nika Kłosowska:	<i>Witek Zahorski</i>	169
Kazimierz Zamorski:	<i>Ignacy Klibański</i>	170
Jerzy Pietrkiewicz:	<i>Jerzy Niemojowski</i>	173
	KSIĄŻKI	
M. Broński:	<i>„Szatańska” powieść Rushdiego</i>	175
Janina Katz Hewetson:	<i>Karnawał i post czyli o pozornościach wyboru</i>	185
Mikołaj Ruskowski:	<i>Zapis wewnętrzny czyli o potrzebie masek</i>	189
Florian Śmieja:	<i>Dziedzictwo i przyszłość</i>	195
—	<i>Instytut Literacki w Kraju (uzupełnienie)</i>	196
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	199
—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kroniki kanadyjska i szwedzka</i>	201
Konsorcjum Wydawnictw Niezależnych:	<i>Oświadczenie</i>	205
K. Brandys, N. Żaba:	<i>Listy do Redakcji</i>	207

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Maj - Mai 1989

INSTYTUT  **LITERACKI**

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Dla uczczenia ósmej rocznicy śmierci Stefana Strelcyna — Żona i Syn z rodziną (Manchester, Londyn) — £ 30,00	F. 322,00
Dla uczczenia pamięci Stefana Strelcyna, w ósmą rocznicę jego śmierci — Syn, Synowa i Wnuczka z Paryża	F. 120,00
Dla uczczenia pamięci niezapomnianego, wspaniałego człowieka, przyjaciela od dziesięcioleci — Idy Jurysiovej-Spira, zmarłej 3 stycznia 1989 r. — Albin Kac (Izrael) — \$ 20,00	F. 126,00
E.A., Getynga (RFN) — zamiast kwiatów na grób Idy Jurysiovej-Spira — DM 50,00	F. 169,00
F.H. (USA) — po raz 22-gi — \$ 23,00	F. 145,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MA (Kanada), po raz 39-ty — \$ 100,00	F. 630,00
Krzysztof Sójka-Wilmański, Toronto, ON — z okazji 500-go numeru <i>Kultury</i>	F. 500,00
Adam Sułkowski, Sudbury, MA (USA), po raz 5-ty — \$ 3,00	F. 19,00
Barbara i Lucjan Śniadower, Paryż, dla uczczenia pamięci zmarłego w Uppsali Juliana Rostkońca — w pierwszą rocznicę Jego śmierci	F. 200,00

DZIĘKUJEMY!

WPLĄTY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

Jadwiga Buko-Szreder — dla ludzi walczących z komunizmem w Kraju — DM 10,00	F. 33,00
E.M. (Paryż — na rzecz prześladowanych w PRL	F. 200,00
Iwona Gryglewski, Brooklyn, N.Y. (USA) — na walkę z reżimem komunistycznym w Kraju — \$ 100,00	F. 630,00
W redakcji „Listów do Polaków” Ludwik Żabicki złożył na lekarstwa dla chorych w Polsce (nadesłał C. Maliszewski) \$ 10,00	F. 63,00

WPLĄTY NA „SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCĄ”

Józef K. Falkowski, Northville, MI (USA) — \$ 20,00	F. 126,00
Jan Królikowski, Camillus, N.Y. (USA) — złożone w Redakcji „Listów do Polaków” (nadesłał C. Maliszewski) — \$ 10,00	F. 63,00
Z. Panek, Kolonia (RFN)	F. 67,36

Romuald i Wanda Spasowscy (USA) — na pomoc dla „Solidarności” w Polsce — \$ 100,00	F. 630,00
--	-----------

O konflikcie polsko-litewskim

Wilno jest dzisiaj miastem, gdzie dzieją się rzeczy wielkiej wagi i jedne z najbardziej radosnych w naszym stuleciu, na ogół skłaniającym do pesymizmu. Wbrew spodziewaniom nastąpiło wielkie przebudzenie się opinii publicznej, odrodzenie się ludzkiej godności i ducha prawdy. Jeszcze w 1980 roku, kiedy w moim sztokholmskim przemówieniu wspominałem o tajnych klauzulach do paktu Mołotow - Ribbentrop i losie państw bałtyckich, zdawało się, że z samego moralnego obowiązku zakładałem jedynie bezsilny protest przeciwko podziałowi Europy, ale że historia pozostanie zafałszowana na stałe. Dzisiaj o tamtych wypadkach pisze się w Wilnie otwarcie. Niezależnie od tego, ile wolności dla republiki zdołają wywalczyć Litwini, najważniejsza jest odzyskana zdolność organizowania się od dołu, którą starał się zniszczyć cały system policyjnego wychowania, jak się okazuje, bezskutecznie.

Z Wilna dochodzą jednak też wieści niepokojące, o odradzeniu się polsko-litewskiego konfliktu. Wygląda na to, że polska mniejszość językowa przygląda się temu, co się dzieje spode łba, jakby nie czuła się współodpowiedzialna za losy kraju. Niewątpliwie działają tutaj zadawnione niechęci i urazy, które, jak wiadomo, z trudem poddają się rozumowemu tłumaczeniu. Co prawda, starając się sobie wyobrazić mieszkańców Wilna o języku macierzystym polskim, zwłaszcza młodzież, muszę przyznać, że ich sytuacja jest trudna, właśnie z powodu tego wszystkiego, co idzie z przeszłości i co skłania ich do przyjęcia, niejako automatycznie, postawy niechętniej wobec drogich Litwinom symbolów, np. trójbarwnej flagi litewskiej na baszcie Zamku.

Należć do mniejszości w mieście, które przed wojną mówiło po polsku (poza znacznym procentem mówiącym w jidysz), co więcej, należeć do mniejszości lekceważonej — bo inteligencja

wyemigrowała po 1945 roku, a zostali najubożsi i mało piśmienni — cóż za odmiana historycznych przeznaczeń. Ciekawe, jaką radę mógłbym dać młodemu człowiekowi z Wilna, który mówi i pisze po polsku (a nawet pisze wiersze, są tacy), gdyby zwrócił się do mnie z pytaniem, co ma robić. Musiałbym uznać, że przynależność do mniejszości skazuje go na odruchy obronne i na pewien prowincjonalizm, skoro patrzy ku Polsce, tam umieszcza swoje kulturalne centrum i tylko zabiega o utrzymanie swego języka. Czyli przebywa w diasporze, co nigdy nie bywa wygodne ni płodne i może skłaniać bardziej aktywne jednostki do opcji na rzecz języka litewskiego albo rosyjskiego.

Moim zdaniem istnieje jednak inne wyjście, a polega ono na wyzwoleniu się z wielu stereotypów przyjmowanych nieświadomie. Wymaga to dużej pracy, która, wierzę to, będzie wcześniej czy później dokonana, z trwałym skutkiem dla stosunków polsko-litewskich. I chyba właśnie w Wilnie mogłaby być zaczęta.

Zdobądźmy się na śmiałość w fantazjowaniu i wyobraźmy sobie kilka wariantów historii Litwy, bardzo różnych od tego kształtu, jaki przybrała naprawdę. W ciągu paru stuleci język polski był na Litwie tym, czym język angielski w Irlandii, szwedzki w Finlandii. Trzy te kraje bardzo się różniły, w jednym natomiast były podobne: w zależności politycznej od korony angielskiej w wypadku Irlandii, szwedzkiej w wypadku Finlandii, polskiej w wypadku Litwy. Również podobne było wkraczanie innego języka od góry, wskutek przyjęcia go przez właścicieli ziemskich i rozpowszechnienia się go wśród wykształconych, podczas gdy język rodzimy przechowywała wieś. Ten język rodzimy nie wszędzie odzyskał utracone tereny. Chociaż gaelicki istnieje, językiem niepodległej Irlandii stał się angielski. Irlandia dała literaturze angielskiej znakomitych poetów, którzy na ogół nie podkreślali swego irlandzkiego pochodzenia, ale nadszedł moment, kiedy stali się rzecznikami irlandzkiego patriotyzmu, choć pisali po angielsku. William Butler Yeats należy do Irlandii, nie Anglii. James Joyce, choć buntował się przeciwko pojęciu narodowej służby, pozostaje pisarzem Dublina. Samuel Beckett, piszący w dwóch językach, angielskim i francuskim, jest Irlandczykiem. Nikt też nie nazywa Anglikiem wybitnego współczesnego poety Seamus Heaney. Cofanie się gaelickiego oznaczało, że angielski przejęła ludność miast, małych miasteczek i większości obszarów wiejskich, tak że tylko najbardziej odległe od centrów powiaty trwały przy języku przodków. Angielski wkroczył do szkół, kazań w kościołach, książek i gazet, ale posługiwanie się nim nie oznaczało dla irlandzkich patriotów opcji na rzecz Anglii.

Swedzki w Finlandii, nie inaczej niż angielski w Irlandii, był językiem piśmiennictwa i stamtąd pochodzący poeci baroku uwa-

żani byli po prostu za poetów szwedzkich. Zmieniło się to jednak w dziewiętnastym wieku. Duże znaczenie ma fakt, że hymn narodowy fiński (1848) wyszedł spod pióra poety języka szwedzkiego, Johana Ludwiga Runeberga. W przeciwieństwie do gaelickiego, język fiński zachował się nienajgorzej i zaczyna mniej więcej wtedy współzawodniczyć ze szwedzkim, wkraczając do piśmiennictwa, niemniej pojawia się też bardzo żywotna poezja i powieść szwedzko-fińska, jak najbardziej świadoma swojej przynależności do kraju i rozwijająca się swoiście, zyskując w międzynarodowych encyklopediach osobną rubrykę jako literatura *Finland-Swedish*. Z tych encyklopedii można się dowiedzieć, że w pierwszych dekadach naszego stulecia najśmielsi modernistyczni eksploratorzy języka szwedzkiego nie byli Szwedami. To, że mogli pojawić się Edith Södergran (1892-1923), Rabbe Enckell (1903-1974), Gunnar Björling (1887-1960) świadczy o istnieniu w Finlandii środowiska, które dostarczało i podniety i odbiorców. Inteligencja fińska mówiła przeważnie po szwedzku. Twórca niepodległej Finlandii, generał Mannerheim, po fińsku nie umiał. W niepodległym państwie dwa języki uznano za równouprawnione, posługiwano się nimi w prasie i w radiu. W ostatnich dekadach fiński coraz bardziej zdobywa przewagę, choć dalej wychodzą pisma w szwedzkim i działają wybitni poeci podtrzymujący tradycje literatury *Finland-Swedish*, jak Bo Carpelan (ur. 1926).

Litwa w chwili, kiedy znalazła się pod zaborem rosyjskim, była silnie spolonizowana. Po polsku mówił dwór, ale także szlachecki zaścianek, jak również robotnicy i rzemieślnicy w miastach, jeżeli ich językiem nie był jidysz. Świadomość odrębności Litwy, przechowywana jako dziedzictwo Wielkiego Xięstwa Litewskiego, odradza się w epoce romantyzmu, ale bynajmniej nie jest równoznaczna z powrotem do języka litewskiego, bo ci, którzy dają jej wyraz, mówią i piszą po polsku. I ogromną w tym rolę odgrywa w początku dziewiętnastego wieku uniwersytet wileński.

Był to uniwersytet polski, i przez swój język wykładowy i przez miejsce jego profesorów w kulturze polskiej, której chluba są dotychczas Piotr Skarga i Maciej Sarbiewski, z czasów kiedy uniwersytet był jeszcze akademią jezuicką, następnie Jan i Jędrzej Śniadeccy, Marcin Poczubutt, Stanisław Jundziłł. I tam właśnie, nie gdzie indziej, narodził się wśród młodzieży studenckiej romantyzm polski, nie bez wpływów idących z Niemiec (między innymi Herdera), które sprzyjały zwróceniu się do folkloru, rozprawianiu o „duszy ludowej” i formowaniu nowoczesnego pojęcia narodowości. Dzieła Mickiewicza i Słowackiego wykarmiły patriotyzm polski. Ale nie będzie wcale przesady w twierdzeniu, że polski romantyzm powołał też do życia samo imię Litwy. Co prawda już w 1806 roku pochodzący ze Żmudzi Ksawery Bohusz czytał

w Warszawie rozprawę naukową pt. „O początkach narodu i języka litewskiego”. Wcześniej też Feliks Bernatowicz (Geisztowt?) pisze powieść *Pojata, córka Lizdejki, albo Litwini w XIV wieku*, która zostaje wydana w 1826 roku. Inne daty wydania dzieł o Litwie dowodnie wskazują na ich romantyczny rodowód. Teodor Narbutt ogłasza w roku 1820 *Krótki rys pierwiastków narodu litewskiego z różnych dawnych autorów zebrany*. W 1835-1841 ukazują się w Wilnie jego dwutomowe *Dzieje starożytne narodu litewskiego*, następnie, w 1846, *Pomniki do dziejów litewskich*, w 1847 *Dzieje narodu litewskiego w krótkości zebrane*, wreszcie w 1856 *Pomniejsze pisma historyczne, szczególnie do historii Litwy odnoszące się*. Józef Ignacy Kraszewski dedykuje Litwie i Żmudzi swoje *Anafielas. Pieśni z podań Litwy*, drukowane w Wilnie 1840, 1843, 1845, po czym w swoim wileńskim piśmie *Atheneum* ogłasza w 1844 *Dainos*, wreszcie drukuje w Warszawie swoje dwutomowe dzieło *Litwa starożytna. Dzieje, ustawy, język, wiara, obyczaje, pieśni, przysłowia, podania itd.* Książd Ludwik Adam Jucewicz, urodzony w 1810, kształcił się w seminarium duchownym w Wilnie w okresie największego nasilenia wpływów polskiej poezji romantycznej, toteż zrozumiałe jest jego zainteresowanie folklorem. Znał litewski i zebrał *Przysłowia ludu litewskiego*, 1840. Czuł się Litwinem i ubolewał, że „wajdaloci nasi” (Mickiewicz) posługują się obcym językiem, sam jednak pisał i wydawał swoje pisma po polsku: *Historia litewska dla dzieci*, 1840, *Rysy Żmudzi*, 1840, *Wspomnienia Żmudzi* — dedykowane Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu, wreszcie *Litwa pod względem starożytnych zabytków, obyczajów i zwyczajów*, 1846.

Myślę, że Litwini później szkodzili sobie, odcinając się od wielojęzycznej przeszłości Wielkiego Xięstwa Litewskiego i starając się zatrzeć polski charakter wileńskiego uniwersytetu. Popychał ich do tego lęk przed następstwami Unii Lubelskiej, czyli przed polonizacją, a więc psychologia obłożonej twierdzy. Tym samym jednak powoływanie się na Mickiewicza traciło podstawy, bo trudno go pozbawić jego filomackiej młodości i zrobić z niego Litwina w nowoczesnym pojęciu, które za jego życia nie było jeszcze znane. Z pewnością, sięgał do *Kroniki litewskiej* Strykowskiego, pisał *Żywile, Grażynę, Konrada Wallenroda* — wszędzie Litwa — ale folklor w jego utworach pochodzi z jego rodzimych okolic, czyli jest białoruski, język rodzinny polski, a „Litwo, ojczyzno moja” jest apostrofą do Litwy jako rozległego obszaru między Bałtykiem i Prypecią, nie w znaczeniu narodowym.

Wspominałem o „co by było gdyby”. Popuszczając wodze fantazji można sobie na przykład przedstawić wyłonienie się nowoczesnej Litwy na sposób irlandzki, to znaczy przy względnie słabym w tym udziale rodzimego języka. W istocie tylko zdu-

miewająca energia nielicznych jednostek, Vincasa Kudirki zwłaszcza, przywraca w końcu dziewiętnastego wieku językowi litewskiemu znaczenie jako instrumentu wypowiedzi w mowie i piśmie, chroniąc go w ten sposób od zamknięcia się w opłotkach wioski, jak zamknął się w Irlandii gaelicki, którego używa tam dzisiaj na co dzień znikoma mniejszość. Natomiast wystarczy czytać dzieła, które wymieniłem, jak też wiele utworów literackich i pamiątek z okresu romantyzmu, żeby się przekonać, że świadomość przynależności do Litwy u pochodzących z niej ludzi była wcale żywa. Zapewne, zgodne to było z określeniem *gente Lithuanus, natione Polonus*, pojawiały się już jednak znaki wskazujące, że następuje ewolucja ku litewskości nie tylko *gente*, ale także *natione*. Przykładem jest chociażby piszący po polsku książd Ludwik Adam Jucewicz. Oczywiście rządy Rosji carskiej i opór wobec nich ze strony szlachty i inteligencji szlacheckiej pochodzenia zmieniły to „gdyby” w nieprawdopodobieństwo, bo sprzyjały formowaniu się nacjonalizmu polskiego.

Nieco bardziej prawdopodobne było inne „gdyby”, czyli dwujęzyczność na wzór Finlandii. Gdyby Wilno w latach międzywojennych było stolicą Litwy, wątpliwe jest, czy można by było osiągnąć jego litwinizację przez wygnanie ludności, bo metody takie nie były wtedy stosowane. Dwie są, jak wiadomo, definicje narodu. Jedna, pochodząca od Herdera, mówi o wspólnocie krwi i języka. Druga, z Rewolucji Francuskiej rodem, opiera się na woli danej zbiorowości, żeby żyć razem. Alzatzcy, mówiący po niemiecku, należeli do narodu francuskiego, bo tak chcieli. Obecność dużej enklawy mówiącej po polsku w obrębie litewskiego państwa mogłaby skłonić do wybrania tej drugiej definicji i do językowej tolerancji. Mogłyby powstać szkoły, pisma, ruchy literackie „Litwo-polskie” i w takim wypadku również ja byłbym poetą litewskim języka polskiego.

Nierealistyczne. Pewnie że nie, skoro nastąpił podział w zależności od tego, jaką kto odzywa się mową. Litwini, panicznie bojący się polonizacji, budowali dokoła siebie mur obronny, ale taki sam mur budowali Polacy, przekonani, że reprezentują „polskość”, napełniając w Warszawie i Krakowie i że „odwiecznie polskie Wilno” Litwinom się nie należy. Znaczną przeszkodą do porozumienia był charakter kultury polskiej, przekazywany przez język. Była to kultura z gruntu szlachecka, wyróżniająca się jej tylko właściwą hierarchią wartości i nie małym jest paradoksem, że *Pan Tadeusz*, napisany przez „Litwina”, dostarczał jej wzorów zachowania się, następnie zatwierdzonych przez *Trylogię* Sienkiewicza. Niektórzy twierdzą, że innej kultury niż szlachecka w Polsce nie ma i nigdy nie było i że wcale nie zniknęła wraz ze zniknięciem szlachty. Jakkolwiek jest, ta kultura szlachecka nie cechowała na Litwie jednej tylko klasy, przeciwnie,

kształtowała umysłowość wszystkich mówiących po polsku. Ponieważ ostoją Litwy była jej własna stara kultura chłopska, musiało dochodzić do ciągłych starć w których strona polska występowała z typowym szlacheckim puszeniem się i pogardą dla „prostaków”. Konflikt pomiędzy panami i chłopami stawał się zarazem konfliktem narodowościowym, przy czym „panami” w ich własnym mniemaniu byli też ubodzy i analfabeci, tylko dlatego, że mówili po polsku. I jeżeli w dziewiętnastym wieku można obserwować u wielu „Litwinów” w cudzysłowie wzmocnienie się ich więzów z ojczyzną jako pojęciem geograficznym, odbywa się też proces odwrotny, bo szlachtę Polski i Litwy łączy wspólna bohaterska walka z caratem, tak że terytorialne lojalności zostają zastąpione lojalnością wobec jednego, polskiego, narodu, niezależnie od tego, gdzie mieszkają jego członkowie. I niewątpliwie tak pojęta lojalność cechowała większość mieszkańców Wilna i w okresie międzywojennym i po 1939 roku.

Wspominam o tym wszystkim w celach praktycznych. Jedyne jasne uświadomienie sobie przeszłości może prowadzić do rewizji tych sposobów myślenia, które przyjmowane są bezrefleksyjnie, mocą nawyku, i które są jałowe. Wilno jest i będzie stolicą Litwy. I miasto i okręg mają spory procent ludności o kulturze polskiej, nie jest to jednak, z rzadkimi wyjątkami, ludność napływowa i nie stanowi części odciętej od zbiorowego organizmu, mającego swój dom w dorzeczu Wisły. Bliższe prawdy będzie twierdzenie Litwinów, że są to Litwini spolonizowani, choć należy wprowadzić tutaj zasadniczą poprawkę. Jeżeli są spolonizowani, to nie są przez to obciążeni garbem, którego powinni się pozbyć, raczej wprost przeciwnie. Dodajmy nawiasem, że rubryka „narodowość”, wprowadzona w dowodach osobistych niektórych krajów, w tym Litwy po 1918 roku, postawiła na głowie pojęcie *nationalité*, *nationality*, które w krajach zachodnich oznacza po prostu obywatelstwo, nie przynależność do grupy etnicznej. Tak więc samo ustawodawstwo sprzyjało zaszeregowaniu ludzi do jednej grupy albo drugiej i ponosi częściową odpowiedzialność za gorszące widowisko tzw. mniejszości, uważanej przez inne państwo za „swoich” — przed wojną Litwa finansowała Litwinów w Polsce, Polska — Polaków na Litwie.

Z pewnością, trudno jest odrobić szowinistyczne działania trwające dziesięciolecia i złamać zadawnione nawyki. Możliwe, że jest już po prostu za późno. Jak słusznie gdzieś napisano, nie znalazł się sukcesor do spadku po Wielkim Xięstwie Litewskim, bo nie chcieli tego ani Litwini, ani Polacy, ani Białorusini. A przecie to zaszczepienie języka polskiego na innym gruncie etnicznym, charakterystyczne zwłaszcza dla stolicy Wielkiego Xięstwa, Wilna, okazało się niezwykle płodne, do tego stopnia, że aż do dzisiaj kultura polska stoi pod znakiem „Litwinów”.

Dlaczego mieliby się tego bogactwa wyrzekać mówiący po polsku mieszkańcy Litwy, trudno zrozumieć. Prawdopodobnie dlatego, że zostali wydziedziczani i dąży się do tego, żeby zapomnieli o tym, co jest ich własne. Ale *ich* jest przeszłość Wilna, *ich* jest jego architektura, *ich* jest też przeszłość uniwersytetu wileńskiego, bo każdy rozsądny człowiek musi uznać, że jego lituanizacja wstecz należy do zabiegów niepoważnych, niezgodnych z prawdą historyczną. Zamiast więc patrzeć na siebie jako na ubogich braci odłączonych od polskiego narodu i usiłujących przetrwać w nieprzychylnym środowisku, mają prawo odzyskać dumę gospodarzy siedzących na swoim i nawet odnosić się do tamtych znać Wisły z pewnym poczuciem wyższości. Pod warunkiem jednak, że przestaną być grupą konserwatywną i mało twórczą, że wydadzą ludzi świadomych swego dziedzictwa, które nie jest dziedzictwem Polski, ale Litwy historycznej.

To, co mówię, jest przeciwne wyraźnej dzisiaj tendencji grup narodowościowych do zasklepiania się w sobie i obrony swego „stanu posiadania”. Litwa jest jednak wypadkiem tak szczególnym, że można spodziewać się innych rozwiązań. Paradoks na tym polega, że kultura polska jako szlachecka niosła ze sobą wiele obciążeń, które dzisiaj utrudniają identyfikację jej spadkobierców z Litwą i których dlatego należy się pozbyć. Przecie wielka odnowa ostatnich paru lat jest dziełem Litwinów, oni to są elementem najbardziej dynamicznym i tylko ścisła współpraca z nimi ze strony innych grup językowych może zapewnić wszystkim obywatelom Litwy reformy demokratyczne i życie w prawdzie.

Czesław MIŁOSZ

Delta

*Świat widzialny byłby bardziej doskonały,
gdyby morza i kontynenty miały forme
regularną.*

Malebranche, *Méditations chrétiennes*

„*Imensi Tremor Oceani*”

Napis na sarkofagu Michiela de
Ruyter. Amsterdam. Nieuwe Kerk.

Zaraz po przekroczeniu granicy belgijsko-holenderskiej nagle, jakby bez powodu i zastanowienia, postanowiłem zmienić pierwotny plan i zamiast klasycznej drogi na północ wybrałem drogę na zachód, a więc w kierunku morza, aby poznać bodaj powierzchnie Zelandię — prowincję, której nie znałem zupełnie, a wiedziałem tylko tyle, że nie doznam tam większych, artystycznych zachwyty.

Moje dotychczasowe podróże po Holandii odbywało się zawsze ruchem wahadłowym, wzdłuż wybrzeża — czyli mówiąc obrazowo, od „Syna marnotrawnego” Boscha w Rotterdamie do „Warty nocnej” w amsterdamskim Muzeum Królewskim, a więc typowa marszruta kogoś, kto pochłania obrazy, książki, monumenty, zostawiając całą resztę tym wszystkim, którzy na podobieństwo biblijnej Marty troszczą się o rzeczy doczesne.

Zdawałem sobie jednocześnie sprawę z mego ograniczenia, bowiem wiadomo, że idealny podróżnik to ten, kto potrafi wejść w kontakt z przyrodą, ludźmi, ich historią — a także sztuką, i dopiero poznanie tych trzech elementów przenikających się wzajemnie jest początkiem wiedzy o badanym kraju. Tym razem pozwoliłem sobie na luksus odejścia od rzeczy „istotnych i ważnych” po to, aby porównać monumenty, książki i obrazy z prawdziwym niebem, prawdziwym morzem, prawdziwą ziemią.

Więc jedziemy przez ogromną równinę, ucywilizowanym stepem, drogą gładką jak pas startowy lotniska, pośród nieskończonych łąk, podobnych do płaskiego, zielonego raję jak na gandawskim poliptyku braci van Eyck — i chociaż nie dzieje się nic nadzwyczajnego i jestem przygotowany, bo po stokroć o tym wszystkim czytałem, to jednak w moim aparacie sensorycznym zachodzą zmiany trudne do opisanie, a przy tym bardzo konkretne. Moje oczy mieszcza, nienawykłe do rozległych krajobrazów, niepewnie i trwożliwie badają daleki horyzont, jakby uczyły się lotu ponad nieobjętą płaszczyzną, podobną raczej do wielkiego rozlewiska niż do stałego ładu, który w moim odczuciu kojarzył się zawsze z nagromadzeniem wzniesień, gór, piętrzących się miast łamiących linię widnokregu. Dlatego w czasie dotychczasowych wędrówek po Grecji i Italii znajdowałem się w stanie ciągłego alarmu, nieustającej potrzeby zdobywania perspektywy szerszej, „ptasiej”, która pozwoli ogarnąć całość, albo przynajmniej wielką część całości. Wspinałem się tedy na urwisty, usiany marmurami stok Delf, aby zobaczyć miejsce śmiertelnego pojedynku Apolla z bestią, próbowałem zdobyć Olimp w żłudnej nadziei, że uda mi się ogarnąć całą dolinę tesalską od morza do morza (ale właśnie wtedy, na moje nieszczęście, bogowie mieli jakąś ważną naradę w chmurach, więc nie zobaczyłem niczego), szlifowałem także cierpliwie kręte schody włoskich wież ratuszowych i kościołów, ale w nagrodę za moje wysiłki dostawałem zaledwie coś, co można określić mianem „torso krajobrazu”, wspaniałe, oczywiście wspaniałe fragmenty, które później błądły i układałem je w pamięci jak widokówki, te najbardziej kłamliwe obrazki z fałszywym kolorem, fałszywym światłem, nietknięte wzruszeniem.

Tu w Holandii miałem uczucie, że wystarczy byle jaki pagórek, aby objąć wzrokiem cały kraj — wszystkie jego rzeki, łąki, kanały i czerwone miasta — niby wielką mapę, którą można przybliżyć i oddalać od oczu. Nie było to wcale uczucie dostępne pięknoduchom, a więc czysto estetyczne, ale jakby cząstka wszechmocy zastrzeżona istotom najwyższym — ogarniania nieobjętych obszarów z całym bogactwem szczegółów, traw, ludzi, wód, drzew i domów — to, co mieści się tylko w oku Boga — ogrom świata i serce rzeczy.

A więc jedziemy przez równinę, która nie stawia oporu, jakby zawieszona były nagle prawa ciężenia, posuwamy się ruchem kuli po gładkiej powierzchni. Ogarnia nas przemożne uczucie zmysłów, błogosławiona monotonia, senność oczu, ośpienie słuchu, cofnięcie się dotyku, bowiem wokół nie dzieje się nic, co by wprawiało nas w niepokój egzaltacji. Dopiero później, znacznie później odkrywa się fascynujące bogactwo wielkiej płaszczyzny.

Postój w Veere. Jest rzeczą rozsądną rozpocząć zwiedzanie

kraju nie od stolic, czy miejsc oznaczonych w przewodniku „trze-
ma gwiazdkami”, ale właśnie od zapadłej prowincji, poniechanej,
osieroconej przez historię. Rzeczowy i powściągliwy Baedeker
z roku 1914, z którym się nie rozstaje, poświęcił Veere dwa-
naście chłodnym wierszy („*manche Erinnerungen aus seiner Blü-
tezeit*”), natomiast mój nieoceniony Guide Michelin unosi się
na skrzydłach okolicznościowej, turystycznej poezji — „*Une lu-
mière douce, une atmosphère ouatée et comme assoupie donnent
à Veere l'allure d'une ville de légende... ses rues calmes laissent le
visiteur sous un charme mélancolique*”.

W istocie Veere — niegdyś sławne, ludne i bogate — jest
teraz miastem zdegradowanym, jakby pozornym, bo pozbawionym
własnego życia, odbijającym cudze życie, cudze światło, jak księ-
życ. Tylko w lecie jako *port de plaisance* wypełnia go tłum roz-
bawionych nomadów, potem schodzi pod ziemię i wiedzie utajoną
egzystencję roślin. Jesienią robi wrażenie sztychu, w którym
artysta, aby uwydatnić mury miejskie, budowle i fasady — usunął
ludzi. Ulice i place są puste. Okiennice zamknięte. Na dzwo-
nienie u bram nie odpowiada nikt.

Wygląda to tak, jakby miasteczko dotknęła epidemia, ale
cały dramat został starannie ukryty, ofiary usunięto poza łudzące
dekoracje idylli czy beztroski. Ogromna ilość sklepów z anty-
kami; ich wystawy w łagodnym świetle zmierzchu, u schyłku dnia.
wyglądają cmentarnie, jak wielkie martwe natury.

Laska ze srebrną gałką romansuje z wachlarzem.

Plac z ratuszem oświetlony bursztynowym światłem. Budowa-
ła ładna, cyzelowana w szczegółach, a przy tym mocna, szeroko
rozsiadła na ziemi, dowód dawnej świetności. Na frontonie sze-
reg rzeźb w niszach, portrety rajców, burmistrzów, dobroczyń-
ców historii lokalnej.

W czasie nocnego błądzenia natknąłem się na potężny budy-
nek, zwalisty, gładki — rzeźba boga bez twarzy. Wyłania się
z nocy podobny do skały wyrastającej z morza. Ani jeden pro-
mień światła nie dochodził tutaj. Ciemna bryła pramaterii na tle
nocnej czerni.

Atak alienacji, ale łagodny, jaki dotyka większość ludzi prze-
niesionych w cudze miejsce. Poczucie inności świata, przekonanie,
że wszystko to, co się wokół dzieje, nie bierze mnie samego
w rachubę, że jestem zbędny, odtrącony, a nawet śmieszny z tym
groteskowym zamiarem obejrzenia starej wieży kościelnej.

W stanie wyobcowania wzrok reaguje szybko na przedmioty
i zdarzenia najbardziej banalne, które dla oka praktycznego jakby
nie istniały. Dziwię się kolorowi skrzynek pocztowych, tramwa-
jów, różnym kształtom miedzianych klamek, kołatkom u drzwi,

zawsze karkołomnie kręconym schodom, drewnianym okiennicom,
których powierzchnię przecinają dwie linie proste, przekątne —
wielkie „X”, a cztery pola tego wielkiego „X” wypełnia na prze-
mian farba czarna i biała, biała i czerwona.

Wiem, zbyt wiele czasu straciłem przysłuchując się katarynce
malowanej, ogromnej jak wóz cygański, a także na stopniach
poczty, gdy stałem zagapiony na zielony pojazd wyjeżdżający z
ulicy Arona i Mojżesza, który puszczając w ruch wirowy szczotki
umieszczone u podwozia wzbijał tumany kurzu, co być może nie
jest idealnym sposobem czyszczenia miasta, ale poważnym ostrze-
żeniem, że kurz tutaj nie zazna nigdy spokoju.

Drobne przypadki, małe, uliczne ułamki rzeczywistości.

Zdarzyło się, że moje wędrówki bez planu przynosiły niespo-
dziewany pożytek. Binnenhof, czyli dziedziniec wewnętrzny, od
dawna był moim ulubionym zespołem architektury w centrum
Hagi. Otoczony sadzawką, prawie cichy późnym popołudniem.
Jak mówi mój mistrz Fromentin: „Jest to miejsce bardzo wyjąt-
kowe, bardzo samotne i nie pozbawione melancholii, zwłaszcza
gdy przychodzi się tu o tej porze, gdy się jest cudzoziemcem i
gdy lata radosne nie dotrzymują człowiekowi towarzystwa. Wy-
obrażcie sobie wielki basen okolony sztywnymi nadbrzeżami i
czarnymi pałacami. Po prawej ręce promenada zadrzewiona i pusta,
po lewej wyrasta z wody Binnenhof z ceglana fasadą, o da-
chach pokrytych łupkami, z ponurym wyrazem, fizjonomią z inne-
go wieku, a raczej ze wszystkich wieków, pełen tragicznych wspo-
mnień, ukrywających w sobie jakiś nastrój właściwy miejscu,
na których historia zostawiła ślad... Odbicia dokładne, lecz bez-
barwne, padają na taflę śpiącej wody z tą nieco martwą nieporu-
szalnością wspomnień, jakie życie odległe zostawia w wygasającej
pamięci”.

Romantyczny pan Fromentin snuje dalej rozważania o rze-
czach wzniosłych — historii, pięknie, sławie — ja natomiast całą
siłą ducha przyłgnąłem do cegły. Jeszcze nigdy we mnie ten
graniasty przedmiot nie budził takiej fascynacji i gorączki po-
znania.

Zapadł zmierzch. Gasły ostatnie cierpkie żółcie, żółcie egipskie,
cynober stawał się szary i kruchy, ciemniały ostatnie fajerwerki
dnia. I nagle nastąpiła niespodziewana pauza, krótko trwająca
przerwa w mroku, jakby ktoś otworzył w pośpiechu drzwi z jas-
nego pokoju na pokój ciemny. Zdarzyło się to, gdy usiadłem na
ławce, kilkanaście metrów od tylnej ściany Ridderzall czyli sali
rycerskiej. Po raz pierwszy doznałem wrażenia, że gotycka ściana
była jak tkanina, prostopadła, napięta, bez ozdób, gęsto tkana
o grubym wątku i wąskiej, sznurkowatej, nieco sparciałej osno-
wie. Skala barw mieści się między ochrą i umbrą z dodatkiem
kapraku. Nie wszystkie cegły są kolorystycznie jednorodne.

Czasami pojawia się kolor płowy, jakby niedopieczonej bułki, lub kolor świeżej, rozdużonej wiśni; to znów tajemniczy fiolet pokryty glazurą. Pouczony przez salę rycerską zacząłem doceniać starą, ciepłą, bliską ziemi — cegłę.

W czasie codziennego deptania ulicznych bruków, muzealnych parkietów, nie opuszczała mnie dręcząca myśl, że wędrówki okażą się jałowe, jeśli nie uda mi się dotrzeć do interioru — wnętrza Holandii nietkniętego ludzką ręką, tożsamego z tym, na jaki patrzył mój bohater zbiorowy — mieszczanin holenderski siedemnastego wieku, tak abyśmy zaistnieli w tej samej ramie, na tle wiekuiętego krajobrazu.

Oferty biur turystycznych były banalne i bez fantazji. Rozkłady jazdy agencji autobusowych pozbawione smaku, jak obiady w restauracjach dworcowych.

Czekałem więc na czysty traf i traf się zjawił pod uwodzicielskim imieniem — doliny rzeki Lek i rzeki List.

Dolina jest nieckowata i tak zielona — czarno-zielona, fioletowo-zielona — że wszystko nasycy się tym gęstym, wilgotnym kolorem, tylko rzeka Isel zachowała swój popielaty kolor, niby sztandar suwerenności, zanim roztopi się w bezmiarze innych wód.

Po lewej stronie drogi wiodącej do Rotterdamu — stado nieruchomo stojących wiatraków. Tylko ten widok zabrałem na drogę jak talizman.

Jestem zatem w Holandii — królestwie rzeczy, w wielkim księstwie przedmiotów. Po holendersku *shoen* znaczy piękny i czysty zarazem, jakby schludność podniesiona została do rangi cnoty. Codziennie, od wczesnego ranka unosi się nad całą krainą psalm prania, bielienia, zamiatania, trzepania, polerowania. To co zniknęło z powierzchni ziemi (ale nie pamięci), to co obroniły szanice strychów, znajduje się teraz w pięciu muzeach regionalnych o nazwach jak z bajki — Ede, de Lutte, Ajelldoom, Lievelde, Marssum, Helmonie. Są tam stuletnie młynki do kawy, lampy naftowe, aparaty do osuszania bagien i nawadniania pól, weselne i codzienne buciki, sposoby szlifowania diamentów i kucia harpuna, modele sklepów kolonialnych, warsztatów krawieckich, cukierni, przepisy na wypieki i ciasta świąteczne, rycina przedstawiająca ogromnego rekina na plaży morskiej i trzy złowieszcze meteory.

Zadawałem sobie pytanie, dlaczego właśnie w tym kraju przechowuje się ze szczególną pieczołowitością i niemal religijną atencją czepek prababki, kołyskę, surdut ze szkockiej wełny pradziadka, kołowrotek. Przywiązanie do rzeczy było tak wielkie, że zamawiano wizerunki i portrety przedmiotów, aby potwierdzić ich istnienie, przedłużyć trwanie.

W licznych pamfletach renesansowych i barokowych Holendrzy występują nieodmiennie jako ciułacze, dusigrosze, opętani żądzą posiadania. Ale prawdziwe bogactwo jest rzadkie. Obejmuje niemal wyłącznie warstwę regentów, to znaczy tych, którzy tradycyjnie zajmują najwyższe urzędy państwa i prowincji. Kościół kalwiński nie propaguje powszechnego ubóstwa, występuje tylko przeciw ostentacji w strojach, ucieszach stołu i świetności pojazdów. Na szczęście istniało także szereg sposobów, aby ulżyć sumieniu nękanemu przez nadmiar dóbr doczesnych, jak na przykład zakładanie przytułków dla biednych dzieci i starców, z czego powstał „system socjalny” nie mający równego na świecie.

Pieniądze mogły być powodem dumy. Zacny kupiec, Isaak le Maire, przemilcza w cmentarnym epitafium swoje cnoty i dobre uczynki, wymienia natomiast — co może wydawać się mało podniosłe jak na głos zza grobu — fortunę, którą zostawił — 150 tysięcy guldenów.

Jedziemy teraz na północ, ale morza nie widać, zasłonięte jest kilkunastometrowym wałem o kolorze piasku. W dole, na przestrzeni wielu kilometrów, niesłyszany ruch — wozy ciężarowe, spychacze, ludzie wyglądają tak, jakby zakładali fundamenty pod wieżę Babel. W istocie jest to wyniesiony i osuszony z dna morskiego polder, nowy kawałek ziemi, na którym za rok staną domy, pojawi się bujna łąka i majestatyczne krowy.

Holandia jest krajem młodym, w skali geologicznej oczywiście (dyluwium), i była istotnie deltą, potężnym mieszanym żywiołów ziemi i wody — Skaldy, Renu i Wezery. Stare mapy wyraźnie pokazują, jak morze wdziera się nieubłaganie w głąb lądu, potężnym uderzeniem od północy, a także od zachodniej prowincji Zelandii i Holandii.

W liście do Germaine de Staël Benjamin Constant pisał: „Ten dzielny naród, ze wszystkim co posiada, żyje na wulkanie, którego lawą jest woda”. Nie ma w tym słowa przesady. Można powiedzieć, że w czasie swych dziejów Holandia straciła wskutek powodzi więcej ludzi niż w czasie wszystkich wojen. I nawet uwzględniając skłonność do przesady starych kronikarzy — bilans jest ponury. Wielka północna zatoka Zuidersee powstała wskutek klęski żywiołowej, zabierając pięćdziesiąt tysięcy istnień ludzkich. W XIII wieku zarejestrowano trzydzieści pięć powodzi. Można niemal bez końca przedłużać rejestr tych cmentarzy bez nagrobków. Woda atakowała także wielkie miasta Harlem, Amsterdam, Lejdę. Kiedy pierścień zamknął się wokół Dordrechtu w roku 1421, z wieży widać było tylko wodną pustynię bez żadnej żywej duszy.

Systematyczna walka z klęską powodzi zaczęła się na przełomie XVI i XVII wieku i była ona dziełem świetnych rzemieślników, doskonałych inżynierów, nie licząc domorosłych geniuszy. Należał do nich niewątpliwie Jan Leeghwater. Dzięki swoim pracom uzyskał nieco przesadny przydomek holenderskiego Leonardo da Vinci. Skala jego zainteresowań była iście renesansowa — zbudował ratusz w Rijp, rzeźbił, zajmował się malarstwem, a jego wyroby w metalu, drzewie, kości słoniowej cieszyły się wielkim powodzeniem. Obok zwykłych, konstruował także grające zegary oraz ogromną ilość maszyn do osuszania gleby.

Leeghwater sądził, że nic nie zaszkodzi, a przeciwnie pomoże prawdziwej nauce pewien dodatek czarnoksięstwa i tajemniczości. Organizował tedy pokazy, na które zapraszał elitarną publikę. We Francji, w przytomności Księcia Maurycego, demonstrował maszynę w kształcie dzwonu i w tej to maszynie dał się zatopić. Pod wodą napisał wyjęty z Biblii psalm, pokrzepił ciało paroma gruszkami i ukazał się oczom dworu zdrów, cały i tryskający energią.

Po kilku dniach oswoiłem się z myślą, że nie zobaczę motywów, jakie malowali mistrzowie holenderscy „złotego wieku”, a przecież w Italii wystarczy wychylić się z okna pociągu, żeby mignął przed oczami fragment Belliniego lub utrwalone przed wiekami niebo Umbrii. W zamian za to dostałem w Holandii największą kolekcję krajobrazów w ramach. Jak gwiazda przewodnia świeci tworzący w XVI wieku Flamand Patenier, mistrz przestrzeni budowanych z prostopadłych ekranów i brązowo-zielono-niebieskich perspektyw. A potem przybywali inni, zmieniały się konstelacje i hierarchie. Dwaj bajeczni manieryści Coninxlo i Severy, prostoduszny Avercamp, Cuyp, malarz apoteozy parzystokopytnych — Potter, Hobbema, Momper, żeby wymienić bliskich mi pejzażystów.

Wiedza wyniesiona ze szkoły, a jak wiadomo jest to tobiół rzeczy słusznych, ale także apodyktycznych idiotyzmów, dała mi w podarunku przekonanie, że największym malarzem krajobrazu jest Jacob Ruisdael. „Pod koniec XVII wieku w epoce specjalizacji malarzy w określonych gatunkach tematycznych, ten pejzażysta o nieprzeciętnej wiedzy i osobowości, o nienasyconej ciekawości, uwiecznił w swych dziełach, w nierówny sposób, charakterystyczny dla krajobrazu holenderskiego, nierozzerwalny związek wody, ziemi i nieba. Nikt poza nim nie był zdolny do ukazania, w tak wzruszający sposób, wzajemnej harmonii walorów atmosferycznych i kształtu chmur”.

Ta bardziej natchniona, niż zrozumiała, tyrada znanego uczonego, podnosi Ruisdaela do rangi Cherubinów. W ustach znakomitego, acz niepohamowanego historyka sztuki, malarz stał się

archaniołem. Tyle lat byłem mu wierny i dalej czytałem jego obrazy epickie, spokojne, malowane z perspektywy wydm, gdzie widać rozłożyste łąki, na nich pasy bielącego się płótna, a na horyzoncie zacne miasto Harlem, z potężnym kościołem św. Bawona i lśniącymi w słońcu skrzydłami wiatraków. Nad tym wszystkim ogromne niebo (jego stosunek do łąd jest jak jeden do czterech). Tego Ruisdaela uwielbiałem zawsze, ale za przewodnika po starej, prowincjonalnej Holandii wybrałem — Jana van Goyena.

Chciałbym jeszcze powiedzieć, dlaczego moje uczucia do Ruisdaela ochłodziły. Otóż stało się to wtedy, gdy w jego płótna wstąpił duch i wszystko stało się uduchowione, każdy liść, każda obłamana gałąź, każda kropla wody. Natura dzieliła z nami nasze rozterki i cierpienia, przemijanie i śmierć. Dla mnie najpiękniejsza jest przyroda niewspółczująca — chłodny świat w innym świecie.

Trzy wielkie, nizinne rzeki, ich dopływy, tysiące rzeczek i strumyków, wielkie zlewisko wody zwane Morzem Harlemskim — wszystko to stworzyło dogodne warunki do komunikacji. Często obok kanałów budowano bite gościńce, ocienione drzewami — z Delft do Hagi, z Lejdy do Amsterdamu — budziły one powszechnie uznanie i dumę. William Temple, długoletni ambasador angielski w Hadze, twierdził, że szosa biegnąca z Scheveningen do Hagi (parę zaledwie kilometrów) godna jest rangi „dzieła Rzymian”, co było pewną przesadą.

Sytuacja zmieniała się razem z porami roku. Dylizans publiczny, wprowadzony w połowie wieku XVII, na czterech kołach, ale bez resorów, powodował nieznośne trzęsienie podróżnych, a cały zaprzęg ciągnął za sobą tumany kurzu, który pokrywał wszystko. Stany Generalne narzuciły pojazdom znormalizowany rozstaw kół, co było bardzo słuszne, a także wzmocniły policję drogową, zwłaszcza na terenach lesistych. Rzeźmieszków złapanych na gorącym uczynku karano na miejscu i bez sądu. Huygens, mąż stanu, humanista, poeta i człowiek wrażliwy, nie lubił marnować czasu nawet w podróży. Jadąc wzdłuż wybrzeży Renu naliczył na trasie, niespełna dwudziestokilometrowej, imponującą liczbę pięćdziesięciu szubienic, czym przyczynił się do statystyki wykrywalności wyroków.

Wóz skrzypi, trzeszczy, wtacza się z trudem na niewielką garbę ziemi — światło jest teraz miodowe — jeszcze jeden zakręt, po lewej kępa brzoź, nachylona mocno ku wodzie kanału ciężkiej od brzoź i cienistych zieleni, zapach mułu i gnijących pni drzew. Po prawej to, co przy dużej fantazji można nazwać gospodarstwem: dom, od którego murów odpada tynk, dach — stuletnia mapa nawałnic, ceglany wysoki komin jak baszta, która od-

piera ostatni atak. Jaki to kraj? Czyja dziedzina? Jakie jest imię władcy?

Wybierając się z moim ulubionym malarzem krajobrazów Janem van Goyenem, nie byłem pewny, czy będziemy jechali traktem ziemi, czy drogą wyobraźni. Goyen malował szereg tak zwanych „Wiejskich uliczek”, jedną staraliśmy się opisać. Schemat tych kompozycji jest prosty, zaczynając od dna obrazu: wąski kanał, piaszczysta, rozjechana droga, szopa lub coś, co kiedyś było domem, a dzisiaj jest malowniczą ruiną, parę rachitycznych drzewek i zwierzę heraldyczne ubóstwa — koza.

Z tym wszystkim łączą się liczne znaki zapytania. Skąd brali się w dostatniej Holandii amatorzy tej tematyki? Czy były gdziekolwiek w tym kraju podobne zaułki biedy, o czym przekonał mnie całkowicie mój przewodnik Jan van Goyen magią swojej sztuki. Gdzie istnieje prawdziwa Troja i „Ziemia jałowa” Eliota?

Droga przez wieś, wodny prom płynący rzeką, chata wśród wydm, kępy drzew i stogi siana, podróżni czekający na przewóz — oto typowe motywy obrazów Goyena. Te płótna bez anegdoty, o luźnej kompozycji, wątle, o słabym tętnie, nerwowym rysunku, zapadają szybko w pamięć, oko przyswaja je bez oporu i długo zostają na jego dnie. Kiedy zobaczyłem pierwszy raz obraz Goyena, miałem uczucie, że czekałem długo na tego właśnie malarza, że zapełnił on od dawna odczuwany brak w moim muzeum wyobraźni, a równocześnie towarzyszyło temu irracjonalne przekonanie, że znam go dobrze i od zawsze. Skąd czerpał Goyen motywy swoich płócien? Czasem można to bez trudu ustalić, opierając się na przedstawionych fragmentach architektury.

W dużym obrazie, znajdującym się w wiedeńskim Muzeum Historii Sztuki, rozpoznajemy bez trudu kościół i wieże Drehtu nad wielką, szarą wodą, pociętą w regularne jak ornament fale o kształcie półksiężyców. Ale w pięknym obrazie w monachijskiej Pinakotece, „Widok Lejden”, malarz przeniósł kościół św. Pankracego poza miasto, umieścił na półwyspie, z dwóch stron otoczył rzeką i stary kunsztowny gotyk króluje oto nad grupką rybaków, pasterzy i krów na drugim brzegu wymyślnego krajobrazu. Najczęściej topografia jego prac jest niejasna: gdzieś za wydmą, nad jakąś rzeką, u zakrętu drogi, pewnego wieczoru... Mówiono, że mistrz posiada w pracowni najtańsze, jakie tylko można sobie wyobrazić, elementarne rekwizyty: glinę, cegłę, wapno, ułamki tynku, piasek, słomę i z tych resztek odtraconych od świata tworzył nowe światy.

W środkowym okresie swojej twórczości, Goyen maluje szereg świetnych, monochromatycznych dzieł z dominantą bistru, sepii, ciężkiej zieleni. Holendrzy nie wymyślili metody malowania jednym kolorem obrazu, przydali jej natomiast wdzięk i na-

turalność, bowiem monochromatyzm jest trafnym skrótem widzialnej rzeczywistości, uchwyceniem blasku i atmosfery (sina poświęta na moment przed burzą, ciężkie od leniwego złota światło letnich popołudni).

Ten wielki malarz gospodarował swoim talentem fatalnie. Był artystą cenionym i płodnym, ale fakt, że sprzedawał sam własne obrazy za żebraczą cenę 5 do 25 guldenów, przekreślał szanse na poważną karierę. Nikt z szanujących się, chyba że w sytuacji przymusowej, nie sprzedawał swoich płócien za cenę tylko nieco wyższą od kosztu materiału.

Naukę zawodu rozpoczyna bardzo wcześnie, bo jako dziesięcioletni chłopiec; pięciokrotnie zmienia swoich mistrzów, by trafić na koniec do pracowni niewiele od siebie starszego Esaiasa van de Velde, autora świetnych, jakby przemytych deszczem krajobrazów.

Goyen nie osiedla się w jednym określonym miejscu, prowadzi tryb życia raczej cygański. Podróżuje po Niemczech i Anglii, skąd przywozi teki szkiców. Jego rysunki są szybkie, impresjonistyczne, pozbawione szczegółu, wykonane jakby jednym pociągnięciem ołówka, nie odrywane od karty papieru; przedkładał zawsze wąską paletę pokrewnych kolorów nad budowanie obrazu z wielu kontrastów i w tym sensie pozostał do końca malarzem monochromatycznym.

Kiedy miał blisko czterdzieści pięć lat, osiedlił się w Hadze, co nie oznaczało bynajmniej stabilizacji materialnej. Więc imał się wszystkiego.

Na pomysłach mu nie zbywało. Handlował obrazami kolegów, organizował aukcje, spekulował domami i gruntami ziemskimi, a także nieszczęsnymi tulipanami.

Wynikiem tych komercyjnych łamańców było dwukrotne bankructwo i śmierć w długach. Złośliwi współcześni twierdzili, że jedyną jego pomyślną transakcją była transakcja matrymonialna: wydał swoją córkę za obrotnego i zamożnego oberżystę — malarza Jana Steena.

Co wyłania się z mgły i deszczu, co odbija się w kropli wody? „Krajobraz rzeczy” Jana van Goyena w muzeum Dahlem. Obraz jest tak mały, że można go przykryć ręką, ale nie jest to notatka, szkic czy próba do większego dzieła. Jest to obraz pełnej krwi, samodzielny, o kompozycji prostej jak akord. Pośród szarości nieba i ziemi wynurza się kępa wikliny, której palczaste liście malowane są soczystą, ciemną zielenią; a czasem pośród tych gąszczy mały akcent żółci. Obraz nie wisi na ścianie. Ten strzęp świata umieszczono w gablotce, aby się nad nim pokłonić.

Często po wakacjach przysłuchiwałem się rozmowom, w których wychwalano światło dalekich stron. Ale czym jest naprawdę

światło, dla którego dawniej artyści opuszczali rodzinne miasta, zakładali falanstery, uprawiali kult solarny i przechodzili do historii jako szkoła z N? Czym jest światło Holandii, tak jasne dla mnie w obrazach, a nieobecne w bezpośrednim otoczeniu? Pewnego razu postanowiłem poświęcić cały dzień studiom meteorologicznym. Ranek był pogodny, ale słońce znajdowało się w mętnej zawieszynie, podobnej do mlecznej żarówki, stąd ani śladu *l'azzurro*. Następnie pojawiły się obłoki i szybko zniknęły. Dokładnie o trzynastej trzydzieści nastąpiło nagłe ochłodzenie, a za pół godziny runął nawalny deszcz, gruboziarnisty, siny. Uderzał z furją o ziemię i zdawało się, że wraca do góry, aby spaść z większą zjadłością. Trwało to około godziny. Dokładnie o dziewiętnastej wyjechałem, celem pogłębienia studiów, do Scheveningen. W tym czasie deszcz ustał. Zwały chmur na całym zachodzie. Kąpielisko, kabiny, kasyno oślepiająco białe teraz, pokrywał nalot fioletu. Tuż przed dwudziestą wszystko się zmieniło — rozpoczął się oszałamiający festiwal pary wodnej, trudne do opisanego metamorfozy, formy, kolory, bo nawet słońce wieczoru przysłało frywolne różowości, operetkowe złoto.

Widowisko się skończyło. Niebo było czyste. Ustał wiatr. Zapaliły się i zgasły dalekie światła — i nagle, bez zapowiedzi, podmuchu, przeczucia, ukazała się wielka chmura o barwie popiołu — chmura o kształcie rozszarpanego gościa.

Zbigniew HERBERT

POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

STODIECK'S BUCHHANDLUNG & GALERIE

oferuje:

Książki polskie. — Książki niemieckie dotyczące Polski i Europy Wschodniej. — Przekłady z języka polskiego na niemiecki.

Katalogi wysyłamy bezpłatnie.

Stodieck's Buchhandlung,

Richard-Wagner-Str. 39. D-1000 Berlin 10.

Tel.: (030) 341 10 40

Krótką spowiedź egzorcysty

Lew Szestow: „Albo doświadczenia wewnętrzne, nawet najprostsze, tak są święte, że sama natura stoi zazdrośnie na ich straży; albo tak nędzne, że nie warto odsłaniać ich przed innymi”. Święte czy nędzne, posiadają własną formę na pograniczu mowy i milczenia; jest nią rodzaj szepcanej w myślach, bezładnej, urywanej spowiedzi.

Jestem stary, bardzo stary, w styczniu przyszłego 1989 roku skończę (jeśli Bóg dozwoli) osiemdziesiąt cztery lata, zawodzi mnie czasem pamięć i często mącą mi się myśli, widzę i słyszę coraz gorzej, tak szybko męczy mnie czytanie, że zasypiam niekiedy nad książkami i gazetami. Im starszy, tym bardziej unieruchomiony i przywiązany do mojej ciemnej i wilgotnej nory na parterze kamienicy obok Placu Świętego Dominika. Od roku sąsiadka z drugiego piętra przynosi mi tu za opłatą jeden gorący posiłek o pierwszej w południe, woli nie wzywać mnie jak dawniej do swego stołu. Kawę rano i herbatę wieczorem robię sobie sam, więcej mi nie trzeba, zresztą na więcej nie mógłbym sobie pozwolić z mojej skromnej renty inwalidzkiej.

Wychodzę z domu rzadko i niechętnie, jak zbieg z kryjówki. Kiedy zaś zdarza mi się wyjść w ładną pogodę, posuwam się ulicą niby żółw, ocierając się o mury domów, z laską potrzebną do utrzymania równowagi kulawca i gotową do odpedzenia małych natrętów. Ja, który w Neapolu spędziłem całe prawie życie od chłopięctwa, który znam w nim każdy kamień, boję go się na starość, drzę ze strachu w ulicznej kotłownianinie, czuję jak bije w popłochu moje słabe serce. Dlatego, że niedowidzę i niedo-słyszę? Eh, nie, trzeba powiedzieć prawdę. Boję się, że ktoś zły rozpozna mnie i krzyknie: *Un prete spretato!* Wystarczy

bowiem, że ktoś dobry pozdrowi mnie życzliwie: *Caro Padre Vito!*, z uszanowaniem dla mego dawnego (w pewnym sensie, skoro nieodwołalny jest sakrament kapłaństwa) stanu duchownego, abym się trochę uspokoił. Ale na krótko, na krótko. Więc może zbrzydli mi po prostu ludzie? Może dosyć się na nich w życiu napatrzyłem, dosyć się ich nasłuchiwałem, i kocham moją norę za to właśnie, że zapewnia mi samotność? Tak, tak, nic poza moją norą z ołtarzykiem w kącie koło okna, nic poza Bogiem i Jego starym, wiernym, choć odepchniętym sługą. Godzi się odwracać w ten sposób od świata i ludzi? Kto jak ja był pięć lat księdzem-egzorcystą, ma prawo do samotności, mimo że wielu uważa ją pewnie za ucieczkę. Bóg miłosierny patrzy w moje serce. I widzi, wierzę że widzi.

Zebrało mi się na te wyznania z takiej oto przyczyny. Maj dobiega końca, z okna mojej nory widać na podwórzu jedyne drzewo okryte zielenią i kwiatami, a ja dziś dopiero zdecydowałem się na pierwszy wiosenny spacer. Trasa moich rzadkich spacerów porannych jest zawsze jednakowa: od Placu Świętego Dominika do Placu Jezusa, przed powrotem do domu odpoczynek w majolikowym krużganku Świętej Klary. Siadłem tam na pustej ławce w cieniu (szkodzi mi słońce), zdrzemnąłem się chyba, bo otworzywszy oczy zobaczyłem naraz na drugim końcu ławki... Wielkie Nieba! Doktora Pontormo, Prokuratora Republiki w Turynie w okresie tragedii w Brumiera, mojego oskarżyciela w tym strasznym procesie! Poznałem go natychmiast, a on po tylu latach — czterdziestu blisko — albo mnie poznał drżącego i skulonego, albo też nie zauważył mnie, odwrócony plecami i pogrążony w rozmowie ze swym towarzyszem. Złowiłem kilka strzępów ich rozmowy: rozmawiali o opisywanym ostatnio w gazetach „Turynie satanicznym”, o „mieście w rękach Diabła”, o wezbranej fali morderstw, o rozmnożeniu się „obrzędów narkotyczno-satanicznych”. Towarzysz doktora Pontormo napomknął o świeżym zwiększeniu liczby diecezjalnych egzorcystów w Turynie. Doktor Pontormo zaśmiał się drwiąco, ale nie dosłyszałem jego odpowiedzi; dosłyszałem tylko, że padło w niej moje nazwisko.

Wstałem z ławki podniecony, niemal roztrzęsiony, ledwo dowlokłem się do domu. Obsunąłem się na łóżko, leżałem na nim bez ruchu aż do obiadu. Nie czas już, u progu śmierci, na wyjście z milczenia? Nie wypowiadałem się nigdy z epilogu mojej kariery egzorcysty, omijałem go zawsze w konfesjonale. Niech będzie wreszcie utrwalone na papierze to, co w moim sercu przeczytał wtedy i czyta ciągle Bóg, jedynie Bóg.

Od lat mam zwyczaj czytania wieczorem na głos paru stron Świętego Augustyna. W ten sposób ileż razy przeczytałem Wy-

znania; tyle, że gdyby nie moja słabnąca pamięć, mógłbym je chyba recytować w całości lub na wrywki, nie zaglądając do książki. Gdy mam teraz zacząć moją spowiedź, przywołuję na pomoc dwa fragmenty, do których jestem szczególnie przywiązany. „Wielką, tajemniczą przepaścią jest człowiek, o Panie! Tyś policzył włosy na jego głowie i żaden nie spadnie bez Twej woli. Ale łatwiej zliczyć jego włosy, niż jego uczucia i poruszenia jego serca”. „Jak to się stało, że do Zła skusiło mnie samo tylko Zło. Wstrętne było, a kochałem je, kochałem zgubę moją, mój upadek. Nie to, ku czemu upadłem, lecz sam upadek kochałem”.

Przywołuję je na pomoc, chociaż częściowo tylko stosują się do mnie, sam nie umiałbym powiedzieć w jakim stopniu. Święty Augustyn otrzymał od Boga cudowny dar: dotykania w człowieku tych nawet ran, których nie posiada, czując równocześnie całym swoim jestestwem, że mógłby je posiadać. Tajemniczą przepaścią jest człowiek, jakkolwiek może tej przepaści w sobie nie widzieć. Kochać może człowiek Zło, zgubę swoją i swój upadek, jakkolwiek za nienawiść poczytuje tę grzeszną, w tajemniczej przepaści swojej zaczajoną miłość.

Ciężko mi mówić o moim dzieciństwie i wczesnym chłopięctwie, jakże jednak wcale nie mówić, jeśli biorę się do spowiedzi? Rosłem otoczony Złem i strachem. Mój ojciec był chłopem, właścicielem ubogiej chałupy i dwóch hektarów ziemi w apulijskiej wsi Collemanno. Pijak i gwałtownik, bił o byle co moją matkę, mnie i moją siostrę, młodszą ode mnie o trzy lata. Żyliśmy w wiecznym strachu. Powiada Święty Augustyn: „Albo Złem jest to, czego się boimy, albo Złem jest to, że się boimy”. Zło w naszym domu było podwójne, lecz miało jedną, zapijaczoną i wściekłą, nie wahał się powiedzieć: diabelską, twarz mojego ojca. Szło mi na piętnasty rok życia, gdy na naszych oczach, na oczach mojej matki i moich, zgwałcił swoją dwunastoletnią córkę. Patrzyliśmy na to nieporuszeni, sparaliżowani strachem, ja szeroko otwartymi oczami, moja matka łkając cicho i zasłaniając twarz dłońmi. Robił to odtąd często, nie zważał na krzyki, lamenty i błagania dziewczynki, przeciwnie: podsycali jego zaciekłość opętanego. Aż któregoś dnia rzuciłem się na niego z żelaznym pogrzebaczem. Wyrwał mi go ze śmiechem (śmiał się również za każdym razem zniewalając moją siostrę), po czym zaczął mnie nim okładać z furią, z rykiem, na ślepo, gdzie popadło. Ktoś z sąsiedztwa pobiegł na posterunek policji. Mojego ojca skuto, mnie zawieziono do szpitala z paroma złamanymi żebrami i przetrąconą kością w lewej nodze. Leżałem w szpitalu pół roku. Moja matka nie odwiedziła mnie tam ani razu. Dowiedziałem się potem, że mój ojciec powiesił się w więziennej celi, a ona sprzedała szybko naszą posiadłość i wyjechała z moją siostrą

do dalekich krewnych w Argentynie. Część uzyskanych ze sprzedaży pieniędzy złożyła przed wyjazdem u proboszcza w Collemanno, który z tym posagiem umieścił mnie w kolegium jezuitów w Neapolu, aby dalej od mojej rodzinnej wsi. Zmarł niebawem, zacy Don Vincenzo. Moja matka i moja siostra wykreśliły mnie ze swego życia, nigdy się do mnie nie odezwały, jakby chciały zabić przeszłość, na zawsze odpędzić cień wiążącego nas Zła. Zostałem na świecie sam, sierota i utykający na lewą nogę kaleka.

Za stary jestem i za słaby, za bardzo mąci mi się w głowie i drży mi podczas pisania ręka, by moja spowiedź zbyt szybko rozwlekać i przetykać szczegółami. Musi być krótka. Muszę *zdążyć*.

Skończyłem naukę w kolegium, wstąpiłem do seminarium, w roku 1935 zostałem wyświęcony na księdza i skierowany do parafii w górnym Neapolu. Jednocześnie uczyłem łaciny i greki w kolegium, w którym sam byłem niegdyś uczniem.

Zdawało się z początku, w kolegium i w pierwszych latach seminarium, że ozdrowiałem duchowo, że czas wypełniony nauką i modłtami uśmierzył ból w moim sercu, otwartym na ufne przyjęcie Boga. W ostatnim roku seminarium zaszła zmiana, tak gwałtowna, że stanąłem na rozdrożu, z trwogą myślałem o nadchodzącym kapłaństwie. Odżyły wspomnienia. Z niebytu prawie wróciła twarz mojego ojca, prześladowała mnie dniem i nocą, zwłaszcza nocą budziłem się ze snów o nim przerażony, z uczuciem duszności i impulsem ucieczki. Ta twarz, tak strasznie ostra i zuchwała w wyrazie, łącząca okrucieństwo z drwiną, skrzywiona grymasem zwycięskiego Zła, stała się dla mnie stopniowo wizerunkiem Diabła. Żyłem ścigany przez nią, widząc własną bezsilność, której nie wspierały już modłtwy. Bywało, że w mojej udręce uważałem się za zarażonego ojcowskim opętaniem. Na szczęście Bóg zlitował się nad moją zamrozoną duszą. Ogarzył mnie naraz spokój, dziwnie słodki i łagodny, podobny zapewne do ulgi, jaką daje nagły spadek gorączki w chorobie, gdy błogosławiony chłód wlewa się szybko do rozpalonego i wyczerpanego ciała. Jak radośnie, z jaką jasną i czystą wiarą witałem dzień wyświęcenia!

Ale z tego kryzysu u progu kapłaństwa coś przecież przetrwało: pociąg do studiowania egzorcyzmów. Zachłannie czytałem zarówno kościelne orzeczenia i podręczniki dla egzorcyستów, jak świeckie książki z historii egzorcyzmów we Włoszech i w innych krajach Europy. Sposobiłem się do przyszłej służby w walce z Władcą Ciemności, czy nieświadomie odprawiałem ciche egzorcyzmy nad samym sobą?

Więść o moich studiach i lekturach dotarła widocznie wyżej, bo wkrótce po wojnie wysłano mnie do Turynu, gdzie jeden z trzech diecezjalnych egzorcyستów umarł, a drugi poprosił o

zwolnienie ze swych funkcji i usunął się do klasztoru. Miałem wówczas czterdzieści lat. Wychodziliśmy wszyscy z wojny, nazywanej przez niektórych okresem zbiorowego opętania.

W Turynie poznałem zaraz po przyjeździe jedyne pozostałego tam egzorcyستę. Odniósł się do mnie niechętnie i nieufnie, podejrzewam że w przybyśzu z Południa węszył skłonności do pogańskiej „magii” w kościelnym przebraniu. Wybrałem się także do klasztoru na odludziu za miastem, gdzie przygarnięto emerytowanego egzorcyستę.

Łagodna szczupła twarz, duże smutne oczy, gęste i zupełnie białe włosy, gorzki uśmiech błakający się w kącikach ust. Ksiądz Ulderico poprosił sam o zwolnienie z funkcji egzorcyستy, mimo że nie był jeszcze stary i zniedołężniały. Dlaczego? Zabrakło opętanych przez Diabła? Na odwrót, ich liczba tak wzrosła, że nie był już w stanie podołać swym obowiązkom. Egzorcyzmy dzielą się na zwykłe i uroczyste. Pół biedy ze zwykłymi, wystarczy do nich święcona woda i modłtwa ułożona przez Leona XIII z inwokacją do Świętego Michała Archanioła. Uroczyste są długie, żmudne, często dramatyczne i pełne napięcia, wymagają cierpliwości i uporu. Wśród opętanych dużo jest epileptyków, chorych nerwowo, histeryków, ale nazywając ich tak lub inaczej, nie wypęda się z nich tym samym Diabła. W szatańskim urodzaju niepokojem przejęła go rosnąca również ostatnio ilość dzieci, niewinnych dzieci... Nie, uchoвай Boże, nie zachwiało to w nim wiary, lecz pojawiło się w niej coś nowego, nigdy dotąd nie zaznanego. Kiedyś — trudno zaprzeczyć — bał się ujrzenia nagle strasznej twarzy swego przeciwnika, czując podczas egzorcyzmów jego gorące tchnienie. Za lękiem jednak szła zawsze wzmozona odwaga, piękna odwaga powołania. Teraz zaś przeniknął go do szpiku kości ziąb, lodowaty ziąb. Utracił na pewno, był o tym przekonany, żarliwy dar egzorcyستy. Dlatego wolał zamknąć się w klasztornej celi.

Wróciłem ze spotkania z księdzem Ulderico przybity. Nękała mnie obawa, czy moje własne doświadczenia nie zmacą tego, co miałem w Turynie robić; zwątpiłem w siebie uzbrojonego co prawda w książkową wiedzę, lecz naznaczonego jakoś diabelskim piętnem. Przystanąłem przed furtką do mojego mieszkania obok kościoła Świętego Grzegorza i, nie zwracając uwagi na ulewny deszcz, wpatrywałem się długo w wielką kałużę, w której podmuchy wiatru, przepływy mgły i refleksy wieczornych światłał to rysowały, to zmaływały zapomnianą (jak sądziłem), złowrogą twarz. Ale nie wdarła się do moich snów, ani tej nocy ani następnych. O włos od nowych wahań i rozterki, uznałem to za dobry znak. Niebo czuwało nade mną, modliłem się aby mnie nie opuszczało, aby miało mnie dalej w swej opiece.

Zdarza się w Neapolu, że na miasto spada czerwiec upalniejszy od szczytu lata. Złe znoszę takie raptowne przejście. Dyszę zamiast oddychać, ciąży mi głowa, odzywa się stary ból w lewej nodze, słabość przykuwa mnie za dnia do łóżka. Może lepiej przerwać chwilowo moją spowiedź...

W przeciwieństwie do księdza Ulderico kierowałem się zasadą, że zaburzenia nerwowe i psychiczne nie są formą opętania. Wobec chorób nawet takich, jak klasyczna niegdyś dla egzorcystów (i wciąż aktualna) epilepsja, jesteśmy bezradni i powinniśmy się do naszej bezradności przyznać, odmawiając mimo próśb i zaklęć stosowania egzorcyzmów. Ja, za przewodem Świętego Augustyna, tropiłem Zło w urzeczonych nim, gdyż według mnie prawdziwe opętanie jest właśnie prawdziwą miłością do Zła. Ale jak to zakochanie dokładnie rozpoznać i potem pokonać? Wyznam szczerze, że z biegiem czasu do odprawianych przeze mnie egzorcyzmów zakradła się dość bezduszną rutyną, traciłem wiarę w ich skuteczność. Czy zwykłe były czy uroczyste, nie trafiały do ukrytego głęboko w ludzkim sercu źródła przeklętej i zatrutej miłości. Idąc więc z obowiązku utartą drogą egzorcysty, szukałem innej, bardziej osobistej, odwiedzałem na przykład opętanych w ich rodzinnych domach, co nie mogło się podobać moim przełożonym. W piątym roku mojego pobytu w Turynie liczyłem się z możliwością rychłego odesłania do Neapolu.

Pamiętam ten wrześniey poranek pięćdziesiątego roku. W kobiecie, która do mnie przysłała, uderzyło mnie od razu podobieństwo do mojej matki. Była niska, przygarbiona, krucha, zniszczona, wystraszona, twarz miała zoraną przedwczesnymi zmarszczkami, głowę oblepioną rzadkimi włosami. W moim zapewne wieku, wyglądała na staruszkę. Jeszcze bardziej upodobniały ją do mojej matki odruchy: częste ukrywanie twarzy w dłoniach, wzrok uciekający ku ziemi, ciągłe przesuwanie się do brzegu krzesła, jakby co chwila gotowała się do wstania i wyjścia. W ładnych, zażawionych oczach malował się popłoch, choć to słowo nie oddaje w pełni ich wyrazu istoty ściganej i osaczonej. Zegnała się ukradkowo małym krzyżykiem na piersiach, ilekroć musiała na mnie spojrzeć. Tak postępowała moja matka, ilekroć nie mogła nie spojrzeć na mojego ojca.

Przysłała do mnie w sprawie swojej córki Rity. Kiedy zaczęła opowiadać, drętwiałem w miarę jak jej poszarpane zdania docierały do mojej świadomości, a w moim skurczonym gardle rósł gruzeł, który parokrotnie poderwał mnie — ku jej przestraszowi — z miejsca. Nie tylko ona przypominała moją matkę, ale dom w piemontkiej wsi Brumiera, u wjazdu do Doliny Susy, był niemal odbiciem naszej chałupy w apulijskiej wsi Collemanno.

„Bóg wystawił mnie na próbę — mówiłem sobie w duchu — Bóg chce aby powróciło znowu wszystko, co z Jego pomocą starałem się na wieki pogrzebać”.

Mieli w Brumiera mały sklep spożywczy. Jej męża powołano do wojska w roku 1942, z wojny nie wrócił, jego nazwisko znalazło się na liście zaginionych. Gdy szedł na wojnę, Rita miała czternaście lat. W siedem miesięcy później urodziła dziecko, nie-normalnego chłopca o ogromnej głowie, głuchoniemego od urodzenia, zdolnego tylko do życia wegetatywnego w pozycji leżącej. „Był jej synem i bratem”, wyszeptwała i całym ciałem pochylała się do ziemi, jakby chciała się pod nią zapaść. Nie używała odtąd w opowiadaniu imienia córki, nazywała ją albo *indivolata*, albo *indemoniata*, albo *posseduta dal Male*. „Żyję w piekle, żyję w piekle”, powtarzała. Dwa razy już dziewczyna próbowała podpalić dom. Nie odzywała się do matki całymi dniami, bała się pokazywać ludziom na oczy, ludzką mowę zastępował jej czasem krzyk, tak rozdzierający, że zbiegali się sąsiedzi. I śmiech nie z tego świata, śmiech jakiego jej matka nigdy przedtem nie słyszała. Kto wie, czy nie gorsze jeszcze były przewlekłe okresy apatii; można było wtedy wszystko z nią zrobić, gdyż żyła nie tutaj, nie obok matki i swego dziecka, lecz we śnie z którego nikt już może nie potrafiłby jej obudzić. „Co robić, co robić?”. Musiałem się wyrwać, kiedy runęła do moich nóg i wzięła się do całowania mnie po rękach. Proboszcz w Brumiera przysłał ją do mnie z listem polecającym: *Reverendo Padre, fate l'esorcismo a questa nostra povera Rita, salvate la sua anima cristiana*.

Stawiły się obie nazajutrz. Rzeczywiście Rita dała się matce prowadzić za rękę jak bezwolna somnambuliczka. Wyższa od matki, postawna, zaniedbana w ubiorze lecz dorodna, z szopą zmierzwionych czarnych włosów, była w zachowaniu uległa i zupełnie nieobecna. Nie powiedziała do mnie ani słowa, nie podała mi nawet ręki na przywitanie. Przeszła mnie tylko błyskawicznie złym, gniewnym wzrokiem, po czym utonęła na powrót w swej apatycznej obojętności. Nie wiedziała prawdopodobnie do kogo i po co dała się przyprowadzić, takie przynajmniej robiła wrażenie. Patrząc na obie kobiety, uzmysłowiłem sobie, że z nadto opanowała mnie myśl o mojej matce i o mojej siostrze, abym był zdolny do odprawienia egzorcyzmów, choćby tak letnich i zrutynizowanych, do jakich ostatnio przywykłem. Przebiegły mi ciarki po skórze, drżały mi ręce.

Przemogłem się jednak. Odmawiałem nad klęczącą litanie, przepłatałem je zaklęciami pod adresem Złego, nie będąc wcale pewnym czy zachowuję przepisany porządek. Jedyne czego byłem pewien, to uwagi skupionej intensywnie na poświęconej, wzniesionej do góry Hostii w palcach. Zbliżyliśmy się już do końca obrzędu, gdy podrzuciła głowę, mocnym uderzeniem ręki

wytrąciła mi z palców Hostię, skrzyżowała zły i gniewny wzrok z moim, wydarła się z apatii śmiechem. Ten śmiech, mój Boże, ten śmiech... Taki jak śmiech mojego ojca, dobywający się z głębokiej studni.

W październiku brumierski proboszcz doniósł mi, że zmarł synek Rity. Niezbyt jasne okoliczności śmierci dziecka skłoniły władze sądowe z Susy do osadzenia Rity, na prośbę jej matki, w zakładzie dla chorych nerwowo w Vercelli.

Zakład prowadzony był przez zakonnice, toteż bez większego trudu uzyskałem prawo wstępu na jego teren. Co mnie naprawdę skłoniło do pierwszej wizyty i potem paru następnych w ciągu listopada, nie może być po tylu latach przedmiotem nadto drobiazgowych dociekań. To wiem na pewno, że działałem pod wpływem nieodpartego impulsu, w tym impulsie zaś nie najważniejsza była moja potrzeba doglądania opętanych między obrzędami kolejnych egzorcyzmów. Nie sądziłem zresztą, by w wypadku Rity doszło do dalszych egzorcyzmów; i nie chciałem ich. Jej wypadek, wśród tak wielu innych w mojej praktyce egzorcysty, był wyjątkowy. Czułem się wobec niej zgubiony. Jej wstrętny gest świętokradczy potwierdzał opętanie, więcej: stanowił według podręczników koronny dowód opętania, lecz ukazywał ją zarazem w nowym dla mnie świetle. Dotąd widziałem w opętaniu diabelski podszept miłości do Zła, teraz ujrzałem (albo tak mi się zdawało) opętana, w której tyleż było do Zła miłości co nienawiści; która na przemian Zło spazmatycznie obejmowała i rozpaczliwie odpychała. „Wielką, tajemniczą przepaścią jest człowiek, o Panie!”

Siostra Emilia opiekująca się Ritą według instrukcji lekarza opowiedziała mi o pierwszych dniach jej pobytu w zakładzie: miała nieustanne ataki szału, rzucała się na ludzi, wypluwała (określenie Siostry Emilii) słowa to plugawe to niezrozumiałe dla nikogo z otoczenia, darła na sobie suknie i rozdrapywała ciało do ran; niewiele pomagały zastrzyki uspokajające, chwilami więc zamierzano ją przywiązać do łóżka. Po dniach szału (ciągnęła Siostra Emilia) nadeszły niespodzianie, jakby kto ręką odjął czy uciął, dni apatii. Była przeszło dwudziestoletnim dzieckiem, melancholijnym, zawziętym w swej niemocie, głuchym na dookoły świat, posłusznym i całkowicie zależnym od tych którzy się nią zajmowali. Godzinami mogła leżeć bez ruchu na łóżku, albo bez ruchu stać pod drzewem w parku czy pod ścianą budynku zakładowego.

Moje wizyty przypadły zatem na okres apatii. Listopad był pogodny, bezdeszczowy i bezwietrzny, świeciło chłodne słońce. Za pozwoleniem Sióstr wyprowadzałem Ritę na spacer w parku. Rozpoznawała we mnie swego egzorcystę? Nie byłem tego pe-

wien, albowiem w jej osowiałości oderwanie od rzeczywistości miało istotnie charakter letargiczny. Nie dostrzegała otaczających ją osób, zatracala także poczucie miejsca i czasu. A ja? Muszę otwarcie wyznać: na każde nowe spotkanie z nią czekałem z utęsknieniem. Było to trochę tak, jakbym podświadomie uwierzył, że te spacerki, gdy słuchała mnie w milczeniu, były prawdziwymi egzorcyzmami, skuteczniejszymi od obrzędowych. Niekiedy, bardzo rzadko co prawda, spoglądała na mnie z ukosa i uśmiechała się dobrym, miłym uśmiechem. Moje serce rozgrzewała wtedy radość; byłem może bliski zwycięstwa nad groźnym, lecz słabnącym w jej sercu przeciwnikiem.

Pod koniec listopada, zaraz po przyjeździe do Vercelli, dowiedziałem się od lekarza zakładowego, że na życzenie Rity postanowił odesłać ją wkrótce do domu i poprosił już nawet jej matkę, żeby zgłosiła się po odbiór córki. „Sporo w tym zasługi księdza”, dorzucił.

Ostatni spacer zawiódł nas do małego stawu w głębi parku. Siedliśmy tam na pniu ściętego drzewa nadbrzeżnego. Wpatrywała się długo w ciemną taflę wody, pokarbowaną zwiniętymi liśćmi nenufaru, i wtem... Wtem przemówiła osoba uwolniona, osoba która odzyskała mowę, a wraz z mową strzępy dalekich wspomnień. Wspominała dziecinne wyprawy z ojcem na górskie zbocze w Dolinie Susy, do strumienia gdzie bawiło ją zanurzanie rąk i nóg. „Były srebrne, takie czyste i srebrne. *Oh Padre mio*”. Nie wiedziałem, czy wykrzykując *Oh Padre mio* zwracała się do mnie, czy z pamięci wywoływała swego ojca. Powinna mnie była ostrzec osobliwa tonacja głosu w tym okrzyku, ale w radosnym uniesieniu nie przywiązywałem do niej nadmiernego znaczenia. Co mnie skusiło, by w dalszej rozmowie wymienić mimochodem imię jej synka? Steżała, zachmurzyła się i spojrzała mi wyzywająco w oczy: *È morto, poveretto. Sia ringraziato il Signore del Cielo... o dell'Inferno*. Złowieszcze słowa, przerwane w środku cichym chichotem: za śmierć biednego synka dziękowała Panu Niebios... albo Piekieł. Jak były złowieszcze, miałem zrozumieć niebawem.

Tak oto dotarłem w mojej spowiedzi do jej tragicznego węzła. Tysiące razy obracałem w myślach i ze wszystkich stron oglądałem to zdarzenie, aby za każdym razem dochodzić do wniosku, że coś w nim zostało ominięte, w cień usunięte, z obawy przed całą prawdą. Znam całą prawdę, oprócz mnie zna ją tylko Bóg, On również wie że ją znam i uciekam od niej, bądź krążę wokół niej z zamkniętymi oczami i oniemiałymi ustami. Jeśli jednak skradająca się już na palcach śmierć wcisnęła mi pióro do ręki, przymusiła mnie do przedśmiertnej mojej spowiedzi, mógłbym się teraz wywinąć od jej surowego nakazu i od sygnału danego

mi przez Boga? Ale też jeśli mam wreszcie odemknąć oczy i otworzyć usta, czczą kołowaną staję się to com tysiące razy w myślach obracał i oglądał, a jedynie ważne staję się to com tysiące razy omijał i w cień usuwał. Im mniej słów, tym więcej prawdy.

20 grudnia wybrałem się, nie zapowiedziany, do Brumiery. Zbliżało się Boże Narodzenie, pomysł zatem wydawał się naturalny i zbożny. Kryło się za nim moje bicie serca, gdy przestąpiłem próg wiejskiego sklepiku zmarznięty i zaproszony śniegiem. Powitała mnie matka Rity. Wskoczyła zza lady, odsunęła na bok kupujących, skłoniła się przede mną nisko, nazwała mnie „naszym dobroczyńcą”. Tego było dosyć, abym odetchnął z ulgą. Przez wąskie drzwiczki za ladą wprowadziła mnie do mieszkania; na końcu korytarza znajdował się pokój Rity. Także Rita uśmiechnęła się na mój widok tym swoim dobrym, miłym uśmiechem, a mnie znowu zaczęło łomotać serce. Zostaliśmy sami, jej matka wróciła do sklepu.

Rita zajęta była świątecznym ozdabianiem swego pokoju, na jej dużym łóżku żelaznym rozłożone były wycinanki z kolorowych papierów i ze srebrnej cynfolii. Na stole postawiła szklankę wina dla mnie. Rozmawialiśmy swobodnie, zmieniając wciąż tematy. „Uwolniona — dziękowałem Bogu w duchu — uwolniona”. Tak mnie poruszyła jej opowieść o tym, jak ojciec zawiózł ją, dziesięcioletnią, do Sordevolo na widowisko pasyjne (wzorowane na Oberammergau), że przypomniawszy sobie o obowiązkach kapłańskich, wygłosiłem lekcję o Męce Pańskiej, chodząc w podnieceniu dokoła stołu. Słuchała z pochyloną głową, oparta o poręcz łóżka. Nagle uniosła głowę, podbiegła do mnie, zarzuciła mi ręce na szyję i przyłgnęła do mnie całym ciałem. Tak, niech padną te słowa: czułem się szczęśliwy jak nigdy dotąd w życiu. Gładziłem ją po włosach, może nawet musnąłem wargami jej mokrą od płaczu twarz. Z tego uczucia błogości wytrącił mnie (jakkże słabe to wyrażenie!) jej śmiech: *ten* śmiech, studzienny, okropny, śmiech mojego ojca. Pociemniało mi w oczach, odepchnąłem ją od siebie z całej siły. Co się stało potem, nie pamiętam, Bóg mi świadkiem. Ocknąłem się na klęczkach wśród męskich krzyków i kobiecych zawodzeń, jacyś ludzie podnosili mnie z ziemi kleszczowymi uchwytyami rąk, ktoś mnie szturchał i lżył, Rita leżała na łóżku we krwi, dwie kobiety cuciły ją i obmywały jej głowę szmatami moczonymi w wiadrze wody, jej matka całowała ją po nogach zwisających z łóżka. Podobno, pchnięta przeze mnie z całej siły, upadła na łóżko i uderzyła głową o żelazną poręcz. Podobno biłem ją jeszcze leżącą. W to nigdy nie uwierzę. Ale, skoro Bóg był świadkiem tego co zaszło, zna równie dobrze jak ja prawdę przed którą w ciągu czterdziestu lat uciekałem, której się przez czterdzieści lat bałem, która jest zbyt straszna, zbyt

ciężka, by udźwignęła ją nawet przedśmiertna spowiedź: prowadzony z obu stron pod ręce, wychodziłem do samochodu karabinierów z sercem wciąż przepełnionym tym samym uczuciem szczęścia, jakie ośwładnęło mną gdy trzymałem w ramionach Ritę. Bóg miłosierny patrzy w moje grzeszne serce, które co pokochało? To, ku czemu upadło, czy sam upadek?

Proces odbył się w lutym 1951. Odmawiałem zeznań w śledztwie z wolnej stopy, milczałem na rozprawie. Starałem się przede wszystkim nie słuchać, choć nie było to łatwe. Nie mogłem nie słyszeć pisemnego i odczytanego w sądzie zeznania Rity, którą przetrzymywano jeszcze w szpitalu. Była w nim mowa o moim „targnięciu się”, oby jej Bóg przebaczył. Doktor Pontormo, znany z poglądów antyklerykalnych i niechęci do Kościoła, zakończył swoje oskarżycielskie przemówienie (ku uciesze publiczności) zdaniem: „Najpierw posiadł ją Diabeł, potem usiłował ją posiadać Egzorcysta”. Oby i jemu Bóg przebaczył. Skazano mnie na rok więzienia z zawieszeniem.

W Neapolu, po powrocie z Turynu, utrzymywałem się z prywatnych korepetycji, uczyłem licealistów łaciny i greki przed egzaminami. Moi jezuici unikali mnie, lecz nie przeszkadzali mi, czasem nawet dyskretnie pomagali w zarabkowaniu domowymi lekcjami. W siedemdziesiątym roku życia udało mi się zdobyć rentę inwalidzką, w samą porę, bo utraciłem dawną zdolność do pracy.

W roku 1955 przeczytałem w gazecie wiadomość o zniknięciu Rity. Wysłała późną nocą z domu mimo protestów matki, i więcej jej nie widziano. Policja przetrząsała kilka dni okolice Brumiery, bez skutku. Gazeta użyła zwrotu „jak kamień w wodę”, odgrzebała też przy okazji „historię opętanej” i mój proces. Na próżno oczekiwałem dalszych wiadomości w gazetach, rzecz szybko ucichła. Ale, niech i to będzie powiedziane, długo miałem skrytą nadzieję zobaczyć pewnego dnia Ritę w tłumie neapolitańskim.

Jak gorąco i duszno, Boże jak duszno, a to dopiero początek sierpnia. Dziś rano, w letniej martwocie naszej kamienicy, dokuczyła mi samotność i odważyłem się wyjść na spacer. Musiałem natychmiast wrócić z Placu Świętego Dominika. Niebo, na oko piękne i czyste, zdawało się przygniatać mnie do ziemi. I ucisk w piersiach wzmaga się ciągle od przebudzenia w środku nocy. Jak duszno, brak, brak powietrza. Wielki Boże, Święty i Nieśmiertelny, Ojczy Nasz któryś jest...

O pierwszej w południe sąsiadka z drugiego piętra zapukała, jak codziennie, z obiadem na tacy do drzwi swego pensjonariusza.

Nie było odpowiedzi. Zdarzało się to już nie jeden raz, nacisnęła więc klamkę i przez szparę zajrzała do „nory”. Nie zareagował na jej okrzyk, górną połową ciała leżał na papierach, którymi pokryty był stół. Zdarzało się nie jeden raz i to, że zastawała go w porze obiadowej śpiącego przy stole na gazetach i książkach. Odstawiła tacę i podeszła do niego. Trąciła go lekko, po czym dotknęła jego czoła i pogłaskała jego policzek. *Caro Padre Vito. Era buono, tanto buono. Un Angelo.* Anioł był już zimny.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Luty 1989

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii
WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych. ● Wszelkie aparaty medyczne. ● Okulary. ● Aparaty słuchowe. ● Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom wysyłkowy

TAZAB LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zabłocki,

12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.

Tel.: 42 85 79 45.



ARKADY

— ARKADY

Polnische Kunst-u. Buchhandlung
Księgarnia & Galeria Polska

2000 Hamburg 36, Alsterarkaden 10,
tel. 346047

prowadzimy sprzedaż wysyłkową,
katalogi wysyłamy bezpłatnie.

Wizyta w domu malarza Z.

Odwiedzanie tej południowej republiki należy niemal do żelaznego kanonu programowego wycieczek do ZSSR. Republika jest wystarczająco atrakcyjna, jej historia o pięć wieków starsza od imperium carów. Jej mieszkańcy byli już w IV wieku chrześcijanami, a epokę prymitywnego bytowania mieli dawno poza sobą. Gdy na północ od nich człowiek szukał człowieka wędrując po pustaciach — oni już żyli skupieni w miastach i osiedlach otoczonych murami, sadami, ogrodami. Trudnili się w razie potrzeby rzemiosłem wojennym i robili to na ogół z powodzeniem, ale w czas pokoju zajmowali się rolnictwem, hodowlą i handlem. Mieli własną świetną literaturę i sztukę.

Pewnego razu zawędrowałem i ja do stolicy tej republiki i po zwiedzeniu muzeów i obejrzeniu budowli i pomników, w ramach wcześniej zapewne ustalonego programu, obejmującego także kontakty z interesującymi osobami, znalazłem się w domu pewnego, jak nas zapewniono, wybitnego malarza. Jego dom okazał się jednak czymś więcej niż mieszkaniem tylko i pracownią — to było coś w rodzaju małej rezydencji. Bezstylowa co prawda, tuż sprzed pierwszej wojny światowej, ale bardzo solidnie zbudowana willa jakiegoś chyba dygnitarza czy bogatego kupca otoczona była wysokimi, żelaznymi sztachetami i okolona sadem i ogrodem. Kończył się dzień, upał gasł, na ziemię kładły się już długie wieczorne cienie. Słyszmy wśród drzew obwieszonych owocami i kęp bardzo mocno pachnących, kolorowych kwiatów. Na progu domu oczekiwali nas gospodarze — on, pan koło siedemdziesiątki, dosyć wysoki, masywny, o jasnobrażowych oczach i czarnych, ozdobionych kilkoma siwymi pasemkami włosach. Ona, także brunetka, czarnooka, o kaukaskiej urodzie, znacznie chyba od niego młodsza. Kiedyś, jako młoda kobieta, musiała być bar-

dzo piękna. Chwilę później, rozdając nam po kolei herbatę w filiżankach, częstowała każdego z nas żywym, naturalnym uśmiechem, który chwilami przygasał (kiedy brała do ręki filiżankę), potem znów rozjaśniał jej twarz (gdy podawała nam filiżankę i patrzyła na nas). Siedzieliśmy wokół długiego, czarnego stołu, który wydawał się ciężki jak blok skalny. Piliśmy niezbyt mocną, ale bardzo gorącą i aromatyczną herbatę z kuźniecowskiej porcelany. Pośrodku stołu stały rzędem stare rosyjskie srebra, talerze, koszyczki, patery pełne owoców. Zielonych i granatowych winogron pokrytych białym pyłkiem, jakby ich nie dotykały jeszcze ludzkie ręce. Brzoskwinie i morele były tak kolorowe i dorodne, że wyglądały nierealnie jak atrapy. Piliśmy więc herbatę i rozmawialiśmy. Najpierw spytano nas, czy mieliśmy podróż wygodną, potem gospodarze byli ciekawi naszych wrażeń. Ja nie byłem tu przedtem nigdy, więc mogłem powiedzieć, że jestem oczarowany starą architekturą, przyrodą, kolorem nieba, co było prawdą. Potem była mowa o literaturze rosyjskiej, o Czechowie i Dostojewskim, a tak się szczęśliwie złożyło, że jeden z naszych kolegów pisał o Dostojewskim książkę. Ale po pewnym czasie rozmowa zaczęła utykać. My, goście, czuliśmy się trochę skrępowani. Oni, gospodarze, panowali towarzysko nad sytuacją, poddawali tematy, a nawet grali jakby jakieś role. Wszyscy zresztą uprawiamy jakieś aktorstwo, tylko że ich gra, ludzi wschodu, należy do innej konwencji, dlatego wydaje się nam trochę obca. Myślę, że nasz sposób bycia i prowadzenia rozmowy, nasze miny i gesty mogą się także wydawać trochę kabotyńskie. Ale w każdym człowieku tkwi coś z niegrzecznego, nudzącego się przy stole dziecka. Od chwili już nie brałem udziału w rozmowie. Korciło mnie, żeby coś zrobić — nie wiem — powiedzieć coś głupiego, zacząć się przechadzać po pokoju? Stać mnie było tylko na wyciągnięcie ręki w stronę patery z owocami. Byłem pierwszym z gości, który to zrobił bez zaproszenia, popełniłem więc chyba jakiś mały nietakt towarzyski, coś, o co mi chodziło. Ale nikt tego nie zauważył poza gospodynią, która uśmiechnęła się i zachęciła mnie mrugnięciem oczu. Oderwałem gałązkę winogron. Nie były atrapami. Były słodkie, pod naciskiem zębów pękały wylewając zimny, orzeźwiający sok. Mój gest jednak poruszył coś w dotychczasowym porządku. Gospodarz zaproponował czerwone wino krymskie, potem wstał i zapalił światło. Wnętrze pokoju wypełniło się światłem i ukazało to, czego w mroku nie widzieliśmy: świetne, stare dywany leżące na podłodze i wiszące na ścianach obrazy. Było ich mnóstwo, wisiały gęsto, niektóre stykały się ze sobą ramami. Panie skupiły się wokół gospodyni, która objaśniała stojące w oszklonych szafkach przedmioty ze srebra i porcelany, godne jak sądzę tego, aby ozdabiać carską kolekcję na Kremlu. Ale mnie interesowało raczej malarstwo.

Wszystkie obrazy były pędzla gospodarza, nie miałem co do tego wątpliwości, były wyraźnie, czytelnie podpisane. Gospodarz, widząc że oglądam obrazy i zatrzymuję się koło niektórych dłużej, zbliżył się do mnie, podał mi kieliszek wina i spytał:

— Interesuje się pan malarstwem?

— Tak. Moja nieżyjąca żona była malarką. A w ogóle malarstwo zawsze mnie fascynowało.

Była to odpowiedź zdawkowa, a więc nie całkiem szczerą, gdyż malarstwo było dla mnie zawsze czymś więcej niż fascynacją. Było potrzebą, pokarmem dla moich zmysłów i wyobraźni, niezbędnym do życia, być może bardziej niż literatura i muzyka. Gdybym to nawet chciał powiedzieć — to i tak wymagałoby dłuższej rozmowy, powiedzenia czegoś o sobie i ludziach mi bliskich. A ja, mimo wszystko, jestem człowiekiem zachodu i nie umiem tak szybko skracać dystansu, jak ludzie wschodu. W czasie gdy żona gospodarza wyjmowała z szafek dzbanuszkę, filiżanki, figurki, i obracając je delikatnie w palcach wskazywała jakieś kunsztowne szczegóły ich kształtów i ozdób — my kończyliśmy okrażanie pokoju i oglądanie obrazów. Nie potrafiłem sformułować żadnej, nawet zdawkowej myśli. Obrazy wydawały mi się poprawnie namalowane. Zaledwie. Nic więcej. Przedstawiały sceny zbiorowe, krajobrazy, było kilka portretów i martwych natur. Grupy żniwiarzy. Mężczyźni ostrzyli kosy, kobiety trzymały w rękach sierpy, jedna poprawiała chustkę, druga ocierała grzbietem dłoni pot z czoła, ale uśmiechała się. Na którymś z obrazów widać było płaski krajobraz obrzeżony na horyzoncie niebieskimi górami. Rozległe pole podzielone było skośnię na dwie nierówne części: żółte ściernisko i brązową podorywkę. Na styku tych dwóch części dymił mały, czarny, ciągnący za sobą pług traktor, który był sprawcą tej zmiany koloru. I to był chyba obraz najlepszy z wiszących w jadalni. Ale wszystkim pozostałym obrazom brakowało czegoś — jak w tych kolorowych, caostronicowych reklamach w zagranicznych pismach, w których jest na pozór wszystko, czego wymaga reklama: są powabne kobiety, wytwornie ubrane lub rozneglizowane, mężczyźni o delikatnej urodzie synów milionerów lub surowym wyglądzie trampów z Dzikiego Zachodu. Ubrani są we fraki albo postrzępione kowbojskie stroje i marynarskie bluzy. Trzymają w rękach strzelby, wiosła, lejce. Towarzyszą im konie i psy. Dzieje się to na tle piasków pustyni, zielonych łąk, lasów, morza, skał w luksusowych wnętrzach, w świetle kinkietów, w blaskach zachodzącego lub wschodzącego słońca. Ale tym scenom reklamowym brakuje czegoś najważniejszego. Czego? Jakby to powiedzieć? Sensu ich zaistnienia akurat w tym miejscu i chwili. Ludzie, mimo że witają się ze sobą, uśmiechają do siebie, częstują się papierosami i koniakiem — są bardziej sobie obcy, niż przechodnie na ulicy.

Wydaje się ich nic nie łączyć, nawet przedmiot reklamy, butelka koniaku czy paczka papierosów. Coś takiego było właśnie w obrazach, na które teraz patrzyłem. Były reklamą, która ma przemawiać do wszystkich — ale nie przemawia do nikogo. Chcąc coś wyrazić — nie wyraża niczego. Przyszła mi jeszcze do głowy dziwna myśl, że reklamy w zachodnich czasopismach i malarstwo, które uprawiał Z. łączy to, że jedno i drugie są bardzo kosztowne, a zysk propagandowy z nich jest wątpliwy. Chyba, że w obu wypadkach nie o zysk chodzi. Ale w takim razie o co?

Obszedłszy pokój, zatrzymaliśmy się przy obrazie, od którego zaczęliśmy wędrówkę. Nie wiedziałem, co powiedzieć, ale gospodarz wybawił mnie z kłopotu:

— Jeśli pan interesuje się malarstwem, pokażę panu inne obrazy, dobrze?

— Z wielką przyjemnością.

Starłem się, aby gospodarz nie wyczuł w moim głosie fałszywego entuzjazmu. Zresztą nie wiedziałem, o co chodzi. Spodziewałem się, że zaprowadzi mnie do pracowni, która mieściła się chyba na piętrze — ale nie. Wyszliśmy na korytarz i Z. otworzył przede mną drzwi do sypialni. Był to pokój dosyć duży, ale znacznie mniejszy od jadalni, ciemny, bo okna zasłonięte były grubymi kotarami. Gospodarz zapalił górne światła, zrobił to na dwie raty, dzięki czemu zobaczyłem najpierw to, co było w dole — dywany, meble, szerokie małżeńskie łóżko, a dopiero potem, w pełnym świetle — obrazy. Wisiały rzędem, wysoko, niemal pod sufitem, ale był to całkiem inny świat sztuki. Ale jednocześnie — to dziwne — te obrazy były mi znacznie bliższe od tamtych, oglądanych przed chwilą w jadalni. Oto dwa portrety kobiece. Dwie różne, inne kobiety patrzyły na mnie, tylko na mnie. Ze swoją chwilowością istnienia, przelotnym uśmiechem, dziwnym skrętem szyi, niewygodnym, jakby przypadkowym układem rąk, były zjawiskiem niezwykłym, przykuwającym oczy, zmuszającym do patrzenia. Jakby malarz, wskazując na mnie palcem, powiedział: to są obrazy, które namalowałem właśnie dla ciebie.

— No, jak się panu podobają te obrazy? — w słowach gospodarza zabrzmiała ledwo wyczuwalna nutka ironii.

Należało coś powiedzieć, i to bez długiego zastanawiania się, po prostu: podobają mi się, czy nie. Myślałem więc rozpaczliwymi skrótami: ta świetlistość kolorów jak z renesansu — ale duch już kubizmu, a nawet surrealizmu. Wykrój oczu jakby trochę bizantyjski, nie, raczej grecki, ale z Grecji do Italii blisko, do Hiszpanii i Francji też niedaleko. Obrazy nie były podpisane. Spytałem niepewnie:

— Modigliani, wczesny Picasso?

Gospodarz milczał chwilę uśmiechając się, potem powiedział:

— Nie, to ja...

— Piękne!

Gospodarz nie patrzył na swoje obrazy, stał bokiem, patrzył na mnie. Miał poważny, skupiony wyraz twarzy, ściągnięte brwi, zaciśnięte usta.

— Mika, Mika! — zawołała żona gospodarza.

— Słucham?!

— Samochody podjechały, goście chcą się zegnać!

— Już idziemy!

— Z jakich lat pochodzą te obrazy?

— 1922-1925...

— Bardzo piękne — powtórzyłem.

— Wtedy byłem jeszcze artystą — gospodarz powiedział to głosem tak cichym, że prawie niesłyszalnym. A ponieważ nie było świadków naszej rozmowy, więc słowa, które usłyszałem, nie zostały jakby w ogóle powiedziane. Nie wiedziałem, jak się zachować: milczeć, czy odezwać się?

— A kim pan jest teraz?

Gospodarz wzruszył ramionami.

— Bo ja wiem? Chyba nikim.

— Jest pan przecież malarzem, który zna swoje rzemiosło. To na pewno.

— Nie, proszę pana. Malarz, który zna swoje rzemiosło, powinien być artystą. A ja artystą już nie jestem.

— Kiedy pan przestał nim być?

— Nie pamiętam. Zresztą nie stało się to z dnia na dzień...

— Mika!!

— Tak, idziemy!

To, co przed chwilą usłyszałem, było wyznaniem strasznym. Nigdy czegoś takiego z ust artysty nie słyszałem.

Towarzystwo podochocone winem było rozbawione. Ktoś kończył właśnie opowiadanie dowcipu o korzyściach, jakie daje posiadanie własnej awionetki, więc wszyscy wybuchnęli śmiechem. Potem usiedliśmy i tutejszym obyczajem zamilkliśmy na dwie minuty. Jest to bardzo mądry zwyczaj, nakazuje powagę i skupienie, pozwala przed rozstaniem jeszcze raz przyjrzeć się sobie i zapamiętać nasze twarze, bo przecież nie wiadomo, czy i kiedy się jeszcze spotkamy. Patrząc chwilę na twarz gospodyni, doznałem nagle olśnienia: to ona była jedną z kobiet na tamtych dwóch portretach. Oczywiście sprzed wielu lat. A malarz, który ją wtedy malował, był, jak sam powiedział, jeszcze artystą. Podniosłem oczy i spojrzałem jeszcze raz na obrazy wiszące w jadalni. Były wśród nich i portrety, a między nimi trzy czy

cztery młodych kobiet. Jedna z dziewcząt nawet uśmiechała się. Ale to nie był uśmiech, tylko skrzywienie ust. Z jej twarzy nie promieniowało światło, jak z tamtych dwóch, które widziałem przed chwilą w sypialni gospodarzy. Portrety tych dziewcząt były jakieś płaskie, powierzchowne, jak kolorowane zdjęcia w witrynach prowincjonalnych fotografów. Minęły te dwie czy trzy minuty. Zaczęliśmy się żegnać z gospodarzami.

Drogę nazajutrz mieliśmy przed sobą daleką, ale mnie zdażyło się jechać w towarzystwie osoby, którą znałem. Na tyle dobrze, aby móc z nią dosyć swobodnie rozmawiać, a tak się złożyło, że osoba ta znała sporo szczegółów z życia malarza Z. Jechaliśmy drogą piękną, miejscami niebezpieczną, wijącą się wśród skał i nad przepaściami. Chwilami przedstawialiśmy rozmawiać, bo z jednej strony piętrzyły się pionowe kamienne ściany, z drugiej dzieliło nas czasem pół metra od brzegu przepaści. Widzieliśmy, jak spod kół jadącego przed nami samochodu pryskają kamienie i spadają w otchłań. W takich więc chwilach przerywaliśmy rozmowę, bo jednak nie czuliśmy się zbyt pewni życia, ale to nie trwało długo. Mijaliśmy szczęśliwie skały i przepaście, droga prostowała się, przed nami otwierał się widok na łagodne, pokryte lasami stoki i na wysokie góry, ale jeszcze odległe. Nasza rozmowa mogła toczyć się dalej. Dowiedziałem się, że wybuch rewolucji październikowej zastał malarza Z. i jego bardzo wtedy młodą żonę we Francji. Nie żyli w nędzy, ale trzeba powiedzieć, że biedowali, trwała jeszcze wojna. W tamtych czasach biedowała większość młodych artystów. We Francji bytowało przecież kilkadziesiąt tysięcy malarzy! Państwo Z. przenieśli się więc na prowincję, gdzie było znacznie taniej, a okolica przypominała im trochę ojczyznę: podobne do tamtych, rodzinnych, kamienne domy, oddzielone od siebie niskimi murkami, z których zwisały się girlandy drobnych, kolorowych, odurzająco pachnących kwiatów. Poranki z pianiem kogutów, z niebem bladobłękitnym, chłodne wieczory z błyszczącym, granatowym niebem. Mogę sobie to wyobrazić. Mieszkając na prowincji, wcale nie byli odcięci od tego, co się działo w Paryżu i na świecie. Duch sztuki wydawał się wszechobecny. Jeździli zresztą na wszystkie ważniejsze wystawy. Odwiedzali ich koledzy z Paryża i ci, którzy tak jak oni mieszkali na prowincji. Oglądali nawzajem swoje obrazy. Żyli jeszcze wielcy: Monet, Bonnard, Vuillard, Matisse. Impresjonizm był już sztuką dominującą w gustach powszechnych i panującą nad rynkiem. Ci wielcy starzy mogli już mieszkać wygodnie i żyć dostatnio, doskonaląc spokojnie swoją uznaną wizję świata. Ale działali malarze, którym impresjonizm już się sprzykrzył, poszukujący nowych środków wyrazu, gdyż duch sztuki jest duchem bardzo niespokojnym. Działali młodzi fauwiści, kubiści, abstrakcyjniści, surrealiści. W ogóle były to czasy niezwykłego

pobudzenia i ożywienia myśli i uczuć, któremu towarzyszyło przekonanie, że istnieje wiele sposobów widzenia świata. Wszystkie te izmy kłębiły się głównie we Francji, także w pobliskich Niemczech i Włoszech, ale jednak głównie we Francji. Tak, wiemy to z historii sztuki. Klótnie, manifesty, skandale, nawet afery. Z. miał wtedy dobry okres, dużo malował. Przeżywał nie tak znowu częste w życiu artysty chwile, kiedy bez wielkiego mozołu znajduje się to, czego się szuka, gdy intuicja pozwala bezbłędnie wiedzieć, czego się szuka. Są to chwile, kiedy myśl pozostaje prawie beczynna, gdy wystarcza, że tylko oko kontroluje ruch ręki. Malarzowi Z. nie przeszkadzało wcale to, że dach pracowni trochę przeciekał (na szczęście w tej okolicy Francji deszcze latem rzadko padają), że na obiad jadało się byle co, chudy kawałek ryby, talerz sałaty, i popijało najtańszym winem. Że tylko od czasu do czasu ktoś — najczęściej z czyjejs cichej namowy — kupował od Z. jakiś obraz albo zamawiał portret. Wśród artystów malarz Z. uchodził za bardzo zdolnego — ale cóż, takich zdolnych we Francji było wielu. W samym Paryżu w owych czasach ludzi, którzy w prefekturze policji podawali jako zawód „artysta malarz”, żyło podobno około 20.000...

Pewnego dnia, było to w roku 1928 lub 1929, małżeństwo Z. odwiedził gość niespodziewany. Przyjechał samochodem, przemówił po rosyjsku, wszedł i postawił na stole butelkę czerwonego, krymskiego wina. Z., który siedział na ławce w ogrodzie i malował, nie bardzo chciał z przybyłym rozmawiać, wrócił jednak do domu, jak się dowiedział, że gość chce kupić obraz. Był to urzędnik ambasady, przedstawił się jako początkujący kolekcjoner obrazów, zarabiający niewiele, i dlatego nie mogliby wiele zapłacić. Ale jakoś się dogadali. Wypili butelkę wina, które miało błyszczącą czarno-czerwono-złotą etykietę i było bardzo dobre. Gość rozglądał się po pracowni, mówił, że tak właśnie wyobrażał sobie życie artystów, którzy myślą tylko o sztuce, nie dbając o pieniądze. Tak się to zaczęło. Osoba która mi to opowiada sądzi, że jednak głównym motorem powrotu do Rosji była żona Z. To bardzo prawdopodobne. Mogła już być zmęczona wojną, biedą, prymitywnym życiem, noszeniem wody ze studni, chodzeniem po zakupy, gotowaniem, zmywaniem. Poza tym — była jeszcze młoda, chciała się podobać, chciała się dobrze ubrać, bywać w teatrze i na koncertach. Nęcenie do powrotu odbywało się na raty, trwało chyba parę miesięcy, między wizytami były jak sądzę kilkutygodniowe przerwy, krótsze lub dłuższe, wskutek czego Z. nie odczuwał żadnego nacisku i miał dosyć czasu na myślenie i narady z kolegami i znajomymi. Większość z nich odradzała powrót do Rosji, a niektórzy pukali się nawet w czoło. Wizyty gościa z ambasady powtarzały się w nieregularnych odstępach czasu, potem kiedyś przyjechał nawet sam konsul.

Na razie jednak w rozmowach z gośćmi nie było mowy o powrocie. Och, tylko czasem, ale to Z. miewał i dawniej, choć ostatnio jakby częściej (być może pod wpływem jakichś słówek niechący rzucanych: ładnie tu, ale u nas silniej pachną kwiaty, głośniejsze śpiewają ptaki, niebo ma piękniejszy, głębszy kolor, u nas to, u nas tamto) — coraz głośniejsze w malarzu Z. odzywała się tęsknota za krajem, z którego pochodził. Były to zrazu ulotne wspomnienia, krótkie błyski światła, strużki zapachów, bełkot czystej, zimnej wody w potoku. Jakies obrazy z wczesnego dzieciństwa, te były najsilniejsze: konie z rozwianymi grzywami na zielonym pastwisku, trzask a potem smak rozkrojonego arbuza w upalne południe. Słychać dźwięki fortepianu, wiatr porusza firanką, w ogrodzie ojciec w białym ubraniu i słomkowym kapeluszu siedzi na wiklinowym fotelu, pali fajkę, pasemka niebieskiego dymu unoszą się nad jego głową. Ale koniec końców chyba nie te wspomnienia i nie zachęty żony miały ostateczny wpływ na decyzję powrotu. Stało się coś okropnego: Z. zaczął być obiektem bojkotu towarzyskiego ze strony środowiska malarzy. Byli wśród nich nie tylko Rosjanie, ale i Ukraińcy, Ormianie, Gruzini, przyczynili się do bojkotu i Polacy, którzy mieli już własne państwo, więc co im mogło na tym zależeć? Wizyty z ambasady, zakupy obrazów, butelki czerwonego krymskiego nie mogły zostać przez środowisko nie zauważone. Ale sądzą, że i ambasada postarała się dyskretnie o to, aby rzecz nabrała rozgłosu. Zrazu nieufność, niechęć, unikanie malarza Z. przerodziły się po pewnym czasie w otwarty bojkot. Z. został okrzyknięty oportunistą, czy nawet komunistą, już nie wiadomo co gorsze, choć w jego naturze nie było nic z konformisty, a z przekonania politycznych nie był nawet socjalistą. Środowisko nie chciało mieć go w swoim gronie. Ale świat był szeroki. Z. mógł być wyjechać dokąd chciał — do Niemiec, Szwajcarii, do Ameryki, Australii. Był jednak bardzo do Francji przywiązany, Francja była jego drugą ojczyzną. Wizyty gości z ambasady na jakiś czas ustały i Z. cieszył się z tego. Miał nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży, że po pewnym czasie odzyska pozycję i przyjaciół.

Aż tu pewnego razu zjawia się sam konsul, tym razem bez butelki wina i z miną trochę urzędową. Wyjmuje z teczki list w podłużnej kopercie i z poważnym, ale zakłopotanym wyrazem twarzy, jakby chciał powiedzieć: no i co ja mam z tym zrobić? — wręcza ją malarzowi Z. Z. przeprosił gościa, wyjął list z koperty i przeczytał, Akademia, nie znając miejsca pobytu artysty malarza Z., prosi ambasadę o odszukanie go i doręczenie listu. Nadawcy chodzi mianowicie o nawiązanie kontaktu z artystą malarzem Z. i zaproponowanie mu objęcia katedry malarstwa na akademii. List podpisany był przez kolegę Z., teraz profesora. Studiowali razem w Petersburgu i w École de Beaux Arts w

Paryżu. Kolega ten był o dwa czy trzy lata od Z. starszy i tuż przed wybuchem wojny wrócił do Rosji. Z. spytał konsula, co jego zdaniem powinien z tym listem zrobić? Konsul rozłożył bezradnie ręce i powiedział, że jego zdaniem na listy odpowiadać wypada. Przez ambasadę? Ach, nie, raczej wprost. Adres jest chyba podany na kopercie? To jest przecież sprawa osobista i nie wymaga żadnego pośrednictwa. Konsul wychodząc rzucił jeszcze raz okiem na wnętrze mieszkania malarza Z. i powiedział, że pensje w Rosji (tak nazwał Związek Sowiecki) nie są jeszcze zbyt wysokie, ale — dodał z uśmiechem — mieszkanie i pracownia, jeśli państwo Z. zdecydują się na powrót, na pewno będą miały trochę wyższy standard...

Jakoś chyba pod koniec roku 1929 lub na początku 1930 malarz Z. wraz z żoną znaleźli się w kraju, który on opuścił przed około dwudziestu laty. (Ona, jako młoda dziewczyna, wyjechała stamtąd z rodzicami tuż przed wojną). Nie ma sensu mówić o tym, co się od tego czasu zmieniło, a co pozostało takie, jakie było. Z. czuł się raz tak, jakby rozstał się z krajem przed kilkoma dniami, a kiedy indziej — przed kilkudziesięciu laty. Mieszkanie zastali już przygotowane, to samo domostwo, które zajmują do dziś dnia. Z. przez długi czas zajęty był urzędowaniem w mieszkaniu, organizowaniem pracowni na akademii i poznawaniem środowiska, i nie wyczuwał delikatnych z początku nacisków ograniczających jego ruchy, działanie, a nawet myślenie. Ten proces rozłożony został na miesiące, nawet lata.

Samochód zaczął gwałtownie hamować, wjechaliśmy w zakręty między skałami i nad przepaściami. Było to znów trochę denerwujące, ale trwało tym razem krótko. Moją rozmówczyni nie bardzo wie, na czym polegał mechanizm wdrażania socrealizmu w malarstwie. Ale ja wiem, jak było u nas, więc mogę to sobie dosyć łatwo wyobrazić. Z tym, że u nas trwało to krócej i miało gwałtowniejszy przebieg, bo trzeba było nadążyć za tym, co u nich się już dawno dokonało. Nie wchodzimy więc w szczegóły. Dość na tym, że po pewnym czasie malarz Z. poczuł się tak skutecznie osaczony ze wszystkich stron, że nawet to co malował sam dla siebie („Sam dla siebie” — co to znaczy? Żeby schować za szafę?) — zaczął malować jakby sam przeciwko sobie. Coraz częściej miewał chwile, w których zadawał sobie pytanie, którego artysta nie powinien sobie zadawać nigdy: czy istnieją jakieś sposoby, które, nie rezygnując z tego, co potocznie nazywamy artyzmem, pozwoliłyby przystosować malarstwo do wymogów polityki? I to był początek degrengolady w jego malarstwie. Na jego obrazach zaczęły się pojawiać i rozrastać puste pola, jakby je ogarniała jakaś skórna choroba, rodzaj martwicy, którą Z. daremnie starał się uzdrawiać i ożywiać, przemalowując, zeszkrobując, czasem nawet niszcząc płótna. Szamotał się sam ze sobą —

bo artysta pomocy znikąd spodziewać się nie może. Zaczął nawet trochę chorować, miewał często bóle serca. Ale lekarz, do którego się udał, wyśmiał go. Powiedział, że serce nie może boleć, bo nie jest unerwione. Że to po prostu histeria. Zapisał jakieś proszki (nazajutrz po tych proszkach, zażywanych przed snem, Z. czuł się tak, jakby go wypatroszono, napchano sianem i z powrotem zaszyto — był doskonale nieczuły i otepiały). A gdyby bóle w okolicy serca powtarzały się, zaaplikował dwa, trzy razy dziennie kieliszek dobrego koniaku. Z. pił teraz w ogóle, już przed wizytą u lekarza, o wiele więcej i znacznie silniejsze trunki, niż we Francji. Po pewnym czasie serce Z. uspokoiło się. Zresztą, niby człowiek ranny w piersi, aby nie cierpieć, oddychał teraz tylko na pół oddechu. A w tym co robił, aby uniknąć cierpienia, nauczył się kompromisu. Być może, że na początku było w tym coś z udawania i były jakieś stany nerwicowe — ale skończyło się po prostu tym, czego od niego oczekiwano: jego obrazy stały się płaskie (nie w sensie faktury ani perspektywy, ale treści). Były teraz puste, pozbawione tego niespokojnego piękna i dziwności, które są istotą sztuki prawdziwej. Co ja mówię: sztuki prawdziwej? Nie ma przecież sztuki nieprawdziwej! Więc po pewnym czasie Z. doszedł do tego, że zaczął uprawiać coś, co podobne było do lakierowania drzwi i okien. Jeśli nie było całkiem tym samym, to tylko dlatego, że Z. uprawiał wciąż malarstwo sztalugowe. W roku 1936 i 1937 zapanował terror. Stalin rozprawiał się ze swoimi jawnymi, skrytymi, a w końcu urojonymi przeciwnikami. Aresztowano miliony ludzi, setki tysięcy wyprawiano na tamten świat, w najlepszym razie do łagrów. Z. był chyba naiwnym fantastą w sprawach politycznych, bo ogarnięty paniką, ale pamiętający ostatnią rozmowę w ambasadzie w Paryżu, gdzie go zapewniano, że w każdej chwili, kiedy tylko zechce, będzie mógł do Francji wrócić — udał się do wydziału paszportowego, aby złożyć wniosek na wyjazd wraz z żoną do Francji. Z. mógł się wtedy przekonać, że jego prawa obywatelskie są statusem więźnia. Funkcjonariusz, który go przyjął, wyraził zdumienie, że profesor akademii akurat w takiej chwili myśli o opuszczeniu kraju. Zwrócił mu papiery z prywatną radą, że lepiej będzie, jeśli nie pozostanie po nich w tym urzędzie żaden ślad. Z. nie był całkiem pewien, ale chyba siostrzenica żony tego funkcjonariusza starała się o przyjęcie na akademię. Z. nie ponawiał już potem nigdy prób uzyskania paszportu. Zresztą w Europie zaczęło być niespokojnie. A w kraju aresztowania rozszerzały się, rozlewały, ogarniały najdalsze zakątki kraju. (Represje nie ominęły także rodziny Z., na szczęście dalszej). Raz wydawać się mogło, że wszyscy aresztowani należą do jakiegoś wielkiego spisku — potem znów, że nie łączy ich ze sobą nic, żadna zмова, żadne wspólne działania, a nawet poglądy. Że

to wszystko jest jakąś okropną komedią pomyłek, które zostaną wkrótce wyjaśnione. Z. jednak nie bardzo wierzył w niewinność aresztowanych. Coś tam na rzeczy być musiało, czasem powody błahe, nawet śmieszne, ale coś zawsze było. Jakiś nieostrożny list, powiedzenie, słowo, dowcip. Niebawem zaczęły się procesy i okazało się, że wszystkich oskarżonych łączy udział w jednej, wielkiej zbrodni przeciwko państwu, partii, socjalizmowi, a wielu z nich działało na zlecenie zagranicznych ośrodków szpiegowskich. Większość oskarżonych przyznawała się do winy, bili się w piersi, prosili o najwyższy wymiar kary. Tylko bardzo nieliczni usiłowali bronić swoich przekonań. Z. przestał czytać gazety. Ale inni czytali i opowiadali. Była to jedna, gigantyczna powieść sensacyjno-szpiegowsko-kryminalna w odcinkach. Niektórzy pasjonowali się tym. Z. i jego żona przycupnęli w domu, w którym było cicho, spokojnie, dostatnio. Rok akademicki jeszcze się nie rozpoczął. Z. mógł trochę malować i w jakimś niejasnym nastroju oczekiwania na coś, nawet jakby w przeczuciu czegoś, co się zdarzy, zaczął podobno malować śmieje, w co zresztą nie bardzo wierzę. Może się mylę, ale sądzę, że szkody, jakie powstały w jego osobowości twórczej, były już nie do naprawienia. Przynajmniej w tym ustroju, w którym Z. teraz żył. A w dodatku Z. nie był już człowiekiem młodym.

Wkrótce w Europie wybuchła wojna, Niemcy najechały Polskę, armie sowieckie poszły na zachód i zajęły jej część. A półtora roku później Niemcy napadły na Rosję i rozpoczęła się wojna długa i krwawa, której towarzyszyło wszystko to, co każda wojna ze sobą niesie: śmierć, głód, poniewierka, masowe ruchy przemieszczające, ewakuacje, i to w wymiarach odpowiadających wielkości imperium i rozmiarom niedołęstwa i bałaganu administracyjnego. Z. i jego żona przeżyli tę wojnę lepiej niż wielu innych. On był już za stary — przekroczył pięćdziesiątkę — aby iść na wojnę, miewał tylko dyżury w obronie przeciwlotniczej. Poza tym miał wiele pracy na akademii, gdzie wraz z uczniami projektował mnóstwo ilustracji i afiszy propagandowych. Z. uważał tę wojnę za wojnę sprawiedliwą, więc robił to z przekonania i najlepiej jak umiał. Ale potem nadeszły lata, które w sztuce dobrze pamiętamy. I ostatnie przed śmiercią Stalina paroksyzmy tyranii. Z. malował coraz mniej. Zdawał sobie sprawę, że z jego obrazów uszła już dusza. Oczywiście, nie stało się to nagle z dnia na dzień. Jego malarstwo umierało powoli, na przestrzeni wielu lat, śmiercią starego, chorego człowieka. I doszło wreszcie do tego, że Z. nie potrafił namalować obrazu nawet poprawnie, choć zapewne nie przestał wiedzieć, czym obraz być powinien. Później miewał możliwości wyjazdu za granicę, nawet do Francji, ale nie skorzystał z nich. Nie powiedziano mi dlaczego, ale myślę, że wiem: ze strachu. Z. bał się konfrontacji swojego malarstwa z tym,

co się dokonało w sztuce na zachodzie. I z tym, co robili jego dawni przyjaciele.

Rozmowa na temat malarza Z. była w istocie znacznie krótsza niż to, co napisałem. Pozwoliłem ją sobie rozszerzyć, gdyż osoba w którą rozmawiałem wiedziała wprawdzie dosyć dużo o malarzu Z., ale chyba niewiele o malarstwie. Nie zdawała sobie zapewne sprawy z tego, jak delikatną materią jest sztuka, jak łatwo ją uszkodzić, a nawet uśmiercić.

— Ale żyje jak udzielny książę. W dobrobycie, otoczony zbytkiem, pięknymi przedmiotami. To też coś w życiu warte... — powiedziałem po chwili.

— Przecież to wszystko nie jego! Nie domyśla się pan?

— Jak to nie jego?

— Obrazy — tak. Obrazy przez niego malowane są jego własnością. Ale cała reszta — dom, meble, dywany, srebro, porcelana — nie. On po prostu mieszka w muzeum. Rozumie pan?

Próbowałem sobie wyobrazić, jak bym się czuł, mieszkając całe długie lata wśród przedmiotów, o których wiedziałbym, że nie są i nigdy nie będą moją własnością. W końcu chyba bym się przyzwyczył. W czasie studiów przecież mieszkalem wiele lat poza domem, w obcych pokojach. Potem (nie licząc więzienia i obozu) zdarzyło mi się przemieszkować w pokojach hotelowych albo w wynajętych, cudzych domach. Czułem się w nich różnie, pracowało mi się i myślało gorzej lub lepiej, ale nie traciłem nigdy poczucia własnej osobowości. Nie głupiałem ani nie mądrzałem w jakiś specjalnie odczuwalny dla mnie i widoczny dla otoczenia sposób. Co innego jednak, gdybym musiał żyć w tych nieswoich miejscach i jeszcze pracować pod przymusem. Robić coś, do czego nie byłbym przekonany. Nie umiem pracować na zamówienie, a cóż dopiero pod przymusem! Ilekroć mi się coś takiego zdarzało, czułem, że opuszczają mnie wszystkie siły, przestaje mi funkcjonować pamięć i wyobraźnia, pustoszeję wewnątrz, odmawia mi posłuszeństwa nawet język, którego używam na co dzień i w którym piszę. Mogę liczyć tylko na umiejętność składania prostych zdań i znajomość ortografii, nabyte w szkole podstawowej. Z największym więc trudem, z głową jak pusty garnek, rozglądając się wkoło siebie, daremnie szukając ratunku i natchnienia w widoku drzew za oknem — stać mnie tylko na napisanie jakiegoś najprostszego zdania, na przykład: „Jest piękny słoneczny poranek letni”. Ale co dalej? I co miało być przed tym i co ma być potem? I w ogóle po co to napisałem? Przecież przede mną dokładnie takie samo zdanie zostało już napisane sto tysięcy razy!

— Zdaje mi się, że pod przymusem powstawać mogą tylko rzeczy, oparte w najlepszym razie o to, co już dawno zostało

zrobione — powiedziałem trochę bez związku z tym, o czym mówiliśmy kwadrans temu, więc pomyślałem, że moja rozmówczyni nie będzie wiedziała, o co mi chodzi. Ale nie doceniłem jej. Po chwili odpowiedziała:

— Ma pan rację.

Góry i przepaście oddaliły się od drogi, krajobraz otworzył się. Jechaliśmy teraz wśród łąk usianych tu i ówdzie szarymi głazami i kępami niskich, żywo zielonych drzew. Z lewej strony, w drgającym powietrzu, majaczyły gdzieś daleko jeszcze zarysy wsi czy miasteczka.

— A co będzie z jego żoną, kiedy on umrze? Jest przecież znacznie od niego młodsza.

— Nie wiem. Może zostanie kustoszem. A jak ktoś inny tam zamieszka, to przydzielą jej mieszkanie w nowym budownictwie. Pokój z kuchnią, a może nawet dwa pokoje?

Osiedle z lewej strony zbliżało się, rosło w oczach. Wiedziałem, że to nie jest jeszcze cel naszej podróży, ale wpatrywałem się w krajobraz z tą nieco sztuczną, czasem bezradną ciekawością, której niechcący podlegamy, zwiedzając obce kraje. Widok miasteczka rozwijał się i zmieniał, opadał i podnosił, przesuwiał z jednej strony drogi na drugą. Miasteczko składało się z dwóch jakby zupełnie nie mających ze sobą związku części. Nie było między nimi żadnego przejścia, żadnego pokrewieństwa: trzy białe, wysokie, wielopiętrowe drapacze chmur, osłonięte z jednej strony rzędem smukłych, obcych w tym krajobrazie włoskich topoli — w bliskim sąsiedztwie gromady parterowych lub jednopiętrowych domów wśród niskich drzew o koronach szerokich, pewnie oliwek, fig i orzechów. Domy kryjące się w cieniu niskich drzew były pradawne. Były mocno zrośnięte z ziemią i przyrodą, powstały z niej. A te wielkie gmachy wydawały się zjawiskiem nie z tego świata, jakby przeniesione skądś i ustawione tu na siłę. A raczej na próbę.

To o czym myślałem, patrząc na przybliżające się osiedle, nie miało nic wspólnego ani ze sztuką, ani z historią, a tym bardziej z polityką. Polegało tylko na patrzeniu i widzeniu porcji, wysokości i odległości.

Kornel FILIPOWICZ

Wiersze

Zbigniew HERBERT

SMIERĆ LWA

1

Wielkimi susami
przez nieobjęte pole
pod niebem nawistym
grudniowymi chmurami
z jasnej polany
do ciemnego boru
ucieka Lew

za nim gesta
tyraliera myśliwych

wielkimi susami
z rozwianą brodą
twarzą natchnioną
w ogniach gniewu
ucieka Lew
do lasu na horyzoncie

za nim
Boże pomituj

idzie zajadła
nagonka
idzie nagonka
na Lwa

na przodzie
Zofia Andrejewa
cała mokra
po rannym samobójstwie
wabi nawołuje
— Lowoczka —
głosem który mógłby
skruszyć kamienie

za nią
synowie córki
dworscy przybłądy
stójkowi popi
emancypantki
umiarkowani anarchiści
chrześcijanie alfabetci
tolstojowcy
Kozacy
i wszelaka śwotocz

baby piszcza
chłopi pohukują
piekło

2

final
na małej stacji Astapowo
drewnianej kołatki
przy żelaznej drodze

miłosierny kolejarz
potożył Lwa do tóżka

teraz jest już bezpieczny

nad małą stacją
zapaliły się światła historii

Lew zamknął oczy
nie ciekaw świata

tylko zuchwały
pop Pimen

który ślubował
zawlec duszę Lwa
do raju
pochyła się nad Lwem
i przekrzykując
chrapliwy oddech
straszne odgłosy w piersi
chyttrze pyta
— A co teraz —

— trzeba uciekać —
mówi Lew

i jeszcze raz powtarza
— trzeba uciekać —

— dokąd — mówi Pimen
— dokąd duszo chrześcijańska —

Lew zamilkł
schronił się w cień wiekuisty
wiekuiste milczenie

nikt nie zrozumiał prorocstwa
jakby nie znano słów Pisma

„powstanie naród przeciw narodowi
i królestwo przeciw królestwu
jedni polegą od miecza
a drugich zapędzą w niewolę
między wszystkie narody
bo będzie to czas pomsty
aby spełniło się wszystko
co jest napisane”

oto nadchodzi czas
opuszczenia domów
błądzenia w dżungli
szalonej żeglugi
krążenia w ciemnościach
czołgania w prochu

czas ściganego
czas Wielkiej Bestii

Zbigniew HERBERT

Jan DAROWSKI

NIE MÓW ŻE JA!

Kto wyjadł miód ze stoika?

Miś chyba —
sama mamó mówiłaś
że misie miód jedzą

Kto otworzył kanarkowi klatkę?
Kto gałąź bzu złamał?
Kto brzytwą ojca ostrzył swój ołówek?
Kto z procy strzelał w słoneczniki?

Nie mów że ja!

I nie patrz tak
raz na księżyc raz na mnie

Ja go nie nadgryzłem
1975

GRACJE

W ciemnym cieniu bezlistnej akacji
wśród suchych strączków i odcisków racie
przy studni z odwróconym dnem
umarte leżą Gracje

Młodość pierwsza wyzionęła ducha
gdyż takie jej prawo

Po niej zgasła Jasność
bo przeminęli ludzie Oświecenia
i nikt jej nie podniósł

Radość żyła najdłużej
potrafiąc cieszyć się z najmniejszych rzeczy
nawet z kopulacji much
i wycisnąć z dna wyszłego
jeszcze parę kropel

szczęścia obłąkanych

1983

Jan DAROWSKI

Rozdział 21

POWSZECHNY KRYZYS

Komunizm jest dziś w stanie powszechnego kryzysu, zarówno w sensie ideologii jak systemu. Rozmiary tego kryzysu dostrzec można ze znaczną wyrazistością w świetle pięciu ważnych procesów:

1. W oczach komunistów na całym świecie doświadczenia sowieckie — już nie przedmiot kultu — nie powinny być odtąd naśladowane, lecz unikane. Tak więc komunizm nie ma obecnie praktycznego wzoru, który mogliby naśladować inni.
 2. W Związku Sowieckim nierozwiązalny dylemat ustroju komunistycznego polega na tym, że rozwój gospodarczy można kupić tylko za cenę stabilności politycznej, podczas gdy stabilność polityczną można utrzymać jedynie kosztem klęski gospodarczej.
 3. W Europie Wschodniej zgonną wadą komunizmu jest partyjny monopol władzy, którego korzenie tkwią w dominacji sowieckiej. Dziś, po czterdziestu latach od narzucenia komunizmu, eliminacja zarówno obcej, jak i partyjnej dominacji jest powszechnie uważana za konieczny warunek wstępny odrodzenia społecznego.
 4. W Chinach ideologiczne rozmycie komunizmu będzie ceną sukcesów gospodarczych. Chiny współczesne wejdą być może w dwudziesty pierwszy wiek jeszcze pod rządami komunizmu, ale nie będą to Chiny skomunizowane.
 5. Era monolitycznego ruchu komunistycznego na świecie, budowanego wokół wspólnego wyznania wiary, należy do przeszłości. W połowie lat osiemdziesiątych nadszedł kres idei ruchu partii komunistycznych zjednoczonych w doktrynie i działaniu.
- Razem wzięte, wszystko to nie tylko oznacza powszechny kryzys komunizmu, lecz także zwiastuje jego zmiękanie jako liczącej się, politycznej i ideologicznej siły we współczesnym świecie. Kryzys ten znajduje obecnie odbicie w nasilających się niepokojach społecznych, spowodowanych kiepskimi efektami gospodarki w państwach komunistycznych, a także w utracie zaufania do samej doktryny przez komunistyczne elity rządzące. W krajach komunistycznych pogląd, że socjalizm reprezentuje jakiś doskonalszy ustrój społeczny, jest już albo całkowicie zdyskredyto-

Archiwum polityczne**Agonia komunizmu ***

Fenomen komunizmu ma cechy dziejowego dramatu. Zrodzony z niecierpliwego idealizmu, który odrzucał niesprawiedliwość dawnego ładu, komunizm pragnął lepszego, bardziej humanitarnego społeczeństwa — lecz zrodził masowy ucisk. Był odbiciem optymistycznej wiary w potęgę rozumu władną zbudować społeczeństwo doskonałe. Mobilizował uczucia najpotężniejsze: umiłowanie ludzkości i nienawiść wobec ucisku w imię moralnie uzasadnionej inżynierii społecznej. Podbił niektóre najznakomitsze umysły i niektóre najbardziej ideowe serca — a przecież spowodował niektóre z najgorszych zbrodni tego, czy jakiegokolwiek innego stulecia.

Nadto komunizm reprezentował niefortunną próbę poddania spraw społecznych całkowitej racjonalizacji. Zakładał, że piśmiennicze, politycznie świadome społeczeństwo może podjąć się kontrolowania rozwoju społecznego, kierując przemiany socjoekonomiczne ku z góry założonym celom. Historia nie byłaby już zatem wyłącznie spontanicznym, w dużej mierze przypadkowym procesem, lecz narzędziem zbiorowej inteligencji i moralnych celów ludzkości. W ten sposób komunizm pragnął, poprzez zorganizowane działanie, harmonijnie połączyć polityczny racjonalizm z moralnością społeczną.

Jednakże w praktyce nadmierna wiara w ludzki rozum, skłonność cechująca zacięte walki o władzę do przekształcania dyskusyjnych ocen historycznych w dogmatyczne pewniki, łatwość, z jaką krzywda moralna wyradza się w pewną swej racji nienawiść polityczną, a zwłaszcza leninowskie łączenie marksizmu z zacofaną autokratyczną tradycją Rosji — wszystko to przekształciło komunizm w narzędzie ucisku politycznego, rażąco sprzecznego z jego własnymi pobudkami moralnymi.

* Fragmenty z książki *The Grand Failure*, Macmillan Publ. Co., N.Y. 1989, które tłumaczenie ukazuje się w Bibliotece „Kultury”.

wany, albo traktowany z coraz większym sceptycyzmem. Ponadto komunizm światowy nie może już wskazać żadnego modelu społecznego, który posłużyłby jako drogowskaz na przyszłość.

Klasyczna marksistowsko-leninowska definicja „powszechnego kryzysu kapitalizmu” — który, jak proklamował Kreml w 1961 roku, już się rozpoczął — doskonale pasuje do obecnej sytuacji komunizmu. Jeśli w tej proklamacji wstawić słowo „komunizm” lub jakąś wzmiankę o Związku Sowieckim w miejsce „imperializmu” czy „kapitalizmu”, a termin „demokracja wolnorynkowa” zamiast „socjalizmu”, wyłoni się miazdząco wierny obraz współczesnego komunizmu:

Komunizm w obecnym stadium rozwoju jest imperializmem sowieckim w okresie jego upadku i bankructwa. Nieunikniony proces rozkładu ogarnął komunizm od góry do dołu, wraz z jego ekonomiczną i państwową strukturą oraz jego polityką i ideologią...

Powszechny kryzys komunizmu znajduje wyraz w następujących faktach: ciągłe odstępstwa nowych krajów od modelu sowieckiego; osłabienie pozycji krajów komunistycznych we współzawodnictwie gospodarczym z rozwiniętymi krajami demokracji wolnorynkowej; rozpad bloku sowieckiego; pogłębienie się sprzeczności między komunizmem a rozwojem socjalizmu państwowo-monopolistycznego i wzrostem militaryzmu; rosnąca destabilizacja wewnętrzna i rozkład komunistycznej gospodarki, widoczny w coraz większej niezdolności komunizmu do pełnego wykorzystania sił wytwórczych — niskie tempo wzrostu produkcji, cykliczne kryzysy, stała nieumiejętność pełnego wykorzystania mocy produkcyjnych, chronicznie niepełne zatrudnienie; bezprecedensowy wzrost reakcji politycznej na wszystkich frontach; ustanowienie w pewnych krajach komunistycznych tyranii jednostek i głęboki kryzys komunistycznej polityki i ideologii.

Jakkolwiek ta definicja, ubrana w terminologię marksistowską, lapidarnie charakteryzuje powszechny kryzys komunizmu, to jednak rozmiary i natężenie tego kryzysu są różne w różnych krajach. Załączona tabelka zawiera przybliżoną — i, przynajmniej opartą na subiektywnych ocenach — ocenę natężenia kryzysu w poszczególnych krajach komunistycznych. Dla komunizmu sukces polityczny równa się skutecznej kontroli, a im mniej trzeba przymusu, aby narzucić i utrzymać pełną kontrolę, tym większy ów sukces. Wobec tego, jeśli nawet nie wszystkie z tych kategorii mają jednakowe znaczenie, wysoka łączna punktacja oznaczałaby, że nie zdołano osiągnąć skutecznie funkcjonującej leninowskiej struktury politycznej, nadać nowego kształtu społeczeństwu i stworzyć wydajnej centralnie planowanej gospodarki.

WSKAŹNIKI NATĘŻENIA KRYZYSU W PAŃSTWACH
KOMUNISTYCZNYCH

	ZSSR	Chiny	Niemcy Wschodnie	Polska	Czechosłowacja	Węgry	Rumunia	Bułgaria	Jugosławia	Wietnam	Kuba	Korea Północna	Angola	Mozambik	Etiopia
Socjalizm przestał być atrakcyjny dla mas	1	2	1	3	2	3	3	1	2	2	3	1	3	3	3
Społeczeństwo pesymistyczne co do przyszłości	2	0	1	3	2	3	3	1	2	2	3	2	3	3	3
Spadek stopy życiowej	2	0	1	3	2	2	3	1	3	3	3	2	3	3	3
Przygnębienie w partii komunistycznej	2	0	0	3	2	2	3	1	2	1	1	0	1	3	1
Wzrost praktyk religijnych	1	0	0	3	1	1	0	0	1	0	1	0	0	0	1
Nacjonalizm koliduje z ideologią	1	0	1	3	2	3	2	1	3	1	1	1	2	1	2
Wzrost reprzywatacji.	1	2	1	2	1	3	0	0	2	1	0	0	1	1	0
Polityczna opozycja aktywna w społeczeństwie	1	1	1	3	1	2	0	0	2	0	0	0	3	3	2
Głośne oddolne żądania pluralizmu politycznego	2	2	0	3	1	3	1	0	3	0	1	0	2	2	2
Reżym w defensywie w dziedzinie praw człowieka	2	1	1	1	2	1	3	1	2	2	2	2	1	2	3
Razem:	15	8	7	27	16	23	18	6	22	12	15	8	19	21	20

Skala ocen:

3 = bardzo prawdziwe
2 = prawdziwe
1 = częściowo prawdziwe
0 = nieprawdziwe

Natężenie kryzysu:

poniżej 10 = nie ma kryzysu — 4 kraje
10 do 19 = kryzys — 6 krajów
powyżej 19 = poważny kryzys — 5 krajów

Z piętnastu ocenianych reżymów żaden nie uzyskał punktacji choćby zbliżonej do doskonałości, która by oznaczała kwitnący system leninowski szczerze popierany przez naród. Tylko cztery miały mniej niż dziesięć punktów, co wskazywałoby, że nie są w stanie kryzysu. Jednakże pięć uzyskało 20 albo więcej punktów, a to oznacza stan poważnego kryzysu. Co więcej, z tej stosunkowo „bardziej udanej” czwórki kraj najważniejszy, Chiny, zdołał uniknąć kryzysu dzięki rozwodnieniu na bardzo szerokim froncie swego komunizmu w praktyce. To pozwoliło reżymowi dać społeczeństwu pewną motywację, zaszczepić mu nieco optymizmu — ale za cenę rezygnacji z niektórych centralnych dogmatów doktryny komunistycznej. Pozostałe trzy reżymy — Niemcy Wschodnie, Bułgaria i Korea Północna — okazały większą skuteczność, zarówno jeśli chodzi o utrzymanie systemu represyjnego, jak i w zarządzaniu gospodarką państwową. Napotkały też mniejszy opór ze strony społeczeństwa w procesie komunistycznej przebudowy. Wszystkie inne reżymy komunistyczne znajdują się w różnych stadiach kryzysu. Ich próby stworzenia nowego systemu nie dały w efekcie żadnej nowatorskiej, wydajnej gospodarki, lecz przyczyniły się do wzrostu społecznego, a w niektórych przypadkach nawet politycznego niezadowolenia.

Tak więc, w obliczu pogłębiającego się powszechnego kryzysu komunizmu, jest rzeczą właściwą sformułować ostateczną diagnozę jego historycznych osiągnięć i prognozę perspektyw na następne stulecie.

Rozdział 22

BILANS DZIEJOWY

Powszechny kryzys komunizmu głęboko tkwi korzeniami w ubogim bilansie jego osiągnięć. To, co pierwotnie w nim pociągało, w znacznej mierze płynęło z faktu, że w początkach dwudziestego wieku liczne spośród istniejących wtedy systemów — nawet te demokratyczne — były niewrażliwe na dolegliwości i niesprawiedliwość wczesnokapitalistycznej fazy industrializacji. Jest jednak także faktem, że żaden reżym komunistyczny nigdy nie objął władzy w wyniku swobodnie wyrażonej woli ludu. Ani jedna komunistyczna elita rządząca — nawet po kilkudziesięciu latach władzy — nie okazała chęci do starań o mandat polityczny drogą zezwolenia narodowi, aby się swobodnie wypowiedział, czy nadal chce komunizmu. Ta niechęć do poddania komunizmu testowi demokracji jest częściowo wynikiem manichejskiego, samozwańczego poczucia misji, które jest elementem

doktryny marksizmu-leninizmu, częściowo zaś płynie ze świadomości, że komunizm u władzy nie zdołał zadowolić społecznych dążeń do dobrobytu materialnego i osobistego szczęścia. Do dziś nie zanotowano godnych uwagi ucieczek do kraju komunistycznego osób, które przyciągałby tamtejszy styl życia, podczas gdy pragnienie rozstania z komunizmem jest równie wyraźne w przypadku siedemdziesięcioletniego systemu sowieckiego, co czterdziestoletniego systemu w Polsce i piętnastoletniego w Wietnamie.

Ponadto, historyczne osiągnięcia komunizmu jako systemu organizacji społeczeństwa kryły w sobie bolesną dysproporcję między ogromem ofiar ludzkich, przemocą wyduszanych z narodu, a niektórymi z niezaprzeczalnych socjoekonomicznych korzyści, jakie dzięki temu uzyskano. Porównanie krajów komunistycznych i niekomunistycznych na podobnym etapie rozwoju socjoekonomicznego — jak Niemiec Wschodnich i Czechosłowacji z Niemcami Zachodnimi, Polski z Hiszpanią, Węgier z Jugosławią z Austrią i Włochami, oraz Chin z Indiami — wskazuje, że właściwie żaden reżym komunistyczny nie zdołał poprawić własnej pozycji w stosunku do swego odpowiednika pod względem dochodu narodowego brutto, konkurencji na światowych rynkach, czy wreszcie stopy życiowej w kraju. Jedyne Chiny osiągnęły przewagę nad Indiami, które same były ofiarą nadmiernie zbiurokratyzowanego i *quasi*-socjalistycznego systemu, ale dopiero po tym, jak Pekin zapoczątkował swój odwrót od marksistowsko-leninowskiej ortodoksji. Związek Sowiecki pozostał w tyle nie tylko za Stanami Zjednoczonymi, lecz także za Japonią. Między rokiem 1960 i 1968 Japonia, mając mniej niż połowę ludności Związku Sowieckiego, zrównała się z nim pod względem dochodu narodowego brutto, choć początkowo wlokła się za nim w stosunku większym niż trzy do jednego.

Gospodarki komunistyczne są jeszcze bardziej w tyle, jeśli chodzi o konkurencyjność w skali światowej. W 1985 roku, kiedy ogólna suma obrotów Stanów Zjednoczonych i Japonii na rynkach światowych wynosiła odpowiednio 576 i 308 miliardów dolarów, ekwiwalent sowiecki wynosił 66 miliardów. W dodatku profil handlowy Moskwy przypominał kraje Trzeciego Świata. Prawie trzy czwarte jej eksportu pochodziło z przemysłów wydobywczych, przy czym paliwa stanowiły 49 %, złoto 18 %, drewno 4 %, diamenty 2 %. Kraje komunistyczne — zamieszkałe z grubsza przez jedną trzecią ludności kuli ziemskiej — mają na swoim koncie tylko 10 % światowego eksportu, jedynie 3 % innowacji technologicznych i dokładnie 1 % pomocy dla krajów rozwijających się. Cała Europa Wschodnia wyeksportowała mniej maszyn do uprzemysłowionych krajów demokratycznych niż Singapur.

Ubogi bilans komunizmu znajduje także odbicie w stopie życiowej ludności. W czterdzieści lat po drugiej wojnie światowej rząd sowiecki nadal reglamentuje mięso, a ostatnio zaczął reglamentować cukier. Według sowieckiego tygodnika *Niedziela* (numer z 27 czerwca - 7 lipca 1988) mieszkańcom miasta i rejonu Swierdłowska wydano „jasnożółte odcinki kartek żywnościowych. W każdym bloku jest osoba upoważniona do ich rozdania. Około 800 gramów gotowanej kiełbasy co miesiąc... 400 gramów masła. Oraz 2 kilo mięsa na rok — na święto majowe i październikowe. W niektóre niedziele nie można nawet dostać makaronów ani kaszy”. „Na razie”, dodaje *Niedziela*, „lepiej nie mówić z tymi ludźmi o *pieriestrojce*”.

Z oficjalnych statystyk sowieckich ogłoszonych w erze *glasnosti* wynika, że około 40 % całej ludności i 79 % ludzi starszych żyje w ubóstwie. Jak pisze autorka sowiecka N. M. Rimaszewska, tylko jedna trzecia sowieckich gospodarstw domowych ma ciepłą wodę bieżącą, a jedna trzecia nie ma nawet zimnej wody bieżącej. *Izwiestia* z 26 stycznia 1986 roku doniosły, że czterosobowa rodzina niewykwalifikowanego robotnika normalnie musi mieszkać ponad osiem lat w pojedynczym pokoju o wymiarach dwa i pół na dwa i pół metra, zanim dostanie trochę lepsze mieszkanie. Nie będzie zatem przesadą, jeśli powiemy, że biedota na Zachodzie żyje na tym samym poziomie materialnym co klasa średnia w Związku Sowieckim.

Statystyka prywatnych samochodów — w świecie współczesnym przybliżony wskaźnik dostępności dóbr konsumpcyjnych — świadczy o tym samym. Kraje zachodnie osiągnęły nieomal punkt nasycenia w tej dziedzinie. W 1983 roku jeden samochód przypadał na każde 1,8 mieszkańca Ameryki, a wskaźnik ten wynosił 4,4 dla Japonii, 2,5 dla Niemiec i 2,8 dla Włoch, ale tylko jeden do 14,2 w Związku Sowieckim, 5,8 w Czechosłowacji i 10,8 w Polsce. Jest rzeczą wstrząsającą, że w przeliczeniu na głowę ludności czarni w Południowej Afryce mają więcej prywatnych samochodów niż obywatele Związku Sowieckiego.

Wszystkie te niepowodzenia w dziedzinie gospodarki wzmagają coraz poważniejszy kryzys ekologiczny w państwach komunistycznych. W Europie Wschodniej sytuacja wygląda wyjątkowo dramatycznie na dużych obszarach Polski i w niektórych częściach Niemiec Wschodnich i Czechosłowacji. W Związku Sowieckim wszystkie rejony przemysłowe są na ogół bardzo skażone, przy czym problem jest podobno szczególnie poważny w Armenii, gdzie silnie toksyczne odpady przemysłowe są z reguły odprowadzane do rzek. Wszystkie państwa komunistyczne, z ich obsesją gwałtownej industrializacji, dopuszczają się karygodnych zaniedbań w tej dziedzinie, nie podejmując nawet najprymitywniejszych kroków w celu ochrony środowiska i rozpaczliwie wolno reagu-

jąc na pogłębiający się kryzys. Pogarszające się warunki ekologiczne wraz z bardzo kiepską służbą zdrowia przyczyniają się bez wątpienia do niepokojącego wzrostu śmiertelności we wszystkich grupach wieku i wszystkich krajach bloku sowieckiego. Chłopiec urodzony dziś w Związku Sowieckim będzie — według porównawczych badań Nicka Eberhardta z harwardzkiego Ośrodka Studiów Demograficznych — żyć krócej niż chłopiec urodzony w Meksyku.

Nic z tego, co powiedziano wyżej, nie przeczy faktowi, że państwa komunistyczne poczyniły duży krok naprzód przede wszystkim w rozwoju przemysłu ciężkiego oraz — zwłaszcza w początkowej fazie rządów komunizmu — w zakresie ubezpieczeń społecznych i oświaty. Jednakże postęp został tu osiągnięty wstrząsającym wręcz kosztem ofiar ludzkich. W całych dziejach ludzkości żaden eksperyment w dziedzinie przebudowy społeczeństwa nie pociągnął za sobą takich kosztów — czy też nie był równie rozrzutny — jeśli chodzi o losy człowieka, jak zetknięcie się z komunizmem w dwudziestym stuleciu. Nikt nie potrafi dokładnie wymierzyć całości owych kosztów, ponieważ te reżymy wymuszały ofiary fizyczne przeważnie w warunkach tajności, a także dlatego, że związane z tym nieuchwytnie szkody psychologiczne i kulturowe nie poddają się ocenom ilościowym. Można jednak w przybliżeniu choćby oszacować poszczególne kategorie ludzkiego cierpienia, zadanego przez reżymy marksistowsko-leninowskie w procesie komunistycznego przekształcania społeczeństw. Trwające obecnie w Związku Sowieckim i w Chinach demaskowanie dawnych zbrodni — które dostarczyło nowych danych o ofiarach komunistycznego eksperymentu w dziedzinie inżynierii społecznej — ułatwia to zadanie i uwierzytelnia jego wnioski w oczach zachodnich sceptyków.

Na koszty w ludziach złożyły się:

1. *Doraźne egzekucje w trakcie zdobywania władzy.* Nie licząc poległych w walkach rewolucyjnych i wojnie domowej, można przyjąć, że takie egzekucje kosztowały życie co najmniej miliona ludzi w Związku Sowieckim, kilku milionów w Chinach, około 100.000 w Europie Wschodniej i co najmniej 150.000 w Wietnamie.

2. *Egzekucje przeciwników politycznych i członków ruchu oporu po zdobyciu władzy.* Te morderstwa zwykle trwały przez kilka lat, gdy komuniści umacniali swą władzę nad krajem. Przybliżone szacunki każą umieścić te liczby na mniej więcej tym samym poziomie co w pierwszej kategorii; daje to łącznie — i przy ostrożnym rachunku — żniwo śmierci w liczbie około 5 milionów dla pierwszych dwóch kategorii.

3. *Eksterminacja ludzi należących do różnych grup społecznych uważanych za potencjalnie wrogie, bez względu na rzeczywistą postawę ofiar.* Te grupy z reguły obejmowały byłych oficerów, urzędników państwowych, arystokratów, ziemian, duchownych i kapitalistów. Niektórych tracono, innych umieszczano w obozach pracy, gdzie większość wyginęła. Chociaż szacunki w tej kategorii muszą się bardzo różnić, ostatnio ujawniane dane sowieckie, wschodnioeuropejskie i chińskie wskazują, że liczba ofiar była bardzo wysoka, z pewnością nie mniejsza niż 3 do 5 milionów.

4. *Likwidacja prywatnej własności chłopskiej.* Typowa dla tej kategorii była fizyczna eliminacja klasy kułaków w Związku Sowieckim w wyniku egzekucji i zgonów w obozach pracy. Ponieważ liczby ofiar sowieckich i chińskich sięgają kilku milionów, a w Wietnamie i Korei Północnej kilkuset tysięcy, żniwo śmierci w tej kategorii trzeba szacować na minimum 10 milionów ludzi.

5. *Ofiary masowych deportacji i przymusowych przesiedleń.* Ta polityka, odgrywająca tak wielką rolę w kampanii kolektywizacji w Związku Sowieckim, Europie Wschodniej, a zwłaszcza w Chinach w czasie walki z właścicielami ziemskimi i przy zakładaniu komun w okresie Wielkiego Skoku, pociągnęła za sobą głód, epidemie i inne klęski. Wszelkie szacunki powinny także uwzględnić sowiecką politykę deportacji członków podejrzanych nacji nierosyjskich, takich jak wielu Łotyszów, Litwinów i Estończyków z republik bałtyckich, Polaków z zachodnich obszarów Związku Sowieckiego, Tatarów z Krymu i innych, do odległych części Syberii. Najświeższe szacunki sowieckie oceniają liczbę ofiar na 7 do 10 milionów tylko w Związku Sowieckim, a jeśli chodzi o Chiny niektóre oceny mówią o około 27 milionach. Ostrożny, a przecież przerażający rachunek dałby w sumie co najmniej 30 milionów ofiar.

6. *Egzekucje lub zgony w obozach pracy komunistów, którzy padli ofiarą czystek.* W Związku Sowieckim liczbę komunistów wywiezionych w trakcie walk o władzę i różnych czystek, a następnie zlikwidowanych w latach 1936-1938, można śmiało ocenić na ponad milion. W Europie Wschodniej w końcu lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych zabito i uwięziono dziesiątki tysięcy komunistów. W Chinach — zwłaszcza w czasie rewolucji kulturalnej — ten sam los spotkał kilka milionów ludzi.

7. *Fizyczne i psychiczne konsekwencje długiego uwięzienia i pracy przymusowej.* W Związku Sowieckim amnestie w połowie lat pięćdziesiątych przyniosły zwolnienie kilku milionów

ludzi, którzy w pewnych przypadkach byli przez dwadzieścia lat więzieni w niezwykle trudnych warunkach. Podobne amnestie ogłoszono w Europie Wschodniej po zdemaskowaniu Stalina przez Chruszczowa w roku 1956 i w Chinach po zakończeniu rewolucji kulturalnej na początku lat siedemdziesiątych.

8. *Prześladowanie rodzin ofiar reżymu.* W Związku Sowieckim rodziny osób mieszczących się w pierwszych sześciu kategoriach padały ofiarą różnych prześladowań, które sięgały od dyskryminacji przy otrzymaniu mieszkania i pracy, przez deportację i więzienie, aż do kary śmierci.

9. *Przenikający całe społeczeństwo klimat strachu oraz poczucie izolacji osobistej i politycznej.* Przez znaczną część okresu narzuconej przemocą komunistycznej przebudowy społeczeństw całe grupy społeczne — inne niż robotnicy i biedni chłopi — były narażone na przejawy ideologicznej wrogości ze strony biurokracji.

W koszty społeczne — a obejmują one co najmniej 50 milionów istnień ludzkich — świadczą bez wątpienia o najbardziej lekkomyślnym i marnotrawnym eksperymencie w dziedzinie inżynierii społecznej, jaki kiedykolwiek przedsięwzięto. Jeśli wziąć pod uwagę obecną skłonność reżymów komunistycznych do przyznawania, że w przeszłości ponosiły porażki płynące z „błędów i wypaczeń” i że konieczne są znaczne zmiany w ich polityce, tragedia ludzka staje się jeszcze większa. Innymi słowy sowieccy, chińscy i niektórzy wschodnioeuropejscy władcy przyznali, że dawne komunistyczne „wypaczenia” były nieproduktywne w sensie socjoekonomicznym, nie mówiąc już o tym, że były odrażające moralnie.

Tak więc wielkie fiasko komunizmu pociągnęło za sobą w skondensowanej formie trwonienie i niszczenie społecznych uzdolnień i talentów, a także tłumienie twórczego życia politycznego w społeczeństwie; nadmiernie wysokie koszty ludzkie w zamian za rzeczywiście osiągnięte zyski gospodarcze i w rezultacie spadek wydajności na skutek nadmiernej centralizacji w rękach państwa; stopniowe pogarszanie zbiurokratyzowanego systemu opieki społecznej, który początkowo stanowił główną zdobycz rządów komunistycznych; i wreszcie hamowanie, poprzez dogmatyczne ograniczenia, rozwoju nauki i sztuki.

To historyczne fiasko, dziś już otwarcie przyznawane przez komunistycznych przywódców będących zwolennikami reform, ma korzenie głębsze niż „błędy i wypaczenia”, których się wreszcie żałuje. Wywodzi się ono z operacyjnych, instytucjonalnych i filozoficznych braków komunistycznego eksperymentu. Prawdę

mówiąc tkwiło ono głęboko w samej istocie praktyki marksizmu-leninizmu.

Na poziomie operacyjnym, marksistowsko-leninowski styl podejmowania decyzji przyczynił się do powstania wręcz paranoicznej atmosfery i do coraz częstszego stosowania siły jako metody rozwiązywania problemów społecznych i politycznych. Wszyscy najważniejsi przywódcy komunistyczni — Lenin, Stalin, Mao, czy też ich naśladowcy w Europie Wschodniej i Trzecim Świecie — zachowywali się tak, jakby byli spiskowcami u władzy, kapłanami tajnej sekty, których narady należy chronić przed wrogim światem. Zasłona tajemnicy okrywała ich poczynania, ich osobowości, nawet ich rodziny. Jednocześnie zaś, ponieważ uważali się za obdarzonych niezrównaną wiedzą o historii ludzkości, a więc za upoważnionych do kształtowania przyszłych losów tejże ludzkości siłą w razie potrzeby, byli głęboko nieufni wobec każdego, kto nie podzielał ich szczególnego sposobu widzenia. Dyrektywa „kto nie jest z nami, jest przeciwko nam” stworzyła styl postępowania, który interpretował krytykę jako wrogość, trudności jako sabotaż, odmienne poglądy jako zdradę. W takim kontekście wszelka korekta linii politycznej mogła nastąpić jedynie po wręcz katastrofalnych klęskach.

Braki instytucjonalne zwielokrotniły jeszcze ową deformację stylu działania. Komunistyczny styl pracy przyczyniał się do powstawania systemów politycznych, które nie zawierały żadnych kłap bezpieczeństwa ani mechanizmów wczesnego ostrzegania. Symptomy niedomagań z natury rzeczy docierały do kierownictwa z opóźnieniem; dezinformacja na własny użytek płynęła w górę znacznie szybciej; strach nie pozwalał na szczery rachunek sumienia. Przywódca kurczowo trzymał się władzy, jak długo zdołał wytrwać w sensie fizycznym i politycznym, a zastąpienie go innym było zwykle wynikiem wyczerpującego konfliktu politycznego, który doprowadzał do skrajności wspomniane wyżej tendencje manichejskie. Brak odpowiednich mechanizmów wymiany przywódców, którzy kiepsko wywiązywali się ze swych zadań, sprawiał, że faktyczne sprawowanie władzy, a nie powodzenie lub niepowodzenie linii politycznej, stawało się kluczowym kryterium trwałego przywództwa.

Jeszcze istotniejsze były filozoficzne korzenie fiaska. W ostatecznym rozrachunku polityka marksistowsko-leninowska wywodziła się z zasadniczo błędnego pojmowania historii i zgnubnie fałszywego rozumienia natury ludzkiej. Tak więc fiasko komunizmu ma, w końcowym efekcie, charakter intelektualny. Nie wziął on pod uwagę najistotniejszych ludzkich dążeń: do wolności jednostki, do prawa wypowiedzenia się w sztuce i sferze ducha, a także coraz bardziej — w epoce oświaty i środków ma-

sowego przekazu — do prawa politycznego wyboru. Zlekceważył też organiczny związek między wydajnością gospodarki i nowatorstwem z jednej strony, a indywidualnym pragnieniem osobistego dobrobytu z drugiej. W ten sposób komunizm zdusił wszystko co twórcze w społeczeństwie, wbrew temu, że reklamował się jako najbardziej twórczy i nowatorski ustrój społeczny.

To intelektualne fiasko zaciążyło także na komunizmie w skali międzynarodowej. Marksizm-leninizm nie antycypował ani nie rozumiał podstawowych sił, które kształtowały sytuację międzynarodową w dwudziestym stuleciu. Zlekceważył rolę etniczności i nacjonalizmu, wskutek czego międzykomunistyczne konflikty narodowe okazały się niespodziewanym szokiem. Te konflikty wzmagają z kolei wynikająca z nich tendencja poszczególnych partii komunistycznych do wzajemnego oskarżania się o doktrynalną herezję. Tak było w przypadku ideologicznie destrukcyjnego sporu sowiecko-jugosłowiańskiego i sowiecko-chińskiego. Komunizm interpretował też fałszywie atrakcyjną siłę religii i był dlatego nieprzygotowany na opór płynący z wiary rzymskokatolickiej w Polsce, ani na odrodzenie islamu w samym Związku Radzieckim. I rzecz ostatnia, choć nie najmniej ważna: rewolucja technologiczna*, która tak bardzo przekształciła samą istotę podziału władzy i struktury społecznej w rozwiniętych krajach kapitalistycznych, zastąpiła marksizm-leninizm w fawie uporczywego trwania przy przestarzałych koncepcjach z wczesnych etapów rewolucji przemysłowej.

Łącznie wszystkie te operacyjne, instytucjonalne i filozoficzne czynniki złożyły się na linię polityczną, która w końcu musiała nie tylko doprowadzić do ogólnego kryzysu komunizmu, lecz także wzmocnić niepewność co do jego przyszłości.

Rozdział 23

WIDOKI NA PRZYSZŁOŚĆ

W roku 2017, sto lat po rewolucji bolszewickiej, rusztowania pokrywają mauzoleum Lenina na dawnym Placu Czerwonym, dziś przemianowanym na Plac Wolności. Rusztowania te ostanąją przebudowę mauzoleum na wjazd do podziemnego parkingu, przeznaczonego dla tłumów turystów odwiedzających otwartą

* W oryginale „technotronic”, wyraz użyty pierwszy raz przez Z. Brzezińskiego w książce *Between Two Ages* na oznaczenie nowej ery informacji, automatyzacji, satelitarnych środków przekazu itp.

właśnie stałą wystawę na Kremlu pod tytułem „Sto zmarnowanych lat — pięćdziesiąt milionów zmarnowanych istnień”.

Powyższy tekst nie jest aż tak niewiarygodny, jak by się wydawało na pierwszy rzut oka. W rzeczy samej zmyślona wiadomość z Moskwy roku 2017 jest niemal równie prawdopodobna co pogląd, że obecny ustrój przetrwa do tego czasu w znacznym stopniu bez zmian i że w stulecie rewolucji bolszewickiej jeszcze inny przywódca będzie przyrzekał narodom sowieckim pomyślność, jednocześnie zwalając winę na swych poprzedników — do tego czasu także Gorbaczowa, podobnie jak Breżniewa i Stalina — za trwające nadal trudności.

Gorbaczow rozpętał siły, dzięki którym brak historycznej ciągłości jest bardziej prawdopodobny niż ciągłość. Wszelkie rozważania na temat przyszłości komunizmu w Związku Sowieckim zależą zatem od odpowiedzi na jedno pytanie: czy polityka Gorbaczowa jest oznaką odnowy czy też zużycia się komunizmu? Mimo całej retoryki Gorbaczowa na temat żywotności komunizmu odpowiedź na to pytanie musi skłaniać się raczej ku zużyciu niż ku odnowie. Jeżeli jego *pieriestrojka* spowodowała dotąd jakieś wyraźne zmiany, to polegały one na odejściu od dogmatów marksizmu-leninizmu zarówno w teorii, jak w praktyce. W Europie Wschodniej i w Chinach, gdzie widoczne reformy są śmielsze i bardziej pragmatyczne, ta tendencja jest jeszcze wyraźniejsza.

Ogólną tendencją w łonie współczesnego komunizmu, także w Związku Sowieckim, jest odchodzenie od wszystkiego, co kiedyś uchodziło za istotne. W dziedzinie gospodarki idea własności państwowej czy społecznej w rolnictwie, w sektorze usług, a nawet w przemyśle, jest odrzucana jako zbędny balast, lub w mniejszym czy większym stopniu potępiana. Przedmiotem ataków jest także centralne planowanie i ustalanie cen, przy czym odbywa się nieśmiały ruch w kierunku mechanizmów rynkowych. Na płaszczyźnie politycznej całkowita komunistyczna kontrola nad środkami przekazu wyraźnie się załamuje. Indoktrynacja ideologiczna ustępuje miejsca ideologicznemu odcinaniu się od „obcych” wpływów. Dominacja jednej partii w politycznym dialogu ze społeczeństwem jest coraz silniej atakowana w kilku państwach komunistycznych. Zasadniczo nietknięty pozostaje jeszcze tylko monopol komunistów na szczycie władzy politycznej.

Co więcej, komunistyczną ideologię dyskredytuje nie tylko praktyka, lecz także sami komunistyczni władcy. Uprawiając coś w rodzaju historycznego *strip-tease'u*, odrzucają — zdzierają z siebie, by się tak wyrazić — kolejne warstwy swej własnej doktrynalnej przeszłości. Wierni wyznawcy zaczynają się zapewne zastanawiać, co zostało z całej spuścizny, kiedy słyszą, że dwadzieścia lat breżniewizmu było erą stagnacji i korupcji; kiedy do-

wiadują się, że Chruszczow, uprzednio potępiany za swe dziesięciolecie „niedorzecznych projektów”, był w rzeczywistości zbyt pochopnym prekursorem *pieriestrojki*; kiedy są świadkami piętnowania ćwierćwiecza stalinizmu jako czasu „jawnych zbrodni” i kiedy niektórzy z nich poszeptują, że rewizjonizm Gorbaczowa oznacza początek faktycznej rezygnacji z leninizmu. Podobnie w Chinach maoizm, niegdyś nietykalna świętość, jest teraz przedmiotem krytycznej rewizji, podczas gdy w Europie Wschodniej większość wczesnych przywódców komunistycznych napiętnowano pośmiertnie jako stalinistów. Wszystko to odziera z ciała marksizm-leninizm-stalinizm aż do gołych kości marksizmu — a dziesięć nastoletni marksizm nie może chyba dostarczyć potrzebnych wskazań dla sprostania problemom świata u progu dwudziestego pierwszego wieku.

Tak więc komunizm jest w historycznym odwróceniu. Czy ten odwrót przyniesie ustroje bardziej wydajne w sensie ekonomicznym i bardziej pluralistyczne pod względem politycznym? Tu odpowiedź brzmi różnie w zależności od kraju. Jeśli chodzi o Związek Sowiecki, sceptycyzm jest bardzo na miejscu. Raczej odległe są szanse na to, że poczynania Gorbaczowa dadzą w wyniku gospodarkę konkurencyjną w skali światowej i polityczny ustrój, w którym ludzie będą rządzić się sami pod dobrotliwą kuratelą trochę jakby zubożonej partii komunistycznej. Antydemokratyczna spuścizna leninowska, wielonarodowy charakter państwa i głęboko zakorzenione tradycje centralizacyjne — wszystko to razem osłabia podatność społeczeństwa na skuteczne przejęcie politycznej i kierowniczej odpowiedzialności, a zatem uniemożliwia tego rodzaju pozytywny bieg wydarzeń.

Pomyślnie wprowadzanie pluralizmu w Związku Sowieckim jest mniej prawdopodobne niż cztery inne możliwości. Pierwsza, to przewlekły i do niczego nie prowadzący kryzys ustrojowy, trwający bez żadnego wyraźnego rozwiązania przez kilkanaście lat i okresowo przerywany wybuchami społecznych niepokojów wśród mas ludności miejskiej, coraz bardziej niezadowolonej z warunków materialnych, a zwłaszcza wśród politycznie bardziej niesfornych narodów nierosyjskich. Drugą możliwością jest ponowny zastój, z chwilą gdy zamęt wreszcie ustanie, a centralistyczne tradycje rosyjskiej przeszłości znowu wezmą górę. W pewnym momencie mogłoby to doprowadzić do trzeciej ewentualności, zamachu stanu dokonanego przez wojsko i KGB (może nawet w połączeniu z przedwczesną śmiercią Gorbaczowa), a usprawiedliwionego przed opinią publiczną emocjonalnymi apelami do wielkorosyjskiego nacjonalizmu. Czwarta możliwość — w tym stadium znacznie odleglejsza — to ostateczne przekształcenie przewlekłego kryzysu w całkowite i jednoznaczne obalenie reżymu komunistycznego, co przyspieszyłoby realizację owego zmyślnego

scenariusza, nakreślonego na początku tego rozdziału. Ta ostatnia ewentualność mogłaby przynieść rozczłonkowanie Związku Sowieckiego jako jednego państwa, co nieuchronnie doprowadziłoby do przelewu krwi na wielką skalę na tle narodowościowym i etnicznym.

Najbardziej prawdopodobna ewentualność — przewlekły i do niczego nie prowadzący kryzys ustrojowy, który mógłby w końcu przejść w ponowny okres zastoju — pogłębiłaby jeszcze bardziej powszechny kryzys komunizmu, przyczyniłaby się do wzrostu różnic między państwami komunistycznymi i przyspieszyłaby proces rozkładu ideologicznego. Nieuchronnie wzmożliłaby napięcie na tle narodowościowym w samym Związku Sowieckim, wzmacniając dążenia separatystyczne. Tak czy inaczej, rozpętując namiętności społeczne w kontekście próżni ideologicznej spowodowanej dyskredytacją oficjalnej doktryny, Gorbaczow stworzył warunki nie tylko dla odrodzenia nacjonalizmu wielkorusyjskiego, lecz przede wszystkim dla umocnienia się nacjonalizmów nierosyjskich. W efekcie Gorbaczow mimowolnie postawił na porządku dziennym historii możliwość aktualnego demontażu Związku Sowieckiego.

Im dłużej potrwa *pieriestrojka*, tym bardziej będą się nasilać narodowe aspiracje nie-Rosjan. To tylko kwestia czasu — może nawet stosunkowo krótkiego — zanim narodowe ruchy dążące do przekazania większej władzy przez Moskwę stolicom poszczególnych republik przekształcą się w wyraźne żądania suwerenności narodowej. Tak się już zaczęło dziać w niedawno podbitych republikach Estonii, Łotwy i Litwy, tak też zaczyna się dziać w różnych religijnie i kulturowo krajach — Armenii, Azerbejdżanie i Gruzji. W niedalekiej przyszłości może się to zdarzyć nie tylko tam, gdzie przeważa islam, a więc w Tadżykistanie, Turkmenii, Uzbekistanie i Kazachstanie, ale również — rzecz niezwykle groźna z punktu widzenia Moskwy — na słowiańskiej Ukrainie i w końcu na Białorusi (mimo jej daleko posuniętej rusyfikacji). Z nich Ukraina — ze swą wielką ludnością i bogatymi zasobami naturalnymi — stanowi potencjalnie najpoważniejszą groźbę dla samego przetrwania Związku Sowieckiego. Jest więc całkiem możliwe, że w pierwszych dziesięcioleciach dwudziestego pierwszego wieku największym regionem na świecie trapionym poważnymi konfliktami narodowościowymi będzie Związek Sowiecki — a to oznaczałoby ostateczne zwycięstwo nacjonalizmu nad komunizmem.

Jedynym konstruktywnym rozwiązaniem stale rosnącej niezgody (*disunion*) narodów sowieckich, jakie da się pogodzić z oficjalnie głoszonymi celami *pieriestrojki* — tj. decentralizacją gospodarczą i pluralizmem politycznym — nie jest przymusowy powrót do imperialnego „Związku” (*Union*) Sowieckiego, lecz

dążenie do autentycznej Konfederacji Sowieckiej. Jednakże prawdę dobrowolna konfederacja może już nie być w praktyce możliwa z uwagi na rozbudzone namiętności narodowe nie-Rosjan. Ponadto, tak czy inaczej, przekazanie przez Moskwę realnej władzy, zarówno w sferze gospodarki jak polityki, oznaczałoby w praktyce koniec imperium moskiewskiego — a taka perspektywa z pewnością nie uśmiecha się Wielkorusom.

Wojskowo-policyjny zamach stanu, który miałby położyć kres przewlekłemu kryzysowi i przywrócić dominację centrum, przyczyniłby się również do zmięczenia komunizmu w skali światowej, a może by go nawet przyspieszył. W obecnych warunkach silnie zrytualizowanej ideologii i coraz śmielej występujących nacjonalizmów nierosyjskich, zamach stanu zmierzający do przywrócenia skutecznej władzy centralnej, musiałby szukać legitymacji politycznej w nacjonalizmie wielkorusyjskim. To mogłoby dać centrum masową bazę społeczną, potrzebną do stłumienia nacjonalizmów nierosyjskich. Jest to jednak wątpliwe, aby — bez powrotu do metod stalinowskich — można już było takie nacjonalizmy w pełni wykorzystać. Nacjonalistyczne namiętności wymknęły się z puszki Pandory. W erze nacjonalizmu nie można już szczerze domknąć pokrywy.

A tymczasem *glasnost* już stała się bodźcem do co bardziej krańcowych, jawnych przejawów nacjonalizmu wielkorusyjskiego. Niektóre z nich graniczą z zacierzawionym szowinizmem. „Pamięć”, zaskakująco aktywne stowarzyszenie społeczne, wykorzystuje fakt, że stopniowa kompromitacja oficjalnej ideologii pozostawiła próżnię, którą nacjonalizm może z największą łatwością wypełnić. W rezultacie „Pamięć” uderzyła w czułą strunę Wielkorusów, którzy są coraz bardziej oburzeni na szkody wyrządzone ich narodowemu dziedzictwu przez siedemdziesiąt lat komunizmu (co „Pamięć” przypisuje wpływom syjonistycznym i masonskim), a także coraz bardziej lękają się, że przewlekły kryzys może przyspieszyć rozpad ich imperium.

Chociaż napis z kwiatów przed sowieckim posterunkiem granicznym na linii kolejowej z Helsinek do Leningradu nadal głosi optymistyczne hasło „Żyjemy w epoce, w której wszystkie drogi prowadzą do komunizmu”, każdy wariant przyszłych losów Związku Sowieckiego wróży odwrót od komunizmu. Powodzenie *pieriestrojki* pociągnęłoby za sobą znaczne rozmycie praktyki komunistycznej. Przewlekły zamęt byłby oznaką, że system jest niezdolny do trwałego przekazania władzy bardziej dynamicznemu i samorządному społeczeństwu. Ponowny zastój oznaczałby, że komunizm nie może się twórczo rozwijać. Represyjny zamach stanu, oparty na nacjonalizmie i ideologii, skompromitowałby

Związek Sowiecki na arenie międzynarodowej, a jego rozdrobienie równałoby się historycznej klęsce. Tak więc w niepewnej przyszłości Związku Sowieckiego kryje się dynamika społeczno-polityczna, sprzeczna z prestiżem komunizmu i jego perspektywami w skali globalnej.

Przemiany polityczne i społeczne w Europie Wschodniej również wzmogą zapewne ogólny kryzys komunizmu. Zmiany te będą różne w różnych państwach, a ich siłą napędową będzie zarówno nacjonalizm, jak i nowe poczucie zbiorowości ponadnarodowej. Ten pierwszy mógłby pogłębić tradycyjne konflikty — jak węgiersko-rumuński spór o Siedmiogród — podczas gdy prawdopodobnym rezultatem tego drugiego byłoby zastąpienie ostatnich utrzymujących się jeszcze resztek komunistycznego internacjonalizmu przez wzrastającą siłę przyciągania coraz szybciej jednoczącej się Europy. W miarę jak Europa Zachodnia kroczyć będzie ku bardziej autentycznej, organicznej jedności gospodarczej i jak w ślad za zjednoczeniem ekonomicznym wyłoni się jedność polityczna, historyczna i kulturowa, atrakcyjność Europy dla krajów wschodnioeuropejskich zacznie wzrastać w sposób wręcz gwałtowny. Proces ten wzmocni jeszcze ekonomiczne zainteresowanie tych krajów ścisłym utożsamieniem się z Europą. Jednocząca się stopniowo Europa, dynamiczna gospodarczo i atrakcyjna kulturalnie, będzie tworzyć dramatyczny — i magnetyczny — kontrast ze Związkiem Sowieckim, czy znajdzie się on w stanie wrzenia czy zastoju.

Jako idea jednocząca i wzorzec rozwoju społecznego komunizm stracił już więc na znaczeniu dla Europy Wschodniej. Jako idea przestał być intelektualnie atrakcyjny. Jako wzorzec jest zdyskredytowany nawet wśród elit władzy. Nasuwają się tu dwa istotne pytania. Po pierwsze, jak będzie postępował proces demontażu istniejących instytucji komunistycznych? Po drugie, czy doprowadzi on do ustrojów pokrewnych demokracjom zachodnim, czy też do nacjonalistycznych dyktatur?

Obraz będzie prawdopodobnie bardzo niejednorodny. Prawie wszystkie wschodnioeuropejskie państwa dążyć będą do zacieśnienia więzi z Europą Zachodnią, przy czym przodować w tym będą nadal Węgry i Polska. Jest też najbardziej prawdopodobne, że te dwa kraje utrzymają swój status przodowników w demontażu instytucji narzuconych przez Związek Sowiecki. W obu krajach powstanie samorządne społeczeństwo obywatelskie, nie poddane skutecznej kontroli komunistów, będzie nadal zwężać zakres arbitralnej władzy politycznej i przyspieszy odbudowę autentycznego życia politycznego. Dlatego oba mogą osiągnąć, przed innymi państwami Europy Wschodniej, zasadniczą linię graniczną między defensywnym, cofającym się, coraz bardziej tolerancyjnym, jednak nadal — w sensie władzy politycznej — mo-

nopolistycznym komunizmem a autentyczną pluralistyczną demokracją i prawdziwą swobodą wyboru politycznego.

Przekroczenie tej linii będzie trudne. Żaden reżym komunistyczny nie zdołał dotąd przejść przez tę niewidzialną granicę w sposób pokojowy. Węgry są najlepszym kandydatem do takiego spokojnego przejścia. Są mniejsze i geopolitycznie nie tak istotne dla Sowietów, a to z kolei oznacza mniejsze prawdopodobieństwo, by Moskwa zdecydowała się na jakąś niszczyielską ingerencję w wewnętrzny rozwój tego kraju. Jego elita polityczna jest mądrzejsza i czuje się nieco bezpieczniej niż w Polsce. Wszystko to mogłoby pozwolić na stopniowe przekształcenie wyłaniającego się społeczeństwa obywatelskiego na Węgrzech w społeczeństwo polityczne o cechach autentycznie pluralistycznych. W Polsce, mimo że społeczeństwo egzekwuje tam swe prawa do politycznej wolności z większą siłą niż na Węgrzech, widoki na takie spokojne przejście nie są chyba równie pomyślne. Już samo nasilenie polskich dążeń narodowych, a także zasadnicza słabość komunistycznej władzy każą przypuszczać, że pewna faza zamętu może nieodłącznie towarzyszyć agonii komunizmu — chociaż wiele oczywiście zależy od stopnia cichej zgody Sowietów na ten proces.

Gdzie indziej obraz może być bardziej skomplikowany. Niemcy Wschodnie stały się Prusami komunizmu, są zdyscyplinowane, nie pozbawione motywacji, produktywne. Mogą takimi pozostać przez dość długo, zwłaszcza że Niemcy Zachodnie hojnie przyczyniają się do ich materialnego dobrobytu. Ale ich sukces będzie chyba bardziej związany z odrębną tradycją narodową i kulturalną niż z komunizmem jako takim. Czechosłowacja zapewne pójdzie za wzorem węgiersko-polskim, likwidując instytucje pochodzenia sowieckiego i nawiązując ściślejsze kontakty z Europą. Wszelkie przewlekłe zaburzenia wewnętrzne w Związku Sowieckim przyczynią się do ożywienia emocji, które kiedyś stały się podniętą dla Wiosny Praskiej, zapoczątkowując w ten sposób nowy okres politycznego fermentu. Rumunia i Bułgaria okażą się tu zapewne maruderami, ale i jedna i druga będą w coraz większym stopniu odwoływać się do pobudek nacjonalistycznych przy określaniu swej polityki wewnętrznej.

Charakter reakcji sowieckiej na przemiany polityczne w Europie Wschodniej wpłynie poważnie na tempo i zakres zmian w samym Związku Sowieckim. Związek Sowiecki tolerujący zmiany w Europie Wschodniej to najprawdopodobniej Związek Sowiecki uwikłany w długie, może zwodnicze, a niemal na pewno burzliwe poszukiwania swej własnej *pieriestrojki*. Związek Sowiecki, który spróbuje siłą zahamować przemiany w Europie Wschodniej może być Związkiem Sowieckim rozpadającym się i opóźniającym swoje reformy. W rzeczy samej, faktyczny koniec

gorbaczowskiej *pieriestrojki* może okazać się ceną, którą przyjdzie zapłacić za utrzymanie zewnętrznego imperium. W obu wypadkach — czy to aktywnie zabiegająca o przyłączenie się do większej Europy, czy też poddana firmowanemu przez Związek Sowiecki uciskowi — Europa Wschodnia będzie podważać światowy prestiż komunizmu.

Jedynie w Chinach obecny rozwój sytuacji wydaje się zapowiadać odnowę żywotnej siły komunizmu. Ale nawet tam sprawa może w końcu nie okazać się wiarygodna. Jak już wspomnieliśmy, reżym chiński ma większe szanse na sukces niż na porażkę w swych obecnych wysiłkach zmierzających do szybkiego włączenia Chin w kwitnący rejon obrzeża Pacyfiku. Osiągnię to jednak dzięki taktyce politycznej, mającej coraz mniej wspólnego z doktryną marksizmu-leninizmu, a coraz więcej z ekonomicznie pomyślną polityką niektórych niekomunistycznych sąsiadów Chin, obejmującą położenie nacisku na handel zagraniczny jako bodziec rozwoju kraju. Ten handlowy, a także skażony komunizmem może osiągnąć wysokie wskaźniki rozwoju, ale na dość niskim poziomie ideologicznej ortodoksji. Wszelkie gospodarcze sukcesy w Chinach będą argumentem na rzecz dalszego odchodzenia od doktryny i posłużą za przykład innym państwom komunistycznym, jak Wietnam czy Korea Północna — co jeszcze bardziej osłabi wierność tej doktrynie.

Z tego nie wynika, że niepowodzenia w realizacji chińskich planów gospodarczych ożywiłyby w jakiś sposób i ponownie legitymizowały ideologię. Przeciwnie, wszelka porażka tego rodzaju byłaby zapewne oceniana przez wielu Chińczyków jako kolejny dowód, że pomyślnie wyniki w gospodarce nie są możliwe w *quasi*-komunistycznym systemie i można je jedynie osiągnąć poprzez całkowite odrzucenie wszystkich tradycyjnych marksistowsko-leninowskich ograniczeń wolności politycznej. Tak więc z biegiem czasu polityczny wymiar przemian będzie prawdopodobnie odgrywać coraz większą rolę. Chiny są niemal nieuchronnie skazane na wzrastające napięcia polityczne.

Istotnie, nie można wyobrazić sobie długofalowego rozwoju pluralizmu gospodarczego bez pojawienia się w Chinach społeczeństwa obywatelskiego, które w końcu zacznie egzekwować swoje żądania polityczne. To może doprowadzić do trudnej, potencjalnie nawet burzliwej konfrontacji. Tak więc, w pewnym momencie, ekonomiczny sukces Chin mógłby stać się katalizatorem kryzysu politycznego, który z kolei mógłby nawet zagrozić owemu sukcesowi. Przywódcy Chin nie mogą w nieskończoność nie liczyć się z faktem, że w końcu nie istnieje nic pośredniego między scentralizowanym komunizmem i zdecentralizowanym, samorządnym społeczeństwem.

Poza istniejącymi reżymami komunistycznymi możliwości sze-

zenia się komunizmu, czy to w drodze rewolucji, czy poprzez urnę wyborczą, wydają się bardzo ograniczone. Wraz z rozdrobieniem ideologii marksistowsko-leninowskiej staje się coraz bardziej prawdopodobne, że siłą napędową działalności rewolucyjnej, zwłaszcza w Trzecim Świecie, będą przede wszystkim sprawy lokalne i doktrynalne hybrydy, łączące pewne elementy marksizmu-leninizmu z bardziej zlokalizowanymi źródłami oddziaływania na emocje i intelekt. Świetlista Droga w Peru i teologia wyzwolenia w Ameryce Łacińskiej dostarczają przykładów takiego przystosowania. Formy dodatkowe — zwłaszcza przepojone jakąś treścią religijną — mogą dać o sobie znać w tych częściach świata, w których rozpacz i frustracja prowadzą do politycznych aktów przemocy.

Pewne elementy marksizmu muszą być częścią wszelkich szczątkowych doktryn gwałtownej rewolucji i przymusowej oraz szybkiej przebudowy społeczeństwa. Marksistowski pogląd na historię jest częścią intelektualnego dziedzictwa naszego świata i każdy radykalny przywódca przyswoi sobie, rozmyślnie lub podświadomie, pewne idee marksistowskie w swoim rewolucyjnym manifeście. Ale te elementy nie będą już prezentowane jako integralna całość, która musi być przyjęta *in toto*. Marksizm-leninizm utracił swą legitymację historyczną jako wszechobjmujący dogmat.

Co więcej, nawet w szeregach komunistów pojawiła się powszechna skłonność do pewnego filozoficznego ekumenizmu, przypominającego trochę to, co się w ostatnich latach dzieje w organizacjach religijnych. Dobrym przykładem takiego „relatywizmu” w myśleniu jest nasilająca się tendencja sowieckich komentatorów do przyznawania że budowa komunizmu w Związku Sowieckim pociągała za sobą wypaczenia ideologiczne, które pozbawiają doświadczenie sowieckie jakiegokolwiek powszechnie obowiązującej mocy. Intelektualny pragmatyzm i synkretyzm są może mile widzianą oznaką większej tolerancji, ale są także sygnałem rosnącego doktrynalnego — lub religijnego — indyferentyzmu. Taki indyferentyzm jest pierwszą fazą w stopniowym trwonieniu najistotniejszych wierzeń. Pociąga on za sobą nieuchronnie przejście od absolutyzmu do relatywizmu, od dogmatów do zwykłych poglądów. To przejście jest agonią komunizmu.

Rozdział 24

POSTKOMUNIZM

Pojawia się teraz nowe zjawisko — postkomunizm. Chociaż wiek dwudziesty nie stał się erą zwycięstwa komunizmu, był

jednak stuleciem zdominowanym przez jego wyzwania. Te wyzwania szybko tracą na sile, w miarę jak zanika sam komunizm. Jest paradoksem przyszłości, że „sukces” komunizmu bywa coraz częściej mierzony jego zdolnością przechodzenia do większej swobody gospodarczej i pozbywania się bezpośredniej kontroli partii nad życiem politycznym społeczeństwa.

Postkomunizm będzie więc ustrojem, w którym obumieranie komunizmu doszło tak daleko, że ani teoria marksistowska, ani dawna praktyka komunizmu nie będą miały większego — czy w ogóle żadnego — wpływu na dalszą politykę państwa. Postkomunizm stanie się po prostu systemem, w którym ludzie, sami deklarujący się jako „komuniści”, nie traktują doktryny komunistycznej jako drogowskazu polityki społecznej: ani ci, którzy głoszą, że sankcjonuje ona ich władzę, gdy tymczasem prowadzi do stagnacji ustroju; ani ci, którzy twierdzą, że stosują ją w praktyce, podczas gdy z powodzeniem rozwadniają jej istotną treść; ani wreszcie ci, którzy ją odrzucają, nie bojąc się już czynić tego jawnie. Można powiedzieć, że Związek Sowiecki, Chiny i Europa Wschodnia zbliżają się w różnym stopniu do takiej postkomunistycznej fazy.

Trwający obecnie historyczny proces wyłaniania się postkomunizmu narzuca w sposób szczególny dwa zasadnicze pytania:

1) Czy odchodzenie od marksistowsko-leninowskich dyktatur doprowadzi stopniowo do demokracji pluralistycznej, czy też do jakiejś formy nacjonalistycznego autorytaryzmu?

2) Co zostanie uznane za polityczne i intelektualne dziedzictwo dwudziestowiecznego komunizmu?

W rzeczy samej problem postkomunistycznej ewolucji stanie się zapewne intelektualnie najciekawszym, a politycznie centralnym zagadnieniem dotyczącym tego, co dzisiaj wciąż nazywamy światem komunistycznym. Według wszelkiego prawdopodobieństwa przez najbliższe kilkadziesiąt lat będzie to główny dylemat tego świata, nasuwający problemy nie tylko analityczne, lecz również praktyczne. Abstrahując od czystego prognozowania, dylemat ów aż się prosi o zachodnią strategię, rozmyślnie zaplanowaną w celu zwiększenia szans postkomunistycznego przejścia do demokracji.

Ogólnie mówiąc, w następstwie fiaska komunizmu reżymy komunistyczne mają przed sobą dwie fundamentalne, długofalowe alternatywy. Pierwsza, to przekształcenie się w społeczeństwa o rozszerzającym się wciąż pluralizmie. Wymagałoby to początkowo tworzenia mieszanych, w rozmaitych proporcjach, państwowo-prywatnych sektorów gospodarczych, legitymizowanych coraz

wyraźniej socjaldemokratyczną frazeologią, co dałoby w niektórych przypadkach ewentualny punkt wyjścia dla opartego na masach zwrotu ku systemowi w przeważającej mierze wielorynkowemu. Alternatywą jest stagnacja w istniejących strukturach instytucjonalnych, z ludźmi u władzy latającymi to i owo w sprawach marginalnych, ale zachowującymi władzę dyktatorską dzięki wojskowo-policyjnej koalicji, która w coraz większym stopniu liczy na nacjonalizm — raczej niż na zrytualizowaną ideologię — jako na główne źródło legitymacji politycznej. W obu przypadkach pytanie dodatkowe, lecz ściśle z tym związane, brzmi: czy ruch w jednym albo drugim kierunku będzie miał charakter ewolucyjny, czy też pociągnie za sobą jakieś gwałtowne wstrząsy?

Jak dotąd, historia nie wróży zbyt dobrze tej pierwszej alternatywie. Sprawa przedstawia się inaczej niż w przypadku faszystowskich reżymów w Hiszpanii i Portugalii: umożliwiły one zmiany ewolucyjne zezwalając na powstawanie autonomicznych oaz działalności społecznej i gospodarczej, które w momencie krytycznym mogły być przekształcone w pluralistyczne źródła działalności politycznej. Jednakże reżymy typu sowieckiego stworzyły totalitarny model organizacji społecznej, który wykluczał tego rodzaju potencjalny pluralizm polityczny. Nawet w stosunkowo nietotalitarnej Jugosławii monopolistyczna tradycja komunizmu — zakorzeniona zwłaszcza w leninizmie — przeciwdziałała wyłonieniu się alternatywnych źródeł kierownictwa politycznego i jak dotąd blokuje stopniowe przekształcenie kraju w coś zbliżonego do socjaldemokracji.

Ponadto, jak już wspomniano, wraz z rozpięciem się ideologii elity komunistyczne wszędzie ulegają pokusie wzmocnienia i usankcjonowania swej władzy przez coraz bardziej hałaśliwe odwoływanie się do nacjonalizmu. Zdarzyło się to już w komunistycznej Polsce, gdzie na władzę partyjną nałożono władzę wojskową. To samo dzieje się, może trochę mniej jawnie, w Związku Sowieckim, ale owa tendencja prawdopodobnie przybierze na sile wraz ze wzrastającym rozczarowaniem ideologicznym. Silny nacjonalizm dochodzi niewątpliwie do głosu wśród przywódców chińskich. Chociaż może to podkopać dalszą żywotność doktryny komunistycznej, to jednak rozniesienie nacjonalizmu z pewnością dodaje siły impulsom autorytarnym. Wzmacnia ono te instytucje władzy, które mogą najskuteczniej przetransponować symbole nacjonalistyczne w reżymy dyktatury, hamując tym samym rozwój demokracji.

Byłoby jednak rzeczą niesłuszną całkowicie wykluczyć, że postkomunizm podaży w bardziej demokratycznym kierunku. W niektórych państwach komunistycznych samoemancypacja społeczna prowadząca do powstania społeczeństwa obywatelskiego, które współżyje z ustrojem politycznym, ale nie jest już przezeń

zdominowane, zapowiada możliwość stopniowego przekształcenia się w bardziej autentyczne formy pluralizmu. Szczególnie ważne jest oddziaływanie nowych środków masowego przekazu, ponieważ przełamują one komunistyczny monopol w politycznym dialogu społeczeństwa, a także umożliwiają artykulację alternatywnych poglądów politycznych.

Tabela na następnej stronie nie tylko ukazuje przypuszczalne stadia odwrótu od komunizmu, lecz również zaznacza niektóre wątpliwości co do potencjalnego porządku zmian politycznych w istniejących reżymach. Jak sugeruje wcześniejsza analiza, krytycznym, chociaż może koniecznym stadium takiego odwrótu jest faza druga, od której reżym może ewoluować w czterech alternatywnych kierunkach. Jak już zaznaczono, najprawdopodobniejsza wydaje się ewolucja w kierunku fazy trzeciej — postkomunistycznego autorytaryzmu — z mniej prawdopodobnymi opcjami fragmentacji, prób powrotu do fazy totalitarnej, lub bezpośrednio przejścia do demokracji pluralistycznej.

Tak czy inaczej, w tym procesie zmian utrata przez władzę komunistyczną monopolu w środkach masowego przekazu jest kluczem do załamania się komunistycznego totalitaryzmu. W warunkach komunizmu, a zwłaszcza jego intensywnej i monopolistycznej indoktrynacji, odbywa się następujący proces: powstaje ideologicznie wyobcowana masa, żadna przyswoić sobie alternatywne informacje, która w tym celu rzuca się skwapliwie na nowe techniki środków przekazu — zagraniczne audycje radiowe, telewizja, kasety video, prasa podziemna — żeby sformułować odmienny, acz niejasny światopogląd polityczny. Niepowodzenia w dziedzinie gospodarczej umożliwiają politycznie zaangażowanym intelektualistom przetworzenie tego światopoglądu w żądania nie tylko socjoekonomicznego, lecz również politycznego pluralizmu i rządów prawa.

Zbyt późne komunistyczne reformy gospodarcze, pociągające za sobą różne ustępstwa i decentralizację, mimowolnie przyczyniają się do stopniowej instytucjonalizacji takich ekonomicznych i politycznych przemian, a nawarstwione prowadzą do społecznego szturm na totalitarną dyktaturę.

Te procesy, które już teraz głęboko oddziałują na niektóre części komunistycznego świata, może przyspieszyć dalekowzroczna strategia Zachodu, zmierzająca do poparcia postkomunistycznej demokracji. W tej strategii nacjonalistyczno-autorytarna faza przejścia do postkomunizmu może być traktowana, chyba nawet w większości wypadków, jako nieunikniony etap w stopniowej likwidacji systemów marksistowsko-leninowskich. Leży jednak z pewnością w interesie demokracji, aby ów autorytarny etap był krótki, zwłaszcza że — w kontekście trudności gospodarczych i

niechęci mas do rządów komunistycznych — zniecierpliwienie narodu mogłoby łatwo eksplodować, doprowadzając do powszechnej i historycznie przedczesnej rebelii, co z kolei wywołałoby represyjną i bardziej apodyktyczną reakcję komunistów. Dlatego popieranie strategii stopniowej postkomunistycznej demokracji jest, w sensie historycznym, sprawą dość pilną.

FAZY ODWROTU OD KOMUNIZMU	STAN HISTORYCZNY
<p>Faza I: Komunistyczny totalitaryzm. Partia komunistyczna sprawuje kontrolę nad ustrojem politycznym Ustrój polityczny sprawuje kontrolę nad społeczeństwem i gospodarką</p> <p><i>Przejście do Fazy II:</i> drogą walk o sukcesję, które dzielą rządzącą partię komunistyczną i wzmagają presję społeczeństwa domagającego się ustępstw społeczno-ekonomicznych</p>	<p>Albania Korea Północna Wietnam</p> <p>Niemcy Wschodnie Rumunia Kuba Czechosłowacja</p>
<p>Faza II: Komunistyczny autorytaryzm. Partia komunistyczna kontroluje system, ale wyłaniające się społeczeństwo obywatelskie wyraża sprzeciw; polityczna supremacja w gospodarce zagrożona.</p> <p><i>Przejście do Fazy III:</i> najprawdopodobniej poprzez zamach stanu na najwyższym szczeblu jako reakcję na obawę reżymu przed wzrastającą presją społeczną; w wyjątkowych przypadkach bezpośrednio do Fazy IV; ewentualnie, przy zablokowaniu zmian, rozdrobnienie systemu lub represyjna próba powrotu do Fazy I.</p>	<p>Związek Sowiecki Chiny</p> <p>Nikaragua Węgry Polska</p>
<p>Faza III: Autorytaryzm postkomunistyczny. Reżym autorytarny, oparty głównie na nacjonalizmie; rytualizacja ideologii; społeczeństwo obywatelskie staje się społeczeństwem politycznym; koniec supremacji polityki nad gospodarką.</p> <p><i>Przejście do Fazy IV:</i> najprawdopodobniej burzliwe w ostatnim okresie Fazy III, chociaż w pewnych wyjątkowych przypadkach możliwa jest ewolucja pokojowa; ewentualnie, przy zablokowaniu zmian, rozdrobnienie systemu.</p>	<p>Jugosławia</p>
<p>Faza IV: Pluralizm postkomunistyczny. Ustroje polityczne i społeczno-gospodarcze stają się pluralistyczne.</p>	

W przyspieszaniu procesu więdnienia komunizmu szczególnie ważną rolę odgrywa potężne wręcz oddziaływanie hasła praw człowieka. Prawa człowieka to najbardziej porywająca idea polityczna naszego czasu. Jej głoszenie przez Zachód już zdołało zepchnąć do defensywy wszystkie bez wyjątku reżymy komunistyczne. Jej siłę przyciągającą tłumaczy wyłanianie się coraz bardziej wykształconych i politycznie uświadomionych mas, które nie dają się już tak łatwo trzymać w izolacji i indoktrynować. Postkomunistyczne reżymy autorytarne będą szczególnie uczulone na działanie hasła praw człowieka, a to z uwagi na brak wszechobejmującej, wiarygodnej, nieodpartej ideologii. Tak więc będą doktrynalnie nieszczelne i kruche politycznie.

Głoszenie praw człowieka nie tylko zepchnęło do defensywy istniejące reżymy komunistyczne, lecz w oczach świata postużyło do oddzielenia komunizmu od demokracji. Dzięki skupieniu uwagi świata na odmowie prawa wyboru pod rządami komunizmu, łamaniu praw jednostki, braku praworządności i wreszcie monopolu politycznym zarówno w dziedzinie masowych środków przekazu, jak w życiu gospodarczym — dzięki temu wszystkiemu znacznie wyraźniejszy stał się związek między systemem wielopartyjnym i gospodarką rynkową a demokracją. Pluralizm uważa się dziś powszechnie za antidotum na totalitaryzm. Rezultatem tego jest rozpowszechniona obecnie nawet w państwach komunistycznych akceptacja tezy, że komunizm demokratyczny to oksymoron.

Aktywne propagowanie praw człowieka dostarcza także moralnego uzasadnienia dla bezpośredniej kampanii demokratycznej mającej kształtować coraz bardziej niezależne i politycznie nieustępliwe społeczeństwa obywatelskie w istniejących dziś reżymach komunistycznych. Narodziny autonomicznego społeczeństwa obywatelskiego są punktem wyjścia dla ostatecznego wyzwolenia się społeczeństwa spod władzy komunistów. Już teraz w wielu państwach komunistycznych, nawet w Związku Sowieckim, spontanicznie powstają niezależne ugrupowania, korzystające z nowych technik szerzenia informacji. Autonomiczny dialog polityczny, jaki dzięki temu dochodzi do głosu, może przyczynić się do powstania demokratycznej jednomyślności co do koniecznych przemian socjoekonomicznych, a zatem do przekształcenia dysydemizmu w prawdziwą opozycję polityczną; taka opozycja byłaby w pewnym momencie zdolna albo wynegocjować pokojowe przekazanie władzy, albo też politycznie wykorzystać wyrządzenie się agresywnego komunistycznego totalitaryzmu w ustępliwy postkomunistyczny autorytaryzm.

Co więcej, niektóre z istniejących reżymów wschodnioeuro-

pejskich, po przejściu — może nie bez aktów przemocy w końcowym stadium — przez fazę postkomunistyczną, zintegrują się prawdopodobnie w pełni z resztą świata. Nasilająca się wymiana naukowa, kontakty intelektualne i nawet stosunki handlowe z państwami komunistycznymi mogą się zatem również przyczynić do procesu demokratyzacji, zwłaszcza gdy będą iść w parze z próbami przyspieszenia narodzin autentycznie samorządnych społeczeństw obywatelskich w istniejących reżymach komunistycznych. Dlatego gorzka acz zaprawiona nadzieją ironia historii polegają może na tym, że dla niektórych komunizm okaże się ostatecznie niezamierzonym i kosztownym etapem przejściowym od społeczeństwa preindustrialnego do rozwiniętej demokracji pluralistycznej.

Tego rodzaju ostateczne wchłonięcie pewnych państw komunistycznych przez szerszą społeczność naszego globu może zyskać jeszcze na znaczeniu przez fakt, że w tym stuleciu demokracje pluralistyczne przyswoiły swoim własnym ustrojom niektóre z łagodniejszych, a nawet konstruktywnych aspektów marksistowskich dążeń do społeczeństwa doskonałego. W miarę jak socjaldemokracja na Zachodzie występowała z licznymi projektami wielkich programów zmierzających do wzrostu ogólnego dobrobytu — nawet w tych demokratycznych ustrojach, które najbardziej cenią wolną inicjatywę, podejmowano przez ostatnie kilka dziesiątków lat firmowane przez państwo akcje w takich dziedzinach jak opieka społeczna, równe szanse kariery osobistej, progresja podatkowa dla zmniejszenia nierówności społecznych, dostęp do oświaty dla warstw biedniejszych i zapewnienie minimum opieki lekarskiej szerokim masom ludności. Dzięki temu pluralistyczna i oparta na inicjatywie indywidualnej demokracja osiągnęła również wyższy stopień świadomości społecznej.

Owo włączenie świadomości społecznej w procesy demokracji politycznej podkreśla jeszcze silniej słuszność tezy, że komunizm nie ma już żadnej historycznej misji do spełnienia. Cechujący demokrację wzrost poczucia społecznej odpowiedzialności, powiązany z autentyczną swobodą wyboru politycznego — formuła, w której państwa nie stawia się na piedestale, lecz używa się go jako narzędzia o ograniczonym działaniu, mającego dopomóc społeczeństwu i jednostce wyrażać myśli i uczucia — stworzył doskonały mechanizm zaspokajania ludzkich potrzeb, jak również ochrony ludzkich praw. Na całym świecie kładzie się coraz większy nacisk na inicjatywę jednostki i politycznie niezależną solidarność społeczną, a jest to odbiciem lepszego zrozumienia faktu, że najważniejsze marzenia ludzkości mogą przemienić się w koszmar, jeśli dogmatyczne i wszechmocne państwo stanie się przedmiotem czci jako główny motor dziejów.

Z katastrofalnego zetknięcia ludzkości z komunizmem, jakie

nastąpiło w dwudziestym wieku, płynie zatem nauka bolesna, lecz niesłuchanie ważna: utopijna inżynieria społeczna koliduje w sposób zasadniczy ze złożonością kondycji ludzkiej, a siły twórcze społeczeństwa rozkwitają najlepiej, gdy władza polityczna jest ograniczona. Dzięki tej podstawowej lekcji wydaje się tym bardziej prawdopodobne, że to demokracja — a nie komunizm — będzie siłą dominującą w dwudziestym pierwszym wieku.

Zbigniew BRZEZIŃSKI

(Tłumaczył ATK)

Widziane z Brukseli

KWADRATURY I KANTY OKRĄGŁEGO STOŁU

Piątek, 7 kwietnia 1989.

Lotnisko Okęcie w Warszawie.

Stoję przed okienkiem i obliczem WOP-u. Porucznik, jeżeli pamiętam jeszcze stopnie i insygnia, o twarzy zawodowo surowej, bada skrupulatnie mój belgijski paszport, datę i miejsce urodzenia, sprawdza czy zdjęcie zgadza się z oryginałem, przynosi kilka razy wzrok z małej czerwonej książeczki na twarz byłego rodaka. Obaj milczymy. Jego twarz nieruchoma, moja coraz bledsza.

Nagle urzędowy głos z budki. Słyszę pytanie:

— Pan pierwszy raz?

— Tak, pierwszy...

Już myślę, że pierwszy i ostatni, aż nagle głos niesie z budki:

„Od wczoraj jest już bezpośrednie połączenie ze Lwowem. Do widzenia panu”.

Taki był mój jedyny kontakt z umundurowanym przedstawicielem państwa polskiego. I takie były przedostatnie słowa usłyszane w Warszawie, gdzie, po dwudziestu latach przerwy na emigracji, spędziłem dziesięć dni na przełomie marca i kwietnia tego roku. Trzy dni — w ekipie dziennikarskiej towarzyszącej premierowi Belgii z wizytą oficjalną w Polsce, potem tydzień jako sprawozdawca z epopei Okrągłego Stołu.

Dwadzieścia lat to informacja, a nie metafora. Wszelkie porównanie z bohaterami Dumasa byłoby nadużyciem. W moim pobycie w Polsce nie było ani *cape*, ani *épée*, ani, *hélas*, Milady, i był tylko jeden muszkieter, Jerzy Pawłowski, były mistrz szablów świata, były więzień skazany za szpiegostwo na rzecz USA, ułaskawiony w ramach niedawnej wielkiej wymiany agentów. Pawłowski nie wyjechał, postanowił zostać w Polsce (gdzie mu teraz odmawia się... paszportu), wziął po kilkunastu latach przyמושowej przerwy na nowo szablę w dłoń w turnieju „Złotej klin-

gi *Dziennika Łódzkiego*”, co spotkało się z oburzoną ripostą (słowną) uniesionych honorem byłych jego entuzjastów.

Kożakowski, zapytany o swoje wrażenia z powrotu do Warszawy, posłużył się opowieścią Wertyńskiego, który poznał, że wrócił do ojczyzny, kiedy na dworcu w Moskwie skradziono mu walizki. Dla mnie takim skrótem była sprawa Pawłowskiego: przed atakami obrońców honoru ojczyzny wyzło go mianowicie w obronę pismo tygodniowe *Prawo i Życie*.

Pawłowski, dowodziło *Prawo i Życie*, skazany był za szpiegostwo, a nie za zdradę (to nie to samo), odsiedział dziesięć lat, został ułaskawiony i choć jest ciągle pozbawiony niektórych praw obywatelskich, to nie stracił prawa należenia do klubu sportowego i startu w turniejach. I nikt nie powinien ani nie może mu tego prawa odbierać. W wywiadzie, nie tym zwykłym, a prasowym, Pawłowski ponadto tłumaczył, że szpiegował dla Amerykanów nie za pieniądze, a za zwykły zwrot kosztów podróży i że właściwie przyczyniał się ideowo do likwidacji wadliwie funkcjonującego systemu politycznego, mianowicie okresu stagnacji Breżniewa. Najlepszy dowód, że miałem rację, powiada Pawłowski, to fakt, że ja jestem wolny, a zięć Breżniewa, Czurbanow, siedzi w kryminalu.

Mniejsza o jakość argumentacji Pawłowskiego. Ja chcę powiedzieć, że kiedy wyjeżdżałem dwadzieścia lat temu, *Prawo i Życie* nie krzyżowało szpady w obronie prawa, praworządności i kultury obyczajów. Wprost przeciwnie. A teraz? To są moje walizki Wertyńskiego.

Widziane spoza stołu

Coś z atmosfery Dumasa jednak było. Spisek, mianowicie. Mój, prywatny. Zostałem przeszczeglowany (legalnie dopuszczony był tylko telewizyjny *pool*, prasa drukowana wstępu nie miała) do sali balowej Pałacu Radziwiłłów, gdzie byłem świadkiem ostatniego pisma Okrągłego Stołu. Fotografie i filmy już dawno przekazały detale. Ale nie mogły przekazać szoku, jaki wywołał u mnie (i u innych zapewne także) widok witających się uprzejmie i z uśmiechem Wałęsy czy Kuronia z Kiszczakiem. Powiadają, że na inauguracyjnym posiedzeniu Kiszczak powiedział, iż cieszy się, że nareszcie ma okazję poznać pana Kuronia i że go sobie wyobrażał inaczej. Ale nie powiedział jak.

Być może miejscowi byli na taki widok szczeni. Ja nie. Naprzeciw, twarzą w twarz, oko w oko, na równych prawach policjanci i ich więźniowie, internowani i strażnicy, uśmiechnięci panowie, którzy zamykali innych uśmiechniętych panów, siedzących obecnie nie w celi, a w pałacu Urzędu Rady Ministrów. No, a jeżeli wspomnieć o górnikach, to uśmiechali się do siebie ci, którzy strzelali do nich w grudniu 1981 i ci do których, na szczęście, w ich przypadku niecelnie strzelano. *Herald Tribune* wydrukował zdjęcie z zakończenia Stołu: uśmiechnięty, lekko zatroskany Kiszczak pochyłony nad siedzącym Wałęsą. „Aniołstróż”, powiedział mój rozmówca.

Liryka, symbolika, dramat? Fraternizacja, powiadają niektórzy, piją kawę i drinki, zamykają się w Magdalence. Między zakładnikami i porywaczami, przypominają inni, też się zawiązywały nici jakiejś przyjaźni. Od tego, że się strażnik uśmiecha i częstuje papierosem, zmienia się jakość warunków, w jakich więzień przebywa, ale nie zmienia się istota sytuacji więziennej. Mury i kraty. Strażnik pozostaje strażnikiem, a więzień — więźniem.

Kuroń rozbija wrażenie *dolce far niente*. Złudzenie, powiada. Dla mnie to nie nowość, ja resort gen. Kiszczaka znam od dawna. Spędziłem dziewięć lat w jego więzieniu. I też się ze strażnikami, wchodząc i wychodząc z więzienia, witałem i żegnałem. Wiedziałem co robię, wiedziałem, że to grozi siedzeniem, nie wiedziałem tylko, że siedzieć będę kiedyś nie w celi na Rakowieckiej, a przy Okrągłym Stole w pałacu Radziwiłłów. Ale cały czas, w celi i u Radziwiłłów, byłem wolnym człowiekiem.

Geremek, na chłodno, ujmuje to tak samo, tylko inaczej. To prawda, powiada, że po obu stronach siedzą w znacznej mierze przeciwnicy, ale przeciwnicy, którzy stali się partnerami w konkretnej sprawie, a mianowicie, jak ocalić kraj. W domyśle: co będzie potem, to się okaże. A Onyszkiewicz, zapytany czy partia komunistyczna to jeszcze przeciwnik, czy już partner, odpowiada: kontrpartner. W brydżu u Ireny, rozumiem, ale w polityce? Czy to jest właśnie polska specyfika?

Piotr Bikont, reżyser filmowy, kręcił dokumenty ze strajków, a teraz, od początku do końca kręcił Okrągły Stół. Sala balowa Radziwiłłów tak mu spowszedniała, że określa ją w języku „zeków” jako „ogólny spacerniak”. Snob, chyba. W sprawie fraternizacji nie ma złudzeń. Konkretnie. Opowiada, jak Frasyniuk udzielał wywiadu red. Z. z rządowej telewizji: „Siedziałem, powiedziały Frasyniuk do dziennikarza, kilka lat, oglądałem wasze programy i marzyliśmy w celi, że nadejdzie chwila, kiedy spotkamy się oko w oko i naplujemy wam w twarz. Niestety jest teraz w kraju taka sytuacja, że nie mogę tego zrobić”.

Atmosfera ogólnego spoufalenia, powiada Bikont, lansuje polska telewizja. Nasi, podkreśla reżyser, naprawdę wiedzą z kim mają do czynienia, przecież u nas wszyscy to ludzie z wyrokami, byli bici, szkalowani, wyrzucani z pracy, niektórym wiszą ciągle wyroki z zawieszeniem. Nie mają kompleksów. Bujak np. tłumaczył spokojnie swym „kontrpartnerom”: „Nie uczcie nas, my wiemy, jak budować państwo obywatelskie, wy się znacie tylko na państwie policyjnym”.

Michnik znalazł na nich sposób. Chcieli mu przyciąć wywiad dla telewizji. „Ja was, wyjąkał, obsmaruję w Wolnej Europie”. Nie wycieli.

Widziane przy stole

Normalni ludzie, znaczy się nie politycy, w Warszawie i w Brukseli, i gdzie indziej na Zachodzie, zadają mi to samo pyta-

nie: czy z tego coś wyjdzie? Odpowiadam: nikt nie wie. Wałęsa i Rakowski powiedzieli mi w gruncie rzeczy to samo: to jest skok w nieznaną, woltżerka bez siatki ubezpieczającej, takiej sytuacji jeszcze w Europie komunistycznej nie było. Nie ma precedensu. Wszyscy wierzą w „życie po-okrągło-stołowe”, ale nikt nie wie, jak się ono potoczy.

Wałęsa zaczął negocjować pod hasłem: „nie ma wolności bez Solidarności”. Solidarność już jest, a czy, pytam, jest w Polsce wolność? Odpowiedź sprowadza się do dylematu czy możliwa jest ciężka na 50 %, albo czy butelka jest do połowy pełna czy pusta? Wolność nie poddaje się ścisłej arytmetyce, powiada np. Onyszkiewicz, matematyk z wykształcenia. Polacy są dziś wolniejsi niż kilka miesięcy, tygodni czy nawet kilka dni temu. Nikt, powiadają, nie marzył nawet o tym, co udało się osiągnąć przy Okrągłym Stole. Według rozumowania negocjatorów z opozycji, Polska nie jest już państwem totalitarnym, a jest państwem autorytarnym, wkraczającym na drogę przemian w kierunku demokracji parlamentarnej.

Geremek zakłada, hipoteza robocza naturalnie, że po stronie władzy jest w tej chwili wola zmiany modelu rządzenia, którą należy tłumaczyć zarówno trudną sytuacją wewnętrzną w Polsce, jak kryzysem całego systemu politycznego w Europie wschodniej. Jest bez złudzeń. Mamy do czynienia, tłumaczy, z chęcią zachowania władzy, ale przy równoczesnej przebudowie sposobu jej sprawowania. Jeżeli traktujemy drugą stronę jako partnera w sposób wiarygodny zaangażowanego w poszukiwanie nowych form ustrojowych i nowych form rządzenia państwem, to nie przez naiwność. Opozycja, przynajmniej ta, która negocjuje w sali balowej Radziwiłłów, nie zakłada dobrej woli rządu Rakowskiego, a jego wyrachowanie. Rząd nie ma innej drogi. Co innego może teraz zrobić niż wejść w dialog ze społeczeństwem?

Kuroń rozumuje podobnie. Porozumienie jest teraz możliwe dlatego, że obóz rządowy doszedł do wniosku, iż jego system jest całkowicie irracjonalny, zniewala człowieka i marnuje owoce jego pracy, że jest nie do utrzymania. Trzeba zatem zmienić kierunek. Jeżeli mamy iść do demokracji, to możemy się z tamtą stroną porozumieć. My też szukamy drogi odejścia od komunizmu. Ten kawałek drogi możemy zrobić razem.

Z kilku stron słyszałem w Warszawie pogląd, że alternatywy do kompromisu nie było i że, choć jest to *ta sama partia* co w grudniu 1981, to jest to *nie taka sama partia*. Niektórzy liczą na proces „italianizacji” PZPR, to znaczy ewolucji w kierunku socjaldemokracji.

Nie wiem, może. Wiem natomiast, że taki scenariusz zakłada to, co Francuzi nazywają *alternance*, to znaczy szacunek dla uczciwej gry wyborczej, ewentualność (w Polsce dziś pewnik) przegrania przez PZPR wyborów i usunięcia się ze sceny politycznej. Solidarność też tak uważa, ale jest przekonana, że nie jest to możliwe na obecnym — nazywają go przejściowym — etapie, natomiast będzie możliwe w przyszłych wolnych wyborach, najpóź-

niej w 1993 roku, a może na 200-lecie Konstytucji 3 maja w 1991 roku. W każdym razie, powiadają, sam fakt, że partia w ogóle o takiej alternatywie dyskutuje, już jest ogromnym postępem.

To samo pytanie zadałem Rakowskiemu, ale sformułowałem je bardziej agresywnie. Zapytałem go mianowicie, czy to, że następne wybory mają być wolne i demokratyczne oznacza, że obecny premier gotów jest poprowadzić partię do nieuniknionej wszak klęski wyborczej i utraty władzy. Siedzieliśmy w gabinecie premiera w urzędzie Rady Ministrów w Alejach Ujazdowskich, odpowiedź Rakowskiego była... wymijająca. Monopol partii trwał 45 lat, powiedział, ten okres się skończył. Partia w tym czasie utraciła zdolność bicia się o wyborców i ich zaufanie i poparcie. Jesteśmy, powiedział, zdecydowani sprawić, aby była ona zdolna w niedalekiej przyszłości wygrać naprawdę wolne wybory.

Widziane zza stołu

Naturalnie nie wszyscy są w Warszawie przekonani, że nie było alternatywy do kompromisu. Nie dla wszystkich Okrągły Stół zakończył się w ogóle kompromisem. Niektórzy uważają, że opozycja przegrała Okrągły Stół albo co najmniej, że źle rozegrała tę partię. Wielu odrzuca założenie choćby cienia dobrej woli czy dobrej wiary władzy, nie dopuszcza w odniesieniu do PZPR założenia domniemania niewinności.

Rząd, powiadają, zrodzony jest z 13 grudnia 1981, co kładzie trwałe piętno na jego wiarygodności. Powtórzyłem ten pogląd Rakowskiemu, pytając, czy to nie paradoks, że akurat ci sami dwaj ludzie, którzy kierowali likwidacją Solidarności w 1981 roku, dziś prowadzą operację jej legalizacji? Po co jedli tę żabę i zmarnowali siedem chudych lat? Rakowski odpowiedział, że to paradoks pozorny. Powtórzył znaną i zasadniczą dla władzy tezę o tym, że bez 13 grudnia nie byłoby Okrągłego Stołu, a byłaby wojna domowa, interwencja zewnętrzna, zimna wojna na 25 lat i inny niż Gorbaczow lokator na Kremlu.

Na moją uwagę, że Polacy nie wydają się o tym przekonani, Rakowski odpowiedział, że pewnego dnia będą. Wątpię, ale nie wiem. Znam natomiast wielu, którzy przekonać się nie dadzą. Uważają oni, że Solidarność dała się wciągnąć w pułapkę, w system, że poszła za daleko rezygnując z hasła niepodległości i zgadzając się na tak szybki, czerwcowy termin wyborów.

Przeciwnicy czerwcowej daty uważają, że państwo generała Jaruzelskiego dysponuje ogromnym i wyćwiczonym aparatem ludzkim i mechanicznym, szeroką siecią gazet, ma monopol na radio i telewizję, że w skrócie mówiąc, ma nieporównanie większe możliwości przeprowadzenia skutecznej kampanii wyborczej, nie mówiąc już nawet o ogromnym mechanizmie nacisku politycznego, materialnego, czy po prostu zastraszania. Demokracja, powiadają, to nie tylko głosowanie, ale przede wszystkim liczenie głosów, a pod tym względem strona rządowa jest silniejsza, albo

wiem ma doświadczenie manipulowania wszystkimi wyborami od 45 lat.

Niektórzy uważają, że opozycji grozi rozbitcie lub rozmycie, m.in. na tle faktu, iż rząd liczy na to, że Solidarność będzie pomagać w gaszeniu pożarów społecznych, że więc sprzeniewierzy się swej misji związkowej. Skutkiem tego będzie koniec legendy Wałęsy i spadek jego autorytetu, co będzie prawdziwym dramatem, jako że pozbawi Polskę jedyne jej dzisiaj charyzmatycznego przywódcy. Nie mówiąc już o Zachodzie, który dziś tylko Wałęsę uznaje za reprezentatywnego przywódcę Polski. Są tacy, którzy widzą już w Polsce dwie elity, a nawet dwie nomenklatury.

Nie będę przedłużać tego remanentu opozycji do opozycji. Czesław Bielecki, architekt z zawodu, wydawca z powołania, publicysta z temperamentu i sceptyk z charakteru, miał bardzo oryginalne wystąpienie na Forum Kultury Niezależnej. Przytoczę tutaj jego słowa nie dlatego, iżbym sądził, że podziela on wymieniony tu przeze mnie (niepełny zapewne) katalog skarg i zażaleń opozycjonistów wobec Okrągłego Stołu. Ale to co opowiedział na Forum stanowi sugestywny i dowcipny skrót myślenia szkoły sceptycznej.

Syn Bieleckiego zapytał: „Tato, co to był komunizm?”. A Bielecki na to: „To był tak inteligentny i perfidny system, że ty nawet nie wiesz, iż to trwa nadal”. Dialog ojca z synem wywołał burzę oklasków na Forum, co świadczy chyba o tym, iż w swoim sceptycyzmie Bielecki nie jest — jak to niektórzy twierdzą — odosobniony.

Widziane spod stołu

Takie byłyby elementy schematu, bardzo nieprecyzyjnego, rysującego się po kilkudniowym pobycie w Warszawie. W tym miejscu muszę sformułować moje cztery *ceterum censeo*, relatywizujące ten spis z natury.

Po pierwsze, uwagi te są spisane po pobycie wyłącznie w śródmieściu Warszawy, i to nawet w jego bardzo wąskim perymetrze, mieszczącym się między hotelem Victoria, hotelem Europejskim (biuro prasowe Solidarności) i Interpressem (konferencje prasowe rządu i jedyne miejsce, skąd można mieć połączenie telefoniczne z Brukselą w ciągu 5 minut).

Po drugie, kontakty miałem prawie wyłącznie z przedstawicielami elity w ogóle, a intelektualnej w szczególności, „elit” czy „nomenklatur” politycznych i, sporadycznie, nowej burżuazji „komprandorskiej” oglądanej głównie w drogich restauracjach. Ulice i mieszkańców Warszawy znam z okiem taksówki i z drugiej ręki.

Po trzecie, miałem tylko bardzo ograniczony kontakt z „opozycją do opozycji” w Solidarności, żadnego z „betonem” i OPZZ, czyli opozycją „partyjną” wobec partii.

Po czwarte i ostatnie, spisywałem te notatki jako dziennikarz zachodni. Jestem, to nie sztuka, lepiej przygotowany do pracy w Polsce, choćby z uwagi na język i znajomość terenu i ludzi, niż mój przeciętnie zorientowany zachodni kolega, ale nie przejmowałem się niektórymi szczegółami czy nawet procesami, które Polakom wydawać się mogą zasadniczej wagi. Oznacza to także, że wyeliminowałem, na tyle na ile to było możliwe, z dzisiejszego mojego pisania akcenty osobiste, które nieuchronnie wpłynęłyby na kolor obrazu.

A teraz do rzeczy. Ktoś powiedział, że przepaść można pokonać tylko jednym skokiem. Oto znowu w czterech punktach, dlaczego się na to zdecydowano.

1. Co prędzej: reforma czy wybuch?

Po pierwsze więc, idzie prawdziwy wyścig z czasem między tym, co się określa jako ogromny sukces polityczny, to znaczy Okrągły Stół, a napięciem gospodarczym i społecznym. Położenie gospodarcze Polaków jest znane, czytelnikom *Kultury* nie należy tego tłumaczyć. Ale na tym czarnym tle wyjątkowo uderzająca jest, i wydaje mi się groźna, schizofrenia walutowa. Złoty jest monetą pomocniczą, prawdziwym środkiem obiegowym jest dolar. Nastąpiło odwrócenie pojęć. Teraz kupuje się nie tylko dolary, ale i... złote. Dwóch moich naiwnych belgijskich kolegów zauważyło, że jest kilka kursów wymiany. Wymienili po najwyższym, 3.000 zł za dolara w PKO, i chcieli tymi złotówkami zapłacić za hotel. Naturalnie nie udało się. O 12-tej w nocy, a odlot miał nastąpić o świcie, znalazłem ich w hallu hotelowym z harmonią złotych w rękę i już bez dolarów. Powiedziałem im wtedy: Drodzy, Polacy są biedni, ale nie idioci.

Na razie to banał, cena za naiwność. Ale to nie koniec. Ktoś zorientowany poradził, żeby wyjść przed hotel i zaproponować taksówkarzom operację odwrotną: nie sprzedaż dolarów, a sprzedaż złotych. Po 5-ciu minutach transakcja była zawarta: szoferzy odkupili złote, zapłacili dolarami z 5-procentowym zarobkiem. I wszyscy byli szczęśliwi.

Wszyscy z wyjątkiem tych, którzy nie mają złotówek aby kupować dolary, ani dolarów żeby kupować złotówki. W Polsce odbywa się wtórny proces stratyfikacji społecznej. Nie według majątku w złotych, a według posiadania dewiz. Powstaje klasa nowo-bogatyh i nowo-biednych, względnie i bezwzględnie. W tych warunkach, kiedy bieda kojarzy się z poniżeniem, opinia publiczna jest wyjątkowo wrażliwa na hasła najbardziej demagogiczne, a nastroje społeczne, według niektórych graniczące z apatią, mogą ulec gwałtownemu przyspieszeniu i radykalizacji. Niektórzy uważają, że niebezpieczeństwo eksplozji jest realne.

Stąd teza zarówno rządu jak i opozycji, że trzeba „coś” zrobić, aby społeczeństwo, a zwłaszcza młodzi, dla których Solidarność i Wałęsa to już legenda i historia, nabrało choćby minimalnego

zaufania w przyszłość, w Polsce a nie na emigracji. Otóż procesy sanacji gospodarczej trwają długo, wymagają więcej czasu niż zmiany polityczne. Geremek twierdzi, że trzeba roku lub dwóch, aby ujrzyć pierwsze rezultaty, Wałęsa, że dłużej, Rakowski, że trzeba pokolenia, inni — że jeszcze więcej. A tymczasem zwolennicy tezy o tym „czymś” uważają, że to „coś” trzeba zrobić szybko, albowiem to „coś” jest do zrobienia tylko w warunkach względnego spokoju. Stąd pośpiech: trzeba zdążyć, zanim ruszą nieuniknione strajki i niepokoje.

Najbliższy chyba zakręt jest już mniej więcej znany. Jest więcej niż groźny. Nazywa się to „urynkowaniem gospodarki żywnościowej”. Co to znaczy? To znaczy puszczanie na żywioł rynkowych cen żywności, zniesienie dotacji, inaczej mówiąc będzie to gwałtowna (ok. 200 %) eksplozja cen. Solidarność od lat opowiada się za urynkowaniem całej gospodarki. Czy jednak może pozwolić na to, aby pierwszym krokiem na tej drodze była podwyżka cen zakrawająca na prawdziwą prowokację? Czy trzeba się rozwodzić nad zasadniczą rozbieżnością interesów między robotnikami i chłopami, miastem a wsią na tym tle? A co zrobią załogi, kiedy rząd — jak to zapowiada — zacznie naprawę likwidować nierentowne zakłady przemysłowe?

2. Oko opatrności

Po drugie, według moich rozmówców, Kościołowi się także spieszyło. Nie jest to moja specjalność, stąd tylko krótko. Otóż rola Kościoła w przygotowaniu i skutecznym przeprowadzeniu procedury Okrągłego Stołu jest — według niektórych — większa nawet niż się to sądzi. Ks. Orszulik ujawnił kilka rewelacji. Według niego bez interwencji Kościoła, a zwłaszcza bez inicjatywy arcybiskupa Bronisława Dąbrowskiego (chodzi o spotkanie z rządem czy partią w Wilanowie 17 i 18 listopada ub. roku), nie byłoby X plenum KC (tego z groźbą dymisji Jaruzelskiego i Rakowskiego) no i, co za tym idzie, nie byłoby Okrągłego Stołu. Takie postawienie sprawy i taka genealogia „przełomu” spotkały się z tak nieudolną repliką *Trybuny Ludu*, że mogła ona jedynie — jak to zwykle bywa — potwierdzić to, co chciała zdementować,

Bóg z nimi. Ja słyszałem, że część hierarchii kościelnej uważa, iż okres nielegalności wzmógł w Solidarności wpływ ludzi wywodzących się z partii komunistycznej, a potem z KOR-u. Legalizacja, jawność działania, szybkie zawarcie kompromisu, wejście w ramy nowego systemu politycznego pozwoli — według tego rozumowania — Kościołowi, który z Okrągłego Stołu wyszedł z istotnie wzmocnionym (na ile to było jeszcze możliwe) autorytetem, na bardziej skuteczną obecność i na silniejszy wpływ na taktykę i strategię Solidarności.

Zwolennicy tej tezy uważają, że to nie przypadek, iż właśnie w momencie wysokiego napięcia na finiszu Okrągłego Stołu rząd i Kościół zawarły porozumienie co do prawnego statutu Kościoła

w Polsce i — w ślad za tym — otwarcia drogi do nawiązania stosunków dyplomatycznych z Watykanem. Sprawa ta, według moich rozmówców, jest na porządku nie dnia, a ostatnich czterdziestu lat, a właściwe negocjacje toczą się, zdaje się, od lat dziesięciu. Stosując marksistowski sposób rozumowania, można powiedzieć w języku partyjnym, że zbieżność porozumienia Kościół — Państwo z emocjami u Radziwiłłów nie jest dziełem przypadku.

3. „Łowi moment”

Trzeci argument na rzecz przyspieszenia procedury prowadzącej do kompromisu Okrągłego Stołu dotyczył — to nie niespodzianka — koniunktury sowieckiej. Prawie wszyscy moi rozmówcy zgodni byli co do potrójnego równania:

a) że pozycja osobista Gorbaczowa nie jest w tej chwili poważnie zagrożona. Widziane z Warszawy, opowieści o konflikcie na Kremlu między tymi, których się określa jako reformatorów i konserwatystów, wydają się w prasie zachodniej mocno przesadzone;

b) że i tak do *pieriestrojki* nie ma alternatywy, że z Gorbaczowem czy bez niego, jakiś scenariusz podobny do jego programu będzie realizowany;

c) ale że, w kontekście niepowodzeń *pieriestrojki*, fatalnej sytuacji aprowizacyjnej (właśnie kiedy byłem w Warszawie, ogłoszono, że nawet w Moskwie, i to od 1 maja, cukier będzie na kartki) i konwulsji w stylu gruzińskim czy bałtyckim, nie jest wykluczone, iż jakiś zygak czy wyhamowanie może nastąpić, że *Titanik pieriestrojki* trafi na górę lodową i że zderzenie takie niosłoby ryzyko skrócenia smyczy tolerancji sowieckiej wobec ekstrasragancji polskich czy węgierskich.

Trzeba więc postępować tym szybciej, im bardziej ikonoklastyczne są projekty reform. *Łowi moment* czyli korzystają z okazji, takie było sowieckie tło warszawskiego przyspieszenia. W wywiadzie, o którym już wspominałem, zapytałem Rakowskiego czy wie którądy w optyce Kremla przebiega granica poszukiwań polskiej istoty narodowej i czy interpelował w tej sprawie Moskwę? Odpowiedział dwa razy „nie”. Zapytałem go wtedy, czy uważa, że nastąpił prawdziwy koniec doktryny Breżniewa i czy groźba interwencji sowieckiej już nie istnieje? Odpowiedział tylko (to zresztą niemało), że za Gorbaczowa takiej groźby nie ma. Dalej się nie posunął.

Problem sprzężenia między ewolucją sytuacji w Polsce i w ZSSR jest stale obecny w dyskusjach w Warszawie, choć jakby za cichą zgodą, właściwie albo prawie się o tym publicznie nie mówi. Sprawy międzynarodowe, polityczne, dyplomatyczne i geostrategiczne zostały praktycznie wyeliminowane z debaty przy Okrągłym Stole, choć naturalnie współkształtowały logikę negocjacji. Zarówno zresztą u tych, którzy zachowują daleko posu-

nięty sceptycyzm wobec szans *pieriestrojki* i demokratycznych instynktów Gorbaczowa, co i u tych, którzy idą za Michnikiem, który — zdaniem np. Kisiela — wprost zakochał się w Michaille Siergiejewiczu.

Odniosłem wrażenie (moje spotkanie z uczestnikami „Konwersatorium: Polska w Europie”, stanowiącym chyba załączek niezależnego Instytutu Spraw Międzynarodowych, było pod tym względem bardzo przekonywujące), że istnieje w Warszawie głód i potrzeba otwartej, poważnej debaty na tematy międzynarodowe, poszukiwania alternatywnych rozwiązań czy opracowania alternatywnej polityki zagranicznej dla Polski. Wyraźnie rysuje się dylemat: słusznie czy niesłusznie, polityka zagraniczna, a zwłaszcza dziedzina stosunków z ZSSR, a w tym sprawa anachronicznej, opartej o wyschłą ideologię struktury Paktu Warszawskiego, zostały, dla przyczyn zapewne taktycznych, zepchnięte w milczenie albo co najmniej w głęboką dyskrecję. Według niektórych specjalistów w Warszawie — niesłusznie. Strefa swobody w tej dziedzinie jest — według nich — szersza niż ta, z której i rząd i opozycja w tej chwili korzystają.

Kreml zapewne interesuje się ewolucją polskiego eksperymentu. Polski sukces lub fiasko odegrać mogą pewną rolę w wielkiej debacie, jaka przechodzi przez ZSSR. Ale nie należy przesadzać w ocenie wpływu, jaki może on mieć na losy Gorbaczowa i jego programu. Nie jest więc wykluczone, że Wałęsa pojedzie w końcu do ZSSR. Pytanie tylko, na czyje zaproszenie. Najlepiej Sacharowa...

4. Zachód: nie za wszelką cenę

To prowadzi mnie do ostatniego (na dziś, bo jest ich oczywiście znacznie więcej) punktu wypisanego z warszawskich nocy. Zachód jest także zainteresowany doświadczeniami w polskim laboratorium. Zachodowi, naturalnie, zależy na demokratyzacji, na desowietyzacji czy dekomunizacji Polski (jeżeli założyć, że Polska w ogóle była kiedyś skomunizowana czy zsovietyzowana). Taki proces wykracza daleko poza ramy problematyki praw człowieka, na którą Zachód się głównie powołuje. Obiektywnie biorąc, proces przechodzenia największego sojusznika ZSSR z totalitaryzmu do autorytaryzmu (okropny nowotwór), a potem (niektórzy mają nadzieję) do demokracji parlamentarnej, wpisany jest w bilans czy równowagę sił Wschód-Zachód, czyli w podstawową sprawę epoki.

Otóż Zachodowi na tym wszystkim zależy, ale nie za wszelką cenę. Na przykład nie za cenę destabilizacji Europy wschodniej i perspektywy uszkodzenia temu, co tu na Zachodzie uważa się za pokojowy program przekształcania Związku Sowieckiego w praworządne i pokojowe „mocarstwo jak każde inne”. Tak je przed laty określił George Kennan, autor — jako pan „X” — formuły „powstrzymania”, któremu jednak — moim zdaniem — jego bieżące formuły mniej się udały.

Zachód byłby więc skłonny Polsce pomóc w taki sposób, aby Polska mogła kontynuować reformy unikając wstrząsów, które by polskim, ale i — w ich rozumowaniu — sowieckim reformom groziły załamaniem. Aby taką pomoc uruchomić, rządy zachodnie, skute wymogami parlamentarnymi, potrzebowały pretekstu. Okrągły Stół dał taki pretekst.

Stąd, kto żyw, rzucił się z radami, jak Zachód powinien reagować na sygnały ze Wschodu. Bush po kilku miesiącach „reewaluacji” amerykańskiej polityki zagranicznej wymyślił zasadę *status quo plus*, czyli doszedł do wniosku, że najlepiej jest niczego nie zmieniać i kontynuować linię Reagana. Kissinger rzucił pomysł dogadania się USA i ZSSR ponad głowami państw Europy wschodniej — takiej „drugiej Jałty”. „Dear Henry” bardzo się tego wyrzeka, dementuje, woła, że nie dał niczego takiego na piśmie, że został źle zrozumiany, ale jego następca w Departamencie Stanu, James Baker, wziął go — na razie bez większych skutków — na poważnie. *Trilateral Commission*, czyli potężna amerykańsko-europejsko-japońska grupa polityków i finansistów, też zajęła się wschodem Europy. Bez rewelacji. Brzeziński rozważa problem Europy wschodniej w kontekście generalnego i ostatecznego kryzysu komunizmu. Parlament brytyjski, EWG, wszystkie instytuty politologiczne... obrodziły latoś w recepty na Ost-politykę.

Można je sprowadzić do pobożnego życzenia, aby — nie negując „rozumiały” interesów strategicznych ZSSR — sprawić, aby nie służyły one uzasadnianiu narzucania przez ZSSR niepopularnych (co za eufemizm) reżymów w krajach Europy wschodniej. Teraz pozostaje już tylko praktycznie wprowadzić to w życie...

Na razie to bowiem teoria. W praktyce Zachód, który ze wzruszeniem patrzył, jak miękko lądowały w demokracji pravicowe dyktatury od Grecji i Hiszpanii po Brazylię i Koreę południową (a jutro zapewne i Chile), dysponuje tylko jednym realnym modelem i dowodem na odwracalność dyktatury lewicowej czy komunistycznej, która zresztą wcale, w tym konkretnym wypadku, nie będzie lądować w demokracji. To model afgański. Otóż Zachód nie życzy sobie — nikt sobie chyba nie życzy — aby ktoś w Europie wschodniej uznał, że model afgański mógłby zostać zastosowany także i po naszej stronie Uralu.

I tu wracamy do Warszawy. Sporo osób w Warszawie jest przekonanych, że istnieje inny niż afgański model wychodzenia z komunizmu i że taki model mógłby się zrodzić właśnie w Polsce Okrągłego Stołu. W taki model — powiadają w Warszawie ludzie z obu stron Stołu — Zachód powinien szybko i słono inwestować. To dobry interes dla Polski, Wschodu i Zachodu, czyli w ogóle dla wszystkich ze Związkiem sowieckim na czele.

Pierwszym gościem zagranicznym w Warszawie „po-Okrągło-Stołowej” był prezydent Finlandii. Widzisz — powiedzieli — to więcej niż symbol, to program dla Polski. Może? Pomarzyć zawsze warto.

Epilog

Piątek, 7 kwietnia 1989.

Lotnisko Okęcie w Warszawie.

Stoję przed obliczem celnika. Ogląda skrupulatnie mój paszport belgijski, potem walizkę, ale nie każe otwierać. Obaj milczymy. Jego twarz nieruchoma, moja coraz bledsza. Nagle głos:

— Pan pierwszy raz?

— Tak — i znowu myślę, że ostatni.

— Co pan wiezie?

— Nic, rzeczy osobiste.

— Może kawior?

— Kawior? Z Warszawy!? — myślę, że zwariował.

— Tak, z Warszawy. Widać, że Pan nietutejszy. Pan nie zna życia.

Leopold UNGER

Pisane 14 kwietnia 1989

Pomówmy o pieriestrojce i głośności

Na zmiany w ZSSR patrzemy z podziwem — lub z lekceważeniem (że niby to wszystko już było, że to obliczone na uwiedzenie inteligencji i Zachodu). Pomyślmy jednak, czy i jak możemy na nie wpłynąć.

Zastanówmy się, dlaczego podziemie w Polsce osiągnęło, może mierne, lecz jednak sukcesy. Nie stało się tak dzięki odwadze i determinacji znanych opozycjonistów, nie stało się też tak na skutek nieudolności ubecji. Wprost przeciwnie, ich zdolność penetracji „struktur” była duża, ich umiejętność zastraszania i terroryzowania dla wyrwania zeznań — również. Ludzie „sypali” dużo, szczególnie młodzi i kobiety. Bywaliśmy bardzo nieostrożni. Skąd więc trwałość, odnawialność podziemia „wydawniczego” czy radia, która spowodowała tyle frustracji i depresji u fachowców z firmy gen. Kiszczaka?

Uważam, że podstawową przyczyną naszej niezniszczalności jest masowość ruchu i związana z nią anonimowość, brak spreżykowanych ram organizacyjnych, wielość kierunków ideowych czy politycznych, a nawet... skłócenie personalne i przysłówiowe już bałaganiarstwo i niechlujstwo. Szczególnie na początku „wojny” ubecy starali się od nas wycisnąć „schemat powiązań organizacyjnych”, pytali o „szefa” i jego kontakty z Bujakiem, byli zawiedzeni, że jesteśmy tacy twardzi i że nie sypiemy. A ci z nas, którzy takie „schematy organizacyjne” rysowali, szybko powodowali wpadkę totalną. Dopiero po dwóch latach wyrwało się jednemu z moich „wypytywaczy”: „toż u was jest burdel chyba porównywalny z naszym!...”. Taki ruch, w odróżnieniu od „struk-

tur" i organizacji, jest naprawdę trudny do spenetrowania, a skutki wpadek nie są szerokie.

Poza tym — kwestia motywacji. Przyjaciel mój, faktyczny szef i dusza KREGU czasu „wojny”, na moje ostrzeżenia: „Bądź ostrożniejszy, nie ryzykuj tyle”, odpowiadał: „Lubię poczytać ciekawe książki, chcę, by inni je też czytali. Muszę je więc wydrukować, prawda? A że IM się to nie podoba, to ICH sprawa. Barbarzyńcy. Mogą mnie co najwyżej zamknąć na parę lat. Ale książki już będą, jeśli zdążymy je oddać w kolportaż, więc do roboty”. Takie rozumowania bywają zaraźliwe.

Gdy przed laty przygotowywałem do druku pierwszą książkę o „Solidarności” po rosyjsku (dla ZSSR, oczywiście), spotkałem się z dwiema reakcjami znawców (upraszczam, lecz niewiele):

a) Rosjanie są bierni, są zsowietyzowani na tyle, że nie warto w ich rozbudzenie wkładać wysiłku;

b) Jest pychą i głupotą dawać Rosjanom rady lub ich krytykować, sami wiedzą, co w ich warunkach można zrobić. To, co oni przeszli oraz w czym żyją, jest nieporównywalne z naszym „miękkim” totalitaryzmem.

Nie wchodzę w istotę tych rozważań, oba sądy są chyba tylko częściowo słuszne. Sądzę, że w każdym społeczeństwie znajdzie się jakiś procent „nawiedzonych”, którym pomóc można i warto. W pewnych społeczeństwach jest ich 1%, a w innych może jeden na sto tysięcy. W obu wypadkach — TYM ludziom warto pomóc. Warto też zwiększyć ich liczbę. Nieważne jest przy tym dla użytku obecnego apelu, czy będą to ekologowie, czy zwolennicy ekonomii liberalnej, czy też monarchiści lub trockiści. Niech głoszą SWOJE prawdy, ale niech wiedzą, że mogą, że potrafią je drukować i kolportować. Ze środki techniczne są w ich zasięgu. Oraz, co najważniejsze, muszą pokonać wpojone przez pokolenia przekonanie, że podziemie to rzecz zbrodnicza, że tajne drukowanie jest zdradą państwa, więc „w gruncie rzeczy” KGB ma rację, gdy „zdrajców” łapie. Znam na tyle wewnętrzną zę imperium, by uważać, że uczony profesor-psychiatra z Instytutu Serbskiego, podający jako diagnozę choroby dysydenta „schizofrenia bezobjawowa” — mógł w to wierzyć. Otóż — nasza i Rosjan nadzieja głównie w tym, by choć ułamek procentu mieszkańców wewnętrznej zony pokonał barierę obrzydzenia czy niechęci do „podziemia”, do „zdrady państwa”, czyli w naszym języku, do pracy na „ramce” czy na „dojściu”. Doświadczenie pokazuje, że Rosjanie (czy Ukraińcy lub inni, nieważne), którym się pokazuje pracę „ramki” czy „sita”, są zachwyceni prostotą i skutecznością tych metod.

A sieć kolportażu, choćby z początku słaba i niepewna, jest objawem (i drogą do) przechodzenia ze społeczeństwa zatamizowanego do obywatelskiego. Represje, jeśli będą, obetną, jak u nas, słabsze gałązki drzewa, które później tym lepiej będzie się rozwijać. To nie okrucieństwo ani cynizm, to doświadczenie. Obecnie zaś aż nie chce się wierzyć, że znana redakcja opozycyjna w ZSSR używa komputera i drukarki do powielania egzemplarzy swego pisma! Nikt im nie pokazał, że „sitkiem” robi się

to 100 razy szybciej i 1000 razy taniej. No i bezpieczniej — łatwiej przecież schować.

W ZSSR obserwujemy „rewolucję zadekretowaną z góry”, potrzebną władcom dla wydajniejszej pracy poddanych. Nawet większość inteligencji, której aktywność niezbędna jest nomenklaturze dla unowocześnienia systemu, raczej biernie korzysta z zadeklarowanej liberalizacji. Z naszego punktu widzenia — raczej czyta *Literaturkę*, niż pisze w prasie niezależnej. Dziwne, ale i opozycjoniści polscy myślą głównie o tym, jak *glasnost* w ZSSR może wpłynąć na sytuację w Polsce czy demoludach. W sprawie zmian w ZSSR zachowują postawę obserwatora lub (na szczęście nieliczni) uwiedzionego i zakochanego. Obie te postawy są bierne. Musimy sobie jednak uświadomić, że my musimy i MOŻEMY wpływać na *glasnost* czy *periestrojkę*. Przecież *periestrojka* dotyczy naszego wspólnego przodującego systemu! Spróbujmy go przebudować na naszą modłę.

„Małe jest piękne”. Potwierdziliśmy tę maksymę w Polsce w ostatnich kilku latach. Dlatego też naszym kolegom z wewnętrznej zony powinniśmy przekazywać szczególnie techniki proste, jak „ramka” i „sito” w dziedzinie drukarstwa, czy też schematy małych automatycznych nadajników na UKF, które tak pięknie zdały egzamin na fonii TV. W tym ostatnim wypadku doświadczalnie pokonał własne obawy, że „oni nas natychmiast namierzą”, gdyż skuteczna pelengacja na falach UKF okazała się nad siły speców z SB i KGB. W 1982 roku przyjechały przecież do Warszawy ekipy „specjalistów sowieckich” do pelengacji. I odjechały.

Myślmy o pomocy dla Rosjan czy Ukraińców, jak i Bułgarów czy Rumunów. Przepraszam za pisanie oczywistości, lecz zdarzało mi się uczestniczyć w dialogach tego typu: — Wiesz, poznałem Bułgarkę, która jest zachwycona naszą prasą niezależną. — Czy wyjaśnięś jej, jak łatwo się pracuje na ramce? — Nie, przecież w Bułgarii niewiele się dzieje... — Właśnie przez takich jak ty, bęcwałe!

Pomyślmy więc raczej o tym, jak rozzarzyć „ewolucję od dołu”, jak zachęcić do knucia w swoim uniwersytecie czy swojej fabryce średnio odważnego chłopaka w Rostowie czy Kalininie. Można mi zarzucić, że zamiast cicho działać — głośno gadam. Otóż nie o to chodzi, by doświadczenia ciekły jedną dziurką (no bo i zatkać ją łatwiej...), lecz by „ciekło” całą powierzchnią, by ci, którzy potrafili drukować czy budować nadajniki, zechcieli udostępnić swą wiedzę znajomym w Rosji, byś TY, który nigdy nie drukowałeś, znalazł drukarza i zapoznał go za swoim przyjacielem Litwinem — itp. Byśmy WSZYSCY o potrzebie przekazywania naszych doświadczeń pamiętali.

A wtedy, przy masowych wysiłkach, również KGB (dla którego powinniśmy mieć wielki respekt!) może się okazać bezsilne, a później — pogodzone z faktami. Musimy wykazać, że „ewolucja” jest skuteczniejsza od „rewolucji”.

„W ogromnej sali na piątym piętrze gmachu KC słysząc było na tle nocy i śpiącego miasta denerwujący, niespokojny łopot czerwonej flagi targanej porywistym wiatrem na dachu sąsiedniego skrzydła...”.

Kiedy transmitowano w telewizji fragmenty tego partyjnego dreszczowca, przebywałem w pewnym domu czasowym skazany na oglądanie tych niezwykłości w licznym towarzystwie, zgromadzonym w sali telewizyjnej. Poruszył mnie antykomunizm tej sali, chociaż był to po prostu dom czasowy, a nie jakaś kuźnia antybolszewizmu. Pewien starszy jegomość poplukał w stronę ekranu, kobiety wygrażały rękami, w które moja imaginacja wkładała im wałki do ciasta. Bolała mnie głupota tych wyzwisk i fanatyzm złorzeczenia. Mam naiwną wizję inteligentnego antykomunizmu i tolerancyjnego sprzeciwu. Ale kto widział inteligencję i tolerancję u tonących w gnojówce. Fakt, że ludzie przestali u nas już wierzyć nawet w prawdę, staje się obecnie problemem nie tylko władzy, ale również naszym. Jak wygrzebać się spod góry kłamstw, którą nas przygnieciono?

Jestem w wieku, gdy się odkrywa ze wstydem, że tak późno, iż ogromna większość ludzi to idioci, jak również, że należy udawać przed samym sobą, że tak nie jest.

Przyjechał Leszek Kołakowski... po dwudziestu latach. I od razu obnażył naszą prowincjonalność. Otaczał go tłum rodzimych intelektualistów, jak niegdyś w afrykańskich wioskach starszyzna otaczała białego, nie dopuszczając do tak godnego przybyścia osób niedomytych i o złych manierach. Nie uchronili jednak filozofa przed błędem, którego nie musiał popełnić. Otóż pewnego dnia zadzwonił do niego funkcjonariusz MSW prosząc dosyć kategorycznie, aby przybył na Rakowiecką. Groził łagodnie wydaleniem z kraju. Nie wiem, co pomyślał filozof, ale z pewnością przestraszył się co nieco, gdyż tak już jest, że emigrant zabiera ze sobą cały bagaż lęków i nawyków z czasu, gdy kraj opuszczał. Intelktualna ochrona Kołakowskiego nie tylko nie powstrzymała go przed udaniem się na Rakowiecką, ale nawet do tego namawiała. Przyjął Kołakowskiego pułkownik znany z tego, że napisał pracę doktorską o KOR-ze. Zganił słynnego filozofa, że na spotkaniu na Uniwersytecie powiedział, że *Trybuna Ludu* to sieczka. Miał również pretensje o jego udział w obradach Komitetu Obywatelskiego. Najlepsza była pointa spotkania, bo gdy już się wydawało, że doprawdy nie ma o czym mówić, nagle onieśmiewiony funkcjonariusz zapytał, co profesor „tak osobiście i od serca radziłby władzy robić w tak trudnej sytuacji?”.

Przez lata uczymy siebie i młodzież, że ze Służbą Bezpieczeństwa nie wolno rozmawiać, a idzie się na przesłuchanie tylko

Kraj

Dziennik zewnętrzny

Nie wiem doprawdy, czy czas działa u nas na korzyść władzy, czy opozycji, już chyba raczej na niekorzyść wszystkich, bez wątpienia natomiast utrudnia życie miesięcznikom zajmującym się polityką. Jeśli porównać naszą rzeczywistość (czy może raczej nierzeczywistość) do rzeki, to jej nurt niezwykle przyspieszył, ale na brzegach to samo, co od 200 lat. Jako że raczej rzadko zajmuję się „brzegami” to, co napiszę, po miesiącu już nieaktualne, po półtora miesiąca wydaje się pomyłką, a po dwóch smętną paplaniną pesymisty-frustrata. I aż strach oglądać się wstecz, aby mnie nie wzięła na rogi jakiś byk, którego sam zmajstrowałem. A poza tym już przecież niemal wszystko co ciekawe i straszne można przeczytać w krajowej oficjalnej prasie. Obraz ojczyzny, jaki się wyłania z tej lektury, jest doprawdy zatrważający i właściwie najlepiej czytać gazety z zamkniętymi oczami. Oto pierwsze z brzegu pismo — *Przegląd Tygodniowy* — relacjonuje styczniowe plenum: „Po osiemnastu godzinach ostrej, nerwowej dyskusji Biuro Polityczne krytykowane za zbytnią ustępliwość i kapitulancstwo, ale także za nieskuteczność swoich działań opuściło miejsce za długim stołem prezydialnym. Wojciech Jaruzelski zgłosił gotowość podania się do dymisji [...] Wraz z nim w takiej samej sytuacji znaleźli się kluczowi członkowie Biura Politycznego: w tym szefowie — rządu, wojska i milicji. Wszystko albo nic. Całe plecy miałem mokre od potu — wspomina jeden z członków KC. — Wszyscy wpatrywaliśmy się w puste miejsca w prezydium i myśleliśmy chyba o tym samym — jaki ranek powita Polskę za kilka godzin: pogodny czy złowieszczy?”.

Ledwie żywy ze strachu czytelnik już chciał zaczerpnąć oddechu, ale właśnie wtedy, jak w każdym dobrym kryminale, otrzymał następny cios:

po otrzymaniu druku z odpowiednim numerem sprawy. Jakiz to więc był zły przykład dla naszej młodzieży.

Na marginesie tej historii pewna znajoma przypominała sobie, jak przed wielu laty wspólnie z Leszkiem Kołakowskim chodziła po mieszkaniach agitując ludzi, by wzięli udział w referendum, głosując trzy razy tak. Oboje nie mogli się nadziwić, czemu ci odwiedzani tak okropnie się ich boją. I pomyśleć, że siew tego dawnego lęku wydał owoc, który po czterdziestu niemal latach pchnął filozofa na Rakowiecką.

A poza tym jestem pełen podziwu i uwielbienia dla profesora Leszka Kołakowskiego. *Chapeau bas!*

Mamy oto nowe magiczne pojęcie wyrosłe w cieplarni naszej propagandy. Stalinizm. Czego tam już nie wyhodowano: stonkę ziemniaczaną, syjonizm, przejściowe trudności. Teraz jest stalinizm. To on winien wszystkiemu. Jak wirusowa choroba zniekształcił szlachetny socjalizm. Co dziwniejsze, trwał aż do roku 1988. Dopiero rok 1989 zerwał ze stalinizmem ostatecznie. I w gruncie rzeczy cała obecna ekipa, której korzenie tkwią w latach pięćdziesiątych, to byli liberałowie, tylko ukryci, zręcznie zamaskowani czekali na sprzyjające okoliczności, by się ujawnić w swojej prawdziwej postaci.

A stan wojenny? To był tylko proces wychowawczy, przykry zabieg dydaktyczny, wszystko dla dobra „Solidarności” i, jak zauważył sam Jaruzelski, to właśnie stan wojenny uratował niezależny związek.

A ja uparcie widzę katastrofę ekonomiczną i zupełnie nie widzę bunkra, w którym mógłby się ukryć jakikolwiek generał.

Śmierć Józefa Cyrankiewicza nieuchronnie obnażyła ciągłość władzy PRL, na pogrzebie byli wszyscy dzisiejsi dygnitarze, a nad trumną przemówił szef rządu: „Pożegnamy go dziś, wspominając serdecznie wszystko to, co uczynił dla postępu społecznego, dla polskiej radykalnej lewicy. Będziemy powracać do dzieła, które pozostawił po sobie...”. Jeśli wypada się wturzać w mowę pogrzebową, to chciałbym zauważyć, że nie ma po co wracać, w tym dziele po prostu żyjemy. A jak połączyć stalinowską przeszłość towarzysza Józefa, tę słynną rękę, którą chciał odrąbać robotnikom Poznania, z obecnym „liberalizmem” tych, co go żegnali? Otóż da się: „Talenty Józefa Cyrankiewicza przejawiały się w działaniach ograniczonych możliwościami jego epoki” — ciągnął dalej premier i nawet pożałował, że „dzisiaj nie może z nami stanąć młody Józef Cyrankiewicz”.

Cóż za wzruszające pojęcie: „ograniczenie możliwościami epoki”. Czyż nie jest to bliski kuzyn „racji stanu” i krewniak „ko-

nieczności historycznej”? Ta miła rodzina potrafi usprawiedliwić każdą głupotę tego świata i każdą zbrodnię.

Generał Kiszczak stał na szczycie schodów Pałacu Radziwiłłowskiego i witał wchodzących, z których wielu wydawało się dopiero co zbiec z listów gończych lub wymknąć się pościgowi z udziałem dziesiątków pojazdów i setek naganiaczy, którymi kierował osobiście ów uśmiechnięty generał. Obecnie zdawał się mówić: ale była zabawa, te łapanki, fingowane procesy, wieloletnie kary więzienia, ścieżki zdrowia na komendach, opluskwanie w gazetach, a wyście się dali nabrać, że to wszystko było naprawdę — tu powinien się minister generał klepnąć w udo i wybuchnąć śmiechem: — A teraz, kochani, uściśnijmy się!

I rzeczywiście ścisnął serdecznie kolejne dłonie, a szczególnie czule witał się z Jackiem Kuroniem, co podkreślił słownie. Bodajże tylko Zbyszek Bujak przeżył prawdziwy dramat wewnętrzny. Gdy przyszła jego kolej, stanął nagle i zawahał się — pewnie jak przed swoim pierwszym skokiem spadochronowym — co robić. Nie podać ręki — idiotycznie, podać też niedobrze, no ale skoro już się przyszło... i podał, ale z trudem, jakby dźwigał na dłoni wielki ciężar. Władysław Frasyniuk, kto wie, czy nie najbardziej ścigany człowiek w PRL, nasz współczesny Janosik, miał już przemysłaną wersję zachowania — wyciągnął rękę i odwrócił głowę. Nawet jeśli nasza wielomilionowa publiczność doceniła walor tego spektaklu, to wkrótce śmiertelnie począł ją nudzić późniejszy codzienny serial sprawozdawczy z obrad okrągłego stołu; w przeciwieństwie do brazylijskiego matysiakowatego gniota „W kamiennym kręgu”. A przecież dzięki transmisiom w naszych domach znaleźli się niedawni bohaterowie podziemia, męczennicy więzień. Mówili bez cenzury, tuląc do piersi teczki z napisem „Solidarność”. Było wiele dobrych, a nawet świetnych przemówień, sporo scen symbolicznych i wzruszających, ale wszystko od razu pokrył grubą warstwą kurz niewiary widzów, że cokolwiek z tego będzie. Znalazła się jednak grupa Polaków, którzy uwierzyli w okrągły stół, w sposób, który pozwalała nawet mówić o łasce wiary. Nadesłali oni tysiące listów, które często zaczynały się od słów „Kochany Okrągły Stole”. Proszono w nich o pomoc we wszystkich możliwych sprawach, były nawet listy pisane przez rozżalonych mężów, którzy skarżyli się na niewierne żony.

Ja nie musiałem pisać listów, gdyż po pierwsze nie mam łaski wiary, po drugie — okazało się niespodziewanie, że znam osobiście prawie wszystkich przedstawicieli strony nazwanej solidarnościowo-opozycyjną. Poczułem nagły przypływ dumy, że znam oto niemal w komplecie przedstawicieli społeczeństwa. Równie szybko jednak ogarnęły mnie wątpliwości — może my już nie

reprezentujemy społeczeństwa, a tylko siebie? Może raczej mają Jurczyk, Gwiazda, Morawiecki oraz ich zwolennicy, którzy nie chcą ewolucji, lecz rewolucji? Chwilami, gdy nie mogę czegoś kupić, gdzieś się dodzwonić, rozwścieczy mnie telewizja albo dopadnie jakieś wspomnienie, jestem gotów się do nich dołączyć. Na trzeźwo jednak nigdy, bo — przepraszam za tchórzliwy argument — nadal nie mamy czołgów. Poważniejszą jednak przeszkodą wydaje mi się fakt, że rewolucja jako sposób rozwiązywania totalitaryzmu jest doszczętnie skompromitowana. Zarówno dawne doświadczenia jak i dzisiejsze — choćby Nikaragua czy Iran — uczą nas, że rewolucja nie tylko pożera własne dzieci, ale przede wszystkim demokrację. Dlaczego nasze głodne i wyniszczone moralnie społeczeństwo ma być wyjątkiem w tej mierze? Czy ewolucja, na którą stawia „radziwiłłowska” opozycja ma szansę, czy to wszystko, co jest próbą nowego układu politycznego, a co takie niepewne, nie doprowadzi do wybuchu tym groźniejszego, że opóźnionego i to w sytuacji, gdy niemal wszystkie autorytety opozycji będą skompromitowane? Doprawdy nie wiem. Żałuję tylko, że nie włożono choćby trochę wysiłku, by porozmawiać z Solidarnością Walczącą, z radykalnym odłamek PPS, z tzw. „grupą roboczą” i KPN-em.

Najgroźniejsza jednak wydaje się nie opozycja w opozycji czy w partii, ale śmiertelne zmęczenie społeczeństwa, wyczerpanie się cierpliwości i egoistyczne otepienie.

Jestem w małym miasteczku. Odwiedzam kilku raczej zaможnych jego mieszkańców w ich obszernych betonowych domach, w które zainwestowali całe swoje życie, umiejętność dawania łapówek i załatwiania materiałów budowlanych. Te domy to zarazem świątynia i bunkier. Zdejmuje się buty przed wejściem na pokoje, dzieci nie mają prawa zapraszać swoich rówieśników, bo nabrudzą. W salonie stoi kilka telewizorów, ale tylko jeden jest czynny, reszta to lokata pieniądze.

Pytam o okrągły stół. Peszą się, jak nieprzygotowany uczeń wywołany nagle do tablicy. Po chwili wahania mówią: „To i tak nic nie da, niech przyjadą do nas na prowincję, to się przekonają, że tu już niczego się ruszyć nie da. Będzie wszystko jak było”. A przecież ci ludzie komunizm uważają za dopust Boży, nie wyobrażają sobie jednak, by mogło być inaczej i nawet — obawiam się — w czymś innym nie potrafiliby żyć. A ich patriotyzm, czy choćby przywiązanie do społeczności lokalnej, wydają się zalane betonem.

Wracając do Warszawy, zajeżdżam na wieś. Zafrasowany chłop poprawia czapkę:

— Oj, źle się, panie, dzieje. Miasto chce przeżyć kosztem wsi.

— Czy ten Wałęsa da radę, przecież diabła nikt nie przechrzył?

Potem oboje skarżą się na nowe ceny kosiarek, na nowe podatki.

— Te miastowe zupełnie nie myślą o chłopie. Im się wydaje, że chłopą przechrzają, ale się przeliczą, bo chłop jakoś przeżyje, a miastowe będą ściany jeść — z groźnym błyskiem w oku oświadczył na koniec chłop. I zamilkł twardo, jakby zatrząskiwiał swoją pooraną twarzą na zardzewiałą kłódkę.

I rzeczywiście to już nie są żarty. Chłopi zaczęli masowo bić świnie, bo uznali, że ich hodowla jest nieopłacalna. Można się więc spodziewać, że kiedy wkrótce głód zajrzy nam w oczy, to będzie miał spojrzenie mordowanej świni.

Jak rodzi się obojętność, a nawet niechęć do obrad okrągłego stołu, mogłem się przekonać osobiście, gdy ukradziono mi po-nownie zapasowe koło samochodowe. Skarzyłem się już niegdyś na tę dotkliwą stratę, nie spodziewając się, że nastąpi dalszy ciąg cierpień. Koła są kradzione, gdyż nie kupisz ich w sklepie, kradną je najpierw złodzieje, a potem właściciele ograbionych pojazdów. I tak przez czas jakiś nie posiadałem zapasowego koła, bardzo jak się okazało szczęśliwie, gdyż w tym czasie trzykrotnie włamywano się do mojego samochodu w wiadomym celu. Kiedy w końcu zdołałem nabyć koło na giełdzie samochodowej, poczułem jednocześnie radość i głębokie upokorzenie. Kosztowało mnie ono średnią krajową pensję, a do tego kupiłem z pewnością od złodzieja, być może nawet swoje własne, ukradzione. Nic dziwnego, że po takich doświadczeniach schowałem cenny przedmiot do piwnicy. I o zgrozo... wkrótce ukradziono mi koło z piwnicy. Poczuję wtedy niespodziewany gniew na obrady okrągłego stołu — niech mi oddadzą koło, a przynajmniej niech tyle nie gadają. I poczułem, że nic mnie nie obchodzą te doniosłe przemiany, które mają być Bóg wie kiedy i które nic mi nie pomogą w nieszczęściu.

Udałem się tym razem na stadion Skry, gdzie w każdą niedzielę jest wielki pchli targ. Tłok nieprawdopodobny. Ludzka magma przetaczała się wokół stadionu w zwartych, gęstych pierścieniach. Jak już wpadniesz w pierścień, toczyć się musisz przed siebie, tłamszony, popychany, kopany. Po bokach tłum sprzedających, też jakby pomięty i smutny. A sprzedaje się tam wszystko, są nawet książki drugiego obiegu, ale przede wszystkim towary wykupione ze sklepów, rzeczy kradzione i łupy z handlowych wycieczek zagranicznych. I wszystko było, nawet niedostępne sedesy, ale koła ani śladu. Rozgniewałem się na złodziei, że w tym tygodniu tak słabo pracowali. Ale najgorsze było moje wyobcowanie w tym tłumie, obcość tych twarzy, na ogół okrop-

nie brzydkich, tej całej gorączkowej krzątaniny wokół pieniędzy. I rozumiałem, że cały ów tłum nic a nic mnie nie obchodzi, że marzę tylko o tym, by się wznieść na skrzydłach ponad to wszystko i polecieć do pachnących luksusem zachodnich sklepów. Poczuję śmiertelne zmęczenie tym krajem, ludźmi. Oh, nawet nasze piękne powstania wydały mi się obrzydliwe. I zabolął mnie przenikliwie brak pieniędzy, niepokój o jutro i ten brak skrzydeł.

Dopiero teraz jasno widać, że 13 grudnia to był początek agonii systemu. Jadowita pszczoła wbiła swoje żądło, ale razem z wnętrzościami. Niestety przy okazji został zatruty korzeń, który dostarczał nam tlenu.

System się cofa jak potop gnojówki. Wyłania się obraz takich spustoszeń, że doprawdy nie wiadomo co robić, może już nic. A póki co nadal trwa proces niszczenia. I po raz pierwszy poczułem, że mogę dotknąć pęknięcia, jakie ma w sobie ten naród. To pęknięcie ma wielowiekową historię, ale dopiero komunizm wszedł w nie jak drapieżny guz i brutalnie rozepchnął.

To jednak nie tłumaczy, czemu tak mało ekscytujemy się dogorywaniem systemu. Przecież tak długo czekaliśmy. Wydawało się, że to będzie niezwykle, jak wybuch wulkanu, trzęsienie ziemi, czy choćby zarżnięcie dużego knura. A tu nic; szaro, brudno, kolejki, pachnie koszarami. I oto mamy zbiorowe przeświadczenie, nawet my średni i młodzi, że nie dożyjemy czasu, kiedy wszystko będzie u nas choćby normalnie, nie mówię luksusowo. Ja na przykład nie wyobrażam sobie, abym mógł kiedykolwiek w Polsce wejść do sklepu, w którym nie będzie kolejki, a za to uśmiechnięta ekspedientka i jaki taki wybór towarów. Że zapraszam znajomych do restauracji — stać mnie na to i jest nawet kilka smacznych potraw do wyboru. Albo wchodzę do urzędu i wcale nie czuję skurczu żołądka. O tak, każdy mógłby tu szybko zrobić swój inwentarz braku nadziei. I właśnie ten brak jest powodem, że już nic nie budzi naszego entuzjazmu. A zbiorowy pesymizm fatalnie wroży na przyszłość, bo uruchamia prawo samospełniającej się przepowiedni.

Mój upolityczniony znajomy opowiada wstrząśnięty, jak to jechał niedawno autobusem PKS, włączone było radio, mówił właśnie Wąłęsa i nikt go nie słuchał, tylko wszystkich drażniło, że ktoś tak hałasuje. Inny znajomy wrócił właśnie z domu wczasowego i opowiada, że podczas relacji z obrad okrągłego stołu ludzie wychodzili z sali telewizyjnej, a zostawał tylko głuchy starszulek. Sami aktorzy okrągłego stołu, gdy ich spotykam, mówią o własnym sceptycyzmie i zmęczeniu. Podczas pertraktacji władza czyni czasami wrażenie, że sama nie wie, czego chce. Robi

krok do przodu, by nazajutrz się cofnąć. Jest to taniec wokół własnego lęku, by nie utracić w przyszłości kontroli nad sytuacją. Dlatego jak ostatniej twierdzy bronią nomenklatury i telewizji. Obrady utrudnia wielki pośpiech, bo strona partyjna naciska na terminy, bojąc się, że wulkan wybuchnie, zanim zrobi się jakieś obszerne ujście dla społecznego gniewu. Jest to więc sytuacja, gdy obie strony mają bardzo mało czasu, a przecież podejmowane są decyzje, od których może zależeć przyszłość kraju. Jest to jakby budowa zupełnie nowych struktur — często już w założeniu pokracznych — chaotycznie i po omacku. Demokracja, która ma powstać, nosi już nazwę „socjalistyczna demokracja parlamentarna”, a więc jest to demokracja ograniczona. Wybory zaś mają być niekonfrontacyjne, czyli nie w pełni demokratyczne. Wzruszający jest ten wysiłek obu stron, by PZPR nie utraciła władzy. I to może nawet uda się na czas jakiś zagwarantować, ale co zrobić, by społeczeństwo przecierpiało jeszcze przez kilka lat codzienną mękę — na to już nikt nie ma pomysłu.

Czas, kiedy martwi powstają z cmentarzy. Nie wiadomo jednak, czy to prawdziwe zmartwychwstanie, czy wylażą reanimowane mumie.

Cóż za niezwykle ożywienie oficjalnych związków zawodowych (OPZZ), jakie buńczuczne ich oświadczenia, jak dzielnie jedzie na białym koniu i macha szabelką Alfred Miodowicz. Co żeście robili, dzielni związkowcy, kiedy milicja ładowała do pudła waszych kolegów z „Solidarności”, gdy powszechny gwałt czyniono w zakładach pracy, gdy rujnowano naszą gospodarkę?

Podnosi grafomańską głowę oficjalny Związek Literatów zwany Zlepem, smętny twór stanu wojennego. Pomstuje, że rozwiązywanie dawnego Związku było błędem. Nie do wiary, ci szlachetni pisarze żądają dzisiaj, by zdjęć topór katowski znad głowy Zdzisława Najdera, gwałcą sojusze, domagając się wypuszczenia z więzienia Vaclava Havla, a nawet bronią Rushdiego, narażając się na krwawą zemstę muzułmanów. Co robiliście, dzielni literaci, kiedy wiedziano do więzień pisarzy, wybebeszano ich mieszkania, rekwirowano książki?

W tym chórze zwolenników demokracji brakuje mi już tylko funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Ciebie, majorze, co opowiadałeś, że „Solidarność” to był spisek żydowski, ciebie, kapitanie, który mówiłeś, że widziałeś sznur, na którym miano powiesić twoje biedne dziatki.

Najgorsze, że to wszystko już było — pamiętamy ożywiony i wyszlachetniały sejm w czasie „Solidarności” i ten sam sejm w stanie wojennym, rechocący żabim śmiechem, gdy obecny członek Zlepu, pułkownik Przymanowski, sztychł z nas więzionych, wywlekanych z domów, bitych...

„Wysoka inteligencja, ogłada, dobre maniery” — ogłosiła tłustym drukiem *Trybuna Ludu*. To o nas, Polakach, pisze tak miło hiszpańska prasa. Tytuł hiszpańskiego tekstu już gorszy: „Polscy uchodźcy wypierają Filipińczyków na rynku służby domowej”. Rzecz mówi o polskich emigrantach w Hiszpanii. Jak donosi z satysfakcją partyjna gazeta, „autorzy fotoreportażu przedstawiają pracę polskiej służby domowej w najlepszych barwach. Chwalą Polaków za na ogół wysoką inteligencję, ogładę, dobre maniery, kulturę, a nawet dyskrecję”. Doprawdy wzruszające, a przecież mogliby nas źle traktować przynajmniej za Samosierrę. I pomyśleć: kiedyś przybyliśmy do Hiszpanii jako szwoleżerowie Napoleona, potem komunardzi, a wszystko skończyło się na służących.

Przez siedem lat istniał w Berlinie Zachodnim miesięcznik *Pogląd*, jak na mój gust nieco za bardzo magazynowy, ale nie było to złe pismo, szczególnie przy braku na tym obszarze pism innych. *Pogląd* utracił źródło, które go finansowało i zwrócił się do 400 tysięcy ludzi mówiących po polsku na terenie RFN o wsparcie finansowe. I oto ta niemal półmilionowa armia uzbierała 94 marki i 50 fenigów. Tyle kosztuje dżinsowa kurtka. Śmierć pisma wzbudziła powszechną radość skłóconej polskiej emigracji w Berlinie. Ci sami ludzie są przerażeni najazdem krajowców na miasto, co zaczęło się w chwili, gdy obdarowano nas paszportami w domach. Było oczywiste, że w tej sytuacji Berlin Zachodni, jako miejsce nie wymagające wiz, zostanie przez Polaków zadeptany. Przebywający tam na stałe nasi rodacy uznali te przyjazdy Polaków za dopust Boży i twierdzą, że teraz już wstyd się odezwać po polsku na ulicy. Chyba to rozumiem. Sam widziałem tam na ulicy polskie baby handlujące jajkami i masłem. Gdyby zaś poważnie potraktowano na granicy nasze konne pojazdy, można by ujrzeć, jak autostradami pędzą do Berlina nasi chłopcy, wywijając batem i krzycząc wio!, a z tyłu na wozach jadą kiełbasy, kury, ziemniaki, co Bóg dał.

Wspominałem ostatnio o biciu naszych turystów tu i ówdzie przez celników i milicję zaprzyjaźnionych krajów. Nie spodziewałem się, że od tamtego czasu stanie się to zjawiskiem tak powszechnym. To, że tłuką naszych celnicy NRD jest zgodne z historyczną tradycją, ale Węgrzy? To już nawet bracia Węgrzy nas nie lubią? A dlaczego bracia mają nas lubić, skoro my sami sobą zaczynamy gardzić? Nasze poczucie cywilizacyjnej gorszości udawało się długo rekompensować polskim honorem i pewną duchową komplikacją, a teraz i to się kończy. Honor sprzedaje się za marki, a dusza już myśli tylko o sprawach materialnych. I widać, jak trwa gorączkowe przeczesywanie gałęzi drzew genealogicznych. Szczególnie cenionym owocem jest dziad, co był

w Wehrmachcie. Zawsze czułem, że przegraliśmy wojnę światową, nie wiedziałem jednak, że aż tak obrzydliwie.

Premiera dwóch jednoaktówek Havla w Teatrze Powszechnym. Jest cała warszawska opozycja, niektórzy mają na wąsach resztki obiadu ze stołówki w Pałacu Radziwiłłowskim. Na salę wszedł skromnie premier Rakowski ze swoją małżonką, aktorką Kępińską. Siwiejące i rzednące włosy zaczesane pasmami na czoło, jak to się zdarza rzeźbionym głowom rzymskich imperatorów. Dopiero po chwili uzmysłowiłem sobie, że ta rządowa obecność, która otarła się swoim garniturem o mój sweter, jest demonstracją polityczną, policzkiem wymierzonym w pulchne oblicze czeskich braci dogmatyków.

Sztuka bardzo zgrabna, dowcipna, szczególnie rozbawiła mnie jednoaktówka, którą sam kiedyś przeżywałem. Była to scena zbierania podpisów pod petycją u przestraszonego pisarza, który jest na dworze partyjnym. Pamiętam, jak kiedyś dawno śmiertelnie bałem się zbierać podpisy, obawiałem się u ludzi tej okrutnej i bezwzględnej walki anioła z diabłem. Co ujrzałem? Walkę kundla z kundlem, a że jeden miał skrzydła, a drugi rogi, jeszcze bardziej poniżało sprawę. I pamiętam też, że niespodziewanie to zbieranie podpisów zaczęło mnie bawić. Na szczęście szybko zorientowałem się, jak obrzydliwa jest moja satysfakcja. Havel zrobił z tego sztukę, miał więc prawo być bezlitosny.

Premier, co siedział przede mną na wyciągnięcie ręki, bawił się wyśmienicie. Śmiał się, kiedy trzeba, klaskał, wszystko rozumiał, jednym słowem nasz człowiek. Kiedy spektakl dobiegał końca, a widownia pękała ze śmiechu, Havel wystawiał właśnie na korytarz swój więzienny drelich ułożony w kostkę. Pomyślał o tym Adam Michnik. Gdy opadły oklaski i kurtyna, wskoczył na scenę, wyjął z kieszeni kartkę, otworzył usta i zaczął śpiewać. Śpiewał czysto, zupełnie jak Karel Gott, a im szerzej otwierał usta, tym głośniej śpiewał. Kiedy skończyła się kartka, przeniół się na korytarz i tam przeczytał ponownie tekst, już bez Karela Gotta. W międzyczasie sprzedawano książki Havla wydane w drugim obiegu i rozdawano ulotki. Dramat nie skończył się tylko dla akustyka z teatru. Biegał potem po Klubie Inteligencji Katolickiej i innych instytucjach i przekonywał, że on z tym Gottem nie miał nic wspólnego, że to robota teatralnego ubeka, który taśmę włączył własnoręcznie. O tak, ręczne sterowanie głupotą ma u nas bogate tradycje, które — jak widać — nie chcą się skończyć.

Prasę niezależną obiegła wiadomość, że w Łodzi pod kościołem endecy pobili działaczy PPS-u rozdających ulotki. Obawiam się, że nie tylko w tej przykłej sprawie jesteśmy sto lat do tyłu.

W kioskach „Ruchu” można nabyć jednorazowy elegancki numer *Gazety Warszawskiej*, gdzie Maciej, syn sędziwego londyńskiego faszysty Jędrzeja Giertycha, reklamuje kontynuację myśli endeckiej i tatę. Zaglądam do jego artykułu i wystarczy mi pierwsze z brzegu zdanie: „Jestem za paktem warszawskim, nie za socjalizmem”. Jakże wzruszająco liberalne są nasze kioski „Ruchu”. Maciej Giertych otrzymał niedawno błogosławieństwo władzy na założenie spółki „Słowo i czyn” oraz wydawnictwa „Słowo Narodowe”, które szykuje pasjonujące książki o Żydach i będzie reklamować pana Romana. Spółka wydaje już miesięcznik, a co dalej — pewnie wkrótce zobaczymy.

Może trochę przesadzamy z nacjonalistycznym zagrożeniem w dzisiejszej Polsce, ale nie trzeba być historykiem i historykiem, by zauważyć lub przynajmniej poczuć nosem, że gleba w Niemczech lat dwudziestych i w dzisiejszej Polsce ma ten sam kolor i zapach: poczucie klęski, urażonej dumy narodowej, bezlitosnej inflacji, zagrożenia. I to marzenie o porządku... w końcu.

Na marginesie, który nie jest bynajmniej biały, chciałbym zauważyć, że Maciej Giertych jest w Radzie Prymasowskiej i do prawdy, jeśli ktoś się temu dziwił, to już dzisiaj może to uczucie spożytkować gdzie indziej.

Oto bowiem Prymas ogłosił poufny tekst, który — jak zwykle u nas — szybko stracił poufność. Nosi on tytuł „Uwagi o projekcie dokumentu Prymasowskiej Rady Społecznej na temat: Poszanowanie światopoglądów w państwie i społeczeństwie”. Jest to bardzo dynamiczna krytyka tego dokumentu. Tekst Prymasa jest *curiosum* tego rodzaju, że zasługuje na opublikowanie w całości. Ja pozwolę sobie na kilka cytatów. Prymas na wstępie ubolewa, że „sformułowanie tematu wprowadziło autorów opracowania na pozycje laicystyczno-zachodnie i oderwało od rzeczywistości polskiej”, że ta amerykańska błędna wizja „spowodowała opuszczenie w opracowaniu pojęcia narodu”. Potem nieustannie powtarza słowo „naród” w różnych zbożnych kontekstach, a przede wszystkim w dziwnym pojęciu „naród ochrzczony”. „Na tle prawdy o narodzie ochrzczonym nie można kategorycznie odżegnywać się od pojęcia „Polak-katolik”. Bo [...] prawdziwy Polak będzie zawsze w jakimś sensie katolikiem”, ale — zauważa bystro Prymas — „Od pojęcia Polak-katolik jest jeden wyjątek: Polak - Żyd”. Potem Prymas oburza się na to, że w tekście „często mówi się o równouprawnieniu wszystkich światopoglądów. Jeżeli ze światopoglądów wyłączymy wyznania reprezentowane przez Kościoły, a zwłaszcza przez Kościół katolicki, to tych światopoglądów tak dużo nie mamy. Właściwie pozostają na placu bezbożnicy (pospolic) i lewica laicka. Czy Kościół musi upominać się o prawa ateistów? A w ogóle to z lektury opracowania odnosi się wrażenie, że ateizm jest trwa-

łym stanem części ludzkości i domaga się szacunku i ochrony. „Nic bardziej fałszywego” i dalej: „Kościół w Polsce [...] podejmuje pracę w narodzie, by naród mógł stawać się chrześcijański i znajdować wyraz swojej duchowej postawy w stosunkach społecznych”.

Co na to nasz wspaniały Papież? Chciałoby się zapytać — co na to Bóg? Nic, ale do milczenia tego ostatniego już się przyzwyczailiśmy. Dlatego nie sądzę, by cokolwiek przeszkodziło Prymasowi napisać drugą część tekstu, gdzie podejmie się udowodnić, że Chrystus miał słowiański wygląd, co zrozumiałe w sytuacji, gdy istnieją niezbite dowody, że Matka Boska była Polką.

Niemal słychać, jak pękają szwy, którymi pospinał kraj. Strajki wybuchają w nieprzewidzianych miejscach, wszędzie tam, gdzie ludzie czują, że kończą im się pieniądze. Idę na pocztę z ponurą miną, bo spodziewam się, że długo będę stać w śmierdzącym wnętrzu. Po drodze mijam punkt naprawy sprzętu elektronicznego, zamknięty, wywieszono napis „Strajk”. Dochodzę do poczty, dzisiaj wesoła, cała w biało-czerwonych flagach. Tu też strajk. Na szczęście jeszcze otwarty pobliski sklep spożywczy. Żona kazała mi kupić zapas mąki, gdyż podobno szykuje się strajk piekarzy. Kiedy wracałem z mąką, ogarnęły mnie smętne myśli, ale co robić, trzeba tu jakoś żyć, przecież nawet umrzeć się nie da, bo lekarze też strajkują i w niektórych szpitalach na znak protestu nie wypisują aktów zgonu.

Nie tylko ja mam czarne myśli. Oto nagle w gazecie spotkałem naszą Kassandrę. „Co będzie potem — nie chcę o tym myśleć. Polska się naprawdę dusi w pętli zadłużenia. Człowieka po prostu ogarnia przerażenie [...] Kryzys świadomości trwa stanowczo zbyt długo. Jeśli trwać będzie jeszcze kolejne lata — to nie wiadomo co nas czeka. [...] Jeszcze tydzień, dwa pogotowi strajkowych i strajków i wszyscy popłyniemy”.

Trzeba przyznać, że naszej Kassandrze zabrakło antycznego patosu, ale cóż się dziwić, skoro jest nią Mieczysław F. Rakowski.

Spotykam jednego z najwybitniejszych u nas dziennikarskich znawców świata. Jest optymistą co do Polski, gdyż uważa, że Zachód nie dopuści, by w środku Europy pęczniała taka kloaka i zatruwała wszystkim powietrze. Różne spotykałem optymizmy, ale po raz pierwszy spotkałem się z optymizmem asenizacyjnym.

Witold CHARŁAMP

małych żydowskich miasteczek na Litwie i Białorusi, ale ten rozwinął się po wojnie, w Ameryce, tak jak Izaak Baszewis Singer.

Józef Mackiewicz w *Buncie rojstów* swoje reportaże układał z niezależnością i przekorą, które miały przyczynić mu później nieszczęść. Wykroczył poza zwykłą polską orbitę i zamiast dworem, zajął się prowincją „tutejszych”, czy w domu mówili po polsku czy białorusku, zwłaszcza zjawiskiem popularnych na tej prowincji sekt religijnych, równie niechętnych katolicyzmowi jak prawosławiu. Dużo też codzienności kraju przedostało się do książki. Podobna Wileńszczyzna ukazuje się w powieści Floriana Czarnyszewicza *Chłopczy z Nowoszyszek*, napisanej w Argentynie. Głównym jej tematem są starcia pomiędzy katolikami i prawosławnymi, w obrębie tej samej wioski, co oznaczało nie tyle opcję narodowościową polską albo białoruską, ile państwową, za Polską albo za Sowietami. Jak ostatecznie włączyłaby się w ten galimatias Wileńszczyzna sekciarska, nigdy się nie dowiemy.

Józefa Mackiewicza za mojej wileńskiej młodości prawie wcale nie znałem. Mrukił, z tych, których trochę krzywy nos zagląda w kieliszek, w maciejówce, często w samodzielu i długich butach, mógłby uchodzić za szaraczkowatego szlachcica prosto ze wsi. Lubił nocą popijać w wileńskich restauracjach, jak inny współpracownik *Słowa*, Jerzy Wyszomirski, ale w przeciwieństwie do niego literaturą się nie interesował. A już o poezji na pewno nie można było z nim gadać. Choć miał, zdaje się, duże czytanie rodzaju wtedy u nas niezadkiego: w literaturze rosyjskiej dwiętnastego wieku.

Nie umiałbym go sobie wyobrazić jako literata Warszawy czy Krakowa. Mieszkał w mieście, które było dla niego nadal stolicą Wielkiego Xięstwa Litewskiego i był tego kraju patriotą. Myślę, że już dzisiaj trudno jest młodszemu pokoleniu przedstawić sobie, o jaki splot lojalności tutaj chodziło i dlaczego tacy jak on z równą niechęcią odnosili się do patriotów polskich, jak do patriotów litewskich czy białoruskich. Ostatnio znów czytałem artykuły i eseje Mackiewicza wydane w Londynie, gdzie mówi o „rozbiorze wewnętrznym” Wielkiego Xięstwa dokonany przez Polaków, Litwinów i Białorusinów. „Sukcesor do całości się nie zgłosił. Po prostu nie było takiego. Każdy chciał tylko urwać dla siebie kawałek”. Uważam go za pisarza najzupełniej prawdomównego i myślę, że wcale nie przesadza, kiedy pisze: „Stąd wynikł spór narastający w walce otwartą o języki, o kulturę, o tradycję, interpretację historii, o religię. Bój prowadzony był też i na pięści, na pałki po kościołach i cerkwiach świętych, na

Pogrobowcy

Koniec Wielkiego Xięstwa

(O JÓZEFIE MACKIEWICZU)

Pruszyński, Iwaszkiewicz. A teraz nawiedza mnie zupełnie inny od nich człowiek i pisarz, Józef Mackiewicz. Przed wojną był współpracownikiem wileńskiego *Słowa*, którego redaktorem, bratem jego, Stanisław Mackiewicz, robił dużo szumu, działał artykułami, politykował, pojedynkował się (na szable), trafił za opozycyjność do obozu w Berezie Kartuskiej. Józef natomiast siedział gdzieś w redakcji i tyle o nim było wiadomo. Później wszystko się odwróciło. Stanisław w dziejach polskiego piśmiennictwa zostanie jako publicysta, Józef jako wybitny powieściopisarz.

Józef Mackiewicz wydał w 1938 roku *Bunt rojstów*. Były to jego reportaże z Wileńszczyzny, zebrane w podróży autobusem i konnym wózkiem po drogach Białorusi. Kiedy teraz w Kalifornii myślę o tamtym kraju, wydaje mi się fascynujący, o rzadkim bogactwie poplątanych wątków narodowościowych, wyznaniowych, klasowych, tudzież bogactwa swojej historii. Tym bardziej umiem to ocenić, że czytałem coś niecoś o historii kolonii, na przykład wysp karaibskich. Egzotyka, palmy, tropikalne morze — i horror zupełnej historycznej pustki, chciwości, wyzysku, najwyższej kryminalna kronika białych awanturników i piratów. Wileńszczyzna międzywojenna, choć szara, między lasem sosnowym i rojstem, powinna była i swoją przeszłością i teraźniejszością natchnąć wielu pisarzy. Cóż kiedy ich nie było. Na pewno by się pojawili, okres dwudziestolecia po prostu za krótki. Poza tym istniały przeszkody. Piszący po polsku rośli w tradycjach szlacheckiego dworu i musieli by wyrwać się z tej zakłętej orbity, żeby szerszą rzeczywistość zobaczyć. Białorusini zapeklowani w swoim narodowościowym oporze nie zdobywali się jeszcze na nic poza poezją (Maksym Tank); wileńska grupa pisząca w jidysz, „Junge Wilno”, tego pokolenia i skłonności co „Żagary”, była poetyczna. Wilno wydało wybitnego prozaika, Chaima Grade, kronikarza

noże, na nożoble, na pistolety, aż w końcu, podczas ostatniej wojny, na donosy po urzędach Gestapo czy NKWD. Nienawiść, według wszelkich praw natury, rodziła nienawiść”.

Według Mackiewicza strona polska ponosi może największą odpowiedzialność, bo „sukcesorzy po spuściznę całości ziem Wielkiego Xięstwa” zostali spolonizowani i kulturalnie i politycznie, tak, że rodzącym się nacjonalizmowi umieli przeciwstawić tylko nacjonalizm polski. „W rezultacie znaleźli się we własnym kraju w sytuacji drastycznej, rzeczników innego państwa, a stąd do potraktowania ich jako obcych agentów przez absolutnie przytłaczającą większość mieszkańców, był już tylko krok jeden”.

Przykład mojej rodziny? Mój kuzyn Oskar Miłoz był pierwszym przedstawicielem niepodległej Litwy w Paryżu, co dla Polaków równało się zdradzie. Rodzice mojej matki, Kunatowie, byli lojalnymi obywatelami Litwy, narodowości polskiej, po litewsku nie mówili. Moja matka miała dwa obywatelstwa, litewskie i polskie, jako narodowość zawsze podawała polską, litewski znała słabo. Jej siostra natomiast mówiła po litewsku biegle. Mój ojciec był ogłoszony w Litwie zdrajcą z powodu swojej przynależności do POW. Został umieszczony na czarnej liście i wstęp do swego kraju urodzenia miał zamknięty. Niemniej dnia 17 września 1939 roku, kiedy udało mu się dotrzeć do granicy litewskiej z miasteczka Głębokie, gdzie pracował jako inżynier powiatowy, Litwini okazali się wspaniałomyślni, jak wtedy wobec mnóstwa uchodźców z Polski, i mimo że wiedzieli, kim jest, do Litwy wpuścili. Nie był tam prześladowany za swoje dawne grzechy.

Zdaniem Mackiewicza jedynym świadomym patriotą Wielkiego Xięstwa był Ludwik Abramowicz, redaktor i wydawca *Przeglądu Wileńskiego*. Zgłaszał roszczenia do sukcesji po całości, przy całkowitym równouprawnieniu narodów ziemie te zamieszkujących. Jego program różnił się od wszelkich pomysłów federacyjnych, w tym też od federalizmu Piłsudskiego, bo te kierowały się przede wszystkim polskim interesem i polską racją stanu. W tej perspektywie złamanie przez Polaków Traktatu Suwalskiego i zagarnięcie Wilna, jak i fikcyjność „Litwy Środkowej”, obciążały rachunek zwolenników „idei jagiellońskiej”. Nie wiem, jak Mackiewicz odnosił się do księdza Waleriana Meysztowicza, który Wielkie Xięstwo uważał za twór swoich przodków, niemal za własność wielkopańskich rodów i słał patriarchalne stosunki pomiędzy dworem i chłopem. Prawdopodobnie zaliczał go do tych, których polskość, „rozumiejąca się sama przez się”, była odpowiedzialna za nieufność wobec idei Unii ze strony Litwinów i Białorusinów, tak że woleli nawet mieć do czynienia z otwartymi nacjonalistami.

Przedwojenne Wilno wróciło, kiedy teraz czytałem (w korekcie) pamiętnik Lucy S. Dawidowicz, *From That Place and Time*. Wychowana w New Yorku, spędziła w Wilnie rok 1938/1939, przeprowadzając badania w tamtejszym Żydowskim Instytucie Naukowym. Jest to bardzo pożyteczna lektura, bo przypomina o ważnym innym Wilnie, którego żydowskie tradycje wyrobiły mu imię „Jeruzalem Północy”. Trzecia mniej więcej część jego ludności niewiele miała wspólnego z państwem, w którym się znalazła, mówiła jidysz i częściowo, w górnej swojej warstwie, po rosyjsku. Pamiętnik Dawidowicz, nie znającej polskiego, dotyczy przede wszystkim podziału na „my” i „wy”, tudzież prześladowań. Jeden z jej wileńskich przyjaciół, dziennikarz, stracił oko podczas studenckich antysemitycznych rozruchów w 1931 roku (te pamiętam). Ostatni rok przed wybuchem wojny przyniósł całkowite zwycięstwo programu endeckiego, wcielonego w życie przez OZON: pikietowanie sklepów żydowskich, projekty ustawy zabraniającej uboju rytualnego, mnóstwo zarządzeń przymusowej polonizacji, nade wszystko jednak propaganda antysemitka, w której rywalizowały ze sobą prasa rządowa i prasa późniejszego świętego, O. Maksymiliana Kolbe. Wilno w relacji Dawidowicz było miastem niebezpiecznym: powtarzały się napady chuliganów uzbrojonych w laski, tak że każde spotkanie z młodymi Polakami groziło pobiciem. Dawidowicz przyznaje, że kobiety i dzieci nie bili, co jednak nie umniejszało złowrogiego plonu takich wydarzeń.

To Wilno chyba warte przypomnienia, kiedy mówi się o ostatecznym końcu Wielkiego Xięstwa. Dziarska polska młodzież, tłukąca pałkami swoich kolegów na uniwersytecie i urządzająca polowania na przechodniów, wkrótce mogła oglądać sowieckie czołgi otoczone entuzjastycznym tłumem żydowskiej młodzieży, choć wątpliwe, czy w jej umysłach połączyły się przyczyna i skutek. Sceny tego radosnego powitania na ulicach Wilna opisuje w swojej autobiograficznej książce Chaim Grade (*My Mother's Sabbath Days*, przekład z jidysz), a ponieważ był pisarzem rzetelnym i dbał o obiektywizm, opowiada też, jak poszedł tego samego dnia do Katedry i jak żał mu było zebranego tam, śmiertelnie smutnego tłumu wiernych.

Moja bliższa znajomość z Mackiewiczem nastąpiła w 1940 roku, kiedy Juozas Keliuotis, redaktor *Naujoji Romuva*, pomógł mi dostać się do litewskiego wówczas Wilna, co zresztą traktowałem jako etap przejściowy. Mackiewicz redagował jeden z dwóch wychodzących wtedy polskich dzienników w Wilnie, *Gazetę Codzienną*. Zastępcą redaktora był mój kolega z Żagarów, Teodor Bujnicki. Zostałem współpracownikiem tego pisma, tak jak wielu literatów, miejscowych i uchodźców, m.in. Światopełk Karpiniński i Janusz Minkiewicz. Polemizując po wielu latach

z moich esejem o Bujnickim, Mackiewicz („O pewnej ostatniej próbie i zastrzelonym Bujnickim”, 1954) nie zgadza się z moim określeniem jego programu jako obrony „polskiego kantonu” w obrębie Litwy. I niewątpliwie ani żaden „polski kanton”, ani Polska ani Litwa nie mogły zadowolić tego pogrobowca Wielkiego Xięstwa, skoro chciał iść w ślady Ludwika Abramowicza. W praktyce jednak program *Gazety Codziennej* do tego się sprostował i to ją różniło od *Kuriera Wileńskiego*, który stał się głosem polskiej ortodoksji, wyznawanej przez większość polskiego Wilna: dla niej przynależność Wilna do Litwy była po prostu litewską okupacją.

Z Mackiewiczem nigdy się bliżej nie przyjaźniłem, bo inne pokolenie i inny skład umysłu. Miałem dla niego szacunek jako dla pisarza, a też człowieka dobrej woli, który robi co może, i tego szacunku nigdy się nie pozbyłem. Co nie przeszkadzało mi zastanawiać się nad jego pokrętnymi losami. Pośród szlachty Wielkiego Xięstwa nie ma było krwistych awanturników, do których zaliczylibym jego brata Stanisława, ale znany też był typ awanturnika cichego a zacieklego, co to nie popuści. Tak właśnie przedstawiam sobie Józefa. Narzuca się pytanie, w jakim stopniu samoswoja i sobiepańska jednostka, przekonana, że słuszność jest po jej stronie, ma obowiązek czy prawo występować przeciwko opinii publicznej. Żeby zapomnieć, co ta opinia reprezentuje i o naszej do niej sympatii czy antypatii, trzeba sporego wysiłku, ale tylko wtedy pytanie o społeczną rolę konformizmu nabiera mocy. Mackiewicz tkwił w swoim wileńskim szlacheckim środowisku byłych kawalerzystów z wojny 1920 roku jak on sam, teraz zwykle urzędników, ale też pojedynkowiczów i myśliwych, jak choćby jego przyjaciel Michał Pawlikowski z Mińszczyzny, który redagował myśliwski dodatek do *Słowa* pod tytułem „Gdzie to, gdzie zagrały trąbki myśliwskie...” (z trzema kropkami, tak!). Niemniej wyłamywał się. Bardzo silnie naznaczony przez rosyjskie gimnazjum i przez swoje, w latach szkolnych, fanatyczne zainteresowanie książkami z zakresu zoologii i ornitologii (w czym byliśmy podobni), z wykształcenia i z nawyków obserwacji był przyrodnikiem. Może ta jakby pozytywistyczna zaprawa wyrobiła w nim sceptycyzm co do „polskiego Wilna”. Naraził się temu Wilnu od pierwszych numerów *Gazety Codziennej*, ogłaszając artykuły, w których rozpacz i gniew z powodu wrześniejszej klęski wyładowały się we wściekłych atakach na całą Polskę międzywojenną, tak że nie zostawiał na niej suchej nitki. Nie lubił Piłsudskiego ani sanacji (choć pracował przecie w sanacyjnym *Słowie*), ale żeby znaleźć teraz współpracownika w osobie Piotra Kownackiego, „narodowca”, i razem z nim rządy „pułkowników” wyszydzać, choć przecie nic go poza tym z Kownackim nie łączyło, to już było dużo. Wyglądało to na znęcanie się nad powaloną

Polską, żeby przypodobać się litewskim gospodarzom. Bez ustanku masakrowana przez cenzurę i oskarżana przez Litwinów o tendencje wywrotowe (bo co to za podstępne gadania o Wielkim Xięstwie?) *Gazeta Codzienna* dała początek potępieńczym swarom, w których niejawnym przeciwko niej argumentem była „kolaboracja z okupantem”. Czyli Mackiewicz wykazał talent do takiego ustawiania się, żeby być bitym przez obie strony. Miało się to powtórzyć później. Niewątpliwie uczucia gniewu i goryczy po klęsce były powszechne i dawał im wyraz z samego zgryzu, nie żeby się komuś przypodobać. Ale większość, choć tak samo czuła, powściągała się, bo jakoś nieładnie prać brudną bieliznę w tak smutnej chwili.

Wilno owego krótkiego okresu, czyli włączone do niepodległej Litwy, przeładowane uchodźcami, poddane przyspieszonej lituanizacji, ustawowo i pałąk jeżeli trzeba (ci, co niedawno bili Żydów, teraz byli bici, choć nie tylko oni, za śpiewanie w kościele po polsku), opływało mlekiem i miodem, jak to umieją urządzić gospodarni Litwini, miało znakomite restauracje i kawiarnie, w których handlowano walutą, kupowano paszporty i wizy, planowano podróże na Zachód, a przede wszystkim było miastem przeróżnych plotek i zawsze niepomyślnych wieści. Litwa, otoczona przez złowrogie mocarstwa, przyciągała niby wyspa zbawienia nieszczęśliwych, którzy gotowi byli narażać skórę w wędrówce przez granicę na zielono, ale znalazłszy się u celu swoich marzeń, spozostregali, że są w pułapce. Samoloty z Kowna na Zachód, przez neutralną Szwecję, jakiś czas kursowały. Sam nawet zgłosiłem się do nieoficjalnego polskiego przedstawicielstwa w Kownie, zostałem zakwalifikowany, miałem już miejsce, kiedy wyjazdowi położono koniec.

Nie myślę, żeby napięcia polsko-litewskie mnie bardzo obcho-dziły. Choć przyjaźń z Keliuotisem, który organizował spotkania polsko-litewskie, tzn. polskich i litewskich reprezentacyjnych postaci, żeby napięcia łagodzić, powinna była mnie angażować w tym kierunku. *Nota bene* Keliuotis, z Kowna, nie znał polskiego i zarówno podczas mojej wizyty w Kownie w 1938 roku, jak teraz, rozmawialiśmy po francusku. (Jego studia w Paryżu miały się okazać złym przygotowaniem dla przyszłego długoletniego więźnia gułagów). Olbrzymiość i groza wydarzeń pozbawiała wagi szarpania się polsko-litewskie i chyba po prostu wzruszałem ramionami. Mackiewicz we wspomnianym już esejem zarzuca mi deformację prawdy, kiedy powiadam, że „wiele nienawiści między Litwinami i Polakami szło w niepamięć”. Jak zauważa, w Wilnie, wskutek nacjonalistycznej i niemądrej polityki władz litewskich, wrogość po polsku mówiącej ludności rosła. Lokalnie, tak. Jednak, niezależnie od obustronnych zacietrzewień, istniał fakt podstawowy, ludzkiego zachowania się Litwy w dniach wrześnie-

wej kłęski, a także, jak rzekłem, niestosowność, a nawet śmieszność narodowościowych sporów.

Nie potrafię odtworzyć moich ówczesnych myśli. Jedną z moich faz tak dużej, że prawie psychopatycznej obolałości, a na zewnątrz działań w służbie jednej obsesji. Nie mogłem pisać wierszy, co, jak na mnie, wystarczy za dowód choroby, całą energię natomiast zużywałem na wysiłki sprowadzenia Janki z Warszawy i zabrania jej na Zachód, ale granice jedne po drugich okazywały się zbyt niebezpieczne albo niemożliwe. Dostatecznie dużo zajęć, żeby unikać jasnego rozeznania. Kto zresztą je miał. Szok września 1939 był tak duży, że to przeżycie wymagało czasu, zanim należycie osiadło.

Wciąż Wilno niejasne. Nie tak bardzo jednak, żebym zagubił moje opcje polityczne. Moją współpracę z *Gazetą Codzienną* w znacznym stopniu tłumaczy osoba Bujnickiego, bo on głównie zajmował się w piśmie literaturą. Poza tym naprawdę bliżsi mi byli „krajowcy” niż prawowiernie patriotyczni Polacy, a jako krewny Oskara Miłozza, który chciał Wilna dla Litwy, nie mogłem hodować w sobie wrogości do „okupacji litewskiej”.

Rząd litewskiego państwa niczego nam jednak nie ułatwiał, przeciwnie, prowadził w Wilnie politykę nierozumną, działającą przeciwko własnym interesom. Podział mieszkańców na różne kategorie piętnował większość z nich jako „ludność napływową” albo „uchodźców”, w których to grupach znaleźli się nawet wilnianie z dziada pradziada. Prawo do litewskich dowodów osobistych przyznano jedynie zameldowanym w określonych datach, bodaj od 1920 roku poczynając, ale umieszczona w tych dowodach rubryka „narodowość” miała na celu ograniczenie liczby obywateli pełnoprawnych. Wolałem dowód osobisty niż papiery uchodźcy, ale jakąż to narodowość mogłem podać, jeżeli nie polską? Zresztą dowód ten miałem wkrótce zniszczyć podczas przeprawy z Zofią Rogowicz do General Gouvernment, bo kolidował z fałszywą przepustką dla mieszkańca Suwałk.

Z tymi dawnymi żagarystami, którzy poszli do komunizmu, nie szukałem kontaktów. Pakt Mołotow - Ribbentrop ich całkowicie pograżał. Jedno z ostatnich moich o nich wystąpień na łamach *Po prostu* było akcesem do Frontu Ludowego w 1936 roku, ale kwaśnym, i dużo bym dał, gdybym mógł je dzisiaj przeczytać. Co prawda byłem zaproszony na zebranie, kiedy obmyślali tytuł nowego pisma po ubiciu *Po prostu* przez cenzurę. Ten tytuł, *Karta*, to mój wkład, bo tak jak *Żagary* pochodził z mego skromnego zasobu słów litewskich. *Karta* znaczy pokolenie, *viena karta* znaczy raz, co innego po polsku, więc powstaje pożądana wieloznaczność. Po paru numerach pismo znikło, zakazane.

Politycznie najbliżsi mi byli teraz w Wilnie socjaliści. Była to grupa, która utworzyła własną organizację „Wolność”, złożoną z uchodźców i miejscowych. Z przybyszów: Władysław Malinowski i jego żona Halina, Stefan Salman (znany później jako Stefan Arski) z żoną Magdą Hertz, Zbigniew Mitzner, Zofia Rogowicz, Waław Zagórski, z miejscowych Renata Mayenowa, Władysław Ryńca. Trzymałem się z nimi. „Wolność” miała potężnego protektora za granicą, Oskara Lange, wówczas profesora ekonomii na Uniwersytecie Chicagowskim. Dzięki niemu Malinowski i Salmanowie dostali się do Ameryki, przez obszary Rosji i Japonię, zdaje się ze szwedzkimi paszportami. Mitzner, Zagórski, Zofia Rogowicz i ja wywedrowaliśmy przez zielone granice do Warszawy, ja z Zofią, która parę już razy robiła szlak kurierski Suwalszczyzna, Prusy Wschodnie, Reich, General Gouvernment. Była żoną literata Waława Rogowicza, wtedy miała chyba pięćdziesiątkę. Wspominam ją jako dobrego kompana.

W kawiarni Rudnickiego naprzeciwko Katedry i raptem głośny grzechot żelastwa, wjazd sowieckich czołgów. Do dzisiaj jest to dla mnie jedno z najsmutniejszych zdarzeń mego życia, bo miałem jasną świadomość nieodwołalnego i obrzydliwego poczucie, że jestem świadkiem deptania bezbronnych, bez oglądania się na jakiegokolwiek prawo narodów. Tak właśnie wygląda doznanie nieszczęścia. Akurat wtedy padła Francja. Dwa monstra dzieliły łupy rozpoczynając tysiącletnie, jak im się zdawało, panowanie nad Europą.

Co by się stało, gdybym nie uciekł z Wilna? W *Prawdzie Wileńskiej* jak Bujnicki albo na białe niedźwiedzie. Choć Janusz Minkiewicz i inni uratowali się, prowadząc kabaret literacki. O treści ich tekstów nic zresztą nie wiem. To, co wtedy nastąpiło, zostało wiernie opisane w powieści Mackiewicza *Droga donikąd*.

Z Mackiewiczem nie widziałem się więc od lata 1940 do lata 1944, kiedy dostał się do Warszawy. Czyli że nie byłem świadkiem jego poczynań w okupowanym przez Niemców Wilnie. Oskarżenia o kolaborację pochodziły z tych samych kół, które miały z Mackiewiczem na pieńku w okresie 1939-1940, czyli szlak już był przetarty. Kiedy nad jednym z najwybitniejszych polskich powieściopisarzy sprawuje się sąd kapturowy, bez prawa obrony, warto chyba zastanowić się, jakie poglądy w swoich pismach głosił, jak też kim byli jego oskarżyciele. Mackiewicz w tym co pisze nie jest nigdy wykrętny. Można mu wierzyć, kiedy wyjaśnia nieporozumienie wokół nazwiska — w artykule („Redaktor” Bohdan Mackiewicz”). Można mu też wierzyć, kiedy w swoich powieściach i powojennych esejach bez osłonek wyklada swoje stanowisko. Otóż moim zdaniem jego stanowisko było tak absolutnie nie-polskie, tzn. przeciwne temu, co uchodziło

za pewnik w umysłach ogromnej większości Polaków, że gdyby nawet był nieskazitelny, należałoby mu winę przyczepić. Ortodoksyjny pogląd polski na toczącą się wojnę zakładał wierność zachodnich Aliantów i przywrócenie państwa polskiego w granicach z 1939 roku. Tak wierzyło „polskie Wilno” i jego wojsko, czyli AK. Dla Mackiewicza były to rojenia jednej narodowościowej mniejszości, która stan chwilowy lat międzywojennych chciała uznać za stały. W tej części Europy zwycięstwo mogło należeć albo do Niemiec, albo do Rosji i zarówno Litwini jak Białorusini czy Ukraińcy, wiedzieli, że nie mogą stawiać na Zachód. Ludność na ziemiach dawnego Wielkiego Xięstwa (z wyjątkiem Polaków i Żydów) witała Niemców entuzjastycznie i jak wiadomo tylko niepojęty niemiecki obłęd doprowadził do odwrócenia się nastrojów. Pozostawał komunizm, który Mackiewicz uważał za wielkie zło. Walkę z nim stawiał na pierwszym miejscu, ponad interesami narodowymi, i zarzucał AK, że działając niby na rzecz Aliantów, w istocie pomaga zwycięstwu ich sojusznika, tj. Moskwy. Po upływie wielu dziesięcioleci wypada uznać, że ta ocena dobrze ujmowała los Polski, która, opierając się jednym i drugim, nadzieje pokładała w dalekich a obojętnych trzecich. Niestety ta realistyczna ocena dobrze służyła tylko Mackiewiczowi-powieściopisarzowi, pozwalając na bezlitosne pokazywanie ślepych zaułków historii. Jako program polityczny warta była zero. Nikt, nawet sam Mackiewicz, nie popierałby udziału w niemieckiej krucjacie, doszczętnie przez samych Niemców skompromitowanej.

Z jego pism wynika, że gdyby mógł wskrzesić Rosję carską, to by ją wskrzesił, bo uważał ją za państwo poszanowania prawa i tolerancji, zwłaszcza w porównaniu z tym, co nastąpiło wszędzie w następstwie I-ej wojny światowej. Tutaj szedł też całkowicie przeciwko polskiej opinii, która pomiędzy Rosją i komunizmem chętnie stawia znak równania, czemu zresztą trudno się dziwić, skoro np. sowiecka polityka masowych wywózek Polaków z ziem białoruskich i ukraińskich, zaczęta zaraz po Rewolucji, była dalszym ciągiem polityki carskiej w dziewiętnastym wieku, tyle że środki zastosowano bardziej okrutne. Mackiewicz kategorycznie sprzeciwiał się uznawaniu komunizmu za twór specyficznie rosyjski i nie czuł żadnej wrogości do Rosjan, na których po prostu spadło nieszczęście komunistycznej władzy.

Co doradzałby w Wilnie pod okupacją niemiecką, trudno powiedzieć. Gdyby chodziło o wojnę pomiędzy Rosją i Niemcami, na pewno nie wahałby się stanąć po stronie Rosji, ale skoro wielka gra toczyła się o oswobodzenie narodów od komunizmu, zdawał się być, teoretycznie, zwolennikiem jakiegoś przeczekania czy układu z Niemcami, co, szczerze mówiąc, nie różni się od kolaboracji. Tyle można wnioskować z jego pism powojennych, bo wtedy w Wilnie czynnym kolaborantem nie był.

Jednym z głównych argumentów używanych przez tych, którzy Mackiewicza bezwzględnie potępiają, jest artykuł Pawła Jasienicy „Moralne zwłoki szlachcica kresowego”, pisany przez kogoś, kto wtedy był w Wilnie i jak sam powiada: „Służyłem w Armii Krajowej, miałem przydział do propagandy i pilne czytanie szmatławców zaliczało się do moich obowiązków”. Zadałem sobie trud i wyszukałem książkę Jasienicy *Ślady potyczek*, w której ten tekst figuruje. Jasienica, jak wiadomo, to pseudonim. Występował pod nim mój kolega z Akademickiego Klubu Włóczęgów w Wilnie, wówczas student historii, Lech Beynar, nazywany u nas Bachusem. Nazwisko wcale nie żydowskie, jak próbowano podszeptywać, tylko tatarskie. Beynar pochodził z tatarskiej szlachty, choć, o ile wiem, nie był już mahometaninem. I imię Lech i później przybrane nazwisko Jasienica świadczą o katolicko-piastowskich przywiązaniach i jego i jego rodziny.

Jeżeli poważny historyk i świadek wydarzeń pisze rzecz tak karygodnie lekkomyślną, to cóż mówić o innych. Beynar był człowiekiem prawym i nieustraszoną, nie mogąc się pogodzić z tym, co dla Mackiewicza było jasne, walczył do ostatka w oddziale Łupaszki i dostał po wojnie wyrok śmierci. Uratował go, zdaje się, Bolesław Piasecki, szef „Paxu”. Nie przypominam sobie, żeby Beynar w naszym Klubie Włóczęgów deklarował się politycznie. Zapalczego endeka mieliśmy jednego, Kazimierza Hałaburdę, ten został wywieziony i umarł w gułagu na dyzenterię. Z innych członków Klubu: nasz senior Gasiulis został rozstrzelany za współpracę z tymiż władzami; Jędrychowski został „wybrany” do sejmu Litwy i głosował za włączeniem Litwy do Związku.

Moralne oburzenie Beynara jest szczerze i powtarzając za *Jądrem ciemności* Conrada „ohyda! ohyda!”, na pewno wyraża uczucia wielu swoich rówieśników. Wglądawszy jednak bliżej w jego artykuł, nie znajdzie się w nim wiele poza stanem uczuciowym.

Pierwszy zarzut dotyczy charakteru Mackiewicza, którego Beynar oskarża o tchórzostwo, bo skoro zalecał opór wobec komunizmu choćby kosztem zniszczenia całego polskiego narodu, to dlaczego nie poszedł do lasu (jak on sam, Beynar)? Dla tych, co znali Mackiewicza, jest to jedynie chwyt demagogiczny. Drugi zarzut dotyczy powieści *Droga donikąd*, którą Beynar nazywa nikiemną. Dlaczego? Dlatego, że inne narodowości są w niej pokazane przychylnie, natomiast Polacy oczernieni i że nie ma w niej wzmianki o ZWZ, z którego narodziła się później AK. Jak też, że nie ma w tej książce miłości do ziemi rodzinnej jak w *Panu Tadeuszu* (?). Ale przecie *Droga donikąd* istnieje i obroni się sama. Atak na nią naprowadza być może na powody, dla których trudno być polskim powieściopisarzem. Gdyby ktoś w

ubiegłym stuleciu tak Polskę przedstawił jak Gogol Rosję w *Martwych duszach*, z pewnością zasłużyłby na miano nikczemnika. Trzeci wreszcie zarzut — że Mackiewicz drukował w gazecie gadzinowej. Pewnie, że nie powinien był tego robić. Ale co drukował? Właśnie kilka rozdziałów *Drogi donikąd*, którą Beynar uznał za paszkwil.

W nagonce na Mackiewicza brało udział dziwne towarzystwo, bo i patrioci i ukryci agenci sprawców mordu w Katyniu. Leżało jak najbardziej w interesie tych ostatnich, żeby świadka ogłosić faszystą i kolaborantem. Właśnie teraz zajrzałem do teczek z listami Mackiewicza do mnie z lat 1969-1970. Dotyczą starań, jakie robiłem, żeby polecać jego książki wydawcom amerykańskim i niemieckim, z małym powodzeniem, bo za każdym razem nawijał się ktoś z Polaków, dbały o to, żeby zamiar wydania książki ubić. Mackiewicz i jego żona, Barbara Toporska, też pióro znakomite, żyli w skrajnym ubóstwie. Muszę się zgodzić z tym, co Mackiewicz pisze w jednym z listów, że w porównaniu z nimi Gombrowiczowi znakomicie się powodziło.

Mackiewicz płacił za swoją podróż w 1943 do Katynia na zaproszenie władz niemieckich. Z polskich pisarzy jeździł tam też Ferdynand Goettel. W Warszawie pamiętano jego przedwojenne otwarte pochwały faszystów, a w 1940 roku zdradzał nieśmiało skłonności do kolaboracji, bo zarejestrował się jako wolny zawód, literat, i kolegów do tego namawiał. Wielu zarejestrowało się, że niby bezpiecziej. Jednak Goettel miał dobre wyczucie społecznych presji i nakazów patriotycznego kodeksu, toteż nie posunął się dalej w ugodowości wobec Niemców. I chociaż pojechał do Katynia, nikt go jakoś później na emigracji nie piętnował jako kolaboranta. Natomiast Mackiewicz, który ze wszystkimi chodził na udry, nie liczył się z publiczną opinią i był z temperamentu pieniaczem, jadąc do Katynia umacniał nieprzychylnie jego osobie nastroje i nikogo nie obchodziło, że pojechał za zgodą polskich władz podziemnych.

Czy Polacy powinni byli, w imię wyższej dyplomatycznej racji, udawać, że nic a nic Niemcom nie wierzą i groby katyńskie dodać do innych hitlerowskich zbrodni? Wymagałoby to zdławienia w sobie moralnego protestu, nadludzkiej niemal dyscypliny. Państwo sowieckie dokładało ogromnych starań, żeby przekonać cały świat o swojej niewinności i jego sojusznicy brali to za dobrą monetę, albo udawali, że biorą, czyli Polacy zostawali sami, z prawdą, ale z prawdą głoszoną przez ich wrogów. I któżby im wierzył, jeżeli byli znani ze swoich antysowieckich „urazów”? Cóż za paradoksalne równanie, godne filozoficznej analizy.

Niedawno będąc w domu znajomych wzięłem przypadkiem z półki grubą książkę amerykańskiego korespondenta w Moskwie, Harrisona E. Salisbury, *Journey For Our Times, A Memoir* (1983) i natrafiłem na ustęp, który jest świadectwem o podróży dyplomatów i dziennikarzy zachodnich do Katynia. Czytałem to i prawie zbierało mi się na wymioty.

„Kathy Harriman była w Moskwie z jej ojcem, teraz ambasadorem w Moskwie. Miała posadę w Office of War Information i spełniała funkcje pani domu, wnosząc życie i wesołość w banalną scenerię. Przekształciła salę balową ambasady w kort do gry w badmingtona i znalazła zapas starych hollywoodzkich filmów na strychu. Były tak kruche, że pękały co chwila podczas pokazu, jednak puszczałyśmy je i tak”.

„Kathy była obecna, kiedy ogłoszono wiadomość o Katyniu i powiedziała, że chce pojechać. Rosjanie natychmiast zaprosili ją i Johna Melby, młodego *attaché* ambasady. Przygotowali specjalny pociąg — międzynarodowe *wagon-lits*, wagon restauracyjny wykładany mahoniem, mnóstwo kawioru, szampana, masła, białego chleba, wędzonego łososia, ciastek, beef Strogonoff, koteletów kijowskich — i wyruszyliśmy, żeby wglądnać w jedną z wielkich tragedii wojny”.

„Rosjanie odbili Smoleńsk we wrześniu 1943 i zbierali się teraz do uruchomienia swojej propagandowej bomby. Korespondenci zachodni byli zaproszeni jako część dekoracji. Nie wydaje mi się, żeby udział Kathy Harriman i Johna Melby był kalkulowaną polityką U.S. Myślę, że nastąpiło to jako podyktowany przez chwilę odruch, jakkolwiek Averell Harriman rzeczywiście miał dosyć 'londyńskich' Polaków i kiedy wrócił z Katynia, powiedział mi, że od dawna był przekonany o tym, iż Polacy dali się nabrać na niemiecką wersję zbrodni i że to, co zobaczył, utwierdziło go w jego przekonaniu”.

„Jestem głęboko wdzięczny sowieckiemu wydziałowi prasy za urządzenie tej wyprawy. Była to (i pozostaje) dobra lekcja sowieckich metod. Żenujący był luksus tego pociągu, wyposażonego w śnieżnie białą pościel, pierzynki, pachnące mydła, białe ubranie kelnerów, luksus jak dla Cara”.

„Zresztą mógł to być jeden ze specjalnie dla Cara przeznaczonych pociągów. Siedzieć w wagonie restauracyjnym przy stole pełnym butelek, kryształów i sreber, talerzy, na których piętrzyły się *zakuski* i zza koronkowych firanek oglądać obok, na sąsiednim torze, drewniane towarowe pociągi, skąd ranni krasnoarmiejcy z głowami w krwawych bandażach, rękami w gipsie,

amputowanymi nogami, przyglądali się nam dygocąc dokoła swoich piecyków, było niemal nie do zniesienia”.

Autor tego świadectwa, podobnie jak inni dziennikarze, nie został przekonany rzekomymi dowodami, jakie im przedstawiono. Toteż powstrzymał się od opinii, czym dziełem był Katyń. Ale amerykański ambasador w Moskwie, Averell Harriman, dał się przekonać. A mieć ambasadora amerykańskiego jako swojego wroga na pewno dodawało do katastrofalnej sytuacji polskiego rządu w Londynie.

Józef Mackiewicz widział groby katyńskie i napisał, co zobaczył. Przypadkiem był też świadkiem, jak odbywało się morderstwo Żydów przez Niemców w Ponarach i też zostawił rzeczowy raport. I dopóki będzie istnieć polskie piśmiennictwo, te dwa zapisy grozy dwudziestego wieku powinny być stale przypominane, po to, żeby dostarczały miary wtedy, kiedy literatura zbyt oddala się od rzeczywistości.

Mackiewicz był pisarzem-realistą i w porównaniu z jego zaciekłością w odtwarzaniu „jak naprawdę było” inne odmiany realizmu ukazują swoją bladość albo fałsz. Obca mu była cała wysoka sofistykacja literackich dyskusji i nie zastanawiał się nad niemożliwym do przezwyciężenia dystansem pomiędzy rzeczywistością i słowami. Ani nad powszechnie zapowiadającym końcem powieści. Staroświecki z uporu, posługiwał się językiem jako narzędziem, nie pozwalając stylowi usamodzielnic się i wziąć górę nad piszącą ręką. Powieść była dla niego dalej „lustrem ustawionym na gościńcu” i dbał o absolutną wierność szczegółów.

Droga donikąd i *Nie trzeba głośno mówić* tworzą razem epos końca. Jest to koniec Wielkiego Xięstwa Litewskiego, czy też jego resztek, tak jak dotrwały do 1939 roku, koniec też Wilna jako miasta o ludności polskiej i żydowskiej. Innej niż ta powieść kroniki nie ma. Kolejno jest to obraz życia pod rządami sowieckimi od czerwca 1940 do czerwca 1941, czyli do ataku Niemiec na swego poprzedniego sojusznika, i niemieckimi. Ostatnie rozdziały drugiej powieści dają obraz Warszawy 1944 roku, gdzie znalazł się wtedy sam Mackiewicz, uciekinier z Wilna.

Pisania Mackiewicza o wojnie są pełnym wyjątkiem w obfitą polskiej literaturze na ten temat. Obowiązuje w niej wzór patriotyczny, walka Polaków z Niemcami. Mackiewicz na ten wzór pozostał mniej czy bardziej obojętny, w czym można się dopatrzeć jego własnej niechęci do obiegowych pojęć i wpływu wielonarodowościowego Wilna. Dwie zasadnicze postawy polskie ścierały się w tym stuleciu ze sobą: niepodległość Polski jako cel wszelkich walk i wysiłków, i poświęcenie tej niepodległości w imię komunistycznego internacjonalizmu. Żadna z nich nie znaj-

duje uznania u Mackiewicza, co więcej, odnosi się on do nich wrogo. Ci, którzy niepodległość odrzucili w imię komunizmu, jak w Wilnie Dembiński czy Jędrzychowski, są dla niego nie tyle zdrajcami Polski, ile agentami państwa niosącego nieszczęście ludziom różnych narodów. Natomiast niepodległościowcy — stąd jego negatywna ocena AK — są zaślepieni swoim skoncentrowaniem się na walce z niemieckim zaborcą i nie zdają sobie sprawy z tego, że licząc na zwycięstwo zachodnich Aliantów, przygotowują zwycięstwo tych Aliantów sojusznika, czyli Rosji. Mackiewicz w swoich powieściach i swojej publicystyce występuje jako zwolennik antysowieckiego internacjonalizmu, czyli antykomunistycznej międzynarodówki. Stąd wynikają poważne konsekwencje, również artystyczne, bo jego postacie nie są podzielone według kryteriów narodowościowych. Wśród tych, które darzy sympatią, są Polacy, Litwini, Białorusini, Niemcy, biali Rosjanie, uwikłani w różne podziemne ruchy, potencjalni uczestnicy zbrojowego, międzynarodowego oporu wobec systemu.

Nie sposób traktować poważnie wszystkiego, co pisał Mackiewicz-antykomunista. Niektóre jego artykuły są wręcz obsesyjne i graniczące z paranoją, według znanego wzoru wietrzenia wszędzie agentur, nawet w Watykanie. Toteż układając wybór jego pism publicystycznych, należałoby pamiętać, że pisał fantazjowaniem czy nawet wariactwem za stałość swoich poglądów. Odsiew oczywistych błędów spotka po śmierci wszystkich chyba piszących i myśl o tym powinna nas ustrzec od występowania w todze surowych sędziów.

Dwa otrzymane wczoraj listy są dla mnie przeżyciem, jeden od J., drugi od M. Te moje rówieśniczki i koleżanki z wydziału prawa Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie nie tylko prowadzą mnie nitką sentymentów w przeszłość, istnieją jako osobowości tak cenne, że uważam siebie za szczęśliwego, mogąc o nich myśleć. Bo w tym naszym mieście były niezwykle dziewczęta i jakże ubodzy są ci wszyscy, których pamięć nie może odwołać się do tak wartościowych okazji ludzkich. A mówię to teraz, kiedy są siwe i hodują wnuki, a ja znam mniej więcej ich życie pełne błędów i tragedii.

Z M. nigdy nie byłem blisko, ale przyglądałem się jej. Na swój plus to zapisuję, że jej wypukłe szkła osoby krótkowzrocznej nie przeszkodziły mi ocenić jej wdzięku. Była urocza, ślicznie zbudowana, ale oczywiście ani jej w głowie były faramuski, skoro zaciekle goniła wielkie cele. Ona i jej siostra należały do wewnętrznej kręgu dokoła Jędrzychowskiego i Dembińskiego, czyli *Po prostu* i *Karty*, a później w powojennej Polsce do znanych

postaci „grupy wileńskiej”. Pochodziły z rodziny bardzo katolickiej i w komunizmie znalazły nową religię, tak jak Zosia Westfalewicz, żona Dembińskiego, której siostra była zakonnica.

List M., pisany jej śmiałym, zdecydowanym piśmem, komentuje m.in. mój wiersz o złamaniu tabu przez rzucenie kamieniem w węza, który znalazła w krajowym wydaniu *Swiadectwa poezji* i dodaje: „Ale skoro już jesteśmy przy wężu, napiszę Ci o rybach. W dzieciństwie weszłam do kuchni, gdzie skakały żywcem oskrobane przez gospodynię ryby. Zawsze bardzo bliskie mi były zwierzęta. Więc zaczęłam je zabijać (przez litość) waląc ich głowami o ścianę. Byłam cała w ich krwi. To była sytuacja, z której nie było dobrego wyjścia. Ale zastanawiam się, czy potem, już dorosła, nie byłam jak ci wychowankowie Sorbony”.

W kilku zdaniach M. (nasz wydział prawa kształcił wybitne inteligencje) daje historię swoją i swojej grupy. Litość nad ludźmi prowadziła do zaangażowań, które nie były dobrym wyjściem. A wychowankowie Sorbony, wykształceni na filozofii Sartre'a, praktykowali ludobójczy terror w Kambodży.

Dalej M.:

„Żeby było weselej, napiszę, jak Cię pamiętam. Pochylnia z Sali Śniadeckich, ty lecisz na czele grupy robotników i studentów goniąc bojówkę endecką, która chciała rozbić wieczór poezji różnych narodów. Masz taką minę wilkołaka, jaką umiałeś robić, zęby na wierzchu, oczy wytrzeszczone, w rękę trzymasz szczątki krzesła. I wyjesz.

Drugi obrazek: stoimy przy stole w Kole Prawników i o coś się kłócimy, nie pamiętam o co, chyba o politykę, bo mówisz do mnie ze złością: ty zawsze byłeś i zostaniesz dewotką. Widocznie mi dogryzłeś, jeśli to pamiętam. Przeżyłam dwie dewocje, a na trzecią już mnie nie stać. To skutek nie tylko starości, ale między innymi literatury, która mi towarzyszy od dziecka”.

W innej części listu M. mówi o przemówieniu Brodskiego w Sztokholmie na chwałę literatury: „Josip Brodski na Noblu powiedział to, co chciałam Ci napisać, tylko o wiele piękniej”.

Moje myślenie o nich, tych dziewczętach z Wilna, a dziś starych kobietach, nie nadaje się właściwie do przekazu prozą, jest tak naładowane skrótami i tak wielowarstwowe, że wymagałoby jakiegoś szczególnego rodzaju poezji miłosnej. Czas w niej pewnie by się cofał do lat, kiedy byliśmy w niższych klasach gimnazjum, kiedy M. zabijała ryby w kuchni, a J. nosiła marynarski kołnierz mundurka szkoły Sióstr Nazaretanek. Prawdopodobnie w tych uparcie wracających obrazach wspólnoty poprzez dzieciństwo wyraża się moja tęsknota do przywrócenia, do *apokatastasis*, czy też do zaczynania na nowo, a więc do chwili, kiedy jeszcze nic nie musiało być tak, jak później się stało, kiedy jeszcze

(wyobrażając sobie jakąś zupełnie inną epokę, inne obyczaje itd.) nie musieliśmy być rozdzieleni. A kto wie, czy taka poezja miłosna nie rodzi się z marzenia o „seksualności anielskiej” Swedenborga, z chęci pełnej identyfikacji, niemal przemiany w drugiego, nie bezpłciowo, ale z przeniknięciem także jego innej płci.

O liście J., troszczącej się o mój stan zdrowia, lepiej żebym nie pisał. Bo za dużo nici zaraz bym musiał wyciągnąć. Zastanawia mnie jej stała skłonność minorowa, do pomniejszania siebie, aż, gdyby jej wierzyć, nieprawdą jest, że ma wybitne zalety umysłu i charakteru. Zawsze o sobie, o swojej chorobie i prawdopodobieństwie rychłej śmierci, z niedbałością, wzruszeniem ramion.

Wieczór poezji różnych narodów, o którym przypominała M. Sprzeciwiając się „narodowemu” Wilnu mieliśmy różne kontakty i myślę, że niektóre ich ślady są przypominane, na przykład w 1972 roku w pociągu Rotterdam - Paryż, kiedy wracając ze zjazdu poetów rozpiliśmy piersiówkę z Abramem Sutzkewerem, który przeżył getto wileńskie i jest autorem podstawowej książki o zbrodniach niemieckich w Wilnie. Myślę też, że te kontakty wyjaśniały, przynajmniej częściowo, sekret Władysława Ryńcy. Bo jak zostaje się milionerem podczas wojny, zakładając firmę transportową? Ryńca (gwarowe „Ręka”) pochodził ze Śląska. W Wilnie znalazł się jako student — jeszcze jeden mój kolega z prawa. Politycznie wywodził się ze „Strzelca”, tak jak inni (Jędrychowski) z „Legionu Młodych”, a był to okres „lewicowienia” tych sanacyjnych organizacji. Na uniwersytecie został jednym z głównych działaczy naszego bloku antyendeckiego w wyborach do Bratniej Pomocy, wyróżnił się też jako znakomity mówca. Później został na obrzeżu grupy i nie zbliżył się do komunizmu. Co robił w latach 1934-1939, nie umiem powiedzieć (adwokatura?), a już chyba nie potrafię dojść jak zmienił się z ubogiego syna górnikarza w finansowego potentata, operując od 1941 roku gdzie? — na linii Wilno - Mińsk - Warszawa, czyli na terenach narodowościowo mieszanych, tych właśnie, które Józef Mackiewicz opisał w powieści *Nie trzeba głośno mówić*. Wydaje mi się, że jednym z czynników godnych uwagi była ogromna ilość płynnej gotówki w Wilnie, w złocie i w dolarach, której w niczym nie opłacało się inwestować. Wspólnik Ryńcy, Krywiczki, był Żydem z Rygi i być może mobilizował te kapitały. Krywiczki działał w biurach firmy w Wilnie i Mińsku, które zostały zlikwidowane w miarę przesuwania się frontu, i w 1944 zjawił się w Warszawie, gdzie go poznałem. Był chroniony przez dobre aryjskie papiery, w ogóle Wilno miało jedno z najbardziej artystycznych wytwórni fałszywych dokumentów. Z Warszawy, nie

czekając aż przyjdą Rosjanie, wyjechał do Pragi czeskiej i tam zginął, w nieznanym mi okolicznościach. Innym czynnikiem powodzenia Ryńcy był pewnie jego geniusz dyplomatyczny i brak narodowościowych przesądów. Firma była kryta jako zajmująca się dostawami dla wojska i miała wysoko postawionych Niemców na swoich żołdziej. W istocie przeprowadzała ogromne operacje walutowe na czarnym rynku. A ciężarówki służyły wyładowane wszystkim, tylko nie dostawami dla wojska, bronią, owszem, ale nie przeznaczoną dla Niemców. Ryńca należał do naszej socjalistycznej „Wolności” (był też łącznikiem między Bundem w getcie wileńskim i Bundem w getcie warszawskim), a przez to do podziemia „londyńskiego”, dla którego moc korzystać z takiej sieci transportowej było ważne. Woził pieniądze i broń dla oddziałów AK, ale domyślałam się, że szlak do Mińska, prowadzący przez lasy pod kontrolą sowieckiej partyzantki, miał zabezpieczony dzięki odpowiednim układom i świadczonym usługom. Jego ciężarówki przewoziły też uratowanych z wileńskiego getta Żydów, nie za pieniądze, jeżeli mam sądzić po wypadku Seweryna Trossa. Tross pisywał przed wojną do pisma *Orka na ugorze* tak jak mój brat Andrzej, i znalazł się w Wilnie jako uchodźca z Warszawy. Mój brat ukrywał tego swego kolegę przez pewien czas w mieszkaniu naszych rodziców w Wilnie, na Zarzeczu, przy ulicy Popowskiej. Następnie Tross i jego żona zostali załadowani na ciężarówkę Ryńcy i wyładowali w Warszawie, gdzie znalazłem dla nich dobrą melinę. Niestety zginęli w powstaniu warszawskim, ale nie jako Żydzi, po prostu jako ludność cywilna. Cała działalność firmy była, z niemieckiego punktu widzenia, kryminalna i trudno pojąć, że nie było żadnej wpadki. Geniusz Ryńcy i tutaj się okazał, bo stworzył zespół (pamiętam jego szoferów), na którym mógł absolutnie polegać, scementowany na zdrowszych zasadach niż stosunki szefa z podwładnymi. Rodzinność tej grupy „swoich chłopców” z Wilna wykluczała donos, najczęstszy powód katastrofy.

Pisałem o Władku Ryńcu w *Rodzinnej Europie*, nazywając go literą W., ale znów do niego wracam, bo naprawdę mi imponował i do dziś staram się zrozumieć, jak to wszystko robił. Po wojnie założył, jak planował, firmę wydawniczą i stałby się na pewno panem wydawniczego rynku, zaraz jednak przedsiębiorstwo utrupiono w ramach walki z inicjatywą prywatną. Wtedy został adwokatem i specjalizował się w sprawach spadków, m.in. amerykańskich, korzystając z tego, że wskutek powiązań z „grupą wileńską” dostawał paszporty na zagraniczne podróże.

Osadzanie Mackiewicza według politycznych kryteriów nie

zaprowadzi daleko. Dajmy na to, że był maniakiem, Don Kichotem, utopistą, niemniej to polityczna pasja odżywiła jego piarstwo, które było ściśle realistyczne ale zarazem chciało służyć, czyli być piarstwem z tezą. A tezy brały się z jego uczciwości i moralnego oburzenia. Ciągłe zapytywał: „jak to jest możliwe?” i chciał być głosem wołającym na puszczy, kiedy wszyscy inni milczeli. Na szczęście nie był politykiem.

Ostatnie rozdziały *Nie trzeba głośno mówić* dają miarę różnic aury pomiędzy Wilnem i Warszawą, tak jak je odczuwał przybyły z Wilna latem 1944 roku Mackiewicz. I obraz Warszawy, zwirowanej, lekkomyślnej, obojętnej na strzelaniny tu i ówdzie, dumnej ze swego bohaterstwa, wesołej, bo blisko zwycięstwo, jest u niego poprawny. Dla Mackiewicza była to beztroska dzieci, które nie chcą wiedzieć, że jeszcze chwila, a nic nie zostanie z ich zabawek, tak jak nic nie zostało w Wilnie.

Mackiewicz po przyjeździe do Warszawy wyraził życzenie spotkania się ze mną i z Januszem Minkiewiczem. Odbyliśmy długą rozmowę. Z jego strony było to powtarzane na różne sposoby pytanie „jak to jest możliwe?”. Więc teraz, kiedy jasne dla każdego, że Alianci są daleko, nic? Żadnej próby dogadania się, choćby w ostatnim momencie, z przegrywającymi Niemcami, skłonny już do ustępstw? Teraz przeciwko można by było wydać pismo, żeby mówić głośno prawdę o okupacji sowieckiej, tłumioną przez polskie podziemie na usługach Londynu, a pośrednio Moskwy. Słuchaliśmy go z niedowierzaniem, jak się słucha człowieka niespełna rozumu. I wysmialiśmy go. Powiedzieliśmy mu, że nie ma żadnego rozeznania w tutejszych nastrojach, że nikt by z takim pismem nie współpracował, że kolaborantom, Emilowi Skiwskiemu i Feliksowi Rybickiemu, nikt nie podaje ręki, a on, gdyby zaczął wydawać takie pismo, zostałby napiętnowany jako zdrajca. Mackiewicz nic nam nie powiedział o gazecie *Alarm*, której trzy numery podobno wydali wiosną 1944 we dwójkę z żoną.

Opowiadając to, nie uważam, że obciążam Mackiewicza, który w tym wypadku oświadczał się za kolaboracją, skąd mogłoby wynikać, że uprawiał ją dawniej. Otóż nie wynika. Był to wówczas człowiek zrozpaczony i być może bardziej zrozpaczony niż Minkiewicz i ja, bo my zachowywaliśmy jakieś nadzieje.

Dobrze, że wspominałem o Władysławie Ryńcu i jego działaniach w trójkącie Wilno - Mińsk - Warszawa, bo dają pewne pojęcie o niesłychanej gęstości i zawiłości tamtejszych ludzkich losów za niemieckiej okupacji. Ich obraz musi sprzeciwiać się

polskim wyobrażeniu, mocno wypaczonym przez patriotyczną konwencję. Rzeczywistość lat wojny na tamtych terenach została też całkowicie ukryta i przerobiona przez oficjalnych historyków. Jest faktem, że Niemcy byli tam witani jako oswoobodziciele i gdyby nie ich szaleństwo, mieliby tamte narody całkowicie po swojej stronie. A tak jak się sprawy ułożyły, schemat bojowników i kolaborantów ujmuje zaledwie drobną część prawdy. Była to trzystronna gra, przy czym ogromna większość ludności lawirowała, zabezpieczając się u jednych i drugich, a istniały też niezależne enklawy, jakby oddzielne państewka zakładane przez zbrojnych watazków. Wiedza o tym wszystkim zmieniała perspektywę Mackiewicza, dobrze służąc jego obiektywizmowi.

Powieści Mackiewicza skłaniają do sceptycyzmu wobec literatury, bez ustanku przyrządzanej w coraz to innym sosie, w sosie obowiązującej w danym momencie mody, ideologii, polityki i tak dalej. Mają żywą narrację, zaciekawiają tak, że „nie można się oderwać”, czyli spełniają wszelkie warunki niezbędne wtedy, kiedy powieść zajmowała miejsce zajęte później przez film i telewizję. Zawsze chyba istniała literatura zawodowa i niezawodowa. Do Mackiewicza nikt nie chciał się przyznać i dlatego, że taki literacko zacofany, i dlatego, że okropny reakcjonista, ale czytali, aż im się uszy trzęsły. I moim zdaniem pobił swoich współzawodników piszących bardziej wyszukaną prozą. Pobił artystycznie. Można zastosować do nich powiedzenie sowieckiego żołnierzyka: *Francuzi w szetkach, no wojnu proigrali* (Francuzi w jedwabiach, ale wojnę przegrali). Jego proza jest zwarta, oszczędna, funkcjonalna, widzi się, co opisuje, a już specjalnie krajobraz jego okolic. Pośród znanych mi polskich literatów nikt tak nie pisał. Ale i Prus i Żeromski byli w porównaniu z nim literatami zawodowymi. Szlachcic szaraczkowy, jak go nazwałem, z tych upartych, wzdargliwych, zaciekłych milczków, pisał na złość. Na złość całemu światu, który czarne nazywa białym i nie ma nikogo, kto by założył veto. I właśnie w tej pasji jest sekret jego stylu.

Czesław MIŁOSZ

Wywiady «Kultury»

Gdzie jest "Solidarność" ?

ROZMOWA ZE ZBIGNIEWEM ROMASZEWSKIM

KRYSTYNA JAGIEŁŁO: — W maju 1988 wyraził Pan pogląd, że „Solidarność” zostanie zalegalizowana, ale będzie to inna „Solidarność” — wyłącznie związek zawodowy. Czy podtrzymuje Pan tę opinię?

ZBIGNIEW ROMASZEWSKI: — Obecna sytuacja jest bardzo skomplikowana. Musimy wypracować nowy polityczny model społeczeństwa. Przez polityczny rozumiem sposób, w jaki opisujemy istniejący stan rzeczy. Dotychczasową rzeczywistość postrzegaliśmy jako czarno-białą, złożoną z przeciwieństw: władza — opozycja, komuniści — „Solidarność”, Wałęsa — Jaruzelski. W moim przekonaniu po ostatnim plenum KC PZPR i po uchwale Krajowej Komisji Wykonawczej „Solidarności” istnieje konieczność innego rozumienia zachodzących w Polsce procesów społeczno-politycznych.

K.J.: — Jak określiłby Pan model, który tworzy się obecnie?

Z.R.: — Jako model trójczłonowy z dziurą w środku. Powstaje proreformistyczne centrum, które będzie usiłowało zapełnić dziurę, dzielącą opozycję od władzy, ale to wcale nie jest łatwe. Zarówno elita władzy jak i elita opozycji muszą być związane ze swoją bazą, z członkami, których reprezentują. Żeby elita opozycji nie oderwała się od swojej bazy, musi zagwarantować sobie pewne minimalne warunki, co wcale nie wiem czy nastąpi. Z drugiej strony władza jest determinowana przez ludzi swego aparatu. W partii istnieje podział. Nigdy nie byłem miłośnikiem dywagacji na temat podziału partii na beton i liberałów, ale teraz, po plenum, trzeba powiedzieć, że taki rozpad stał się faktem. Elita władzy przeprowadziła w końcu swoją wolę, wyrażoną w

bardzo pozytywnym dokumencie końcowym, ale po dzikiej walce z aparatem partyjnym. Po stronie opozycji tak drastycznych walk nie było. Może dlatego, że mechanizmy demokratyczne wewnątrz partii, przynajmniej wśród aktywu partii, są daleko sprawniejsze niż wśród aktywu opozycji. U nas mechanizm wyłaniania aktualnej reprezentacji ruchu został po prostu zablokowany stanem wojennym. Tworzenie elit odbywa się poprzez swego rodzaju nominację, związki towarzyskie, usankcjonowane związki formalne. W partii, co by o nich nie mówić, mają jakieś tam swoje wybory do KC, Biura, przedstawicielstwo. U nas rysują się pewne podziały. Świadczy o tym choćby stanowisko tzw. grupy roboczej KK, radykalne stanowisko Gwiazdy, Walentynowicz. Nie uważam, żeby różnice te były pryncypialne, nieusuwalne, zarysowały się raczej jako odpowiedź na brak mechanizmów demokratycznych w związku, o których mówiłem.

K.J.: — *Co Pan sądzi o stanowisku grupy roboczej?*

Z.R.: — Uważam, że wypukła ono pewne problemy społeczeństwa i ruchu związkowego, z którymi, czy to się podoba, czy nie, trzeba się liczyć. Przede wszystkim problem ochrony społeczeństwa przed skutkami kryzysu ekonomicznego. Po drugie słabość koncepcji budowania centrum, która jak dotychczas jest koncepcją wyłącznie polityczną. Właściwie mógłbym się podpisać pod oświadczeniem grupy roboczej, gdyby nie jedno: koncepcja budowania centrum politycznego jest jak dotąd jedyna. Nikt innej nie przedstawił. Za głównego architekta projektu uważam prof. Bronisława Geremka, a czy dzieło zostanie zrealizowane ku jego chwale, czy sromocie — czas pokaże. Losem polityka jest ryzyko. Spróbujmy zbudować centrum, spróbujmy przybliżyć się do normalnych warunków politycznych. Nie można nie dostrzec pewnej zbieżności między programem gospodarczym, który „Solidarność” tworzyła na swoim pierwszym zjeździe, a obecnym programem grupy reformistycznej w partii. Jest on wykoślawiony przez osiem minionych lat i stan wojenny, ale jest. Nie wiem, czy stworzenie centrum politycznego zapobiegnie wybuchowi społecznemu, ale jestem pewien, że w przeciwnym przypadku wybuch nastąpi z całą pewnością.

K.J.: — *Dlatego sądzę, że powołanie Komitetu Obywatelskiego przy przewodniczącym „Solidarność” wynika m.in. z przesłanek moralnych.*

Z.R.: — Sądzę, że został on powołany dla zapewnienia poparcia politycznego kręgów opiniotwórczych dla idei centrum politycznego. Obawy moje budzi natomiast fakt, że ciało to, jako ciało mianowane i dość przypadkowe, może budzić dość szeroki sprze-

ciw i zrodzić dalsze podziały w opozycji, pogłębiając alienację elit solidarnościowych.

K.J.: — *Ma Pan na myśli proces alienacji Wałęsy od regionów „Solidarność”?*

Z.R.: — To jest bardzo stary schemat społeczny. Gdybym chciał się kłócić, to bym powiedział, że regiony w ogóle już nie istnieją. Moim zdaniem prawda na temat „Solidarność” jest taka, że istnieje 5, może 6 silnych ośrodków związkowych: Jastrzębie, Szczecin, Gdańsk, Stalowa Wola, Bełchatów, być może Wałbrzych, być może w przyszłości Lubin, ale tam działalność związkowa już jest, ludzie chodzą ze znaczkami „Solidarność” już pewnie od dwóch miesięcy. To jest ruch rzeczywiście związkowy. Poza tym istnieją cztery ośrodki — Warszawa, Kraków, Wrocław, Poznań — gdzie istnieje nie tyle związek, co ruch społeczno-polityczny, zdominowany w jakiś sposób przez środowiska inteligenckie i związane z nimi aktyw związkowy. Ruch ten ma niemałe sukcesy jako ruch polityczny, studencki, pacyfistyczny, ruch obrony praw człowieka, wreszcie ruch wydawniczy, posiada natomiast słabe zaplecze organizacyjne w zakładach pracy. Poza tym istnieje jeszcze reszta Polski, która nieraz tkwi w działalności z roku '82: tajne lub pół jawne komitety, działalność rozwija się w zależności od aktywności ludzi, rozmiaru represji itd.

K.J.: — *Dlaczego Komitet Obywatelski i centrum miałyby izolować elitę opozycji od narodu?*

Z.R.: — Dlatego, że koncentrują siły wokół problemów politycznych, a nie ekonomicznych, które dla narodu stanowią dziś sprawę najważniejszą. Górnicy i hutnicy strajkowali nie o drugą izbę sejmu, tylko o związek, bo jest on narzędziem do walki o prawa pracownicze, o likwidację skutków inflacji. Przenoszenie akcentu w stronę polityki może sprawić, że poza centrum znajdzie się znaczna część opozycji: partie, które powstają, grupa robocza „Solidarność”. To na dziś może niedużo, ale w połączeniu z rosnącym niezadowolaniem szerokich mas może zadecydować o fiasku koncepcji porozumienia.

K.J.: — *Co Pana zdaniem należy więc uczynić, aby projekt budowania centrum, który określił Pan jako jedyny istniejący projekt społeczny, nie wyobcował opozycji ze społeczeństwa?*

Z.R.: — Ten pomysł wymaga nie tyle mglistych obietnic, co konkretnego programu działania: czego my dla ludzi chcemy i o co będziemy dla nich walczyć. Jeśli rozwiązujemy problemy

nękające ludzi, jeśli dla nich coś robimy, możemy pojechać na strajk i powiedzieć: chłopcy, nie strajkujcie, bo to nie ma sensu, my wam proponujemy to i to. Chodzi tylko o to, że musimy mieć konkretne propozycje. Widzę daleko idącą i niebezpieczną sprzeczność. Otóż bazą „Solidarności” są huty, kopalnie, wielkie przedsiębiorstwa, które na skutek gospodarki prowadzonej od czterdziestu lat stały się bardzo nierentowne, nienowoczesne, zaturwają przyrodę i powinny być w istotny sposób zreorganizowane, jeśli w ogóle nie zamknięte. Powiedzmy, że się na to zgadzamy. Wtedy w każdym z tych zakładów mamy kilka lub kilkadziesiąt tysięcy ludzi bez pracy, którzy w tej sytuacji oczywiście zaczynają strajkować, rzucać kamieniami, manifestować itd. I „Solidarność”, jeśli powstanie, musi odpowiedzieć sobie na pytanie, czy w takiej sytuacji pójdzie z tymi ludźmi i stanie się skrajnie konserwatywnym elementem blokującym wszelką reformę gospodarczą, czy też pójdzie z władzą i razem z prokuratorem generalnym zacznie głosić, iż zgodnie z ustawą z 1982 roku strajki są nielegalne. Jedno i drugie byłoby katastrofą.

K.J.: — *Tylko, jak sądzę, z powodu tak dramatycznej sytuacji władza zgadza się na legalizację „Solidarności”.*

Z.R.: — Zapewne. Jest to przede wszystkim chęć podzielenia się odpowiedzialnością, podparcia się. Z tym, że nie upatruję w tym żadnego makiawelizmu. Po prostu taka jest rzeczywistość.

Koncepcji porozumienia z władzą nie można odrzucać, bo nie ma żadnej innej. Opcja przyjęta przez centrum jest generalnie słuszna, ale trzeba ją wesprzeć konkretnymi działaniami. Musimy stworzyć „Solidarność”, musimy dla niej wywalczyć struktury organizacyjne i środki działania takie, które by w jakiś sposób amortyzowały wstrząsy okresu reformy.

K.J.: — *Jaki ma Pan pomysł na zabezpieczenie tej działalności?*

Z.R.: — Wyobrażam sobie stworzenie ogromnej fundacji ochrony pracownika w okresie reformy. Według moich oszacowań musiałaby ona dysponować ok. 200-300 mln dolarów. Z pieniędzy tych powinniśmy sobie zapewnić możliwość powołania zespołów ekspertów, przedstawiających związkowi konkretne rozwiązania problemów zatrudnienia w danym rejonie. Na to poszłaby nieznaczna część funduszy, ale bardzo istotna, gdyż pozwalająca przejść od dyletantyzmu do instytucjonalizacji działań związku. Ekspertyzy pozwoliłyby nam prowadzić twarde negocjacje z władzami na temat odszkodowań pracowniczych przy likwidacji zakładu. Dopiero wtedy moglibyśmy wyjść do ludzi z konkretnymi propozycjami; jak za pomocą kredytów fundacji pomożemy im w prowadzeniu indywidualnej lub grupowej (spółdzielni, spół-

ki) działalności gospodarczej, jak pomożemy im rozwikłać trudności mieszkaniowe lub transportowe, związane ze zmianą miejsca zatrudnienia itd. Dopiero mając takie propozycje możemy przekonywać ludzi, żeby nie strajkowali. Jeśli reforma ma ruszyć, ludzie nie mogą na niej tracić.

K.J.: — *Skąd miałyby pochodzić te fundusze?*

Z.R.: — W kraju możliwości nie ma.

K.J.: — *Dostrzega Pan sponsorów za granicą?*

Z.R.: — Myślę, że w sytuacji, gdy zachód jest zafascynowany *pieriestrojką* i gotów ją popierać — znajdują się. Jeśli w Polsce nie powstaną warunki, zabezpieczające pracownika przed skutkami kryzysu, dojdzie do wybuchu, który *pieriestrojce* na pewno nie przysłużą się. Myślę, że ten argument przemawiałby do Zachodu. Nie wspominam już o planach Mitterranda stworzenia planu Marshalla dla Europy wschodniej i centralnej. Co prawda od roku ten projekt nie posunął się, ale świadczy o tym, że pieniądze są. Trzeba je tylko umieć wydobyć.

K.J.: — *Czy to są tylko Pana poglądy? Co sądzi o nich „Solidarność”?*

Z.R.: — Przedstawiałem swój punkt widzenia kilka dni temu na posiedzeniu Krajowej Komisji Wykonawczej, dyskusja została odłożona do następnego posiedzenia. Jest to zrozumiałe. Jak do tychczas, projekt funkcjonuje właściwie w sferze projektu politycznego, gdyby go dyskutować, trzeba byłoby przewentylować możliwości prawne, ekonomiczne, szanse organizowania takich funduszy za granicą. W każdym razie ja zamierzam skoncentrować wokół tej sprawy swoją aktywność.

K.J.: — *Szkoda, że władza znów odmówiła Panu paszportu. Powinni być raczej zainteresowani w tym, żeby Pan wyjechał.*

Z.R.: — Od przeszło dziesięciu lat mam zakaz opuszczania koszar. Ale nie wykluczam, że kiedyś mi ten paszport dadzą.

K.J.: — *Czy wyczuł Pan na posiedzeniu KKW przychylną atmosferę dla swego projektu?*

Z.R.: — Jeśli idzie o członków KKW, to owszem, niekiedy nawet z dużym uznaniem. Natomiast środowiska ekspertów i doradców były trochę zaskoczone. Odnieśli się do tego *novum* nieufnie. Ale wydaje mi się to zrozumiałe, bo to był na razie pomysł, nie podbudowany jeszcze konkretami.

K.J.: — Przez siedem lat opozycja na czele z Wałęsą lansowała pogląd, że „nie ma reformy bez 'Solidarności'”. Okazuje się, że może być „Solidarność”, może być reforma i jednocześnie sprzeciw robotników.

Z.R.: — Bez „Solidarności” nie ma reformy. Pod tym względem nic się nie zmieniło, nawet władza wreszcie to rozumiała. Chodzi tylko o to, że „Solidarność” nie jest w stanie zabezpieczyć bezkolizyjnego przebiegu reformy. Wałęsa zdaje sobie sprawę, że staje przed żywiołowymi procesami, w których jego autorytet nie wystarcza. Może sobie twierdzić, że strajki nie sprzyjają gospodarce, że podkopują reformę, ale tych strajków nie ugasi. Trudno przekonywać włóknarki, że mają zarabiać połowę tego, co reszta społeczeństwa.

K.J.: — Sądzę, że Wałęsa nie miałby na to zresztą najmniejszej ochoty.

Z.R.: — Z całą pewnością. Robotnicy tylko wtedy poprą reformę, jeśli będą mieli jakieś zabezpieczenie. Żeby się odbić do góry, trzeba przysiąść. A to społeczeństwo zostało doprowadzone do tego, że już nie ma gdzie przysiąść. Trzeba więc stworzyć taki model reformy, w którym powolutku, powolutku, ale szłyby się do góry.

K.J.: — Ależ ciągle mówi się o wyrzeczeniach.

Z.R.: — Wyrzeczenia mogą dotyczyć sfery organizacyjnej: okrojenia zbrojeń, budżetów SB, ZOMO, wojska.

K.J.: — Władza jakoś nie przedstawia takich projektów.

Z.R.: — No właśnie. Bardzo ciekawe, że budżet zbrojeniowy został w Polsce okrojony o 4 % (na Węgrzech chyba o 17 %, w NRD o 10 %), a budżet MSW wzrósł o 5 %. To jest niepokojące, tym bardziej, że mówiąc o inflacji mówimy ciągle o płacach. A płace w Polsce stanowią 7-10 % kosztów produkcji (na zachodzie Europy 25-35 %). To jest chora gospodarka. Sytuacja jest katastrofalna. Dlatego uważam, że jeśli polityka centrum ma mieć sens, „Solidarność” powinna skoncentrować się na dwóch sprawach: ochronie ludzi podczas reformy i ochronie ludzi przed skutkami inflacji. Jeśli nie przedstawimy na ten temat realnego planu działania — to równie dobrze możemy tego związku w ogóle nie zakładać.

K.J.: — Czy nie sądzi Pan, że władza, mając informacje, których opozycja nie zna, może wiedzieć na temat finansów Polski coś

jeszcze bardziej przerażającego niż przypuszczamy? Mam na myśli inflację, która umożliwi kupno kilograma jabłek za całą pensję, czyli kompletną plajtę kraju.

Z.R.: — Żeby widzieć, że sytuacja zmierza w kierunku, o którym Pani mówi, nie potrzeba żadnych tajnych wykazów rządowych. Posuwamy się w tę stronę — może to być kwestia kilku miesięcy albo roku. I wtedy frustracja doprowadzi ludzi do wybuchu, którego nikt nie powstrzyma. Dlatego też sądzę, że to, iż władza zgadza się na „Solidarność”, nie jest znów takim aktem wolnej, dobrej woli. Jeśli nie powstanie „Solidarność” dziś, to wywalczą ją robotnicy jutro strajkami. Jutro, tzn. w kwietniu-maju, bo we wszystkich ośrodkach robotnicy szykują się do strajku w tym właśnie czasie. Ci robotnicy przestali się już przejmować wszystkimi stołami, negocjacjami, komitetami. — Jak nie, to tapniemy — powiadają w Jastrzębiu. Ale nawet jak zostanie wywalczona „Solidarność”, to okaże się, że ona też niewiele może. Bo my programu nie mamy.

K.J.: — Dlaczego „Solidarność” przez tyle lat walki o swoje istnienie nie wypracowała żadnej spójnej koncepcji gospodarczej?

Z.R.: — Przyjeliśmy pewną formułę działania, którą było budowanie społeczeństwa podziemnego, a więc formułę *par excellence* inteligentną. Nie mieliśmy żadnych propozycji dla robotników. Skoncentrowaliśmy się na czytaniu i pisaniu, stąd taki elitarny charakter „Solidarności”. Gdybyśmy tę rozmowę prowadzili rok temu, powiedziałbym, że „Solidarność” związkowa prawie nie istnieje. Najlepszym dowodem jest oświadczenie warszawskiego RKW z 13 grudnia ubiegłego roku, które powiada, że „Solidarność” nie istnieje i trzeba wchodzić w struktury władzy, organizować samorządy.

K.J.: — Czy na tym tle doszło do rozłamu w Mazowszu?

Z.R.: — Kryzys w „Mazowszu” zarysował się znacznie wcześniej, już w '86 roku. Kiedy Regionalna Komisja Wykonawcza „Solidarności Mazowsze” ujawniła się, zmieniając skład członkowski. Mnie nie poinformowano w ogóle o tym, że RKW Mazowsze ujawnia się, choć byłem jednym z jej członków-założycieli. Powołano arbitralnie nowy skład RKW, ze starej komisji pozostali Bujak i Kulerski, doszli Biliński, Ewa Kulik i Lityński. Uważałem, że działalność arbitralna nie wzmacnia ruchu i przestałem zajmować się RKW. Wtedy na nowo zacząłem organizować Komisję Interwencyjną. Ale wracając do naszego tematu: 13 grudnia '88 roku RKW Mazowsze ogłosiło, że „Solidarność” nie istnieje właśnie dlatego, że oderwali się od rzesz członkowskich.

Nie wierzono w ruch społeczny, w to, że on istnieje. W związku z tym skoncentrowano się na problemach polityki, kultury, oświaty. Problemami materialnymi zajmowaliśmy się najmniej.

K.J.: — *Odnoszę wrażenie, że wszyscy są zaskoczeni życiem. I władza, i opozycja. Wszyscy dostrzegają zbliżającą się lawinę inflacji, niezadowolenie mas, nienawiść, którą żywi do ustroju młodzież, ale nikt nie wie dokładnie, co robić. Rozumiem, że władza nie wie, ale dlaczego nie wie opozycja — nie rozumiem.*

Z.R.: — Bo opozycja do maja '88 polegała w gruncie rzeczy na nieformalnych związkach towarzyskich. Pewnie wiele spraw sobie tu i ówdzie dyskutowano, operując owym czarno-białym, nieaktualnym modelem społecznym. Mówiono o porozumieniu, ale nie zastanawiano się, jakie wynikną z tego konsekwencje i co powinniśmy przedsięwziąć, żeby zachować tożsamość. Opozycja była trochę zapatrzona we własny pępek i bardzo z siebie zadowolona. Bo była dzielna, odsiedziała w więzieniu, obnosiła się ze swoją postawą, etosem, martyrologią. Zaczynał się tworzyć ZBoWiD. Co zresztą zniechęcało młodzież.

K.J.: — *A więc zgodnie z polską tradycją praca nad tworzeniem narodowej legendy i budowanie etosu wyprzedzają pracę u podstaw.*

Z.R.: — Tak. Doprowadziliśmy do całkowitej elitarności ruchu. Muszę zresztą powiedzieć, że ostrzegałem przed tym, pisałem na ten temat. Dlatego byłem przeciwny oddawaniu tego miliona dolarów na służbę zdrowia, bo te pieniądze nie rozwiążą żadnych problemów służby zdrowia — a wystarczyło 300 tysięcy dolarów, z których wypłaciliśmy ludziom rekompensaty i rozwinął się związek, ludzie mieli wokół czego działać, uwierzyli w związek, odzyskali tożsamość. Myślę, że gdybyśmy działali trochę inaczej, nie byłoby teraz kłopotów z grupą roboczą.

K.J.: — *To elitarnie nastawienie opozycji wynikało, jak sądzę, z faktu, że elity były w Polsce przez czterdzieści powojennych lat z premedytacją niszczone. W latach 80-tych zaczęły się odradzać, lansując pogląd, że naród jest taki, jak jego elita, co nie jest bezzasadne, widzimy bowiem, co dzieje się z narodami, które dostatecznie silnych elit w swojej historii nie miały — Ukraińcy, Białorusini. Ale też trzeba pamiętać, że elita jest tylko tyle warta, o ile kogoś reprezentuje.*

Z.R.: — Oczywiście. Do maja '88 roku w gremiach kierowniczych związku nie było nowych, młodych ludzi.

K.J.: — *Komu naprawdę zależy w Polsce na reformie gospodarczej?*

Z.R.: — Nawet robotnikowi może na niej zależeć. Jeśli robotnik ma wybierać między pracą w przedsiębiorstwie państwowym a prywatnym, wybierze prywatne, a więc jest za reformą. Ale jeśli ten sam robotnik się dowie, że jego przedsiębiorca zarabia dziesięć razy więcej niż on, będzie zdania, że należy mu te zarobki obniżyć. To wszystko jest bardzo złożone. Społeczeństwo polskie ma bardzo silne tradycje egalitaryzmu, a egalitaryzm nie jest elementem specjalnie ożywiającym gospodarkę. Każdy powie: gdyby był prywatny handel, gdyby był prywatny właściciel, to by ten kraj inaczej wyglądał. A z drugiej strony istnieje powszechne pragnienie, żeby wszyscy mieli to samo. To jest dylemat.

K.J.: — *Jak trudno wyrwać się z każdego układu, choćby był najgorszy!*

Z.R.: — Oczywiście. Droga do tego miejsca, w którym jesteśmy, tzn. do komunizmu w fazie rozkładu, była ciernista; nie ma powodu przypuszczać, że droga w odwrotną stronę będzie lepsza.

K.J.: — *Wydawałoby się, że większość społeczeństwa o niczym innym nie marzy, jak o tym, aby wyrwać się z tego systemu, a tymczasem wiarł się on w życie ludzkie i w mentalność człowieka bardzo głęboko.*

Z.R.: — Również w mentalność opozycji. Bylejakość kwitnie. Wystarczy przerzucić książki drugiego obiegu — ile w nich białych stron, albo nieczytelnie wydrukowanych — a ceny wysokie. Dziwi mnie wiara w to, że jak się znajdziemy u władzy, to tak świetnie damy sobie radę, a jednocześnie niewiara w ruch społeczny, w możliwość realizowania podstawowych, społecznych inicjatyw.

K.J.: — *I w tym upatrywałabym spuściznę komunizmu. Każda nowa ekipa władzy w PRL tak przecież rozumowała, Gomułka, Gierek itd. — Jak my będziemy u władzy, to hoho.*

Z.R.: — Zgadza się. Ich spuścizna, proszę Pani, jest bardzo wyraźna. Koniec końców wszyscy ludzie w gremiach „Solidarności” zostali wychowani przez ten system i wiedzę na temat mechanizmów społecznych i politycznych czerpali z tego systemu. Co tu daleko szukać? Ja nie byłem nigdy na Zachodzie. Nigdy nie dostąpiłem zaszczytu otrzymania paszportu.

K.J.: — *Czy KKW zdaje sobie sprawę z sytuacji w Polsce?*

Z.R.: — Niewątpliwie. Ta sytuacja przecież nie zrodziła się nagle. Narasta od lat. Nowe było to, że na ostatnim posiedzeniu KKW po raz pierwszy została jasno nazwana sprzeczność pomiędzy zadaniami reformy gospodarczej a dobrem mas członkowskich „Solidarności”. Na posiedzeniu KKW podnoszono sprawę ograniczenia wydatków na zbrojenia i na SB. KKW rozumie, że pomysł eskalowania żądań płacowych i czekania, aż się komunizm od tego rozleci jest kiepski. Natomiast związek powinien mieć jasne stanowisko w sprawie np. indeksacji wynagrodzeń! Koszty utrzymania wznoszą się o 10 %, wynagrodzenie też o 10 %. Jest to szczególnie ważne dla jednostek budżetowych. Spośród wszystkich jednostek budżetowych tylko w milicji i wojsku prowadzona jest indeksacja... Jeśli reforma ma ruszyć, trzeba stworzyć sytuację, żeby robotnik na reformie wygrał, żeby wówczas, gdy mu zamykają zakład otrzymywał bardziej atrakcyjne niż dotychczas propozycje pracy. Kiedy pani Thatcher likwidowała kopalnie, płaciła robotnikom ogromne odszkodowania.

K.J.: — *Rakowski chce być w szkole pani Thatcher, więc może...*

Z.R.: — Rakowski chce być w szkole pani Thatcher bez pieniędzy. „Solidarność” musi upomnieć się o odszkodowania, bo reforma nie może odbyć się kosztem społeczeństwa.

K.J.: — *Co Pan sądzi o ewentualności wspólnej listy wyborczej i uczestnictwie „Solidarności” w Sejmie?*

Z.R.: — To jest bardzo wysoka cena, bo wiemy, czym jest Sejm PRL, ale jeśli byłby to warunek legalizacji „Solidarności”, uważam że warto ją zapłacić. Tak myślę, bo nie widzę alternatywy. Zrobimy rewolucję i sami przejmujemy władzę? Będziemy mieli większość w Sejmie no i co z tego? Kryzys, inflacja, długi, brak przygotowanego aparatu demokratycznej władzy — pozostaną.

K.J.: — *Czy opozycja może domagać się związku zawodowego bez włączania się do wyborów?*

Z.R.: — Będziemy stawiali takie wymagania, ale sądzę, że władza nie ma żadnego interesu, aby na nie przystać. Władza boi się, że za chwilę przestanie istnieć i chce sobie zapewnić jakieś oparcie.

K.J.: — *Jak Pan sobie wyobraża uczestnictwo „Solidarności” w Sejmie, w którym partia będzie miała zapewnioną większość?*

Z.R.: — Po pierwsze nie „Solidarności”, bo tego sobie w ogóle nie wyobrażam, to byłby absurd, tylko poszczególnych przedsta-

wicieli opozycji, o po wtóre skąd Pani wie, że partia będzie miała zapewnioną większość? Jeśli opozycji zapewniono by oficjalnie 40 % głosów, a partii z przybudówkami resztę, to też nie wiadomo, czy rzeczywiście byłby to trwały układ. W sytuacji podziału w partii i w opozycji w ogóle trudno przewidywać, jaki okaże się Sejm. Powstaje pytanie, czy grupa porozumienia zapewni sobie większość? Po wyborach pewnie tak, ale co stanie się za pół roku? Ciągłe operujemy tym schematem „partia i organizacje stowarzyszone kontra opozycja”, gdy tymczasem ten układ sił przestaje być aktualny.

K.J.: — *Istnieje więc szansa, by w najbliższej przyszłości Sejm stał się rzeczywiście polskim Sejmem?*

Z.R.: — Raczej wątplię. Już sama procedura wyborcza i narzucony terminarz to wykluczą. Ale istnieje możliwość, że będzie reprezentował szerszy układ sił społecznych niż dotychczas. A czy będzie również autentycznym instrumentem społecznym, wyrażającym demokratyczne aspiracje narodu? Myślę, że raczej nie. Ze względu na sam charakter reform, które nadciągają, będą raczej istniały tendencje do budowania władzy, być może innej, ale autorytarnej. W oparciu o centrum. Rola Sejmu nie będzie taka duża, stąd właśnie moje wątpliwości co do naszego uczestnictwa w Sejmie, bo w aparacie władzy żadnego uczestnictwa nie będziemy mieli. Dlatego tak ważne jest budowanie silnego i niezależnego od władzy związku.

K.J.: — *Poprzednia partia opozycyjna w Polsce nie zgodziła się na wspólną listę wyborczą. Myślę o PSL. Był to koniec PSL i jego przywódca Mikołajczyk. Jak Pan sądzi, uwzględniając różnice historyczne pomiędzy tamtym czasem a obecnym — dlaczego wówczas Mikołajczyk nie mógł zgodzić się na wspólną listę wyborczą, a „Solidarność” dziś może zgodzić się?*

Z.R.: — Podstawowa różnica jest taka, że PSL istniał, miał swoje struktury organizacyjne, a „Solidarność” nie istnieje. PSL miał do dyspozycji aparat wykonawczy, wynikający z tradycji Rzeczypospolitej, PSL było partią, która mogła rządzić i mogła odbudowywać gospodarkę, a „Solidarność” tej możliwości w tej chwili nie ma. Sądzę, że rozpatrywanie wiarygodności partnera w ogóle ma niewielki sens. To się okazuje w praktyce. Partner będzie wiarygodny i będzie dotrzymywał słowa, kiedy ja będę silny. I dlatego dla mnie problem nie polega na rozważaniu, jaki jest mój partner, tylko jaki ja jestem. Problem polega na tym, żeby zbudować silne struktury „Solidarności”. Udział w Sejmie to przyjmowanie odpowiedzialności przez „Solidarność” za wyjście z kryzysu, do którego doprowadziła władza, to naprawę gigan-

tyczny ciężar, na który „Solidarność” na pewno nie zasłużyła, ale z drugiej strony uczestnictwo w Sejmie jest również jakąś szkołą polityczną, przygotowaniem do normalnego życia, w którym ścierają się poglądy, następuje walka racji. Tego nie można lekceważyć. Jeśli nie chcemy robić rewolucji, to droga ewolucji musi prowadzić przez takie kompromisy,

K.J.: — *W przeciwieństwie do roku 1980 i 1981, kiedy budowano „Solidarność” od dołu, w fabrykach, teraz dominuje myślenie odgórne: wchodzić w struktury władzy, to co na dole stało się jakby mniej istotne.*

Z.R.: — Stąd mój pesymizm. Kiedy przychodziłem do regionu Mazowsza na Szpitalną, nie mogłem wepchnąć się między wszystkich konsultantów, którzy chcieli jechać do zakładów pracy, pomóc w organizowaniu „Solidarności” w fabrykach. W tej chwili takich amatorów można policzyć na palcach jednej ręki. Wszyscy zasiadają w gremiach, w komisjach i układają programy. To są smutne różnice między nami dziś a rokiem 1980. Jeśli nie zmienimy orientacji naszych elit na pracę podstawową i nie stworzymy podstaw organizacyjnych i materialnych ruchu, to katastrofa jest nieunikniona, niezależnie od tego, czy w Sejmie będziemy mieli 40 % czy 60 % czy jeszcze więcej. W zasadzie popieram koncepcję, którą lansuje Lech Wałęsa. Przyjdą oczywiście rozczarowania, ale alternatywnej propozycji nie widzę, dostrzegam tylko konieczność wzbogacenia tej koncepcji o formy konkretnego działania i rozwinięcie demokratycznych instytucji w związku. Na zakończenie dla pełnej jasności obrazu chciałbym powiedzieć, że jestem działaczem przede wszystkim społecznym, zajmującym się obroną praw człowieka, obroną wszelkich form pluralizmu. I jest to dla mnie racja nadrzędna, racja, której nie mogą podważyć takie czy inne poglądy czy koncepcje polityczne. W tym sensie zarówno przeciwnicy, jak i zwolennicy porozumienia mogą liczyć na taką samą pomoc ze strony naszej Komisji Interwencyjnej.

Rozmawiała Krystyna JAGIELŁO

O religii bez namaszczenia

Bunt teologów

Niedawno redaktor *Kultury* przysłał mi komunikat prasowy rzymskiego Ośrodka Dokumentacji Pontyfikatu Jana Pawła II, dotyczący polskiej bibliografii pierwszego pięciolecia pontyfikatu (tylko pięciolecia!). Przysłał go jako jeszcze jedną ilustrację żenującego zgoła panegiryzmu, uprawianego przez rodaków wobec polskiego papieża. „Nie sądzę, by to się mogło podobać Papieżowi — pisał redaktor. — Jeśli podziela Pan mój krytycyzm, to może zechciałby Pan na ten temat napisać?”

Podzielał ten krytycyzm, ale nie napisałem. Napisałem natomiast redaktorowi, że mój krytycyzm idzie znacznie dalej i dotyczy całego szeregu aspektów posługi apostolskiej samego papieża i dlatego trudno mi o tym pisać. Taki artykuł — argumentowałem — wywoła tylko falę oburzenia wśród rodaków, a niczego nie zmieni; sam papież głosu podrzędnego dziennikarzyni nawet nie usłyszy. Oczywiście miałem rację, a jednak pozostało mi po tym coś jakby wyrzut sumienia. Położyłeś uszy po sobie, odważny katoliku, bo się boisz, czy nie tak? Jesteś sobie skromnym dziennikarzyną, a jednak widzisz coś, czego twoi rodacy widocznie nie widzą albo widzieć nie chcą, choćby z nadmiaru miłości do „naszego” Ojca Świętego. Czy nie powinienes napisać? Tym bardziej, że w prasie światowej, także w prasie katolickiej, głosów krytyki na temat obecnego pontyfikatu jest co niemiara, tylko w polskiej prasie katolickiej tego jakoś nie widać. Ostatecznie krytyka to rzecz całkiem normalna i zdrowa. Ojciec Święty, niezależnie od swego wysokiego urzędu, jest człowiekiem i chyba nie we wszystkim jest nieomylny. Jak każdy człowiek na wysokim szczycie jest samotny i tym bardziej potrzebuje życzliwej krytyki. Tego właśnie wymaga miłość do Niego, a zwłaszcza miłość Kościoła.

Odsłaniam czytelnikowi trochę tej mojej wewnętrznej rozterki, by nikt nie pomyślał że to co poniżej napiszę jest pisane z lekkim sercem; ot, wybryk „liberalnego” dziennikarza. Był oczywiście czas, że i ja byłem zachwycony, że oto mamy polskiego papieża i że został nim właśnie tak bliski ludziom arcybiskup krakowski Karol Wojtyła. Jak wszyscy, nie tylko Polacy, wiele sobie obiecywałem po tym pontyfikacie. Ale wkrótce przysły pierwsze rozczarowania. Pierwszym większym szokiem było oficjalne zdewaluowanie wybitnego teologa ks. Hansa Künga, któremu wiele zawdzięczałem (choć nie jestem jego bezkrytycznym wielbicielem). Napisałem wtedy, w grudniu 1979, gorzki list do redakcji katolickiego *Tablet* u i w rezultacie kilku moich rodaków (nie Anglicy) odmówiło mi prawa do nazywania siebie katolikiem. Ale nie traciłem nadziei, bo przecież widziałem również wielkie zalety tego niezwyklego człowieka i jego niewątpliwie pozytywne posunięcia, jak choćby podróże do Polski. Ale dalsze rozczarowania nie dały na siebie czekać. Dawałem im wyraz oględnie, w odniesieniu do konkretnych posunięć, balansując je entuzjastyczną aprobatą dla wszystkiego, co wydało mi się dobre. Ale inni ludzie na Zachodzie (chyba żaden Polak), znacznie bardziej ode mnie kompetentni i mający więcej do stracenia, szli dalej. Narastało we mnie wrażenie, że jeśli chodzi o ten polski pontyfikat, to żyjemy w jakiejś wieży z kości słoniowej i z dyskusji na temat światowej roli tego pontyfikatu sami się wyłączamy.

Ostatecznie asumpt do sumarycznego przedstawienia moich wątpliwości co do pontyfikatu Jana Pawła II dała mi ogłoszona w końcu stycznia tak zwana Deklaracja Kolońska, dokument podpisany przez 163 katolickich teologów z Niemiec, Austrii, Szwajcarii i Holandii. Dokument ten, niedługi lecz bardzo treściwy, stawia Kurii Rzymskiej, a w jednym przypadku bezpośrednio papieżowi, trzy zarzuty: 1) że stolice biskupie na całym świecie są obsadzone arbitralnie, z pominięciem opinii i uprawnień lokalnych Kościołów; 2) że kwalifikowanym teologom odbiera się w trybie dyscyplinarnym oficjalne prawo nauczania; 3) że papież „w sposób niedopuszczalny” przekracza swoje kompetencje zarówno w sferze nauczania, jak i jurysdykcji. W rozpracowaniu pierwszego zarzutu dokument cytuje nominacje biskupów w Ameryce Łacińskiej, Sri Lance, Hiszpanii, Holandii, Australii, Szwajcarii i ostatnio w Kolonii, w tym ostatnim wypadku podkreślając fakt przeprowadzenia przez Kurię zmiany zasad głosowania, gdy sprawa już była w toku. Autorzy przypominają uchwałoną na Soborze zasadę kolegialności, czyli współodpowiedzialności papieża i biskupów za Kościół, że biskupi są czymś więcej niż tylko wykonawcami poleceń papieskich i domagają się prawa konstruktywnej krytyki za wzorem apostoła Pawła, który w Antiochii „stanął do oczu” Piotrowi (List do Galatów 2:11). W uzasad-

nieniu drugiego zarzutu autorzy deklaracji podkreślają, że status katolickiego teologa również jest uzależniony od konsultacji z biskupami lokalnego Kościoła; przypominają także soborową zasadę „hierarchii prawd”, z której wynika, że nie każda niezgodność poglądów indywidualnego teologa z tym, co w danej chwili stanowi oficjalną naukę Kościoła, może być podstawą do usunięcia go z katedry; tego rodzaju dyscyplina jest zabójcza dla wszelkiej twórczej myśli. To nas doprowadza do trzeciego zarzutu, dotyczącego pewnych wypowiedzi doktrynalnych samego papieża. Zrównanie nauki encykliki *Humanae Vitae* w sprawie regulacji urodzin z podstawowymi prawdami wiary chrześcijańskiej, jak to papież wielokrotnie czyni, jest nadużyciem i pogwałceniem zarówno zasady „hierarchii prawd” mniej i bardziej pewnych, jak i wolności sumienia. Sumienie, powiadają autorzy, nie jest tylko narzędziem do wprowadzania w czyn nauki papieskiej; to raczej sumienia wierzących chrześcijan powinny stanowić punkt odniesienia dla urzędu nauczycielskiego Kościoła.

Tyle streszczenia tego ponurego dokumentu chyba wystarczy. Dodajmy, że natychmiast po ogłoszeniu Deklaracji Kolońskiej przewodniczący konferencji biskupów niemieckich Karl Lehmann, ordynariusz moguncki, wydał oświadczenie stanowczo odrzucające „liczne insynuacje przeciwko Janowi Pawłowi II”. Tego się można było spodziewać. Jest to zrozumiała reakcja lojalnej struktury hierarchicznej przeciwko zagrożeniu tej struktury. Ale to nie zmienia faktu, że struktura jest zagrożona. Nie łudźmy się ograniczonym geograficznym zapleczem tego protestu, które obejmuje zaledwie kilka krajów zachodniej Europy, jakkolwiek znamienita jest liczba sygnatariuszy protestu. Od tego czasu podobne protesty podpisało 157 kolegów z krajów francuskojęzycznych i niezależnie od tego 52 wykładowców katolickiego uniwersytetu w Louvain. A są to ludzie najbardziej wykwalifikowani do wypowiedzania się na temat sytuacji w Kościele, choćby tylko w tych krajach. Wiemy skądinąd, że zasięg tego fermentu jest daleko szerszy. Od kilku lat narasta konflikt między Stolicą Apostolską a episkopatem amerykańskim — choć, miejmy nadzieję, jego punktem szczytowym było pozbawienie istotnych funkcji arcybiskupa Seattle Hunthausena, teraz znów przywróconego do pełni swych praw, bo marcowa wizyta kilkudziesięcioosobowej delegacji biskupów amerykańskich w Watykanie, która zapowiadała się burzliwie, zaowocowała pierwszym zbliżeniem stanowisk obu stron. Znane są napięcia między Watykanem a poważną częścią episkopatów Ameryki Łacińskiej na tle teologii wyzwolenia (pisał o tym w *Kulturze* Maciej Feldhuzen), częściowo tylko załagodzone drugą Instrukcją na temat tej teologii po pierwszej, która wykazała całkowite niezrozumienie Rzymu dla panującej tam sytuacji. Har-

monijny i zgoła imponujący liczebnie rozwój Kościoła katolickiego w Afryce został ostatnio ponownie zakłócony zaostreniem „klauzury” wobec byłego prymasa Zambii, arcybiskupa Emanuela Millingo, usuniętego w 1982 roku z urzędu i osadzonego pod czujną kuratelą w Rzymie za rzekome stosowanie afrykańskiej magii. Millingo, który ma podobno tajemniczy dar uzdrawiania i jest uwielbiany przez swoich współziomków, znosi to wszystko pokornie i nie zaprotestował też przeciw odebraniu mu prawa do jednej mszy w miesiącu w Bazylice Laterańskiej, co było do niedawna jednym z nielicznych jego przywilejów. W Afryce głównym problemem jest sprawa tak zwanej „inkulturacji”, czyli przystosowania europejskich form religijności do wymagań kultur miejscowych. Papież zapowiedział ostatnio zwołanie do Rzymu specjalnego synodu Kościoła afrykańskiego.

Wszystko to razem stanowi bardzo niepokojący obraz. Instynktowna reakcja przeciętnego lojalnego katolika, zwłaszcza może Polaka, będzie taka, że oto papież jest zmuszony walczyć nie tylko z niewiarą i zmaterializowaniem współczesnego świata, ale nawet z załamaniem się dyscypliny w łonie Kościoła i nieposłuszeństwem tych, którzy w tej walce powinni mu być pomocą i podporą. Ale taka reakcja nie da się długo utrzymać. Ci sami przeciętni katolicy są także tego nieposłuszeństwa winni, skoro nie ulega wątpliwości, że ogromna większość rodziców katolickich, przynajmniej w zaawansowanych krajach Europy i Ameryki, odmawia w praktyce stosowania się do papieskiej nauki o kontroli urodzin. Gdyby tak nie było, liczebność rodzin katolickich musiałaby być bez porównania większa niż jest faktycznie. Bo niepodobna przypuścić, by ich regulacja urodzin, skuteczna, była osiągnięta tylko tzw. metodą naturalną, to jest z wykluczeniem sztucznych środków antykoncepcyjnych, jedyną która według nauki papieskiej jest moralnie dozwolona. Papież co do tego nie pozostawia żadnej wątpliwości, przypominając to przy każdej okazji. Na jednej ze swych środowych audiencji zbiorowych na Placu św. Piotra poszedł nawet tak daleko, że odmowę zastosowania się do tej nauki zakwalifikował jako bunt przeciwko Bogu i odmowę wiary w Boga. To tę wypowiedź zapewne mają na myśli autorzy Deklaracji Kolońskiej, gdy zarzucają papieżowi, że szczególnie i sporne zalecenia moralne podnosi do godności fundamentalnych prawd wiary. Rażący pryncypialny rozdzźwięk między katolicką teorią a praktyką w tej sprawie, powszechnie widoczny, a jednak w wypowiedziach oficjalnych pomijany taktycznym milczeniem, wprowadza do społeczności katolickiej nutę świadomego fałszu. Jeśli co, to to właśnie — nie zaś merytoryczna waga nauki encykliki *Humanae Vitae* — uzasadnia obsesyjne wprost zainteresowanie zarówno jej obrońców jak i krytyków sprawą tej encykliki i zagadnieniami moralności seksualnej w ogóle, z odsunięciem

na dalszy plan w świadomości Kościoła innych, niemniej ważnych a równie trudnych czy spornych zagadnień moralności społecznej. Papież niewątpliwie zdaje sobie z tego sprawę, a jednak w tym sporze pozostaje stroną, twardo obstającą przy swoim, pogłębiając tym samym faktyczny rozłam w Kościele, zamiast stać się czynnikiem pojednania i spokojnej a sumiennej refleksji.

Dlaczego tak jest? Nie tu miejsce, by wchodzić w długie a skomplikowane perypetie, które doprowadziły z górą dwadzieścia lat temu do wydania encykliki *Humanae Vitae* przez Pawła VI i zaadoptowania jej przez obecnego papieża. *Humanae Vitae* stanowi tylko symptom głębszych postaw i uwarunkowań, które mają daleko szersze konsekwencje. Tymi postawami i uwarunkowaniami chciałbym się bliżej zająć.

Obecnemu papieżowi zarzuca się często nadmierny „konserwatyzm”. Jest to bardzo nieściśle określenie. Obowiązkiem Kościoła jest niewątpliwie konserwatyzm w szerokim a fundamentalnym tego słowa znaczeniu, to jest zachowanie w stanie nienaruszonym depozytu wiary. Ale w potocznym użyciu słowa nie o to chodzi. Chodzi raczej o tendencje do konserwowania tego, co było wczoraj, a więc sformułowań i struktur, które narosły w Kościele w ciągu jego długich dziejów, także w stosunkowo niedawnych czasach. Są w tej tradycji rzeczy niezmiernie cenne, ale są i mniej cenne. Na przykład zakaz stosowania sztucznych środków antykoncepcyjnych mógł oczywiście pojawić się dopiero, gdy pojawiły się nowoczesne środki antykoncepcyjne i status tego zakazu jest oczywiście zupełnie inny, niż np. kilku ogólnych zaleceń, jakie apostołowie zebrani w Jerozolimie przekazali w swoim czasie kościołowi w Antiochii (Dzieje Ap. 15, 23-29). Tak samo papiestwo jest nie tylko kontynuacją misji powierzonej przez Chrystusa Pana Piotrowi, ale także wynikiem długiej ewolucji, w której ogromną rolę odegrały tradycje cesarstwa rzymskiego. Dogmat o nieomyślności papieża został proklamowany dopiero na I Soborze Watykańskim w roku 1870 i uzupełniony zasadą współodpowiedzialności kolegium biskupiego na II Soborze Watykańskim ćwierć wieku temu. Interpretacja tych zasad ma kluczowe znaczenie dla zrozumienia charakteru pontyfikatu Jana Pawła II i jego oceny. Zdaniem wielu teologów — znalazło to wyraz w omawianej Deklaracji Kolońskiej — obecny papież skłania się do interpretacji idącej bardziej po linii Pierwszego Vaticanum niż Drugiego i także w tym sensie jest „konserwatywny”. Wynikiem jest daleko posunięty centralizm, nadmierne skupienie w swoim ręku i organach Kurii Rzymskiej prawa decyzji w dziedzinie jurysdykcji (przysługująca mu w ramach prawa kanonicznego „jurysdykcja bezpośrednia”, której przykładem są wymienione w deklaracji teologów ingerencje w normalne uprawnienia Kościołów lokalnych) jak i w sprawach doktrynal-

nych. Tu należy zjawisko, które krytycy tego centralizmu określają mianem „pełzającej nieomyślności”, to jest tendencja do postulowania przywileju nieomyślności nie tylko dla specjalnych orzeczeń *ex cathedra* (obwarowanych jeszcze przez I Vaticanum w miarę ścisłymi przepisami), ale i dla elementów normalnego nauczania Kościoła, tak zwanego *magisterium ordinarium*. Zrozumiałe poruszenie wywołał fakt, że papież ostatnio otwarcie sformułował to rozszerzone pojęcie nieomyślności w przemówieniu do grupy amerykańskich biskupów, odbywających w październiku zeszłego roku swą wizytę *ad limina*. Charakterystyczną cechą centralizmu w sprawach doktrynalnych jest nadmierna gotowość Rzymu do ferowania ostatecznych orzeczeń natury moralnej w trudnych nieraz zagadnieniach, jakie nasuwa rozwój techniki, zwłaszcza medycznej, a więc w zagadnieniach tak zwanej bio-etyki, często bez konsultacji i wyczerpującej dyskusji ze światem naukowym i zasięgania opinii wiernych. A tego rodzaju dyskusja jest oczywiście najlepszym sposobem uczulenia zarówno ludzi nauki jak i opinii laickiej na moralną wagę tych zagadnień i ewentualnych rozstrzygnięć.

Nie ulega wątpliwości, że właśnie ten centralizm jest źródłem wspomnianych napięć pomiędzy Stolicą Apostolską a Kościołami lokalnymi. Nie bez znaczenia jest również negatywny wpływ centralizmu na stosunki z innymi wyznaniem chrześcijańskimi i ruch ekumeniczny na rzecz zjednoczenia chrześcijaństwa. Od czasu papieża Jana XXIII i zainicjowanego przez niego „otwarcia” Kościoła istnieje, przynajmniej w świecie protestanckim, silna tendencja do uznania udokumentowanego przez historię prymatu Biskupa Rzymu, jego roli zwornika i rzecznika fundamentalnej jedności całego chrześcijaństwa. Znalazło to bardzo dobitny wyraz w dokumentach Anglikańsko-Rzymsko-Katolickiej Międzynarodowej Komisji Teologicznej (ARCIC). Jednak ważną przeszkodą na tej drodze jest właśnie zasada nieomyślności i bezpośredniej jurysdykcji papieskiej. O to w rzeczy samej rozbijają się wszelkie ekumeniczne wysiłki.

Nie ulega także wątpliwości, że Jan Paweł II zdaje sobie z tego sprawę i że boleje nad tym, tak samo jak bolał jego poprzednik Paweł VI. W moim osobistym odczuciu różnica pomiędzy obu tymi papieżami polega na tym, że bezpośredni następca Jana XXIII podlegał pewnym wahaniom i bardzo z tego powodu cierpiał (świadczą o tym długie jego zachody, zanim obdarzył Kościół nieszczęsną encykliką *Humanae Vitae*), natomiast Jan Paweł II, osobowość znacznie mocniejsza, nie ma żadnych wątpliwości, że jego linia postępowania jest właściwa i jest pod tym względem podobny do Piusa XII. Myślę, że można to plastycznie ująć mówiąc, że Jan Paweł nie jest właściwie ani Pawłem, ani tym bardziej Janem, ale raczej Piusem. I na tym polega tra-

gedia. Karol Wojtyła jest bezsprzecznie człowiekiem wielkiej wiary, silnego charakteru i niepospolitych zdolności, nie mówiąc już nawet o jego zgoła męczeńskiej pracowitości, człowiekiem który wszystkie te zalety postawił na usługi umiłowanego Kościoła (i Polski). Konflikty wewnętrzkościelne i wewnątrzchrześcijańskie, w które obfituje jego pontyfikat, muszą być dla niego prawdziwą udręką i ostatni „bunt teologów” też na pewno bardzo boleśnie odczuwa. Ale jest przy tym przekonany, że Bóg postawił go, właśnie jego, Polaka, na szczycie Kościoła w kluczowym historycznym momencie i że przyszły kształt Kościoła od niego przede wszystkim, od przeparcia jego wizji Kościoła zależy. Dobrze, że jest charakterem tak mocnym, bo jest to straszliwe brzemie odpowiedzialności.

Jest to wizja Kościoła zwartego, zdyscyplinowanego, pewnego swych prawd wielkich i małych, który byłby jasną latarnią dla błąkającej się, zdezorientowanej ludzkości. Ma to być Kościół o wyraźnych granicach doktrynalnych i kryteriach przynależności. To jeszcze jest katolickie, a to już nie jest; chrzest jest warunkiem koniecznym przynależności, ale nie wystarczającym. Taki Kościół ma być ośrodkiem i zaczął ewangelizacji — i re-ewangelizacji tych, którzy od niego odeszli. Jest oczywiście w tej wizji wiele z tradycyjnej, ortodoksyjnej myśli Kościoła, koncepcji „światła na górze wysokiej”. Ale nie jest to jedyna możliwa wizja. Są w niej elementy fortecy obronnej, zamknięcia w sobie, podkreślone równie silnie jak elementy ewangelizacji, wychodzenia na zewnątrz. Kto wchodzi do fortecy z zewnątrz, powinien się czuć radykalnie odmieniony i oddzielony od tych, którzy nie weszli. Pod tym względem jest to wersja bardzo różna od tej, którą świat odczuł jako świeży powiew, gdy Jan XXIII otworzył okna Watykanu, wizji Kościoła otwartego, który, jakkolwiek sam jest *Mater et Magistra*, gotów jest również od świata się uczyć, wierząc że Duch Święty nie jest zmuszony działać tylko w ramach instytucjonalnego Kościoła, ale wieje kędy chce i nieraz objawia swoje tchnienie w miejscach i w ludziach najbardziej niespodziewanych, w synu jakiegoś kupca z Asyżu, w jakiejś dziewczynie z Domrémy, w jakimś Janie Husie, Gandhim, Januszu Korczaku czy Bracie Rogerze z Taizé. Ten nurt znalazł swój wyraz w najbardziej dojrzałych dokumentach Soboru, w konstytucji o Kościele w świecie współczesnym, dekrete o wolności religijnej i dekrete o ekumenizmie. A jego początkiem był zaledwie kilkuletni pontyfikat Jana XXIII, okres największego chyba autorytetu papieżstwa w naszym stuleciu.

Kontynuacją tego nurtu myśli jest również (między innymi), cokolwiek o niej powiemy, kontrowersyjna deklaracja 163 teologów. Cokolwiek o niej powiemy, bo jest rzeczą ubolewania godną, że przybrała ona tak wyzywająco kontesta-

cyjną formę (główny zarzut biskupa Lehmana). Czy musiała przybrać? Myślę, że można było tego uniknąć, gdyby autorzy deklaracji poszli jeszcze o krok dalej i powiedzieli *explicite*, co jest w niej *implicite* zawarte. Mianowicie, że głęboka przyczyna kontrowersji leży nie w takich czy innych błędach Kurii Rzymskiej czy samego papieża, lecz w zasadniczej nieprzystawalności tradycyjnej koncepcji papieżstwa do realiów i potrzeb współczesnego świata. Ta koncepcja, jak powiedziałem, nakłada zgoła niehumanne brzemie odpowiedzialności na barki jednego człowieka. Chodzi nie tyle o to, że papieżstwo jest jedyną pozostałą w zaawansowanym świecie monarchią dożywotnią i bezmałą absolutną, choć to też nie jest bez znaczenia. Rzecz w tym, że jeden człowiek nie jest w stanie sprawować rządów nad miliardową społecznością, rozlaną po całym świecie, bez popełniania błędów. Wiadomo, jak bardzo pod tym brzemieniem cierpiał Paweł VI. Jego bezpośredni następca Jan Paweł I miał być przerażony wyrokiem, jaki na niego wydała konklawe i jak gdyby umknął przed nim w przedwczesną śmierć. Jan Paweł II zaś jest tytanem pracy, tym bardziej że cały świat traktuje dosłownie jako swoją parafię. Uczy się coraz to nowych języków, przed każdą podróżą studiuje dokładnie miejscową sytuację, ale oczywiście nie może rozumieć problemów dalekich krajów tak jak rozumie problemy Polski i jak dalekie kraje rozumieją ich miejscowe episkopaty. Najmądrzejsze rozwiązanie dylematu, w sensie praktycznym a zarazem bardzo głębokim, znalazł Jan XXIII — zwołał Sobór, tym samym inicjując w sposób spektakularny zasadę rządów kolegialnych. Bo tradycyjna koncepcja władzy i odpowiedzialności papieskiej przed Bogiem jest niehumanne. Jest również nieboska. W sytuacji, w której nosiciel tej odpowiedzialności musi być wyposażony w zgoła nadludzkie atrybuty, nie dziw, że urasta on w oczach wiernych do rozmiarów bożyszczka. Obrazek z podobizną papieża i *facsimile* jego podpisu urasta do roli amuletu. I to też tłumaczy nasze polskie bałwochwalstwo.

Szeroko pojęta kolegialność — i poczucie chrześcijańskiej wolności — znaczy, że wszyscy jesteśmy za Kościoł odpowiedzialni. Każdy z nas ma jakieś swoje przez Boga wyznaczone zadanie, w kategoriach ziemskich większe lub mniejsze, jak to sam Ojciec Święty w swej niedawnej po-synodalnej ekshortacji *Christifideles Laici* raz jeszcze podkreślił. Ale nadmierna troska o adekwatność naszych osobistych poczynań też wydaje mi się jakoś nie-chrześcijańska; bo właśnie nie wszystko ode mnie zależy. Dotyczy to papieża nie mniej niż każdego szeregowego chrześcijanina. W częstych jeremiadach na temat grzeszności świata, jego spoganięcia, sekularyzacji i materializmu wyczuwam jakiś brak zaufania w moc Ducha Świętego, jego opiekę nad Kościołem i nad światem, w niezbadaność jego dróg. Czy świat XX wieku

jest naprawdę gorszy od tego jakim był, gdy ludzie nie wiedzieli nawet, że inni ludzie w dalekich krajach giną z głodu czy od klęsk żywiołowych i nie troszczyli się o to? W fakcie, że dziś się troszczymy, widzę rezultat dwutysiącletniej pracy wychowawczej chrześcijaństwa, nawet jeśli ci, co się troszczą, nie są ani katolikami, ani chrześcijanami.

Zastanawiam się tylko, czy ten mój artykuł też nie jest wyrazem nadmiernej, może niepowołanej troski. Cóż, zdało mi się, że Ktoś (nie redaktor *Kultury*) kazał mi ten artykuł napisać. Lecz myślę, że okaże się on tylko jednym małym głosem w wielkim chrześcijańskim chórze.

Antoni POSPIESZALSKI

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIAŻKI POLSKIE • KSIAŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
ŻĄDANIE.

KSIAŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.

WSPÓLCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Trzy zdarzenia ostatniego miesiąca zwróciły moją uwagę. Za wcześniej oczywiście przewidywać, jak odcisną się na przyszłość, ale ich znaczenie nie ulega wątpliwości. Oto one: uchwała plenum KC o „polityce rolnej KPZS w dobie współczesnej”, wybory „ludowych deputowanych ZSSR” i krwawe zdławienie demonstracji w Tyflisie.

Nie wszystko jeszcze wiadomo o wydarzeniach w Gruzji. W chwili, kiedy piszę niniejszy przegląd, strajki i demonstracje jeszcze trwają. Wiadomości o krwawej łaźni, jaką wojska specjalne urządziły w Tyflisie 9 kwietnia, pochodzą z dwóch źródeł. Pierwsze, oficjalna agencja TASS, ma na swe usługi wszystkie światowe agencje prasowe, a za ich pośrednictwem wszystkie środki informacji. Ponieważ dostęp do Gruzji został zagranicznym korespondentom zamknięty, byli zdani na dobrych wujków z TASS-a, którzy w duchu *glasnosti* wszystko im powiedzą. Istnieje jednak — wypada przyznać, że także dzięki *glasnosti* — inne źródło informacji, mianowicie trochę niezależnych pism, które albo wysłały własnych korespondentów do Tyflisu, albo ich miały na miejscu. Jedno z tych pism — *Kronika specjalna (Spec-chronika)* — nadało z Moskwy przez telefon reportaży o wydarzeniach tyfliskich, który ukazał się w paryskiej *Russkoj myśli*. O dziwo, żadna zachodnia gazeta, żadne radio, żadna telewizja nie zainteresowały się tym sprawozdaniem. Nikt nie chce naruszać monopolu TASS-a: władze sowieckie wiedzą już dziś, że mogą pozwolić na mówienie niemal wszystkiego; Zachód i tak usłyszy tylko to, co chce.

Obecny kryzys zaczął się 18 marca, ale napięcie narastało w Gruzji od dwóch lat. Niezadowolenie nawarstwia się — podobnie jak w innych republikach — od dawna. W Gruzji wyrażało się różnie. Po tajnym referacie Chruszczowa na XX Zjeździe (1956) Gruzini demonstrowali w obronie Stalina (który swoich krajanów wytrzebił zresztą w rozmiarach, o jakich nie śniło się Tamerlanowi). Wtedy również strzelano na ulicach Tyflisu i były ofiary.

W 1978 roku władze musiały ustąpić wobec masowych demonstracji i nie włączyły do konstytucji zapisu, że język gruziński przestaje być jedynym językiem oficjalnym. Podczas zamieszek ormiańsko-azerbejdżańskich Gruzini wyrażali współczucie dla Ormian, ale otwarcie nie solidaryzowali się z nimi. Obecne ruchy zaczęły się 18 marca w Abchazji. Narodowy Front Abchazji uchwalił na wielotysięcznym wiecu, w którym uczestniczył pierwszy sekretarz republikańskiej partii, że Abchazja oddziela się od Gruzji. Abchazcy woleli wejść w skład federacji rosyjskiej.

Stosunki między Gruzinami i Abchazami są jednym z wielu przykładów, pokazujących jak zagmatwane są problemy narodowościowe imperium sowieckiego. Abchaska republika sowiecka włączona została do Gruzji — jako republika związkowa — w 1921 roku. Trudność sytuacji w Abchazji polega na tym, że rdzenna ludność, Abchazcy, jest w mniejszości, a Gruzini w większości. Według spisu z 1979 roku republika liczyła 513 tys. mieszkańców, w tym 85 tys. Abchazów. Jak wiadomo, Gruzini są chrześcijanami, a Abchazcy muzułmanami. Abchaska decyzja odłączenia się od Gruzji oburzyła Gruzinów. W stolicy Abchazji Suchumi wybuchły strajki i demonstracje. W Tyflisie grupa kobiet ogłosiła głodówkę na znak protestu przeciw decyzji Abchazów, kilkaset tysięcy ludzi wyszło na ulice miasta.

W niedzielę 9 kwietnia na głodujące kobiety i demonstrantów napady wojska specjalne. Świadkowie opowiadają, że żołnierze zbijali ich z nóg pałkami, a następnie dobijali leżących łopatkami saperskimi, tradycyjną bronią wojsk specjalnych. Oficjalnie zginęło 19 osób, raniono ponad 200. W Tyflisie mówi się o wielu dziesiątkach zabitych. Do miasta weszły człogi. Wprowadzono godzinę policyjną. Wszystkim obywatelom kazano oddać broń myśliwską, a ponadto odebrano osobistą broń gruzińskiej milicji.

Ruch, który zaczął się od protestów przeciwko decyzji Abchazów, wysuwa obecnie znacznie poważniejsze hasła: żąda rozszerzenia autonomii Gruzji i walki z rusyfikacją. Słychać apele o wyjście z ZSSR. Władze odpowiedziały masowymi aresztowaniami (oficjalnie siedzi 200 osób, nieoficjalnie 500).

Sytuacja nadal jest napięta. Do Tyflisu przybył Szewardnadze, który przed powołaniem do Moskwy na stanowisko ministra spraw zagranicznych był w latach 1972-1985 pierwszym sekretarzem gruzińskiej kompartii. Prasa zachodnia twierdzi (jest jasne, skąd ta informacja pochodzi), że nie można wykluczyć prowokacji przeciwników *pieriestrojki*. Prowokacja zawsze była ważnym instrumentem władzy sowieckiej. Przy analizie tyfliskiej rzeźni też nie należy jej wykluczać. Pozostaje jednak pytanie, kim jest prowokator.

11 kwietnia artykuł redakcyjny *Prawdy* oznajmił, że winni zamieszek i ofiar są — podobnie jak w Armenii, Azerbejdżanie i Mołdawii — „nacjonalisci” i „ekstremiści”. Jeszcze ostrzej zaatakowała „ekstremistów” *Krasnaja zwiezda* 11 kwietnia. Komunikat TASS-a „O wydarzeniach w Tyflisie” tak tłumaczy rozruchy: „W ostatnich dniach przywódcom nieformalnych grup

ekstremistów udało się zaognić sytuację w Tyflisie, gdzie przez kilka kolejnych dni organizowano niedozwolone wiece o charakterze antysowieckim. W nocy z 8 na 9 kwietnia udało im się sprowokować dramatyczną sytuację przed budynkiem Rady Ministrów Gruzji, w wyniku której doszło do tragedii i ofiar w ludziach". Oświadczenie KC KPZS, Prezydium Rady Najwyższej i Rady Ministrów wyraża współczucie rodzinom, a ofiary tłumaczy „zbitym tłumem”. O akcji żołnierzy — ani słowa.

Warto wspomnieć, że 8 kwietnia prezydium Rady Najwyższej ZSSR zatwierdziło poprawki do artykułu, dotyczącego kar za „przestępstwa przeciw państwu”. Od czterech lat toczą się dyskusje, ukazują artykuły i wywiady na temat przyszłej reformy prawa karnego. Wiele mówiono — i obiecywano — na temat koniecznego usunięcia z kodeksu pojęcia „antysowieckiej agitacji i propagandy”. Powiadano, że w erze *glasnosti* i *periestrojki* paragrafy te straciły sens. Tymczasem nowy dekret zwiększa kary za „działalność antypaństwową”, a zwłaszcza za „działanie grupowe” i podżeganie nienawiści między narodami. W tych przypadkach kara może sięgać dziesięciu lat więzienia. Za działania na szkodę państwa sowieckiego i jego ustroju społecznego — w tym publikacje o wydźwięku antysowieckim — będzie się doświadczać trzy lata.

Nowy artykuł 11-1 przewiduje trzy lata więzienia albo grzywnę do 2.000 rubli za „obrazę albo dyskredytację organów władzy państwowej i organizacji społecznych”. Poprzedni artykuł 190-1 przewidywał karanie „świadomie kłamliwych wymysłów”, co łatwo byłoby przed uczciwym sądem obalić. Znacznie trudniej obalić zarzut „dyskredytacji”. Spotkałem kiedyś w obozie kołchoźnika, który krzyknął na kołchozową krowę „ty kurwo” i dostał dziesięć lat za obrazę władzy sowieckiej. Przyznaję jednak, że teraz wyrok będzie mniejszy.

Nowa ustawa nie spadła z nieba (chyba że za niebo uznać Biuro Polityczne). W dniach 10-11 marca br. odbyło się w KC KPZS zebranie kierowników wydziałów administracyjno-prawnych przy komitetach centralnych poszczególnych republikańskich kompartii, komitetach rejonowych i obwodowych. Do zgromadzonych przemówił główny prawnik Związku Sowieckiego, były przewodniczący KGB a obecnie członek Biura, sekretarz KC i przewodniczący komisji KC do spraw polityki prawnej, Wiktor Czebrikow. Na zebraniu stwierdzono, że „polityka partii zmierzająca do humanizacji ustawodawstwa karnego nie oznacza większej ustępliwości wobec ludzi, którzy gwałcą wymogi ustaw sowieckich”.

Nowa ustawa wespół z zeszłoroczną, która znacznie rozszerzyła uprawnienia wojsk specjalnych w walce z demonstrantami, stanowi część arsenału, który władze szykują w przewidywaniu coraz większych napięć w kraju. O napięciu świadczy m.in. ankieta *Literaturnoj gazety*. Na pytania ogłoszone 1 lutego 1989 odpowiedział mniej więcej co trzydziesty prenumeratorka gazety: redakcja dostała prawie 200 tys. listów. 85 % ankietowanych oświadczyło, że spodziewa się wielkich awarii technicznych o ka-

tastrofalnych skutkach. 70 % obawia się konfliktów narodowościowych. 55 % odnotowało wzrastające napięcie między narodami ZSSR (*Literaturnaja gazeta* z 29 marca 1989). Oczekiwanie katastrof niewątpliwie świadczy o napięciu. O tym samym świadczą wybuchy na Kaukazie.

Napięcie to jest wynikiem *periestrojki*. Nawet jej gorący zwolennicy, którzy upatrują w niej jedyną nadzieję na uratowanie imperium sowieckiego i ustroju sowieckiego, przyznają, że przez cztery lata istnienia nie polepszyła ona doli sowieckich obywateli, a w niektórych dziedzinach ją pogorszyła. Uczestnicy wspomnianej wyżej ankiety sygnalizują poważne braki żywności (66 %), artykułów przemysłowych (88 %), twierdzą, że służba zdrowia działa gorzej niż przedtem (31 %) albo tak samo, tj. katastrofalnie (43 %). 27 % zapewnia, że musi się zadowalać niezbędnym minimum (przeważająca większość odpowiadających ma wyższe wykształcenie), a 29 % ledwie wiąże koniec z końcem, i to przy pomocy krewnych i przyjaciół.

Jedną — bezsporną — zdobycz *periestrojki* znają wszyscy. Jest nią *glasnost'*, możliwość mówienia o tym, że życie jest ciężkie, a system pełen usterek, a niekiedy wad. Właśnie *glasnost'* znacznie zwiększa napięcie. Na początku wydawało się, że od diagnozy choroby organizm wyzdrowieje. Wystarczy powiedzieć, że brak żywności, a żywność się pojawi. Wystarczy przyznać się do błędów w polityce narodowościowej, a wszystkie narody padną sobie w objęcia. Nic takiego niestety nie nastąpiło. Możliwość narzekania, która do niczego nie prowadzi, coraz bardziej drażni ludzi i rodzi coraz większe napięcia.

Gorbaczow zdemaskował błędy przeszłości, przyznał, że siedemdziesiąt lat po rewolucji kraj znalazł się „w ślepej uliczce”, na skraju przepaści, odebrał złudzenia co do przyszłości, ale w zamian nie dał niczego poza *glasnostią*. Odebrał człowiekowi sowieckiemu jeszcze jeden niezbędny składnik mentalności sowieckiej — strach przed wojną i atakiem imperializmu. W realną groźbę wojny wierzy tylko 4,6 % uczestników ankiety *Literaturnoj gazety*. Jeszcze niedawno naród sowiecki marzył tylko o jednym, „żeby nie było wojny”, gotów wszystko przebaczyć partii, która go od tej wojny chroni. Brak wroga zewnętrznego na pewno sprzyja wzrostowi napięcia wewnętrznego — zaczęły się usilne poszukiwania wroga wewnętrznego. Kandydatów jest sporo: biurokraci, prywaciarze, Żydzi, Rosjanie, Ormianie, Azerbejdżanie, Gruzini, Abchazowie i inni. Wróg zewnętrzny sprzyjał jedności, wrogowie wewnętrzni rozkładają imperium. Z drugiej jednak strony — tak zawsze bywa w imperiach — właśnie narodowe odwracają uwagę od rzeczywistych problemów. Carska *ochrona* aktywnie działała przez swoich agentów-prowokatorów we wszystkich partiach i ruchach, a trudno uwierzyć, by sławni czełkiści pracowali gorzej od staromodnych żandarmów.

W piśmie *Sowietskaja kultura* z 1 kwietnia 1989 ukazało się wyjaśnienie fotoreportera pisma, który odmówił ponownego pójścia na rozprawę w swierdłowski sądzie (Moskwa), który rozpatrywał skargę Stowarzyszenia „Pamięć” na jego gazetę za to,

że oskarżyła je o antysemityzm, reakcyjność itp. Fotoreporter pisze, że w sali sądowej napadnięto go, pobito i usiłowano rozbici mu aparat fotograficzny. Niektórzy działacze „Pamięci” nosili podkoszulki z napisem „Zdesyjonizować społeczeństwo!”, inni z wierszowanym apelem o abstynencję: „Kto hołduje winu i piwu, jest agentem Tel-Awivu”. Autor wyjaśnienia zapewnia, że moskiewskie sale sądowe zamieniają się w trybunę nielegalnych wieców „Pamięci”, a „władze nie podejmują żadnych kroków przeciwko tym, za przeproszeniem, patriotom”.

Głównym źródłem napięcia jest brak jakichkolwiek perspektyw. Kiedy Gorbaczow oświadczył w 1985 roku, że reformy są konieczne, kiedy zrobiono pierwsze kroki w kierunku innego modelu (okazały się one krokami pozornymi, prowadzącymi do równie pozornych zmian), eksperci twierdzili jak jeden mąż, że przepaści nie przeszkadza się kilkoma suszami. Gorbaczow apelował o dwa-trzy lata cierpliwości, a potem zapowiadał poprawę. Dziś mówi się już o dziesięcioleciach, o całych pokoleniach skazanych na czekanie.

Problemowi narodowościowemu towarzyszy równie ostry, a może i ostrzejszy od niego problem żywności. W połowie marca zebrało się plenum KC dla przedyskutowania nowej polityki rolnej i sposobów wyprowadzenia kraju raz na zawsze z chronicznego kryzysu rolniczego. Jak zawsze obrady rozpoczęto od stwierdzenia, że doszło do katastrofy. „Prawda jest taka — oznajmił Gorbaczow — że nie starcza nam produkcji rolnej. Państwo musi dokonywać za granicą dużych zakupów zboża, mięsa, jarzyn, owoców, cukru, oleju roślinnego i innych produktów”. Deficyt żywności od tego nie zmalał i rodzi — by użyć słów generalnego sekretarza — „napięcie społeczne, już nie zwykłe narzekanie, a wręcz niezadowolone ludzi” (*Prawda* z 16 marca 1989).

Znaleziono jednak panaceum. Przede wszystkim odrzucono poprzednie panaceum, cudowny środek, w którym Gorbaczow pokładał wszystkie nadzieje poczynszy od 1985 roku — gigantyczną machinę biurokratyczną o nazwie Agroprom. Plenum postanowiło zlikwidować Agroprom i zastąpić go inną biurokratyczną machiną — początkowo mniej rozbudowaną — Komisją. Prawdziwym zaś cudotwórczym lekiem ma być dzierżawa. Kołchoźnicy i sowchoźnicy dzierżawią ziemię, choćby na 50 lat, mogą ją nawet zapisywać swoim następcom, a w zamian za to będą na niej zażarcie pracować, a owoce swego trudu oddawać państwu. Obywatele sowieccy, mieszkańcy państwa o największym na świecie areale ziem uprawnych, zaczną nareszcie jeść do syta (nawet lepiej, niż za przeklętych carskich czasów). Nie nastąpi to od razu, tego nie obiecuje już nawet Gorbaczow. Ale szybko. 5 kwietnia Rada Ministrów uchwaliła, że popyt na mleko i produkty mleczne zostanie zaspokojony w latach 1991-1992, na oleje roślinne — w roku 1994, na mięso, produkty mięsne, owoce i jagody — w roku 1995. To świetnie. Ten i ów pamięta jeszcze, że słynny program żywnościowy ZSSR, uchwalony w 1982 roku i opracowany przy aktywnym udziale Gorbaczowa, zapowiadał uroczyście, że popyt zostanie zaspokojony w roku 1990.

Obecny program nazywa się ostatnim, ponieważ oparty jest na zdrowych zasadach — dzierżawie. Sukces dzierżawy jest niezbędnym warunkiem sukcesu Gorbaczowa.

Znany publicysta Iwan Wasiljew, doskonały znawca rolnictwa sowieckiego, pisał w przeddzień plenum: „Ziściły się obawy: Agroprom nie spełnił nadziei... Pozostało więc tylko jedno — oddać chłopu zabraną mu władzę. Powiedziano mu więc: bierz ziemię! W ten sposób pojawiło się i rozprzestrzeniło z prędkością pożaru słowo 'arenda'” (*Sowietskaja Rossija* z 10 marca 1989). Zaszło jednak coś niespodziewanego. Chłop odmówił. „A po co komu wasza ziemia?”. Sowieckiego kołchoźnika po dziś dzień nie udało się pozyskać dla idei dzierżawy. Przede wszystkim dlatego — uchwały plenum to potwierdzają — że prawdziwym gospodarzem ma być jak dawniej kołchoz albo sowchoz, oddający ziemię w dzierżawę (często zresztą po kawałku, w różnych miejscach) i rozporządzający maszynami. Gospodarzem nadal będzie państwo — właściciel wszystkich rzeczy potrzebnych do uprawy roli (które sprzedawać będzie w pierwszej kolejności kołchozom). Najważniejszy szkopuł jednak polega na tym, że chłop — jak pisze Iwan Wasiljew — „odwrócił się plecami do najważniejszej reformy... Nie chce się wpręgać”. Nie chce przede wszystkim dlatego, że nie wierzy, że jutro państwo nie okrzychnie go kułakiem. Po drugie dlatego, że nie umie już pracować samodzielnie. Po trzecie wreszcie dlatego, że w kołchozie żyje wprawdzie źle, ale za to nic nie robi.

Przyglądając się uważnie gorbaczowskiej reformie rolnej, dostrzega się w niej paradoksalne na pierwszy rzut oka dążenie do upaństwiczenia chłopca za pośrednictwem dzierżawy. Paradoks polega na tym, że system kołchoźniczy dał byłym chłopom jedną wielką wolność — mianowicie prawo do lenistwa. Kiedy Chruszczow wprowadził pensje, a nawet emerytury dla chłopów, kołchoźnicy poczuli się niezależni od państwa. Ziemia, którą ono im teraz wypycha, ma prowadzić do restauracji ich dawnego statusu chłopów pańszczyźnianych. Nic dziwnego, że dzierżawa nie budzi entuzjazmu, zwłaszcza w potencjalnych dzierżawcach.

Zresztą cała reforma nie podoba się nikomu z ekonomistami włącznie. Plenum zdecydowało „cen na razie nie ruszać” (słowa Gorbaczowa, *Prawda* z 18 marca 1989). Ponieważ Gorbaczow nie zmienia cen i daje sobie „dwa-trzy lata na uzdrowienie sytuacji ekonomicznej, położenia finansowego i w ogóle rynku” — musi zadowolnić się apelami o zwiększony wysiłek partii. „Partia — oświadczył — powinna wziąć na swe barki ogromne zadania organizacyjne i ideologiczne zabezpieczenie polityki rolnej”. Jak wiadomo, od siedemdziesięciu jeden lat partia niczego innego nie robi...

Przejdźmy wreszcie do trzeciego wydarzenia, bezspornie rażącego. Wybory deputowanych ZSSR. Trudno sobie wyobrazić — i wytlumaczyć — wybuch radości w prasie światowej z powodu wyborów w Związku Sowieckim. Dziennikarze pisali o narodzinach demokracji, o radykalnej zmianie natury Związku Sowieckiego itd., itp. Wybory jeszcze się nie skończyły. Gorbaczow

i jego eksperci wymyślili taką procedurę wyborczą, że będą trwały w sumie dwa miesiące. Należy jednak przyznać, że dostarczyli kilku niespodzianek. Przepadł np. sekretarz leningradzkiego obwodowego komitetu partii, zastępca członka Biura i jeszcze około trzydziestu miejscowych partyjnych sekretarzy. Generał, który dowodził wojskami niemieckimi w Niemczech, przegrał na rzecz podpułkownika. W Moskwie odniósł wielkie zwycięstwo Jelcyn, talentowany demagog, z którego w ciągu roku zręcznie zrobiono symbol opozycji.

Niemą zachodnich komentatorów pisało o „porażce” Gorbaczowa albo wręcz o porażce partii lub aparatu partyjnego. Wypada przypomnieć, że wśród wybranych jest 87,6% członków partii. Przy poprzednich wyborach ich procent był mniejszy. Teraz naród sowiecki dobrowolnie wybierał przede wszystkim komunistów. Nie ma moim zdaniem żadnych poważnych powodów do współczucia Gorbaczowowi. Kto był mu w aparacie potrzebny, ten przeszedł z listy stu, zarezerwowanej dla Politbiura i wybranej na plenum KC. Co więcej, najwyższy organ władzy zostanie wybrany dopiero po zamknięciu wyborów deputowanych. Deputowani zbiorą się na zjeździe i wybiorą Radę Najwyższą. Ale — oto jeszcze jeden fortel Gorbaczowa — wszyscy deputowani przejdą przez Radę Najwyższą. „Jest to — wyjaśnił Michaił Siergiejewicz — znamię demokracji”. Jest to też sposób na osłabienie Rady Najwyższej, którą będzie kierował jej rzeczywisty przewodniczący, nikt inny jak generalny sekretarz M. S. Gorbaczow.

Zaraz po wyborach Gorbaczow zebrał naczelných redaktorów środków informacji i udzielił im cennych wskazówek, jak należy komentować wybory. „Wydaje mi się — podzielił się z nimi myślami — że na barki partii spada teraz szczególnie ciężka praca. To znaczy, że spada ona także na środki masowego przekazu, których nie oddzielamy od partii”. Nikt jeszcze nie zdefiniował równie trafnie *glasnosti* jako instrumentu w rękach partii, która wszystkim kieruje. *Glasnosti* udało się przedstawić wybory deputowanych ludowych jako coś, czym jeszcze nie są: jako wolne wybory wolnych przedstawicieli ludu. Obecne wybory są tylko opium dla ludu sowieckiego. Mają go uspokoić i uśpić.

Adam KRUCZEK

13 kwietnia 1989

Kronika niemiecka

Zużycie papieru w skali rocznej wynosi w NRD 81 kg, w Polsce 35 kg, natomiast w Czechosłowacji 75 kg na jednego mieszkańca. Pod względem gazet i czasopism PRL plasuje się na 50-tym miejscu. Polskę wyprzedzają

m.in. Indie z 36 kg papieru na mieszkańca. ■ Radiowy kurs języka niemieckiego rozgłosił *Deutschlandfunk* (DLF) na Kolonii. Lekeje nadawane są w niedzielę od godz. 20.00 do 20.30 na falach krótkich w pasmach 25 i 19 m, a powtarzane w czwartki od godz. 19.45 do godz. 20.00 na falach średnich w paśmie 194,9 m. Podręczniki do kursu redakcja wysyła zainteresowanym słuchaczom bezpłatnie: *DLF — Polen-Redaktion*, Postfach 510640, D-5000 Köln 51. Nowym kierownikiem sekcji polskiej *DLF* został Jürgen Viettig, b. korespondent *Süddeutsche Zeitung* w Warszawie. ■ Wartość darów przekazanych do Polski przez *Zakon Joannitów* (Hamburg): do Warszawy wysłano leki o wartości 300 tys. marek; 100 tys. marek Joannici przekazali do Włocławka na budowę specjalistycznej kliniki we Włocławku. ■ Dwóch lekarzy i dwie pielęgniarki z oddziału chirurgicznego *Szpitala św. Augustyna* w Düren (Północna Nadrenia - Westfalia) pojechali do Krotoszyna k. Wrocławia. W tamtejszym szpitalu przeprowadzili 12 skomplikowanych operacji ortopedycznych. Przedtem sprowadzono leki i sprzęt medyczny łącznej wartości 100 tys. marek (w formie daru). *Życie Warszawy*: „Władze polskie zwolniły Niemców z obowiązkowej wymiany dewizowej”. Ładne podziękowanie! Warto dodać, że od 1983 roku apteki krotoszyńskie otrzymały z Düren 27 transportów leków nasercowych, płucnych i przeciwreumatycznych. Ponadto mieszkańcy Düren podarowali krotoszyńskiemu szpitalowi karetki marki Volkswagen wraz z kompletnym wyposażeniem. Przekazany sprzęt medyczny objęty jest opieką serwisową. W lecie bież. roku przyjadą do Düren polscy lekarze na praktyki szpitalne. ■ W Kolonii ukazał się drugi numer biuletynu *III Rzeczypospolita*. Redaktor i wydawca: Józef Gawęda. W biuletynie, poza hasłami w rodzaju „każdy człowiek ma naturalne prawo do wolności”, znajdujemy fragment następującej treści: „Warszawa — stolica Polski (...) nie może zapisać żadnej chlubnej karty w historii Polski. Twierdzą (red. Gawęda — przyp. A.J.Ch), że inaczej potoczyłyby się losy Polaków, gdyby stolica nadal był Kraków — lub inne miasto. Najodpowiedniejszym miejscem na przyszłą stolicę III Rzeczypospolitej jest miejsce nad Sanem, w dorzeczu trzech rzek, pomiędzy Jarosławiem a Leżajskiem. (...) Wiem na pewno, że stolica w tym miejscu będzie metropolią szczęśliwą dla tych, którzy z niej będą rządzić i dla tych, którzy nazywać się będą Polakami”. ■ Polonia w NRD liczy ok. 40 tys. osób. Ustawodawstwo tego kraju nie przewiduje żadnych organizacji dla innych grup etnicznych. Polacy nie mają ani jednego klubu czy teatryku. Jedyną zalegalizowaną formą kontaktów z krajem rodzinnym miały być *Ośrodki Informacji i Kultury* w Berlinie Wschodnim i Lipsku. Okazuje się, że są one ubogie i pasywne, nie dysponują nawet aktualną prasą. ■ *Studio Teatralne UJ — Grupa Teatralna „OM”* wystawiło w kolońskim teatrze *Studiobühne* trzy sztuki, m.in. *Zujnię*. Reżyseria i scenografia — Krzysztof Lipski. ■ Prof. Hartwig Mathies, wybitny niemiecki reumatolog z Bad Abbach koło Ratzybony, we własnym ośrodku szkoleniowym przeprowadził kursy, w których uczestniczyło kilkudziesięciu polskich reumatologów. Od kilkunastu lat prof. H. Mathies należy do inicjatorów pomocy dla Polski. Nadal wspiera materialnie jedną z warszawskich szkół specjalnych. Dopiero teraz w PRL zdecydowano się na przyznanie prof. Mathiesowi Komandorii Orderu Zasługi PRL III klasy. ■ Kilka przedsiębiorstw w Dolnej Saksonii zawarło z polską firmą *Geopol* umowę na zasadzie *joint venture*; chodzi o uruchomienie w pierwszym rzędzie oczyszczalni ścieków w Poznaniu. Umowa przewiduje współpracę polskich i niemieckich firm przy budowie i montażu podobnych urządzeń dla krajów Trzeciego Świata. Niemcy zamierzają również pomagać polskim firmom, wyspecjalizowanym w budownictwie mieszkaniowym i przy realizacji projektów unowocześniania niektórych gałęzi rolnictwa. ■ Jerzy Lubiec na łamach niezależnego *Biuletynu Dolnośląskiego*: „Inaczej przedstawia się sprawa mniejszości niemieckiej w Polsce. Przed wszystkim w panującym w naszym

kraju ustroju komunistycznym łamanych jest tak wiele naturalnych praw społeczeństwa, że nie dziwnego, iż dotyczy to również mniejszości narodowych. Sprawę niemieckiej mniejszości narodowej komplikuje fakt, iż władze państwowe, a nawet głowa Kościoła Katolickiego w Polsce zaprzeczają istnieniu tej mniejszości. Nie figuruje ona również w oficjalnych statystykach mniejszości narodowych. Uważa się iż na mocy układów międzypaństwowych PRL-RFN ci, którzy czują się Niemcami już dawno emigrowali. (...) Byłoby dla nas faktem radosnym, gdyby okazało się, iż jest w Polsce grupa narodowości niemieckiej, która chciałaby z nami pozostać, jako obywatele państwa polskiego. Opowiadamy się bezwarunkowo za przyznaniem im pełnych praw do kulturowania własnej kultury, utworzenia szkół i kościołów, stowarzyszeń i organizacji — w tym politycznych. Wyciągniemy do nich przyjazną dłoń. Te ostatnie stwierdzenia odnoszą się także do wszystkich pozostałych mniejszości w Polsce". Tymczasem Niemcy stale wyjeżdżają z Polski. Już w tym roku PRL opuściło kilkadziesiąt tysięcy obywateli polskich pochodzenia niemieckiego. Władze RFN zastrzyły i zawęziły odpowiednie przepisy. ■ RFN wypłaca obywatelom polskim 30 tys. rent i emerytur miesięcznie. 28 tys. świadczeń stanowi zaopatrzenie dla b. żołnierzy Wehrmachtu i członków ich rodzin. Chodzi tu głównie o mieszkańców Śląska, wcielanych podczas wojny do armii niemieckiej. Przeciętą miesięczną wysokość emerytury lub renty wynosi 137 marek. Według nowego prawa dewizowego renciści mogą zatrzymywać 40 % wpłat w dewizach, resztę odsprzedają bankom za złotówki po kursie NBP. Kurs bankowy w chwili pisania *Kroniki*: 1 DM = 1.200 zł; czarnorynkowy — 1.600 zł. A więc przeciętna renta miesięczna z RFN wynosi obecnie 174 tys. zł. Polscy emigranci i uciekinierzy do RFN zachowują ciągłość pracy i nabywają prawa emerytalne, tak jakby całe życie pracowali na terenie Niemiec Zachodnich. ■ 6,2 mln obcokrajowców odwiedziło Polskę w ub. roku. Przyjazdy w celach turystycznych stanowiły 34 % tej liczby. Największą grupę stanowili Niemcy i Polacy z RFN. ■ Katowicka *Panorama*: „Najboleśniejszym dla nas problemem są wyjazdy do RFN młodych i wykształconych ludzi. (...) Z Opolszczyzny wyjeżdżają wykwalifikowani ślusarze, tokarze, inżynierowie i lekarze. We wsi Bierawa k/Koźła opuszczonych jest 78 domów — w tym sporo nowych, komfortowo urządzonych, pozostawionych z całym dobytkiem na miejscu. (...) Z Opolszczyzny wyjechało wielu byłych członków Związku Polaków w Niemczech i to wraz z dziećmi”. ■ Wzornictwo artystyczne — prace studentów *Wyzszej Szkoły Wzornictwa Przemysłowego Halle-Burg Giebichenstein* wystawiano w *Ośrodku Kultury i Informacji NRD* w Krakowie. ■ Sympatyzujący z władzami PRL *Związek Polaków w Niemczech* powstał w 1922 roku w Berlinie; obecnie siedzibą jest Bochum. Liczy dziś ok. 6.500 osób. Najliczniej jest w nim reprezentowana emigracja międzywojenna i tuż powojenna; *ZPwN* liczy 300 oddziałów — głównie w westfalsko-nadreńskim okręgu i miastach: Breme, Hamburg, Ludwigshafen i Mannheim. *ZPwN* posiada *Dom Polski* w Bochum, budynek od stu lat należący do Polaków zamieszkałych w Niemczech. *ZPwN* wydaje kwartalnik *Swiatelko* z myślą o dzieciach oraz *Ogniw*o — przeznaczone dla dorosłych. ■ Prof. Władysław Bartoszewski uczestniczył jako jedyny obywatel z KDL-ów w kongresie, zorganizowanym w Berlinie Zachodnim — z udziałem kanclerza Helmuta Kohla — przez Fundację im. Konrada Adenauera, jako imprezie otwierającej cykl obchodów 40-lecia RFN. Bartoszewski zabrał głos w dyskusji na temat *Doświadczenia z Republiki Federalnej*, obok dyplomatów i naukowców z USA, Francji, Włoch i Izraela. W *Akademii im. Hermanna Ehlersa (CDU)*, również w Berlinie, Bartoszewski mówił na temat: *My — w Europie, dziś i jutro*. W dyskusji uczestniczyli m.in. profesorowie — Gesine Schwan (uczennica prof. Leszka Kołakowskiego), Bohdan Osadzuk-Korab i Helmut Wagner. *Towarzystwo Chrześcijańsko-Zydowskiej Współpracy* w Norymberdze urządziło kolejny *Tydzien*

Braterstwa, podczas którego Bartoszewski wygłosił główny referat: *Uczyć się z historii. Myśli Europejczyka-chrześcijanina*. ■ W jedną z ostatnich sobót policja wydała z Berlina Zachodniego ponad 500 Polaków handlujących „na czarno”. Naszym rodakom policja wstawia do paszportów czerwone pieczęcie, co oznacza zakaz wjazdu do Berlina Zachodniego i RFN. *Hordy ze Wschodu*, brzmi tytuł korespondencji Serge Schmemanna, zamieszczonej w *New York Times*. Owe „hordy” stały się tak liczne, że policja zachodniemiecka przeprowadza dokładne badania samochodów polskich. Przecięcie 10 % samochodów jest odsyłanych do PRL. Polskie władze celne cofają codziennie setki Polaków z granicy; np. 3 marca br. cofnięto w ciągu doby 400 samochodów z 1.130 osobami i kilkanaście autobusów z 750 pasażerami za posiadanie nadmiernej ilości towarów, wyraźnie przeznaczonych na handel. W Berlinie sporo Polaków (ok. 4 tys.) pracuje również „na czarno”. „Turycy” znad Wisły są gotowi pracować nawet za 30 % tego, co otrzymują tam pracownicy z Turcji. ■ Polscy dziennikarze Jadwiga Zeleszkiewicz i Wacław Stawny współpracują od kilku lat z zachodnio-berlińską rozgłośnią *Sender Freies Berlin*. Tytuły niektórych audycji: *Mieczysław Karłowicz. Portret polskiego kompozytora* (w 80-tą rocznicę śmierci Karłowicza); *Polska* (seria audycji przejęta przez trzy rozgłośnie: SR Saarbrücken, SDR Stuttgart, SWF Baden-Baden); *Polska młodzież lat 80-tych*. ■ W wydawnictwie Grünewald — Kaiser ukazała się w lutym br. książka Andrzeja Micewskiego — *Kirche, „Solidarność” und Kriegszustand in Polen* (Kościół, „Solidarność” i stan wojenny w Polsce). Ma to być niemiecka wersja pracy — *Kościół wobec „Solidarności” i stanu wojennego* (Éditions du Dialogue, Paryż 1987). W posłowie do niemieckiego wydania znajduje się fragment, którego nie ma w polskim oryginale. Micewski twierdzi, że Kościół w rozmowach z „funkcjonariuszami związku zawodowego, przeprowadzonych 5 i 9 grudnia 1981, w kategorięczny sposób ostrzegają” o możliwości interwencji władz. Natomiast nie ma wypowiedzi Ojca Świętego o „Solidarności” w czasie marcowej (1987) pielgrzymki do Polski. ■ Johannes Gerster (CDU) postulował w Bundestagu bezwzględne odsyłanie do domu zwłaszcza tych niedosłych azylantów, którzy pochodzą z Jugosławii, Polski i Węgier. *Trybuna Ludu* — między wierszami — występuje w obronie ubiegających się o azyl: „Polacy mają trudności, bo w RFN rozpetano kampanię wrogości wobec cudzoziemców”. ■ Ambasada RFN w Warszawie wydała w 1988 roku 725 tys. wiz wjazdowych Polakom. ■ Bp Alfons Nossol (diecezja opolska) ma objąć biskupstwo w Berlinie. Różne spekulacje na ten temat obiegły prasę zachodniemiecką. Hans-Jakob Stehle, wieloletni rzymski korespondent poważnego hamburskiego tygodnika *Die Zeit*, nie wyklucza możliwości mianowania bp. Nossola następcą kardynała Meissnera. Biskup opolski pochodzi z niemieckiej rodziny, uczył się do niemieckiej szkoły i w latach 70-tych wykładał na *Uniwersytecie im. Gutenberga* w Moguncji. W Watykanie uchodzi za wpływowego stronnika kół konserwatywnych. Bp Nossol występował wielokrotnie w obronie mniejszości niemieckiej w Polsce. ■ W Monachium rozpoczęła działalność duszpasterską druga parafia polska (w stolicy Bawarii żyje ok. 12 tys. Polaków); proboszczem został ks. dr Czesław Nowak. I mamy już pierwsze zgrzyty: ks. dr Nowak oświadczył, że nie będzie się wiązał z polskimi organizacjami w Monachium. Odmówił również ogłoszenia po mszy św. komunikatu o spotkaniu z Cezarym Chlebowskiem (historyk i pisarz, zajmujący się sprawami ruchu oporu w Polsce podczas drugiej wojny światowej), organizowanym przez monachijski *Klub Myśli Politycznej im. J. Mieroszewskiego*, któremu zawsze udziela gościny ks. Jerzy Galiński, proboszcz pierwszej polskiej parafii w Monachium. ■ Horst Bienek, znany pisarz niemiecki: „Głosy rewizjonistów, które dochodzą ze związku wypędzonych — to sprawa generacji. To wymiera i umrze razem z Hupką. Po Hupce ich już nie będzie”. ■ Na początku kwietnia br. przebywał w Berlinie Za-

chodnim bp Jerzy Dąbrowski, z-ca sekretarza generalnego Episkopatu Polski. Biskup spotkał się z azylantami i przesiedleńcami, mieszkającymi w schronisku w dzielnicy Spandau, odbył rozmowy z kierownictwem schroniska i przedstawicielami władz Niemieckiego Czerwonego Krzyża. Bp Dąbrowski odwiedził berliński Klub Inteligencji Katolickiej, gdzie wygłosił niezwykle interesujący (i bardzo szczerzy) wykład na temat: siła i słabość Kościoła w Polsce. Dyskusja trwała ponad dwie godziny.

Andrzej J. CHILECKI

ODPOWIEDZI CZYTELNIKOM

Anonimowy liścik z RFN: — „A. J. Chilecki jest uważany za wtyczkę wywiadu RFN w emigracji polskiej”. Proszę na przyszłość tego rodzaju bzdury wysłać prosto do ambasady PRL w Kolonii lub do redakcji *Żołnierza Wolności*. A w ogóle jest Pan bardzo męczący.

Dr med. A.M., RFN: — Zamieszczając notatkę o przenosinach *Polskiej Misji Katolickiej* z Lubeki do Würzburga (Bawaria), miałem właśnie na celu naruszenie „błogosławnego spokoju”, jakiego zażywa ta kiedyś bardzo dynamicznie działająca placówka. Mamy teraz we Frankonii *Catholica Missio Polona in Germania*, ale nie mamy w Würzburgu parafii polskiej, bo rzeczywiście tam Polaków można policzyć na palcach.

A. J. Ch.

Kronika czeska i słowacka

W poniedziałek 5 grudnia ub. roku przybył z kilkudniową wizytą do Austrii minister spraw zagranicznych CSRS z okresu „Praskiej Wiosny”, a obecnie jeden z czołowych działaczy czeskiej opozycji, Jiří Hajek. Wziął on udział w sympozjum poświęconym prawom człowieka w Grazu, podczas którego wyraził pogląd, iż proces przemian w Czechosłowacji będzie wolny i długotrwały, oraz spotkał się z przedstawicielami rządzącej w Austrii koalicji. ■ Po wielu latach usilnych a bezskutecznych starań Anna Kohoutova, była żona Pavla Kohouta, żyjącego od 1979 roku na przymusowym uchodźstwie w Wiedniu pisarza czeskiego, mogła wreszcie w ostatnie święta Bożego Narodzenia spotkać się ze swoimi dziećmi. Sprawa Anny Kohoutowej poruszana była wielokrotnie przez polityków austriackich i przedstawicieli parlamentu europejskiego podczas ich spotkań z reprezentantami CSRS. ■ W pierwszych dniach grudnia przebywał w Wiedniu obecny minister spraw zagranicznych Czechosłowacji, Jaromír Johannes. Podpisał on z szefem austriackiego MSZ-tu i wicekanclerzem Austrii Aloisem Mockiem porozumienie o utworzeniu instytucji kulturalnych obu krajów w Pradze i Wiedniu. Kolejnym krokiem ku poprawie stosunków między obu krajami było wprowadzenie możliwości uzyskiwania wiz na granicy (za odpowiednio wyższą opłatą). Ocieplenie trwało jednak krótko. Wkrótce okazało się, że nie wszyscy mają prawo do uzyskania wizy w ten uproszczony sposób. Z powrotem odesłani zostali obecnie żyjący w Wiedniu byli obywatele CSRS, wśród nich pisarz Pavel Kohout. ■ Po usunięciu ucho-

dzących za „liberalnych” premiera Lubomira Strougala i jego ministra spraw zagranicznych Bohuslava Chnouпка w październiku ub. roku, w pokójwie grudnia przeszedł na emeryturę „ze względu na wiek” członek prezydium i sekretarz KC KPC Vasil Bilak, czołowy przedstawiciel „betonu”, powszechnie uważany za osobę nr 2 w CSRS. Vasil Bilak należy najprawdopodobniej do tych osób, które w 1968 roku poprosiły „bratnie armie” o pomoc w zdławieniu „kontrewolucji” (nazwiska autorów sławetnego „zaproszenia”, które stało się formalną podstawą interwencji wojsk Układu Warszawskiego, nie zostały do tej pory opublikowane). Podczas plenum KC KPC, na którym podano wiadomość o ustąpieniu Bilaka, pierwszy sekretarz partii Miloš Jakeš zapowiedział spotkanie RWPG w Pradze, podczas którego ma być dyskutowane utworzenie wspólnego rynku krajów komunistycznych, a zatem przedsięwzięcia podobnego do planów EWG, przewidujących praktycznie zniesienie granic celnych w Europie Zachodniej począwszy od roku 1992. Jak na razie jednak sytuacja gospodarcza wszystkich krajów RWPG nie zapowiada możliwości rychłego zrealizowania podobnych zamierzeń. ■ Rzecznikami Karty 77 na rok 1989 zostali: Dana Němcová, Tomáš Hradilek i Saša Vondra.

Urodzona w 1934 roku Dana Němcová ukończyła w 1958 roku wydział filozoficzny Uniwersytetu Karola w Pradze jako psycholog dziecięcy. W latach sześćdziesiątych wskutek zaangażowania na rzecz skazanych muzyków z takich grup, jak *Plastic People* i *DG 307*, utraciła pracę jako psycholog głuchoniemych oraz w psychologicznej poradni studenckiej i musiała pracować jako sprzątaczką, aż do uzyskania renty inwalidzkiej. Należy do pierwszych sygnatariuszy Karty 77 i członków-założycieli VONS (Komitetu Obrońcy Niesprawiedliwie Prześladowanych). W roku 1979, po półrocznym pobyciu w więzieniu, skazana została w procesie VONS na dwa lata więzienia z zawieszeniem na pięć lat. — Tomáš Hradilek (ur. w 1945 r.) ukończył zootechnikę w Wyższej Szkole Rolniczej w 1967 roku. Od 1966 roku był członkiem KPC; wiosną 1969, po objęciu władzy przez Gustava Husáka, postanowił z niej wystąpić, po czym został z niej wykluczony i jednocześnie zwolniony z pracy w PGR. Od tego czasu pracuje jako robotnik w zakładach drzewnych. — Saša Vondra jest najmłodszy z tej trójki: urodził się w 1961 roku. Przed pięcioma laty ukończył geografii na Uniwersytecie Karola w Pradze, rok później uzyskał tytuł doktora nauk przyrodniczych. Od roku 1986 jest jednym z redaktorów pisma *Revolver revue*; publikował także w takich pismach, jak *Vokno*, *Lidove Noviny* czy *Informace o Charterze 77*. Jest członkiem Solidarności Polsko-Czechosłowackiej, Kartę 77 podpisał wiosną 1987 roku. ■ Aresztowanie, a następnie skazanie Václava Havla i pozostałych uczestników styczniowych demonstracji wywołało falę protestów na całym świecie, również w krajach Europy Wschodniej i w samej Czechosłowacji. Protestowały PEN-Cluby wielu krajów (także Polski, Węgier i NRD), związki literatów (w tym oficjalny polski i węgierski), przedstawiciele opozycji i ruchów niezależnych z Polski, Węgier, NRD i ZSSR, pisarze, artyści i naukowcy z całego świata. Wśród licznych petycji znalazły się również apele dwu tysięcy przedstawicieli czechosłowackiego świata kultury i nauki, z których wielu do tej pory nie zabierało głosu w kwestiach politycznych. Pod ambasadami i konsulatami CSRS w wielu krajach odbyły się demonstracje (np. w Warszawie), których uczestnicy żądali zwolnienia wszystkich więźniów politycznych w Czechosłowacji. W czasie Wielkiego Tygodnia trwała głódówka na rzecz czechosłowackich więźniów politycznych, zorganizowana w Katowicach przez PPS-RD i WiP. Po świętach bezterminową kontynuację tej głódówki zapowiedziały grup pracowników huty „Baildon”. ■ O uwolnieniu Havla i innych więźniów politycznych w Czechosłowacji upomniął się też rząd i parlamenty szeregu krajów. Brutalne postępowanie praskich sił bezpieczeństwa wobec pokojowych prób uczczenia pamięci Jana Palacha i wyroki

na ich uczestników skłoniły rząd austriacki do zastosowania po raz pierwszy mechanizmu tzw. wymiaru ludzkiego KBWE, wypracowanego na zakończonej w styczniu konferencji pohelskiej w Wiedniu, a właściwie pierwszego z przewidzianych w nim kroków, polegającego na żądaniu szczegółowego wyjaśnienia sytuacji, w której — zdaniem rządu składającego taki wniosek — nastąpiło pogwałcenie praw człowieka. Podobny krok podjęło potem kilka innych rządów zachodnich. Wobec braku odpowiedzi na skierowane do rządu CSRS pytania Holandia zdecydowała się wysłać do Pragi komisję pod przewodnictwem szefa delegacji tego kraju na rozmowy KBWE, Johanna Meesmana. ■ Po procesach uczestników obchodów ku czci Jana Palacha zaskoczeniem było wydanie przez władze praskie zgody na spotkanie Niezależnego Ugrupowania Pokojowego w dniu 25 lutego, poświęconego alternatywnym formom służby wojskowej i prawom człowieka. Warunkiem jednakże był udział w dyskusji przedstawicieli oficjalnego związku młodzieży. ■ Kolejne wyroki na działaczy opozycyjnych w Czechosłowacji. 9 marca w Jihlavie skazani zostali poeta i dziennikarz Ivan Jirous na 16 miesięcy oraz Jiří Tichý na 6 miesięcy za podpis pod petycjami domagającymi się zwolnienia wszystkich więźniów politycznych. 17-go marca sąd w Pradze skazał Hanę Marvanovą i Tomáša Dvořáka z Niezależnego Ugrupowania Pokojowego na kary po 10 miesięcy więzienia z zawieszeniem na 30 miesięcy za udział w niedozwolonej demonstracji w rocznicę powstania państwa czechosłowackiego. Ponieważ prokurator wniósł o rewizję wyroku, skazani pozostaną w więzieniu do czasu rozprawy rewizyjnej. ■ W połowie grudnia Czechosłowacja przestała zagłuszać audycje Radia Wolna Europa. ■ Organ KC KPČ *Rude Praco* informuje w numerze z 10 stycznia o katastrofalnej sytuacji 38 wielkich przedsiębiorstw tego kraju. Należą do nich m.in. tak niegdyś renomowane firmy, jak fabryka samochodów osobowych Skoda-Plzeň i stalownia Vitkovice. W ewidencji ministerstwa finansów znajdują się — zdaniem pisma — 134 deficytowe przedsiębiorstwa, które „wyprodukowały” łącznie 37 miliardów koron strat. ■ Katastrofa ekologiczna w Karkonoszach dostrzeżona została w końcu i przez władze czechosłowackie, które w połowie przyznają się do odpowiedzialności za zaistniałą sytuację na tym obszarze, pozostawiając 50 % obciążając PRL i NRD. Według przedstawicieli praskiego ministerstwa rolnictwa, większość prac leśnych na obszarze 32.000 hektarów sprowadza się do usuwania martwych drzew. Niepodjęcie natychmiastowych kroków grozi nieodwracalnymi praktycznie zmianami. Władze czeskie planują w najbliższym czasie drastyczne ograniczenie ruchu turystycznego w Karkonoszach, by powstrzymać gwałtowną degradację środowiska naturalnego najwyższego pasma Sudetów. ■ Premier Ladislav Adamec wystąpił z inicjatywą zwołania w Pradze szczytu ekologicznego z udziałem wszystkich sąsiadów tego kraju. Do tej pory tylko NRD i Węgry przyjęły zaproszenie, natomiast RFN, Austria, Polska i Związek Sowiecki wyraziły jedynie zainteresowanie planowaną konferencją. W rezultacie dojdzie najpierw (najprawdopodobniej w maju) do spotkania ministrów odpowiedzialnych za problemy ochrony przyrody. ■ Autor petycji w kwestii swobód religijnych, którą podpisało około 600 tysięcy obywateli CSRS, Augustin Navratil, został zwolniony pod koniec lutego z przymusowego leczenia psychiatrycznego. ■ Prymas czeski kardynał František Tomášek obchodzić będzie 30 czerwca 90-te urodziny. Mimo podeszłego wieku pozostaje wciąż aktywny nie tylko w sprawach kościelnych, ale m.in. w sprawach dotyczących praw człowieka.

Wiedeń 29 marca 1989 r.

(amp)

Kronika kulturalna

Wystąpienie na Niezależnym Forum Kultury

(1 KWIETNIA 1989 ROKU)

Kultura niezależna. Dwa te słowa zdopingowały mnie do zabrania głosu. Już na dobre zadomowiły się one w naszym języku. A przecież jeszcze lat temu kilkanaście nic nie znaczyły. Raczej retoryka, szlachetne, puste pojęcia. Dlatego chciałbym sięgnąć do niegłębokich korzeni. Jak to się zaczęło? Jestem człowiekiem pióra i papieru — pisania. Zawężę więc zakres, będę mówił tylko o literaturze. Pragnę nadto mówić z doświadczeń typu jednostkowego, bez ambicji do syntetycznego uogólnienia. Będę mówił o literaturze podzielonej w nowomowie ostatnich lat na kilka tzw. obiegu, ale z uporem dążącej do jednego nurtu.

Jeszcze lat temu kilkanaście głucho było i pokornie. Nie było żadnej alternatywy. Cenzura panowała niepodzielnie. Dam przykład ze sfery humorystycznej: w opowiadaniu zostały użyte słowa „ruski Anioł”. Powiedzenie dosyć popularne wśród włościan b. zaboru rosyjskiego czyli Kongresówki. Cenzor stanowczo zażądał usunięcia tego epitetu. Godzi w sojusze. Zmieniłem na „tureckiego” Anioła.

Pisarze jeżeli się borykali z udręką dławionych czy kastrowanych tekstów, to tylko w pojedynkę. I raczej bezsilnie. Z bezsilności rósł w nich rakowaty twór — autocenzor.

Rok 1965. Napisało mi się, mówię z rozmysłem — „napisało się”, bo spontaniczność, bez rozumowych wyważań, bywa często motorem pisania, a także może wygrać w pojedynku z autocenzorem, więc napisało się kilkanaście miniaturowych cyklów o młodości w stalinizmie. Co robić z tym fantem? Czytałem bliskim. Zawsze jako swoista pieczęć padało pytanie: — Ale gdzie to wydrukujesz? Odpowiedź także padała niezmienna: — Nigdzie.

Było coraz mniej miejsc w miarę swobodnego drukowania. Oprócz miesięcznika *Twórczość*, gdzie Jarosław Iwaszkiewicz sta-

rał się ratować literaturę, odkryłem drugą enklawę względnej wolności — *Więź* i *Tygodnik Powszechny*. Pisma te istniały poza państwowym monopolem wydawniczym. Ale też podlegały cenzurze. Miały nadto swój określony profil. Katolicki.

Rok 1968. Pamiętny Marzec. Gazety, dzienniki i tygodniki straciły dla mnie dawną pokusę. Z większości połała się brudną strugą antysemicka i szowinistyczna publicystyka. Literatura, jeżeli traktować sprawę poważnie, nie może sąsiadować na tych samych łamach z czymś co zaprzecza prawdzie; jest przemocą, kłamstwem, obelgą, godzi w elementarne wartości ludzkiego współzycia.

To były problemy tamtych lat. Brak miejsca dla literatury. I także ta literatura karłała, stawała się pełzakiem ciśniętym przez rosnące absurdalnie wymogi cenzury. Proszę przypomnieć sobie księgę zapisów cenzury, wywiezioną na Zachód przez młodego cenzora, który postanowił porzucić swe obowiązki.

I wtedy odkryciem dla mnie stała się paryska *Kultura*. Garstka ludzi, którzy niby zakonnicy ścisłej klauzury poświęcili się wydawaniu miesięcznika, książek. Zafascynowała literatura tam prezentowana. Jej wielość, bogactwo. Cały obszar dokonań w prozie, poezji, eseistyce. Zupełnie niedostępny w kraju. Hostowicz, Jeleński, Straszewicz, Bielatowicz, Haupt, żeby wymienić tylko kilka nazwisk. Potężny blok polskiej myśli i literatury, której przewożeniem i kolportażem w kraju zajęli się „taternicy”, płacąc za tę śmiałość latami więzienia. *Kultura* i Instytut Literacki w Paryżu. To były kamienie milowe w rozwoju pisarskiej świadomości. Intuicyjne odkrycie szansy. Jakby pojawiła się symetria. Nadzieja że nie wszystko mieści się w krajowym układzie zamkniętym.

Zaprzagnąłem tam drukować. Nie będę nadal żył z ciężarem cenzury i szuflady z zakazanymi rękopisami. Lecz w tamtym czasie to był trudny wybór. Jest rok 1969. Pisarze, starsze pokolenie pisarzy, ale i moi rówieśnicy absolutnie byli związani z wydawniczym obiegiem państwowym. Odstawała od tego modelu jedynie mała grupka twórców skupiona wokół *Tygodnika Powszechnego*, *Znaku* i *Więzi*. Nakłady, oddźwięk czytelnicy. To znajdowało się w kraju. Paryska *Kultura* była tak daleko. Działała też na pewno trująca moc propagandy, która niezmiennie wiązała środowisko *Kultury* i Instytutu Literackiego z C.I.A., służbą obcym mocarstwom, imperializmem amerykańskim itp. Posługiwano się całą gamą epitetów i chwytów z katalogu, który w tej materii nie zmienił się wcale od stalinizmu. Zła aura, tak myślę, skutecznie zamącała świadomość twórców. No i odbierała odwagę.

Dokonałem więc wyboru połowicznie. Zacząłem drukować w *Kulturze* pod pseudonimem. Rozpiąłem się na antypodach druku tam w Paryżu jako Seweryn Kwarc i tu w kraju jako Marek Nowakowski. Nie było to ze strachu. Czytelnicy, głód czytelników, potrzeba pisarza, jego nałóg. Stamtąd z Paryża tak niewiele przecież docierało. Ludzie bali się przywozić. Nie chciałem

w dodatku palić mostów za sobą. Zakaz druku, nieistnienie, pisarski niebyt w kraju. Tego się obawiałem najbardziej. Przyznaję: być może to próżność, potrzeba wielbicieli, chwalców. Ale nie tylko. Czytelnik, ten najbliższy autorowi — z jego miasta, kraju — bardzo potrzebny, staje się jakby częścią pisania. Potwierdza sens tego co się robi. Bez niego powstaje próżnia. To też trwałem w dwoistości. Tu i tam. Próbowałem nawet dla potrzeb „Tam” zmieniać stylistykę. Pragnąłem obdarzyć tego drugiego pisarza Kwarcu jego własnym językiem. Chciałem żeby ci dwaj: Nowakowski i Kwarc byli do siebie niepodobni. To było trudne ćwiczenie. Przykre, męczące. Dla niektórych z czytających nader łatwe do rozszyfrowania. Pamiętam jak kiedyś późną nocą zadzwonił do mnie kolega po piórze, Ireneusz Iredyński i powiedział: Czołem, Sewerynie Kwarc!

Takie zabiegi z kamuflażem mogły na dłuższą metę zdeformować, wypaczyć istotę pisania. Czyli mój schizofreniczny kontredans był jedynie połowiczną alternatywą. Rok 1973. W Instytucie Literackim w Paryżu wydana zostaje „Cudowna melina”. Pierwszym pisarzem i to w dodatku z pokolenia pisarsko uformowanego w PRL, który wystąpił z otwartą przyłbicą był Kazimierz Orłoś. W imię wolności pisania skazał się na krajową banicję. Programowy realista, znawca naszego życia, autor powieści o małych miasteczkach, gdzie rządzią partyjno-złodziejskie kliki, i wielkich budowach socjalizmu. Ale piszący naprawdę, uczciwy, rzetelny wobec materii którą opisywał. Ponieważ nie chciano mu wydać jego powieści w kraju, zdecydował się na wydanie „Tam” w Paryżu.

Na marginesie dodam: Właśnie realizm, czerpanie tworzywa z rzeczywistości — narażony był na największy szwank. Ciągłe obowiązki bowiem socrealistyczny obraz świata urojonego. No, jeszcze metafora, aluzje, symbole. Na to czasem wspaniałościomysłnie pozwalano. Przykład: W pewnym tekście metaforycznym uciekinierów-staruszków poszukuje milicja. Zgodzono się na pościg. Ale nie mogła ich ścigać milicja.

Nie wolno! — powiedziano w cenzorskim urzędzie.

Milicjantów zastąpili strażacy.

Decyzja Orłosa była przekroczeniem progu. To był przełom. Uwidocznili w całej okazałości ten próg, który należy przekroczyć. Zapewne wiedza o tym progu istniała już od dawna, lecz świadomość oszukiwała się zrzęcznie, udając często, że żadnego progu nie ma. Był to precedens. Na razie uważano go za Don Kichota. Po co tak? Czy to ma sens?

Pisarze nadal nie widzieli alternatywy, tylko twórczość pod presją cenzury. Ale casus Orłosa niepokoił i świdrował. Orłoś swą decyzją wyraził dramatyczną potrzebę szukania wolnego miejsca dla literatury. Potrzebę dla której inspirację dało istnienie kręgu wydawniczego Jerzego Giedroycia w Paryżu.

Owszem, byli przed Orłosem prekursorzy. Stefan Kisielewski. Już drukował w *Kulturze* w 1960 roku, może nawet wcześniej. Ale to był jednostkowy ruch bez konsekwencji dla innych. Kisiel

zresztą związany młodością, początkami pisania z *Buntem Młodych*, *Polityką*, czasopismami prowadzonymi przed wojną przez Giedroycia. Więć Kisiel to samotny zagończyk. W roku 1970 „Apelacja” Jerzego Andrzejewskiego. Ale to też pojedynczy ruch na szachownicy. Jeden ruch i nic po tym nie nastąpiło.

Natomiast Orłoś po „Cudownej melinie” wydał „Trzecie kłamstwo”, następną powieść w Instytucie Literackim. Doszedł także do grona wyklętych pisarzy z Lublina, Bogdan Madej. Jeszcze młody debiutant z południowej Polski, Łuczeńczyk. Coraz więcej jaskółek. Zbliżała się wiosna, którą łączę z powstaniem KOR-u, tego niezwykle istotnego momentu, kiedy inteligencja zaczęła nawiązywać autentyczną więź z robotnikami, zwykłymi ludźmi w ogóle. Antoni Macierewicz, Jacek Kuroń i inni. To ich inicjatywa odegrała rolę wyzwacza energii i refleksji w środowisku inteligencji twórczej. Bo dotąd duch dworskiej sztuki panował niepodzielnie. Rój artystów otaczał stół mecenasa jedynowładcy. Należy zadać sobie pytanie: — Czy to nie trwa do dzisiaj? Tyle że mecenas nie jeden. Kilku na scenie naszego życia. Kuszą twórców swą siłą. Artyści pragną w ich bezpiecznym cieniu wic swoje gniazda. To choroba silna, ciągle siedzi. Mówię o tym dlatego, bo nie uważam wcale, że nowa sytuacja stworzyła nową sztukę, literaturę. Następuje dopiero początek procesu wydobycia się z wielorakich uzależnień. Nadal trwa walka z gombrowiczowską Gębą, która w wielości rozmaitych wydań pojawia się nieustannie. Jeszcze nie uzyskaliśmy świadectwa dojrzałości.

Wracam do 1977 roku i powstania kwartalnika *Zapis* oraz Niezależnej Oficyny Wydawniczej. W tym osiągnięciu także rola pańskiej *Kultury* ma zasadnicze znaczenie. Bo skąd czerpali pomoc, wskazówki i często książki do krajowego, wolnego druku młodzi wydawcy, którzy do niedawna jeszcze byli fizykami, biochemikami czy lekarzami? Ci młodzi ludzie musieli sami, często po omacku i z oporami wyzwalać się ze stereotypów, uprzedzeń i fobii wynikających z wieloletnich presji. Przykładem ostrożności wydawniczej, żeby tak rzec delikatnie, był stosunek do Józefa Mackiewicza, jednego z największych powieściopisarzy polskich XX wieku. To na marginesie tylko. Wkrótce zresztą nastąpił prawdziwy renesans Mackiewicza, wydawanego entuzjastycznie w innych oficynach wydawniczych.

Powstanie NOW-ej zapoczątkowało erupcję o charakterze wulkanicznym. Narodziło się mnóstwo wydawnictw i pism. Cała mapa niezależnego obiegu literatury. Stan wojenny wprowadzony w 1982 roku wcale nie zatrzymał tego procesu, wręcz przeciwnie, spotęgował jego aktywność. Także krajowi pisarze coraz liczniej przechodzili na stronę obiegu wydawniczego bez cenzury. O ile na początku traktowali tę możliwość jako rezerwę dla tekstów nadmiernie okaleczonych lub zdecydowanie odrzuconych przez państwowe wydawnictwa, to z czasem niektórzy zrezygnowali z kamienistej i powolnej drogi w państwowym wydawnictwie. Czy jest to już pisarskie wyzwolenie z pańszczyzny? Sprawa mocno zasupłana, niełatwa do jednoznacznej odpowiedzi. Bo

i satysfakcja, ale i pewne poczucie getta, zamknięty krąg podziemnego obiegu, ograniczenia w możliwościach. Również ta wolność od cenzury powodować może pewną nadgorliwość; powiem wszystko czego dotąd nie mogłem powiedzieć. Ta nadgorliwość może być podszyta tendencyjnością, potrzebą rekompensaty za lata twórczości w towarzystwie cenzora i autocenzora. Mimo tych niebezpieczeństw jest to jednak proces oczyszczania się literatury z wewnętrznych i zewnętrznych zależności. I tak to trwa nieprzerwanie do dzisiaj. Chcę podzielić się z państwem swoją konstatacją z niedawnych spotkań z czytelnikami w Toruniu i Gdańsku, które miałem razem z Grzegorzem Bogutą, szefem, może lepiej jeżeli użyję oficjalnego zwrotu, dyrektorem NOW-ej. Pełne sale, ludzie młodzi i starzy, książki wolnego obiegu na stałe zadomowiły się w ich bibliotekach. Dlatego, moim zdaniem, znakiem czasu, który nastąpił, jest nieustający tłum oblegający ławki studentów-bukinistów przed uniwersytetem. Widzimy tam wydawane w wolnym obiegu książki Andrzeja Bobkowskiego, Konstantego Jeleńskiego, Jarosława Marka Rymkiewicza, Sergiusza Piaseckiego, Leo Lipskiego, Jacka Bocheńskiego, Marka Hłaski, Mariana Brandysa i wielu innych, żyjących, nieżyjących, emigracyjnych, krajowych, lewicowych, prawicowych, fideistów, ateistów. Całe spektrum literatury polskiej. W tym bogactwie prezentowanych pozycji wiele przedruków z Instytutu Literackiego w Paryżu. Należy to podkreślić gwołi prawdy.

A teraz znów jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, albo jak echo z wolnego obiegu — nastąpił ruch w państwowych wydawnictwach, które za honor domu poczytują sobie mieć choć po jednym pisarzu czy książce z obiegu emigracyjnego i wolnego krajowego. Ta aktywność, te pierwsze jaskółki jeszcze nie czynią wiosny. To dopiero mglisty kontur tego co może być powrotem do jedności literatury polskiej — tej z obczyzny, tej z „podziemia” i tej z „nadziemia”.

A na koniec wróć jeszcze do *Kultury* Jerzego Giedroycia. Otóż jeżeli przed wieloma laty poczytywałem sobie za największą satysfakcję druk w *Twórczości*, pierwszej rangi wtedy miesieczniku literackim w Polsce, to w ostatnich latach taką samą satysfakcją bywał dla mnie druk w *Kulturze*. I nie jest to figura retoryczna czy jakiś chwyt panegiryczny, tylko pamięć o czymś ważnym w mojej biografii literackiej. Pamięć o wysiłku wyzwania się z zależności, o próbach zdobywania pisarskiej suwerenności. Pamięć bardzo ważna dla mojej teraźniejszości i przyszłości. I myślę, że nie jest to tylko moja opinia. Chyba wyrażam przekonanie niejednego z kolegów. Dlatego zwracam się do uczestników Niezależnego Forum Kultury z propozycją, żeby w dokumentach i uchwałach znalazł się dokument, który powie o pionierskiej roli *Kultury* i Instytutu Literackiego. W czasach kiedy w kraju nie było prawie nic, była *Kultura*.

To tyle. I dziękując za cierpliwość, pragnę jeszcze powiedzieć coś osobistego. Nowa sytuacja stwarza dla pisarzy dużą szansę,

ale też pułapki. Rafy, góry lodowe, korzystając z oceanicznych skojarzeń. Niebezpieczne przyciąganie. Swoisty bermudzki trójkąt. Władza. Opozycja. Kościół. Coś jeszcze można wynaleźć. Jakies mniejsze góry i rafy.

Jak zachować pisarską niezależność? Jak żeglować swoją lupiną?

To są pytania!

Marek NOWAKOWSKI

PODZIĘKOWANIE DLA ZESPOŁU INSTYTUTU LITERACKIEGO

(Nadane telexem z Warszawy)

JERZY GIEDROYC
91 AVENUE DE POISSY LE MESNIL LE ROI
PAR (78600) MAISONS LAFFITTE
/MAISONS LAFFITTE

NIEZALEŻNE FORUM KULTURY ZEBRANE W WARSZAWIE
1 KWIECIA 1989 PRZESYŁA DLA ZESPOŁU INSTYTUTU
LITERACKIEGO I PANA OSOBIŚCIE GORĄCE PODZIĘKOWANIA
ZA WIELKI HISTORYCZNY WKŁAD W UTRZYMANIU
NIEZALEŻNOŚCI KULTURY POLSKIEJ

ZA UCZESTNIKÓW FORUM

ANDRZEJ WAJDA LECH WAŁĘSA

PA

Geniusze w balonach ideologii

Temat tegorocznego kongresu PEN-Clubów — Zmierzch ideologii i obraz ludzkości u schyłku XX wieku — wydaje się studnią bez dna. Tyle na ten temat można by mówić, że mało byłoby tysiąca i jednej nocy. A trzeba się będzie zmieścić w majowych pięciu dniach, z których większość pewnie zajmie wystąpienie Gabriela Garcii Marqueza. Czyżby i on doszedł do wniosku, że nie ma co dłużej liczyć na ideologie oraz na podstarzałego ich patriarchę, Fidela?

Motywy przewodni obrad w holenderskim mieście Maastricht zrazu brzmi mile dla ucha antypatyka (odwrotność sympatyka) totalnego stylu myślenia. Po chwili namysłu rodzą się jednak wątpliwości: toż minęło dwadzieścia lat z okładem, odkąd Raymond Aron ogłosił książkę o końcu wieku ideologii. A tu pisarze,

artyści, którym powierzyliśmy wiodącą rolę w dziejach postępu ludzkości, nasza awangarda, wloką się po prostu w ognie i odkrywają tę banalną prawdę na swój użytek z takim opóźnieniem.

Podejrzewam, że niektórym artystom i niektórym intelektualistom jest niezmiernie trudno rozstać się z wehikułem ideologii, którym posługiwać się można jak balonem w celu wznoszenia chciwego, nienasyconego „ja” na niebotyczne szczyty. I jak to tak: dobrowolnie, własnymi rękami spuścić z balonów powietrze, zrolować i odłożyć do rupieciarni minionych utopii? I znów wzbijać się o własnych siłach, przy pomocy wątych skrzydełek imaginacji, paru piórek talentu?

Z drugiej jednak strony temat, choć podjęty z kilkudziesięcioletnim opóźnieniem, ciągle czeka na ogląd chłodnym okiem, jak szkielet w szafie, przytupujący z niecierpliwością. Wystarczy się chwilę zastanowić z okazji rozlicznych w tym roku rocznic (200-lecie Wielkiej Rewolucji Francuskiej, 50-lecie wybuchu drugiej wojny światowej) cośmy, jako zbiorowość, uczynili z ideologiami. I co one z nami uczyniły, bo każda idea ma tendencje do wyslizgiwania się z umysłu i tworzenia bytu samoistnego.

Nikt dotychczas nie udzielił wiarygodnej odpowiedzi, jaki był powód wybuchu pierwszej wojny światowej. Była ona jakby próbą generalną do właściwego teatru okrucieństwa, drugiej wojny. Przypuszczam, że pokolenie moich rówolotków, które jak ja przeżyło tę wojnę, lecz w stadium embrionalnym pod względem świadomości, zastanawia się niekiedy, jak mogło dojść do zbrodni tak straszliwej i kto naprawdę jest za nią współodpowiedzialny. Bo choć minęło pół wieku, z tej wojny nadal nie można się otrząsnąć, trwa ona ciągle w nieodwracalnych konsekwencjach losów zbiorowych i indywidualnych, jest niezabliżnioną raną.

Można próbować sobie wyobrazić tę wojnę jako samoobronę przed dwiema najbardziej złowrogimi ideologiami, jakie ludzkość przy pomocy dostępnych sobie środków stworzyła. Stalin i Hitler byliby więc ulepieni z codziennych cech tkwiących w każdym z nas, tyle że rozdętych i wyolbrzymionych do potworności. Obaj są tworamii ewolucji ideologii. Ale to jeszcze mało. Jeśli ci dwaj symbolizują w naszych oczach katów ludzkości (mniejsza o to, czy czerwonych czy czarnych) to mamy tendencję do zajmowania z góry upatrzonej pozycji ofiary. Tymczasem rzeczywistość podsuwa nieco bardziej złożony obraz. Ci dwaj mieli w milionach ludzi swoich popleczników. Oto i dwa konkretne przykłady, by nie wchodzić na krętą ścieżkę rozważań teoretycznych. Oba dotyczą tak zwanych humanistów — myślę o zawodzie, a nie o kwalifikacjach etycznych, co zwykle ulega zatarciu w świadomości zbiorowej (por. popularną utopię „pisarz sumieniem narodu”). Pierwszy przykład dotyczy Johanna Haldera, znawcy Goethego i wykładowcy starych uniwersytetów niemieckich, a drugi — żeby było jeszcze dosadniej — do dziś żyjącego w glorii Philipa Johnsona, leciwego architekta amerykańskiego.

Zacznę od Haldera, który jest bohaterem paradokumentalnej

sztuki C. P. Taylora pod tytułem *Good* (Dobry). Taylor, Anglik pochodzenia rosyjsko-żydowskiego, zmarły przed kilkoma laty, oparł się na faktach z historii III Rzeszy. Halder istniał naprawdę i dobrze przysłużył się Eichmannowi. Jemu na przykład zawdzięczamy sformułowanie ustawy o eutanazji. Sztuka, której prapremierę wystawił londyński Royal Shakespeare Theatre, a której amerykańską premierę oglądałam w nowojorskim teatrze off-Broadway, pokazuje z przerażającą oczywistością, jak skądinąd porządny („dobry”), człowiek, intelektualista i esteta, w imię ochrony własnych interesów, ze względu na konformizm, próżność i chęć uwolnienia się od balastu w postaci półobłąkanej, ślepej matki i nieco pomyłonej żony, zaprzedał swój umysł i swoje sumienie doktrynie totalnej. Popętnia jednak zasadniczy błąd logiczny, jakże częsty u ludzi jego pokroju: wydaje mu się, że ta doktryna będzie obowiązywała na wieczność. Co więcej, ponieważ jest intelektualistą, potrafi sobie każde swoje zachowanie, każdy wybór zrationalizować. I dlatego nadal uważa się za dobrego człowieka, gdy zgadza się na unicestwienie przyjaciela-Żyda, i ciągle wierzy w swoje przyrodzone dobro, gdy w mundurze oficera SS wraca z inspekcji w Auschwitz.

Good mówi zaskakująco dużo o mechanizmach służenia ideologii i o próbie wykorzystania obowiązującej ideologii jako balonu wznoszącego na szczyty społeczne. Niby wszystko to wiemy, my cyniczni czytelnicy *Hańb domowych*, a jednak skóra cierpnie, gdy w nowojorskim teatrze ciemnieje scena, a punktowy reflektor oświetla jedynie czarną sylwetkę Haldera w mundurze, ze srebrno świecącymi dystynkcjami, z twarzą anonimową, w cieniu. Ale drugi przykład, na jaki się w tym miejscu powołam, jest nawet bardziej pouczający, bo dotyczy nie Niemca epoki Hitlera, lecz Amerykanina, i to architekta światowej sławy. Nadto wgląd w jego poglądy otrzymujemy z pierwszej ręki, nieprzepuszczony przez filtr sztuki.

Najpierw małe wprowadzenie: Philip Johnson należy do elity w Stanach Zjednoczonych, już od urodzenia. Pochodzi z bogatej rodziny prawniczej, otrzymał wykształcenie na najlepszych uniwersytetach. Na pokerze z historią zaszedł daleko. Obdarzony wszelkimi możliwymi w jego profesji tytułami i honorami, członek Amerykańskiej Akademii Nauk i Sztuk, w wieku lat osiemdziesięciu kilku nie przeszedł bynajmniej w stan spoczynku. Niedawno wznosił dla koncertu komunikacyjnego ITT w Nowym Jorku siedzibę główną, a ostatnio zaprojektował między innymi muzeum radia i telewizji.

Jest też specjalistą w sztuce prowokacji. Sam o sobie powiedział, że jest — cytuję w dosłownym przekładzie z języka Szekspira — „kurwą, która bierze najwyższe stawki”. Inne z jego znanych powiedzeń też jest warte przytoczenia: „Nie wierzę w żadne zasady, gdyby ktoś tego nie zauważył”. W środowisku architektów amerykańskich Johnson i jego projekty wzbudzają odruch gwałtownej niechęci. Potężne gmachy są fuzją dwu stylów totalitarnych w budownictwie: faszyzmu i płomienistego socjalizmu, co w końcu często sprowadza się do zbliżonych form

ekspresji. Philip Johnson jest zawodowym prowokatorem: na tym zarobił miliony. Powyższa taktyka zapewnia mu też nietykalność, bo coż jego krytycy mogą dodać do listy epitetów, skoro sam Mistrz nazywa siebie sprzedajną dziwką? Niektórym zresztą Johnson i jego styl totalny nawet się podobają.

W życiorysie Johnsona znajduje się jednak kilka nieco bardziej zastanawiających faktów, niż tylko akty wyzwania wobec opinii publicznej. Oto w numerze październikowym z 1988 roku amerykańskiego pisma *Spy* przeczytać można artykuł pióra Michaela Sorkina pod tytułem „Where Was Philip”, czyli „Gdzie był Philip”. Autor na początku wymienia sporą listę intelektualistów, artystów lub osobistości dzisiejszego życia politycznego, którzy w latach trzydziestych żywo i ochoczo popierali nazizm. Wspomina rzecz jasna o Waldheimie — Pokojowym Nobliście, o wybitnym dyrygencie Herbercie von Karajan, o niedawno zmarłym profesorze literatury na uniwersytecie Yale, Paul de Manie (jest on współtwórcą niezwykle modnej teorii literackiej pn. *deconstruction*), który w czasie wojny pisywał prohitlerowskie artykuły w swojej rodzinnej Belgii. Na liście tej Sorkin umieścił też wielkiego Heideggera, badacza Bytu i członka NSDAP.

Gdy w Cambridge w Anglii w latach trzydziestych grupa przyjaciół na czele z Kimem Philby i (późniejszym) Sir Anthony Blunttem postanowiła pokazać pospólstwu, kto jest naprawdę panem i doszła do wniosku, że najlepiej do tego posłuży stalinizm, Philip Johnson studiował w Cambridge w stanie Massachusetts, na Uniwersytecie Harvardzkim, historię sztuki. Następnie, jako młody kustosz Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku odkrywał z gronem kolegów uroki faszyzmu. Mieli słabość do strojów paramilitarnych. Ich symbolem stały się Szare Koszule. Johnsonowi towarzyszyły w tych działaniach, które miały wiele cech autoreklamy i poszukiwań mecenatu, jego kolega z MoMA, Alan Blackburn. Wkrótce zdolni do wszystkiego młodzi ludzie znaleźli mecenasów w postaci sławetnych postaci ówczesnego życia politycznego w Stanach Zjednoczonych, Williama Lemke i ojca Charlesa McLaughlina. Otrzymali od nich niezbyt wielkie fundusze, to prawda, ale — co ważniejsze — platformę działań pod auspicjami organizacji politycznej McLaughlina, Narodowej Unii Sprawiedliwości Społecznej.

Pod koniec lat trzydziestych Philip Johnson coraz częściej zabierał głos publicznie, coraz wyraźniej definiując swoje poglądy na temat sprawiedliwości społecznej i proniemieckich sympatii. Mogłabym za Sorkinem podać co smakowitsze cytaty, ale wykładnik poglądów Johnsona sprowadza się do dość niewyszukanej mieszanki prymitywnie pojmowanego darwinizmu i materializmu. W 1939 roku Johnson przebywał w Europie jako korespondent pisma *Social Justice*, założonego przez o. McLaughlina. W zasadzie mieszkał w Londynie, ale często odwiedzał kontynent. Polował tam głównie na Żydów. Nie w sensie dosłownym oczywiście; do tego służyło mu dobrze zaostrzone piórko.

Na kilka dni przed inwazją, dosłownie w ostatnich dniach

sierpnia 1939 roku, Johnson pojechał na rekoniesans do Polski w roli korespondenta *Social Justice*. Oto przekład na polski fragmentu jego doniesienia, które w piśmie jego protektora ukazało się pod datą 11 września 1939 roku: „Polacy są tak zdenerwowani i zdeprimowani kryzysem, że aresztowali mnie na granicy tylko za robienie zdjęć”. W dalszej części artykułu autor wyszydza system obrony wojskowej Polaków i dodaje, że szczerze rozśmieszył on jego niemieckich kumpli...

Interesujący opis pobytu Johnsona w Polsce znaleźć można w „Diariuszu berlińskim” amerykańskiego dziennikarza Williama Shirera, który spotkał go w Gdańsku. Naszego bohatera nazwał Shirer po prostu „amerykańskim faszystą”. I dalej pisze: „Nikt z nas nie mógł go strawić i podejrzewaliśmy, że szpiegował nas dla nazistów”.

Tymczasem Johnson donosił w korespondencji (przypominam — z końca sierpnia 1939) o „szoku przeżytym wskutek pierwszego kontaktu z ziemią Chopina, Paderewskiego, Kopernika”. Artykuł jego ma jeden z podtytułów następującej treści: „Żydzi dominują na polskiej scenie”. I tu czytamy: „Granice w Europie wydają się podróżnikowi w większości granicami arbitralnymi. Tu jednak znajduje się granica realna. Gdy już znalazłem się po stronie polskiej, pomyślałem zrazu, że muszę znajdować się w rejonie jakiejś okropnej plagi. W miastach nie było sklepów, samochodów, bruków, nawet drzew. Nie było nawet Polaków na ulicach, tylko sami Żydzi”. Dalej przekazuje Philip Johnson swoje wrażenia z Łodzi: „Są to slumsy bez żadnego miasta przyłączonego do nich”. No i obraz Żydów: „Ubrani w czarne chałaty, z czarnymi myckami i długimi brodami”. Następnie autor powołuje się na statystyki, arbitralne jak i jego granice: „[Żydów] jest [w Polsce] 35 procent, ale wydaje się bardziej prawdopodobne, że aż 85 procent”.

Pod koniec 1939 roku — pisze w swym artykule Michael Sorokin — Philip Johnson wrócił do Stanów Zjednoczonych, gdzie często zabierał głos publicznie na powyższy temat w podobnym tonie, między innymi w American Fellowship Forum, ugrupowaniu pronazistowskim. Rok później wrócił do Cambridge, Mass., na Harvard, by dalej studiować — tym razem architekturę. W 1943 roku został powołany do wojska i odsłużył dwa lata. Po wojnie podjął na nowo obowiązki kustosa Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Nowym Jorku i wkrótce potem rozpoczął do dziś trwającą karierę architekta. Ma duże biuro i liczne zamówienia. W 1957 roku podczas wyborów do rady powierniczej wspomnianego muzeum ktoś miał czelność wypomnieć publicznie Johnsonowi jego przeszłość. Jedną z mecenasek MoMA, dama o wielkim w USA nazwisku, pospieszyła natychmiast z obroną architekta: „Każdemu człowiekowi — powiedziała — należy wybaczyć jeden poważny błąd młodości”.

W wypadku Johnsona nie mamy do czynienia z rozdwojeniem jaźni, tak często spotykanym u artystów (por. apokryficzny okrzyk Adama Ważyka: „Ja chyba musiałem zwariować”). W grun-

cie rzeczy światowej sławy architekt reprezentuje zadziwiająca jedność: projektuje gmachy tak, jak mu jego światopogląd podpowiada. Swoje przekonania utrwala w formie granitowych wizji, z dodatkiem betonu i szkła. Co jednak zastanawia, to jego taktyka życiowa, która pozwoliła mu osiągnąć sławę i sukces w dużych ilościach. I tu dochodzimy do naprawdę fascynującego zjawiska: są ludzie, którym nie wybaczy się jednego potknięcia, nie zapomni jednego zdania wypowiedzianego bez namysłu, jednego fałszywego kroku. I są inni ludzie, którym się wszystko wybaczają, z góry, nie pytając nawet, dlaczego tak robili. Tych ostatnich nazwijmy umownie uwodzicielami. Osoby zdolne, przedsiębiorcze i posiadające tę właśnie wartość dodatkową wysoko zachodzą w życiu. Weźmy za przykład Sir Anthony Blunta, Philipa Johnsona. Polskiej listy, jako zbyt ogólnie znanej, nie warto w tym miejscu przytaczać.

Można się oczywiście zastanawiać, co młodego Johnsona tak pchało do faszyzmu czy nazizmu. Ludzie o silnie rozwiniętym ego, którzy siebie uważają za istoty wyższe od innych, a ogół traktują jak błoto, mają naturalną tendencję do myślenia w kategoriach totalnych i posługiwania się doktryną totalną do swoich celów.

Popularna jest też w pewnych kręgach tendencja do zwalania wszystkiego na Historię, pisaną koniecznie z dużej litery. Pozwolę sobie zakończyć zatem tak: nie wierzę w metaforę Hegla, że Historia jest złowrogim bóstwem, które należy obciążyć odpowiedzialnością za zło, jakie sami czynimy. Wszyscy jesteśmy współodpowiedzialni za nasze zbiorowe losy. To my jesteśmy historią.

Renata GORCZYŃSKA

Między Wschodem a Zachodem

Taki tytuł, w polskim przekładzie, nosi trzecia już z kolei amerykańska antologia *Kultury*. Przypomnijmy, że pierwsze dwa tomy, nakładem nowojorskiego Free Press i przy udziale Uniwersytetu Stanu Nowy Jork w Albany, opracował w 1970 roku Leopold Tyrmand.

Inspiracją do tej najnowszej antologii — obejmującej lata 1968-1988 — była obchodzona trzy lata temu czterdziesta rocznica powstania Instytutu Literackiego. Zastanawiałem się wtedy nad formą przypomnienia w Stanach Zjednoczonych wieloletniego dorobku Instytutu. Myślałem z początku o wydaniu angielskiego numeru *Kultury*. O tym, że zdecydowałem się w końcu na antologię przesądził bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności.

Jak wiadomo książek o tematyce wschodnioeuropejskiej wydaje się na Zachodzie niewiele. Powód jest prosty. Zainteresowanie Europą wschodnią w Ameryce jest ciągle stosunkowo małe. W Stanach Zjednoczonych liczbę osób zajmujących się sprawami Europy wschodniej czy to zawodowo czy też na zasadzie poważnego *hobby* oszacowałbym na nie więcej niż kilka tysięcy. Krąg czytelniczy ludzi którzy śledzą nowe publikacje o problematyce wschodnioeuropejskiej z pewnością nie jest dużo większy. Taka sytuacja na rynku czytelniczym sprawia, że wydawcy podchodzą bardzo sceptycznie do każdej nowej pozycji dotyczącej Polski, Węgier czy Czechosłowacji. Stosunkowo najłatwiej jest o wydawanie prac naukowych. Niezwykle pomocne są tu uniwersytety oraz „naukowo” zorientowane fundacje prywatne czy rządowe. Gorzej jest z literaturą piękną gdzie często nawet nagroda Nobla dla pisarza ze wschodniej Europy nie oznacza gwałtownie powiększającej się liczby nowych czytelników. Zdecydowanie najgorzej sprzedają się jednak antologie. Nie tylko, że nigdy nie stają się *best seller*'ami ale z reguły przynoszą straty wydawnictwu. Dlatego też tak ważną rolę odgrywają najskromniejsze nawet dotacje, decydujące częstokroć o tym czy dana pozycja ukaże się czy nie.

W przypadku antologii *Kultury* nie można było właściwie marzyć o szczęśliwszym zbiegu okoliczności. Wiązało się to przede wszystkim z powstaniem kilka lat temu w Oxfordzie fundacji, której głównym celem jest właśnie pomoc w wydawaniu w językach zachodnich prac z Europy środkowej i wschodniej. Członkowie międzynarodowego komitetu sprawującego pieczę nad działalnością oxfordzkiej fundacji, a szczególnie Timothy Garton Ash, Ralf Dahrendorf i François Furet, natychmiast poparli projekt antologii przynajmniej skromne lecz niezbędne fundusze na opłacenie przekładu. Książką zainteresowało się nowojorskie wydawnictwo Hill & Wang, które jest częścią dużego domu wydawniczego Farrar, Straus & Giroux, wydawcy m.in. książek Philipa Rotha, Isaaca Bashevisa Singera, Czesława Miłosza i Josifa Brodskiego. W zrealizowaniu projektu antologii nieocenioną pomoc okazała mi też fundacja p. Barbary Piaseckiej Johnson. Dzięki jej finansowemu wsparciu zrezygnować mogłem na czas pracy nad książką z innych zajęć i obowiązków.

O *Kulturze* i jej dorobku pisano ostatnio wiele, głównie w związku ze wspomnianą już czterdziestą rocznicą powstania Instytutu. Dzięki staraniom paryskiego Les Amis de *Kultura* a także pomocy wielu instytucji oraz osób prywatnych odbyła się w Bibliotece Polskiej w Paryżu, w dniach od 11 grudnia 1986 do 10 stycznia 1987 roku, wystawa zatytułowana „*Kultura i jej krąg*”. Stowarzyszenie Les Amis de *Kultura* wydało przewodnik po wystawie w języku francuskim (*Kultura et son cercle*, Paryż 1986), bibliofilski katalog z wystawy w języku polskim (*Kultura i jej krąg*), Paryż 1988) oraz — wespół z wydawnictwem Puls — pracę zbiorową o *Kulturze*, zawierającą artykuły autorów polskich i obcych (*O Kulturze. Wspomnienia i opinie*, Londyn 1987). Pisano również wiele o *Kulturze* w Polsce. Mam tu na myśli zarówno

paszkwile i zajadłe ataki prasy i wydawnictw oficjalnych jak i zwykle rzeczowe i przeważnie życzliwe artykuły w ukazującej się od końca lat siedemdziesiątych prasie niezależnej.

W ostatnim okresie zaobserwować można smutne i zarazem paradoksalne zjawisko. Z jednej strony polska prasa oficjalna, jako część kampanii *głasności*, próbuje ugłaskiwać instytucje i wydawnictwa emigracyjne z *Kulturą* i Instytutem Literackim na czele. Jedyna korzyść z tego to to, że ukazuje się w Polsce coraz więcej do niedawna zakazanych pozycji książkowych Instytutu. Z drugiej strony w niektórych środowiskach opozycyjnych o *Kulturze* mówi się niezwykle krytycznie a czasem wręcz obraźliwie. Symbolem tego ostatniego zjawiska była dla mnie migawka filmowa z reportażu *Kontakt* o wizycie Lecha Wałęsy w Paryżu, gdzie Wałęsa w czasie spotkania z Polakami u księży Pallotyńców pogroził Jerzemu Giedroycowi w geście dezaprobaty dla niektórych poglądów redakcji *Kultury* wyrażanych na łamach paryskiego miesięcznika. Choć gest ten złagodzony został w końcu uściskami i oświadczeniem, że wychował się na *Kulturze* (?), jest on jednak dowodem, że w Polsce stare podziały uległy dezaktualizacji i że nowym elitom politycznym przydałoby się trochę więcej tolerancji czy choćby zwyczajnego taktu.

Na Zachodzie *Kultura* najbardziej znana i ceniona jest oczywiście we Francji. Na przestrzeni lat znajdowała wśród Francuzów wielu przyjaciół i sympatyków. Instytut Literacki istnieje jednak na mapie wydawnictw światowych głównie dzięki stałej obecności na corocznych targach książki we Frankfurcie. W Ameryce *Kultura* znana jest stosunkowo mało z wyjątkiem może środowisk akademickich. Szczególnie cenione przez naukowców amerykańskich — oczywiście tych którzy czytają po polsku — są wydawnictwa książkowe Biblioteki *Kultury* oraz *Zeszyty Historyczne*, bogate w historyczne źródła i opracowania.

Angielska antologia *Kultury* ma zatem na celu przypomnienie owej wąskiej grupie czytelników w Stanach Zjednoczonych, która śledzi sprawy wschodnioeuropejskie, o ciągłej obecności Instytutu Literackiego w polskim życiu intelektualnym. Jest ona również pretekstem do zaprezentowania raz jeszcze wyjątkowego spojrzenia na sprawy polityki i kultury, jakie mają polscy publicyści i pisarze. Myślę, że tytuł tej książki, *Between East and West*, dość trafnie oddaje zarówno sytuację egzystencjalną jak i psychiczną polskiego intelektualisty, w dużym stopniu niezależnie od tego czy mieszka on w Polsce czy na Zachodzie.

Antologia składa się z czterech części: I. „Próby samookreślenia”, II. „Przeszłość i teraźniejszość”, III. „Ludzie i idee” oraz IV. „Proza”. Antologia nie jest oczywiście reprezentatywna dla *Kultury* jako miesięcznika aktywnie uczestniczącego w życiu politycznym i kulturalnym Polaków w kraju i na emigracji. Pominięto w niej wielu autorów którzy w polskim wydaniu książki z pewnością znaleźliby swoje miejsce. Nie ma w niej też jakiegokolwiek przewodniego tematu. Książka ta jest niezależną zamkniętą całością ukazującą amerykańskiemu czytelnikowi szczególnie spo-

sób widzenia współczesnego świata jaki reprezentują Polacy. Jeden z moich amerykańskich przyjaciół twierdził, że stykając się z wieloma nacjami w żadnej z nich nie natknął się na tak wiele wybitnie inteligentnych jednostek jak wśród Polaków. Opinia ta jest oczywiście przesadzona i błędna. Prawdą jednak jest to, że Polacy są narodem ciekawym i w jakimś sensie — co wynika w dużej mierze z doświadczeń historycznych i geograficznego położenia — wyjątkowym. Nie chodzi mi tu o wiarę w jakąś dziejową misję, która zawsze kończy się na manowcach mesjanizmu ale o temperament i umysłowość Polaków, która jest specyficzną mieszanką kulturowej prowincjonalności i jednoczesnego uniwersalizmu, przebłytków politycznej mądrości i fał politycznego zaślepienia, gospodarczej nieudolności i jednoczesnego sprytu handlowego, nienawistnych fobii i nadzwyczajnej czasem tolerancji, kompleksu niższości i towarzyszącej mu megalomanii.

Mam zatem nadzieję, że wybrane przeze mnie teksty przybliżą czytelnikowi amerykańskiemu choćby w części polską mentalność, która w *Kulturze* ukazywała przez całe dziesięciolecie swe najciekawsze i najgodniejsze oblicze.

Antologia ukaże się drukiem jesienią tego roku. Informacje na temat możliwości kupna książki zamieszczone będą na łamach *Kultury*.

Robert KOSTRZEWA

OŚWIADCZENIE

Niżej wymienione oficyny wydawnicze pragną poinformować, że ich przedstawiciele nie wezmą udziału w tegorocznych Międzynarodowych Targach Książki w Warszawie ani też nie podejmą rozmów proponowanych przez prezesa Polskiego Towarzystwa Wydawców Książek. Zamierzamy natomiast udostępnić swoje wydawnictwa londyńskiej księgarni „Orbis”, która pod własnym szyldem przygotowuje na tegoroczne targi stoisko polskich książek emigracyjnych. „Orbis” otrzymał od organizatorów targów zapewnienie, że wystawiane tytuły nie będą objęte jakąkolwiek cenzurą. Jeżeli więc władze PRL w ostatniej chwili nie udaremnią możliwości zaprezentowania aktualnego wyboru tych publikacji — czego wykluczyć nie możemy — zwiędający majowe Targi będą mogli zapoznać się z bieżącym programem naszych oficyn.

ANEKS. EDITIONS DU DIALOGUE. IDEE, INDEPENDENT POLISH AGENCY, INSTYTUT LITERACKI, INSTYTUT POLSKI I MUZEUM IM. GEN. SIKORSKIEGO, LIBELLA, ODNOWA, POLONIA, PULS, ZESZYTY LITERACKIE.

Ci, co odeszli

Witek Zahorski

Czy nikt nic więcej nie napisze o Witku Zahorskim, wiernym pośle *Kultury in partibus infidelium*?

Poznaliśmy się w 1938 roku w Starej Wilejce, gdzie Witek był inspektorem oświaty pozaszkolnej, a ja zostałam wysłana przez MSW dla zbadania i opisanie problemów osadnictwa wojskowego w powiecie Starowilejskim. Jeżeli nie najgorzej wywiązałam się z tego zadania — to dzięki jego pomocy i znajomości terenu. Widywaliśmy się niedzielami, wymieniając wrażenia z pracy i białoruskie „czastuszki”, któreśmy prywatnie zapisywali.

Wkrótce Witek wyjechał do Warszawy, gdzie pracował w Funduszu Pracy. Po zakończeniu moich badań, wysoce pesymistycznych w ocenie wyników osadnictwa, i mnie tam zaangażowano. We wrześniu 1939 ministerstwo zostało wywakuowane z Warszawy. Po sześciu dniach spędzonych w ostrzeliwanym pociągu, już blisko granicy, Witek i ja postanowiliśmy zawrócić.

Witek był synem biednej nauczycielki w Wilnie. Ojciec jego, zamożny ziemianin, nigdy się do niego nie przyznał. Mówił o tym lekko, raczej z żartem i bez kompleksów. Co do mnie, to wprawdzie noszę nazwisko mego ojca, ale odkąd porzuciłam moją matkę kiedy miałam 4 lata widziałam go dwa razy w życiu i nie nawidziałam serdecznie. Tak że mieliśmy podobne dzieciństwo. Witek od wczesnych lat nie tylko się uczył, ale pomagał matce zarabiając jak mógł. Ja miałam matkę w Stonimie wraz z dwójkiem moich dzieci. Uważaliśmy, że nie mamy prawa rodzinę porzucić, on więc ruszył do Wilna, a ja do Stonima.

Wojska sowieckie zajęły Stonim 17 września 1939 roku. Wilno, podarowane wspaniałomyślnie Litwie, było względnie wolne przez rok. Przed Wigilią 1939 roku Witek przedostał się do Stonima, żeby namówić mnie na wyjazd z dziećmi do Wilna. Ja twierdziłam, że nie mogę zostawić matki i chorej ciotki, będących na mej opiece. Pokłóciliśmy się okropnie. Powiedział „przecież i tak cię

zamkną i wtedy ich wszystkich zostawisz". Oczywiście miał rację. Postanowiliśmy zdecydować po Wigili. Tylko że akurat tej nocy właśnie po mnie przyszli. Zdażył rzucić mi parę słów: „Dzieci? Zabrać, czy zostawić”? „Zabierz”. Miał wtedy zaledwie 26 lat i obarczył się dwojgiem nieletnich dzieci, przechodząc w czasie srogiej zimy „zieloną granicę” na litewską stronę. Chłopiec został z nim i jego matką, córkę przygarnął klasztor Benedyktynów.

Po roku przyszła i na niego kolej. Ale moje dzieci, których NKWD poszukiwało w Słonimie, aby je „bezpiecznie” umieścić w *dietdomie* z powodu nieobecności ojca i matki — ocalały. Spotkaliśmy się znowu w 2-gim Korpusie, ja po dwóch latach więzienia, on po roku. Każde z nas miało inny przydział.

Witek nie był człowiekiem łatwym. Bardzo wybuchowy, nierównoważony, zawsze w nerwach. Ale podstawową cechą jego charakteru była zawsze chęć niesienia pomocy innym. Są jeszcze chyba na świecie ludzie, którzy mu coś zawdzięczają. Był też niezwykle zaradny w każdych okolicznościach.

Widzieliśmy się kilka razy po wojnie, w Londynie i w Rzymie. Choć zdrowia dobrego nigdy nie miał, ale był jedynym znanym mi człowiekiem, który się fizycznie prawie nie zmieniał. Widziałam go ostatni raz w Rzymie już po ataku serca.

Czasem pisywaliśmy do siebie. W ostatnim liście, pisany już niepewną ręką napisał: „Muszę jakoś pracować (miał dwa wylewy krwi do mózgu w ciągu czterech lat, oba w Noc Wigilijną) — ponieważ nie mam i nie będę miał żadnej emerytury, więc mam prawo żyć tak długo, jak pracuję”. I podpisał starym zdrobniałym imieniem „Wiś”. „Był kiedyś taki na świecie”. Na późniejsze moje listy już nie odpisał.

Założył rodzinę późno, kilka lat po wojnie. Z dwóch synów bliźniaków jeden umarł jako niemowlę. Drugi, też Witek, jest bardzo zdolnym młodym człowiekiem.

Podchorąży Witold Zahorski, odznaczony Krzyżem Walecznych za zdobycie niemieckiej armaty (zawsze twierdził, że to był przypadek) zasługuje chyba na kilka ciepłych słów.

Nika KŁOSOWSKA

Ignacy Klibański

Bardzo spóźnione wspomnienie. Już sama wiadomość o jego śmierci była spóźniona. Zmarł w Londynie 20 września 1988, o czym jego brat Marek zawiadomił Rozgłośnię Polską RWE listem datowanym w Uppsali 6. X. 1988, który dotarł do Monachium

w pięć dni później. Byłem niegdyś szefem Ignasia — tak go zawsze w myślach nazywałem — z tego tytułu zwrócono się do mnie, bym napisał pośmiertne wspomnienie.

Parę danych, jakie mi udostępniono w RWE starczyłoby na jedno krótkie zdanie, więc obtelefonowałem trzy osoby, które mogły mi więcej o Zmarłym powiedzieć, brata w Uppsali, dr Lidie Ciołkoszową w Londynie i dr Krystynę Marek w Laupen (Szwajcaria). Napisałem na wyrost, by redaktor mógł skrócić. Maszynopis wręczyłem sekretarce dyrektora Rozgłośni w dniu 17 października, a to, co z niego zostało, ukazało się w cztery dni potem w „Rendez-vous”, audycji, w której zwykle idą tzw. lekkie kawałki. Gdy zażądałem tekstu, odesłano mnie do odpowiedniego redaktora. „Niestety — tłumaczył — ta audycja idzie *live*, na żywo, odtworzenie tekstu jest bardzo skomplikowane, należałoby przesłuchać całą taśmę. Zresztą Klibański nie jest w kraju znany, udało mi się tylko krótko o nim wspomnieć na podstawie pańskiego maszynopisu, mamy takie zatrzęsienie ważnych spraw”...

Przerwałem te wywody, nie, nie nalegam na tekst tego co poszło na antenę, to już mało ważne, pomijam też mój wysiłek, stratę czasu, nie rozumiem tylko, że wspomnienie o zmarłym byłym pracowniku Rozgłośni umieszcza się w „Rendez-vous”. Ja też takim jestem, niekoniecznie ważniejszym od Klibańskiego, więc zastrzegam sobie, gdy umrę, ani słowa o mnie w Radio Wolna Europa!

Tekst, jaki się tu ukazuje, nie jest identyczny z oryginałem. Pomiąłem to co napisałem na wyrost, głównie osobiste reminiscencje, ograniczam się do spraw istotnych, do epizodów związanych z naszą uchodźczą historią.

Urodził się w Warszawie 16 maja 1906 roku i wcześniej wzięty się do dziennikarstwa, w pierw jako redaktor sportowy Polskiej Agencji Telegraficznej, skąd przeszedł do *Robotnika*, bo Klibański równie wcześniej został członkiem PPS, której pozostał wierny przez całe życie. Był też w dalszym ciągu jednym z redaktorów tego pisma, gdy wybuchła wojna. W dniu 5 września na słynny apel płk. Umiaśtowskiego wyszedł z Warszawy, kierując się na wschód, doszedł czy dojechał, różnie to bywało, do Wilna, zajętego wkrótce przez Armię Czerwoną, po pewnym zaś czasie wspaniałomyślnie przekazanego Litwie. Wilno było wtedy zatłoczone uchodźcami z zachodu, bez pieniędzy, bez środków do życia. Opowiadał mi Zbigniew Racięski, że Klibański dwoił się i troił, by zorganizować pomoc dla dziennikarzy i nie tylko dziennikarzy. Amerykański żydowski komitet charytatywny, znany pod skrótem *Joint*, udzielił hojnego wsparcia, dzięki czemu Syndykat Dziennikarzy otworzył coś w rodzaju domu uchodźcy, praktycznie jadłodajnię, z której korzystali nie tylko Żydzi. Ignacy był tam jednym z głównych organizatorów, praktycznie gospodarzem tej stołówki.

Dzięki pomocy finansowej, otrzymanej tym razem z urzędującego podówczas w Paryżu polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, udało mu się wraz z grupą polskich dziennikarzy wy-

jechać do Japonii. Nie on jeden wylądował w Japonii, gdzie opieką nad polskimi uchodźcami i pomocą w dalszej ewakuacji pięknie zapisał się w historii polskiej dyplomacji ambasador Tadeusz Romer.

Z Japonii przez Tajlandię i Mozambik, mocno okrężną drogą, Klibański dostał się do Anglii w 1942 roku. Do służby wojskowej się nie nadawał, dostał kategorię C i przydział do Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej. Nie znaczy to, że pożegnał się z pracą polityczną, konkretnie z PPS i dziennikarstwem. Pisywał do ukazującego się w Londynie *Robotnika*, nadto do wydawnictw *Liberty Publications*, pod którą to firmą socjaliści polscy usiłowali oddziaływać na angielskie związki zawodowe i Partię Pracy. Do tej serii zaliczyć też można opracowaną przez Klibańskiego 111-stronicową broszurę *63 days — the Story of the Warsaw Rising*, jedną z pierwszych, jeśli nie pierwszą publikację o Powstaniu Warszawskim w języku angielskim.

Niezależnie od tych zajęć, był Klibański jednym z redaktorów *Dziennika Polskiego* w Londynie. Stąd też w styczniu 1959 przeszedł do pracy w RWE w Monachium. Niestety, nie na stanowisko redaktora, o czym zresztą wiedział i godził się z tym, że zostanie jednym z „naziemnej” obsługi, by użyć lotniczego porównania. Dostał się bowiem do działu studiów, ja bym to nazwał działem badań i oceny sytuacji krajowej, gdzie się mniej pisało, a więcej szperało w dokumentach. Czy był zadowolony ze swej pracy, on, urodzony dziennikarz polemista? Wydaje mi się, że pogodził się z losem, a że był uosobieniem dobroci i koleżeńskości, nagrodą była mu powszechna serdeczna uprzejmość, z jaką się spotykał.

Pod koniec stycznia 1972 przeszedł na emeryturę i wyjechał do Londynu. Ilekroć potem usiłowałem dowiedzieć się, co się z nim dzieje, spodziewałem się natknąć na jakiś jego artykuł w *Dzienniku*, daremnie, mówiono mi, że się odizolował, z czasem zupełnie. Nie wiem, czy zdawał sobie sprawę z tego, że przyjaciele roztoczyli nad nim dyskretną opiekę, że orientowano się, że mieszka tam na południe od Wisły, jak Polacy londyńscy nazywają Tamizę, że żyje. Ale 20 września sprzątaczką znalazła go nieżywego na podłodze. Zmarł nagle, na atak serca. Zawiadomiono londyńską policję, a na drugi dzień rano dwóch szwedzkich policjantów zjawiło się w mieszkaniu dra Marka Klibańskiego, emerytowanego pracownika naukowego uniwersytetu w Uppsali, by mu przekazać smutną nowinę.

O owym bracie w Szwecji mało kto wiedział. Ignacy nie opowiadał o swej rodzinie. Może wolał przemilczeć tragedię. Z siedmiorga rodzeństwa ocalało po wojnie tylko troje, dwóch braci i siostra Alina — cztery zginęły w hitlerowskiej zagładzie. A i Alina już nie żyje — Marek złożył urnę z prochami Ignacego obok jej grobu, na cmentarzu w Täby.

Kazimierz ZAMORSKI

Jerzy Niemojowski

(8. XII. 1918 - 31. III. 1989)

Niemal w rok po śmierci Łobodowskiego zmarł w Londynie 31 marca Jerzy Niemojowski, poeta i tłumacz, pochodzący z Nowego Sącza. Przeżył lat siedemdziesiąt. Każdy taki zgon przypomina, że kończy się emigracja wojenna. Mimo różnic i nieuniknionych przemian w środowiskach poza krajem, właśnie ta emigracja dbała o to, aby zachować ciągłość odziedziczonej kultury polskiej. Emigracja zarobkowa nigdy tego nie robiła i nie robi.

Zadziorny indywidualista z temperamentu, Jerzy Niemojowski był czasem na bakier z ludźmi, ale jego troska o trwałe wartości literatury i sumienność w przypominaniu zapomnianych lub niedocenionych poetów daje mu szczególne miejsce w dokumentowaniu tej zaiste niezwyklej emigracji wojennej. Rozumiał tę niezwykłość, irytowała go dlatego mania klik w poezji, która po latach okazuje się tak śmieszna w swej małostkowości. Rezultatem jego wieloletniej pracy będzie kilkutomowa antologia poezji polskiej pisanej poza krajem, która ma się ukazać — oby rychło — w Warszawie.

Niech talent Niemojowskiego ocenią młodzi badacze w Polsce, bo do nich należeć będzie ten obowiązek. Niemojowski przeszedł przez kilka obozów niemieckich, wcześniej w życiu doświadczył brutalności naszego wieku — i ta brutalność napiętnowała jego własne utwory symbolami często ciemnymi, ale przez to właśnie próbującymi nazwać paradoksalne znaczenie krzywdy i ofiary. Ta okrutna symbolika najbardziej jest widoczna w tomie *Zrenice* z 1956 roku i w *Konercie na głos kobiety* z 1960 roku, w którym Niemojowski użył metody asocjacyjnej Ezra Pounda, aby dać tekstowi spoidła kontrolujące ból pamięci. Ezra Pound stał się dla Niemojowskiego *il miglior fabbro*: tłumaczył go przez lata — według mnie on jedyny umiał przez swą znajomość greki i łaciny dojść do istoty Poundowego eksperymentu. Państwowy Instytut Wydawniczy przygotowuje wybór utworów Pounda w przekładzie Niemojowskiego. Drugim dokonaniem przekładowym jest ambitny w zamierzeniu tom *Poematów* T. S. Eliota (Londyn 1978). W *Czterech kwartetach* osiągnął Niemojowski bardzo trudną rzecz dla tłumacza: konsekwencję w zestawie odpowiedników językowych, łączących owe poematy-medytacje, szczególnie w tych abstrakcjach, które Eliot przetwarzał na poezję, a które w polszczyźnie jakże często zawodzą.

Żegnając zmarłego poetę, chcę wyrazić szacunek dla jego pracy i twórczej uczciwości. Kończąc cytatem z kwartetu *Burnt Norton*

w jego przekładzie: ukazuje siłę odziedziczonej mowy u człowieka, który spędził czterdzieści lat poza ojczyzną.

*Zejdź głębiej, zestąp sam
W świat samotności wieczystej,
W świat nie świat, ale w coś, co nie jest światem,
W ciemność wewnętrzną, w wyzucie i
W strącenie w nędzę wszystkiego, co się ma,
W wysuszenie świata zmysłów (...)*

Jerzy PIETRKIEWICZ

Londyn, 3 kwietnia 1989 r.

"Szatańska" powieść Rushdiego

Rozgłos wokół powieści Salmana Rushdie „Szatańskie werse” (*The Satanic Verses*, Viking/Penguin 1988, 547 str.) spowodowany „skazaniem” autora na śmierć przez Chomejniego plus ostrożność (nazwijmy to tak...) wydawców i księgarzy europejskich sprawiają, że dyskusja o tej książce toczy się przeważnie w próżni, tzn. bez znajomości jej zawartości. Żeby trochę temu zaradzić, chcę się podzielić z czytelnikami *Kultury* wrażeniami i obserwacjami poczynionymi w trakcie dość uważnej lektury tego utworu*. Zaczniemy od streszczenia, przeplatane go z konieczności objaśnieniami typu orientalistycznego i ogólnego.

Powieść należy do gatunku określanego pretensjonalnie jako magiczny realizm, a spopularyzowanego przez literaturę południowo-amerykańską (Marquez, Cortázar i ich niezliczeni naśladowcy). Polega to na połączeniu tradycyjnej XIX-wiecznej powieści typu dickensowskiego z fantastyką, czyli włączeniem w tok opowiadania snów, wizji, zmór i koszmarów, a także po prostu cudów. Bezpośrednim poprzednikiem tego stylu był Chesterton, przed nim E. T. A. Hoffmann, a jeszcze dawniej Rabelais. Charakterystycznym rysem tego gatunku jest współcześnie tzw. zaangażowanie, czyli tendencyjność — przeważnie lewicowa — umożliwiająca autorowi zaprezentowanie swych przekonań, uprzedzeń, preferencji i fobii w formie sugestywnej, a zarazem całkowicie nieodpowiedzialnej, ponieważ materia utworu jest równocześnie realistyczna i nierealna. Widać to dobrze w omawianej tu powieści.

* Pragnę przy tej okazji podziękować serdecznie mej dawnej studentce p. Hadewych Hernalsteen z Katolickiego Uniwersytetu w Leuven (Belgia) za użyczenie mi materiałów i dokumentacji, które posłużyły do napisania tego artykułu.

Nakładem AKTIS S.A.R.L.:

RYSZARD LEGUTKO

BEZ GNIEWU I UPREDZENIA

Szkice o książkach, ludziach i ideach

Zbiór esejów i recenzji, z których większość publikowana była w niezależnym krakowskim kwartalniku ARKA (podpisane pseudonimem Marek Leski). W tomie między innymi: „Myśli o niemyśleniu”; „O totalitaryzmie”; „Wierzbicki o Wierzbickim”; „Amerykański Tyrmand”; „O nacjonalizmie”; „Niebezpieczne związki liberałów”; „Anty-Kundera”.

AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram
75008 PARIS

Cena 70 FF,
\$US 12
str. 180

„Szatańskie wersety” mają dwóch głównych bohaterów, którzy są obaj — podobnie jak autor — Hindusami. Jeden nazywa się Gibreel Farishte (angielska pisownia arabskiego *dżibril* „Gabriel” i perskiego *fereszte* „anioł”), drugi — Saladin Chamcha (*czamcza* w języku hindi znaczy „łyżka, kopyść”; trzeba to wiedzieć, żeby zrozumieć, dlaczego postać ta od czasu do czasu nazywana jest „Spoon”). Obaj są zawodowymi aktorami: Gibreel jest supergwiazdą filmów indyjskich, a jego specjalność stanowi personifikowanie niezliczonych bóstw hinduizmu („na każdym trzech mieszkańców Indii przypada jedno bóstwo”, zauważa *en passant* autor); zangliczały z wyboru, obywatelstwa i miejsca zamieszkania (Londyn) Chamcha znakomicie imituje najrozmaitsze głosy i akcenty i grywa role charakterystyczne. Los sprawił, że obaj lecą tym samym samolotem z Bombaju do Londynu, a ściślej „lecieli”, bo w chwili gdy opowiadanie się zaczyna już jest po samolocie: Boeing indyjskich linii lotniczych zwączy się pięknie *Bostan* (perskie „ogród”, aluzja do jednego z ogrodów rajskich) dostał się w ręce mało kompetentnych terrorystów-Sikhów, nastąpiła eksplozja, pasażerowie zostali wyspani „jak mak z pękniętej makówki” i obaj protagoniści spadają z wysokości 20.002 stóp, wymieniając po drodze okrzyki, żarty i uwagi filozoficzne. „Magiczny realizm” Rushdiego pozwala im przeżyć katastrofę i wylądować miękko na angielskiej plaży nad La Manche, gdzie znajduje ich i przygarnia na pewien czas zdziwaczała stara Angielka. Tam ich drogi na pewien czas się rozchodzą: angielski obywatel Chamcha zostaje aresztowany przez policję polującą na nielegalnych imigrantów, nieludzko skatowany i wreszcie wypuszczony bez możliwości złożenia skargi; ta sama głupia i sadystyczna policja w ogóle nie interesuje się rzeczywistym cudzoziemcem Gibreelem, co pozwala mu na udanie się do Londynu normalnym pociągiem. Odtąd ich historia toczy się wśród ludzi i okoliczności mniej więcej rzeczywistych, choć tu i ówdzie mamy jeszcze trochę magii: Gibreela prześladowa duch porzuconej kochanki, która wraz z dziećmi popełniła samobójstwo w Bombaju, a obecnie ściga go po Londynie na latającym dywanie, zaś Chamcha na pewien czas zmienia się w diablopodobnego kozła (rogi, sierść, kopyta), co uniemożliwia mu powrót do domu i żony Angielki i zmusza do ukrywania się u zaprzyjaźnionej rodziny bengalskiej w jednej ze „zazjanizowanych” części Londynu („Brickhall”, czyli Brixton).

Liczba postaci, epizodów, *flash-back*ów i podwątków głównego opowiadania jest tak ogromna, że szczegółowe streszczenie jest równie niemożliwe jak dokładne opowiedzenie akcji „Klubu Pickwicka”; ograniczę się więc do najważniejszych „węzłów” tej historii. Naczelny z nich jest swego rodzaju *polono-judaicum*, ponieważ losy Gibreela i Chamchy w istotny sposób łączą się z

postacią Alleluia Cone (= Cohen), której rodzice są z pochodzenia polskimi Żydami. Dalsze polonika w tym wątku to wzmianka, że ojciec Alleluia (Allie dla przyjaciół) po osiedleniu się w Anglii świadomie odciął się od przeszłości, zajął historią sztuki zachodnioeuropejskiej i „nie czytał polskiej literatury, odwracając się od Herberta, Miłosza i ’młodszych facetów’ w rodzaju Barańczaka, ponieważ język był dlań nieodwracalnie skażony historią” (str. 279); niemniej, po jego śmierci, matka Allie decyduje się wyjść za mąż za „amerykańskiego profesora genetyki w Stanford, nazwiskiem Boniek” i przenosi się do Kalifornii.

Atrakcyjność Alleluia/Allie Cone polega nie tylko na jej walorach fizycznych (porywająco piękna blondynka, niestety mocno płaskostopa), ale i na tym, że jest pierwszą kobietą na świecie, która zdobyła Mount Everest bez aparatu tlenowego. Ten wyczyn naznaczył ją na zawsze fizycznie (zaniki pamięci/omamy wzrokowe/neurastenia), psychicznie („kto raz tam był, ma już tylko jeden kierunek: w dół”) i geograficznie: w drodze powrotnej z Himalajów zatrzymała się w Bombaju, gdzie spotkał ją i zakochał się w niej śmiertelnie (dosłownie, jak się na końcu okaże) idol kinomanów indyjskich, Gibreel Farishte. Właśnie dla niej zerwał wszystkie kontrakty, mimo iż kręcił kilkanaście filmów równocześnie (dla oszczędzenia sił i czasu wożono go z planu na plan na inwalidzkim wózku), zaopatrzył się w worek zakupionych na czarnym rynku funtów szterlingów i po kryjomu wsiadł do feralnego *Bostan*’u. Stąd m.in. spotkanie z Chamchą, który właśnie wracał z gościnnych występów „Milionerki” Shawa w Indiach (jego rola: hinduski lekarz, mówiący po angielsku na tzw. sposób *hobson-jobson*, czyli szmoncesowato). Gibreel zamieszkuje w Londynie u Allie, następuje huragan erotyczno-psychologiczny (jako, że jego utajona schizofrenia rozwija się szybko na tym podłożu, co ułatwia autorowi przejścia do scen wizyjno-metafizycznych, o czym niżej), w pewnym momencie zostaje rozpoznany na ulicy przez swego indyjskiego reżysera i zmuszony do powrotu w świat kinowy, a w końcu i do Bombaju. Koło się zamyka, ponieważ i Chamcha tam się udaje, by pojednać się z umierającym ojcem i losy obu bohaterów znów się splatają: kłamrą jest przyjazd do Indii znanej nam już himalaistki, która marzy o ponownym wejściu na Everest, ale jej dawne przeczucie o „drodze w dół” sprawdza się w dramatycznie dosłownym sensie: coraz mniej normalny Gibreel strąca ją ze szczytu bombajskiego drapacza chmur, po czym ścigany przez policję chroni się w domu Chamchy i popełnia samobójstwo.

W tę zaledwie naszkicowaną tu tkankę mniej więcej realistyczną powieści wszczępione są trzy opowiadania w zasadzie zupełnie niezależne, a powiązane ze sobą i z główną powieścią jedynie postacią archanioła Gabriela (według wierzeń muzułmań-

szych pośrednika Allaha, przez którego podyktowany został Moammadowi Koran); nietrudno się w tym miejscu domyślić, że w powieści archanioł jest właściwie tożsamy z Gibreelem Farishte. Piszę „właściwie”, bo technik tego utożsamienia jest kilka; chwyt zasadniczy polega na prezentacji wizji i majaceń Gibreela, który przemawia, komentuje i analizuje swój chorobliwy stan w pierwszej osobie, po czym czytelnik konfrontowany jest z tradycyjną narracją w jakiej napisane są owe trzy opowiadania i w których archanioł Gabriel odgrywa rolę instygatora. Wrażenie jednolitości całości pogłębione jest przez to, że fragmenty tych dodatkowych opowiadań przeplatają się z akcją zasadniczą dziejącą się w Londynie i Bombaju, a tempo ich kulminacji dostosowane jest do tempa wątku podstawowego. Pod względem technicznym książka Rushdiego jest istotnie majstersztykiem.

Owe trzy opowiadania można zatytułować dla ułatwienia prezentacji „Mahound”, „Ayeesha” i „Imam”. Dwa pierwsze określenia są istotnie tytułami dwóch — spośród dziewięciu — części „Szatańskich wersetów”; historia Imama (najbardziej szkicowa) jest tylko fragmentem jednej z sekcji książki. Wspólnym mianownikiem tych nowel jest fakt, że dotyczą islamu — „rodzimej” religii samego autora — i traktują go w sposób co najmniej niekonformistyczny, zwłaszcza historia Mahounda (= proroka Mohammada) i stworzonej przez niego religii (w książce „Submission”, co stanowi dosłowny przekład arabskiego słowa *islam*). Właśnie ta część wzbudziła największe oburzenie muzułmanów i warto poświęcić jej więcej uwagi.

Akcja „Mahounda” umiejscowiona jest w przejrzystej transpozycji Mekki, którą autor nazwał „Jahilią”. Termin *dzabilija* znaczy po arabsku „ciemnota” i tradycyjnie określa czasy arabskiego wielobóstwa przed islamem. Istotnie, w Jahilii czci się najrozmaitsze istoty nadziemskie, a szczególnie trzy boginie o imionach Al-Lat, Uzza i Manat. Jest to szczególnie autentyczny i z nim związany jest tytuł książki. Sura 53, 19-20 brzmi: „A czy widzieliście (boginie) Al-Lat, Uzza i trzecią, ostatnią (spośród nich): Manat?!”. Dalszy ciąg tekstu koranicznego przemawia za tym, że intencja tego wiersza była polemiczna (chodzi o wykazanie nielogiczności bałwochwalstwa, które prezentuje bóstwo w postaci kobiecej pośród nader męskiej obyczajowości arabskiej), ale apokryfalna tradycja twierdzi, iż ciąg dalszy brzmiał początkowo: „To wspaniałe Ptaki / i zaiste pożądane jest ich wstawiennictwo”. Moammad jakoby uznał później, że te dwa wersety podsunięte mu zostały przez szatana, aby go odwieść od centralnej idei islamu — jedynobóstwa — i kazał je skreślić z zapisu świętego tekstu.

Ten motyw jest kością opowiadania Rushdiego. Objawienia

jakie spadają na „Handlowca” (historyczny Moammad był istotnie rodzajem Wokulskiego przyznanego do bogatej wdowy) zagrażają dobrobytowi „Jahilii”, czerpiącej znaczne zyski z pielgrzymek do rozlicznych bogów umieszczonych w „Domu Czarnego Kamienia” (Kaabie). Stąd wrogość ludności i władz miasta wobec monoteistycznej „Submisji” i jej proroka, pogardliwie nazwanego „mahoundem” (przypuszczalnie szyderczo przekreślone słowo *mahmud*, inna wersja tytułu-imienia *mubammad*, „pochwalony/błogosławiony”). W umyśle proroka powstaje — jak sugeruje Rushdie — konflikt między wiernością idei monoteizmu a chęcią jej urzeczywistnienia poprzez kompromis, czyli dopuszczenie kultu trzech najpopularniejszych bogiń. Zwycięza idea, „szatańskie wersety” zostają skreślone, prorok z grupką zwolenników pochodzących z dołów społecznych musi uchodzić do Yathrib (późniejszej Medyny). Dalsza część opowiadania dzieje się w ćwierć wieku później (w rzeczywistości „dojrzewanie” islamu trwało tylko kilka lat) w zubożałej w międzyczasie i izolowanej Jahilii. Zwycięskie wojska triumfującej „Submisji” zajmują ją bez oporu i przystępują do eliminacji „elementów niepożądanych”. Najbardziej niepożądanym z nich jest poeta Baal, który w młodości prześladował „Mahounda” swymi satyrami. Uduje mu się chwilowo ukryć i to nie byle gdzie, bo w położonym na skraju miasta domu publicznym o nazwie Khijab (ar. *chidżab*, dosł. „zasłona” jest używaną do dziś nazwą welonu na głowę, który obowiązuje według fundamentalistów wszystkie kobiety; nie należy tego mylić z perskim *czador*-em, który jest ogromną chustą-peleryną okrywającą całą postać — noszenie czadoru świadczy o gorliwości religijnej, ale teoretycznie nie jest obowiązkowe nawet w Iranie).

Szczęśliwie dla Baala — i Rushdiego, planującego soczysty epizod — definitywna „puryfikacja” Jahilii zostaje przez pragmatycznych zdobywców odłożona na dwa lata, dzięki czemu nasz poeta ma jeszcze trochę życia przed sobą, choć nie może opuszczać zacisznej „Zasłony”. Zakład jest licznie uczęszczany przez naskórkowo „zsubmisjonowanych” notabli dość dekadentckiej nadal Jahilii. W związku z nowym układem sił wszystko co dzieje się w otoczeniu rezydującego w Yathribie Mahounda jest sensacyjne i ekscytujące, zwłaszcza plotki o aparycji i zróżnicowaniu temperamentów jego dwunastu żon. Celem zwiększenia pikanterii wizyt, a zatem obrotów zakładu, jego 12 pensjonariuszek („*horizontal staff*”) przybiera imiona żon proroka. Mimo, iż opisy „Zasłony” są raczej ironiczne niż pornograficzne — w pewnym miejscu Rushdie przyrównuje spacerujących wokół fontanny klientów czekających na swoją kolej do pielgrzymów krążących wokół Kaaby — na przywiązanych do swej wiary muzułmanach musi to robić także mniej więcej wrażenie, jakie na chrześcijaninie

zrobiłby opis burdelu w Nazarecie z dostosowanymi do ewangelicznego przekazu imionami i sytuacjami.

Z punktu widzenia teologicznego jeszcze bardziej szokująca musi być scena pomiędzy Baalem a epizodyczną postacią imieniem Salman (*nomen omen*). Salman — „przybłęda z Persji” — był niegdyś sekretarzem i prawą ręką Mahounda, siedząc u jego stóp notował słowa objawienia, ale z biegiem czasu stracił entuzjazm i w końcu uciekł z „obozu zwycięzców”. Co go do tego skłoniło?

„W oazie Yathrib wyznawcy nowej wiary Podporządkowania nie posiadali ziemi, a więc byli biedni. Przez wiele lat utrzymywali się z rozboju, napadając na bogate karawany idące do i z Jahilii. Mahound nie miał czasu na skrupuły, opowiadał Salman Baalowi, nie miał żadnych wątpliwości co do celów i środków. Wierni żyli z bezprawia, ale w tychże latach Mahound — czy może należy powiedzieć archanioł Gibreel? — czy też Al-Lah? — dostał obsesji prawnej. Gibreel ukazywał się Prorokowi wśród palm oazy i wypluwał z siebie przepisy, przepisy, przepisy, że aż wierni ze zgrozą zaczęli myśleć o perspektywie dalszych objawień, mówił Salman, przepisy dotyczące każdej bzdury, jak kto pierdnie to ma się obrócić twarzą pod wiatr, przepis którą ręką należy wycierać tyłek. Jakby nie było żadnej dziedziny ludzkiego istnienia wyjętej spod regulacji, wolnej. Objawienie — *recytacja* — mówiło wiernym, ile mają jeść, jak głęboko spać i jakie pozycje w stosunkach seksualnych mają boską sankcję [...]. Gibreel w dalszym ciągu podał listę dozwolonych i zabronionych tematów rozmowy i sprecyzował, których części ciała nie wolno drapać choćby nie wiadomo jak swędziły. [...] I archanioł Gibreel określił sposób grzebania zmarłych i dzielenia spadku, tak że Pers Salman zaczął się zastanawiać co to za Bóg, który przemawia jak handlowiec. [...]

Później Salman zaczął zwracać uwagę na to, jak bardzo użyteczne i w porę były anielskie objawienia, tak że jeśli wierni podawali w wątpliwość zdanie Mahounda na jakkolwiek temat, od możliwości podróży kosmicznych aż po wiecznotrwałość piekła, pojawiał się anioł z odpowiedzią i zawsze brał stronę Mahounda [...]. Co innego, skarżył się Salman Baalowi, gdyby Mahound zajmował stanowisko po otrzymaniu objawienia od Gibreela; ale nie, on ustanawiał prawo, anioł zaś potwierdzał je potem [...].

Co wreszcie zdecydowało o zerwaniu Salmana z Mahoundem: sprawa kobiet i sprawa szatańskich wersetów. [...] Pewnej nocy perskiemu skryptorowi przyśniło się, że unosi się nad głową Mahounda w grocie proroka na Górze Cone [koło Jahilii]. Początkowo Salman uznał to jedynie za nostalgiczne marzenie o dawnych czasach w Jahilii, ale później uderzyło go, że jego punkt widzenia we śnie był punktem widzenia archanioła i w tym momencie przypomniała mu się sprawa szatańskich wersetów tak żywo, jakby zdarzyła się wczoraj. „Może nie śniłem o sobie jako

o Gibreelu”, ciągnął Salman. „Może byłem szatanem”. Uświadomienie sobie tej możliwości podsunęło mu diabelski pomysł. Odtąd siedząc u stóp proroka i notując przepisy przepisy przepisy, zaczął je po kryjomu przeinaczać.

„Drobne rzeczy początkowo. Gdy Mahound recytował werset, w którym Bóg był określony jako *wszystko słyszący, wszystko widzący*, ja pisałem *wszystko widzący, wszechwidzący*. I w tym rzecz: Mahound nie zauważał zmian. Tak więc pisałem Księgę, czy też redagowałem ją, wszystko jedno, i kaziłem słowo boskie własnymi słowami profana. Ale, na litość boską, skoro moje ubogie słowa były nieodróżnialne od Objawienia specjalnego Wysłannika bożego, to cóż to oznaczało? Jakie świadectwo wystawiły one jakości nadziemskiej poezji? Słuchaj, przysięgam, byłem wstrząśnięty do głębi. Co innego być sceptycznym cwaniakiem i z lekka podejrzewać szwindel [*funny business*], a co innego przekonać się, że się ma rację. [...]” (Str. 363-368).

Przytoczyłem ten fragment, bo jest on nader istotny dla oceny głębszych korzeni „sprawy Rushdiego”. W przeciwieństwie do ahistorycznych partii „burdelowych”, ustanawiających frywolny paralelizm między żonami proroka i prostytutkami, a który można uznać za czystą (i właściwie zbędną) prowokację, motyw autentyczności czy też prawomocności koranicznego — czy jakiegokolwiek innego — objawienia jest sprawą poważną i cała dyskusja wokół pytania, na ile książka „uraza” uczucia wiernych winna się zaczynać od niej. W istocie chodzi tu bowiem o prawo powiedzenia publicznie „nie wierzę!” i stanowisko ludzi przyznających się do cywilizacji zachodniej winno być jasne: tak, każdy ma prawo to powiedzieć i napisać!

Rzućmy jeszcze okiem na dwa pozostałe opowiadania „religijne”. Fragmentaryczny szkic postaci „Imama”, przebywającego na wygnaniu w Londynie (okna mieszkania ściśle zasłonięte, by „brud duchowy” otoczenia nie przenikał do wnętrza, marzenia o krwawej rozprawie z cesarzową rządzącą jego krajem i plany nowej przyszłości, w której czas zostanie zatrzymany) to wyraźna karykatura Chomejniego we Francji i potem. Ten ponury portrecik musiał szczególnie dopieć stronnikom irańskiego „Przewodnika”.

Nieco dziwne wrażenie w kontekście „Szatańskich wersetów” robi długa opowieść o nawiedzanej wieśniacze indyjskiej (muzulmance) imieniem Ayeesha (przypomnijmy, że Aisza to także imię najmłodszej i najukochańszej żony Mohammada). W największym skrócie historia ta wygląda tak: rzecz dzieje się współcześnie; na malutką wioskę w Indiach spadają nagle chmary pięknych motyli, które szczególnie upodobały sobie ubogą sierotę Aiszę. Dziewczyna traktowana jest początkowo jako nieszkodliwa wariątka. Pewnego razu zjawia się w wiosce nago, ale ściśle zakryta płaszczem żywych motyli i oświadcza, że została ukochaną

archanioła Gabreela (oczywiście w „głównej” powieści aktor Farishte ma odpowiednie widzenia i sny). Zwolna jej autorytet prorokini i świętej wzrasta, tak że gdy pewnego dnia ogłasza, iż otrzymała polecenie poprowadzenia całej wsi na pieszą pielgrzymkę do Mekki („morze rozstąpi się przed nami”), wszyscy idą za nią. Po długiej wędrówce pielgrzymi docierają na wybrzeże Morza Arabskiego i większość bez wahania wstępuje za Aiszą w morze; zanurzają się po pas, później widać już tylko głowy, w końcu znikają. Kilku sceptyków próbuje odwieść swych bliskich od samobójczego kroku, jeszcze w ostatnim momencie niektórzy rzucają się, by ich wyciągnąć spod wody, ale na wprost utopieni wracają z niczym. Policja wszczyna dochodzenia. Dziwne jest, że morze nie wyrzuciło żadnych zwłok. I oto kilku spośród „wątpiących”, którzy w momencie zniknięcia pielgrzymów pod wodą nurkowali za nimi, składa — w osobnych pokojach, bez możliwości uzgodnienia wersji — to samo zeznanie: tak, widzieli jak po wodą powstał niekończący się korytarz, którym szła Aisza, a inni podążali za nią w kierunku Mekki. Motyle, które cały czas towarzyszyły pielgrzymce, a w momencie ich wstąpienia w morze tworzyły ogromną chmurę nad wodą, nagle rozpierzchnęły się, jakby spełniły do końca swe zadanie i nikt ich już więcej nie widział. Koniec.

Bardzo ładne opowiadanie i gdyby zostało wydrukowane osobno, mogłoby być nawet wydane — po lekkiej cenzurze — w tłumaczeniu perskim w Teheranie. Rozważając jednak strukturę powieści Rushdiego mamy prawo zapytać, co ono robi w jego książce. Ponieważ w sprawach literackich jestem podobnym do powieściowego Salmana nieufnym cwaniakiem, sformułuję mój domysł — zdając sobie sprawę z jego nietaktowności — następująco: jest to jeszcze jedna cegiełka do stawianego przez Rushdiego sobie samemu jako autorowi pomniczka, którego rytą w spizu dewizą zdaje się być „*Le dernier cri*”. To, że cegiełka ta jest niewspółmierna z innymi i psuje całość kompozycji, jest charakterystyczne i podkreśla inne słabości książki. Wynikają one stąd, że idea przewodnią zdaje się w niej być nie tyle autentyczna synteza przemyśleń, ile chęć wyprodukowania utworu pod każdym względem „jak trzeba” w rozumieniu zachodnich lewicowych radykałów. Esencja ich ortodoksji stała się trudniejsza do sformułowania od czasu gdy marksizm przestał być *de rigueur*, ale można ją określić jako kombinację postawy antyzachodniej (szczególnie antyamerykańskiej) z sentymentalnym i bezkrytycznym entuzjazmem dla wszystkiego co „trzecioświatowe”. Ponieważ akurat religia stanowi ważną część intelektualnego rynsztunku „dobrej” części ludzkości, zaczęła ona podlegać ochronie i jest obecnie w złym smaku traktować ją bez rewerencji. Zalecane są mgliste acz pozytywne wzmianki o Micie, *sacrum* i „naj-

szlachetniejszych aspiracjach ludzkiej duszy”. W tym punkcie ateście Rushdiego nastęrczył się dylemat, którego nie potrafił zadowalająco rozwiązać. W rezultacie intelektualna zawartość jego powieści jest wielowarstwowa, warstwy te są niejednokrotnie autentyczne i to się niestety wyczuwa.

Do najautentyczniejszych należą dwa zagadnienia: refleksja autora nad własną tożsamością jako emigranta z Indii do Anglii (Chamcha, *alter ego* Rushdiego) i odchodzeniem od religii (Salman, inne, choć bardziej chwilowe *alter ego*). Z tego punktu widzenia duże partie książki porównać można *mutatis mutandis* z „Trans-Atlantykiem” Gombrowicza, który również wzbudził spore oburzenie. W obu wypadkach szarganie świętości było pewnego rodzaju koniecznością, bo pewne rzeczy muszą być od czasu do czasu powiedziane, choćby dla higieny. „Trans-Indyk” Rushdiego stawia sobie jednak inne jeszcze zadania: chce być powieścią środowiskową i przyznać trzeba, że pewne partie londyńskie i bombajskie są znakomite: celne, zabawne i istotne; chce być studium socjologicznym i stąd ciągle pytanie, „jaką ideą jesteś?”, stawiane Submisji-islamowi (odpowiedzią na nie jest opis politycznego zwycięstwa tej religii i portret złowrogiego Imama, w sumie więc: idea skuteczna, choć reakcyjna); chce być powieścią „magiczną” i „kalejdoskopową” w stylu Nabokowa (kilka-krotnie wymienionego z nazwiska) i można by długo cytować nieoczekiwane skojarzenia, gry słowne i sytuacyjne oraz aluzje literackie, w jakie obfituje; a ponadto jeszcze chce być „radykalna” we wspomnianym wyżej sensie. Należą tu m.in. wszystkie dowcipy na temat zachodniej „pseudo-demokracji”, „Mrs Torture” itd. oraz cały wątek policyjny, w którym angielska policja przypomina Gestapo. Ironia faktu, że to ta właśnie policja w tej chwili musi chronić Rushdiego przed radykalnymi reprezentantami „lepszego” części ludzkości zwalnia mnie od wykazywania, iż nawet fikcja nie powinna zupełnie tracić z oczu rzeczywistości. „Znaj proporcją, mocium panie”. Tutaj też należy opowiedzieć o Aiszy i ono właśnie najlepiej ujawnia pęknięcia stylistyczne powieści, które powodują, że czyta się ją tak jak ów nieśmiały wikary w starym dowcipie jadł jajko (proboszcz do wikarego, którego zaprosił na śniadanie: „Niechże ksiądz nie je tego jajka, bo widzę, że jest nieświeże”. — „Ach nie, niektóre jego części są wprost znakomite”).

Historia „dziewczyny w motylach” zdaje mi się najjaskrawszym przykładem odstępstwa od istotnej problematyki powieści na rzecz mody. Poświęciłem tej sprawie tyle uwagi, ponieważ najłatwiej mi w związku z nią sformułować ogólne wrażenie z lektury tej powieści: jest ona miejscami fascynująca, a miejscami odstręcza płycizną. Od pierwszorzędnej literatury oczekuje się — mówiąc po staroświecku — harmonii między formą i treścią

i pod tym względem Rushdie zawodzi. Za duzo tu rzeczy zrobionych na pokaz, nie ma tu tego spokojnego, głębokiego nurtu, co u porównywalnego chwilami z autorem „Szatańskich werse-
tów” V. S. Naipaula — pisarza naprawdę pierwszej klasy. Trochę szkoda, że przedmiotem *cause célèbre* i ważnej konfrontacji cywilizacji zachodniej z — nazwijmy rzecz otwarcie — azjatycką ciemnotą i fanatyzmem stała się rzecz artystycznie wątpliwa.

Na zakończenie kilka faktów biograficznych: Salman Rushdie urodził się w 1947 w Kaszmirze w rodzinie muzułmańskiej, która następnie przeniosła się do Bombaju. Jako chłopiec mieszkał przez pewien czas w Pakistanie, ale studia — dzięki dobrej sytuacji materialnej rodziców — odbywał w Anglii (Rugby, Oxford), gdzie osiedlił się na stałe i gdzie pracował m.in. w firmie reklamowej. Jest żonaty z Amerykanką. Jego pierwsza powieść „Grimus” przeszła niezauważona, druga natomiast, pt. „Dzieci północy” (*Midnight's Children*, 1981), zdobyła prestiżową angielską nagrodę literacką Booker-McConnel'a, umożliwiając autorowi poświęcenie się pisarstwu całkowicie. Tytuł powieści jest aluzją do 15 sierpnia 1947, w którym to dniu o północy Indie i Pakistan stały się niezależne; jest to napisana w równie „gęstym” stylu jak „Wersety” powieść obyczajowo-satyryczna o sprawach Indii i również była przyczyną — bardziej lokalnego — skandalu: Indira Gandhi m.in. zagroziła autorowi procesem o zniesławienie. Następna powieść o podobnym pokroju opisuje w przejrzystym kamuflażu Pakistan pod rządami Zia-ul-Haqqa („Wstyd”, *Shame*, 1983).

Ostatnim produktem — w tym wypadku słowo to jest jak najbardziej na miejscu — Rushdiego przed „Wersetami” jest krótki reportaż-panegiryk z trzytygodniowego pobytu w Nikaragui w lipcu 1986. Książka nazywa się „Uśmiech jaguara” (*The Jaguar Smile*, Pan Books, Londyn 1987, 170 str.) i najlepszy w niej jest tytuł: aluzja do znanego limeryku o damie z Nikaragui, która wybrała się na spacer na jaguarze (po angielsku to się rymuje), po czym oboje wrócili — ona *w*, a jej uśmiech *na* paszczy tego zwierzęcia. Mimo zasugerowanej w ten sposób „ambivalencji” podejścia do problemu, książka przypomina znany z dawniejszych czasów typ polityczno-propagandowych „podróży literackich”, np. Wojciecha Żukrowskiego do Wietnamu, choć sędzę, że nawet Żukrowski już by dziś nie napisał błazeńsko-ekstatycznego zdania kończącego „Uśmiech”: „*Rewolucja istnieje. Musi istnieć, bo inaczej nie ma nadziei*”.

Sprawa „Szatańskich werse-
tów” wykazuje — niestety w przy-
krych okolicznościach — że słowa i sformułowania jeszcze tu i ówdzie w jakiś sposób przylegają do rzeczy i pociągają konse-
kwencje. Dla wyrosłego w atmosferze tzw. „represywnej tole-
rancji” (żargon radykalny) Zachodu Rushdiego musiało to być

zaskoczeniem, zwłaszcza, że zagrożenie objawiło się nie od strony CIA, Intelligence Service, „kompleksu militarno-przemysłowego” i innych szatanów zachodnich, a właśnie „sprawiedliwych” i uciś-
nionych. Jesienią ubiegłego roku książka została zakazana w In-
diach i większości krajów muzułmańskich; Chomejni włączył się
w tę sprawę dość późno, ale za to stanowczo. Autor jest dziś
naprawdę zagrożony i przypuszczalnie będzie już zagrożony zaw-
sze: nawet gdyby nieoczekiwanie Imam go ułaskawił (na co nie
zanosi się), zawsze może znaleźć się jakiś muzułman *plus chiite*
qu'ayatollah i postąpić w myśl dewizy, że Allah rozpozna swoich.
Piszę o tym bez *Schadenfreude*. Cywilizacja polega na tym, że
słowa wprawdzie winny reprezentować rzeczy, ale między tymi
dwoma dziedzinami musi istnieć wyraźna granica. Śmierć za
słowo zawsze będzie zbrodnią, chociażby nawet jego nieodpowie-
dzialne użycie było nietaktem i głupotą.

M. BRŃSKI

Karnawał i post czyli o pozornościach wyboru

Na początek obrazek z dzisiejszej Warszawy, stary temat Marka Nowakowskiego: „Zatrzymałem się przy jednym z ostat-
nich starych domów i wszedłem do bramy. Dom był w agonii.
Łuszczące się jak egzema ściany, poobijane stiuki, amorki i sece-
syjne girlandy — ślady dawnej świetności z początków wieku.
Popękane, marmurowe schody, powyginane poręcze, smród
szczył. Znalazłem się na podwórzu wśród wysokich murów...
Szczęłałem na pohybel miastu, sobie, wszystkimu”.

*Karnawał i post*¹ jest szóstą książką Marka Nowakowskiego
wydaną w Bibliotece „Kultury” i od wielu lat jego najlepszą
książką. Dzieli się na trzy części. Najlepsza, *Moi pisarze*, składa
się z pięciu esejsów; tytułowy traktuje o Czechowie, Bablu i
Buninie, następne o życiu i twórczości Józefa Rosta, opowiada-
niach Gogola, „Wyroku na Franciszka Kłosa” Stanisława Rem-
beka i Juliana Wołoszynowskiego „Opowiadaniach podolskich”.
Część druga, najslabsza, nosi tytuł *Salony i knajpy* i składa się
z ośmiu krótkich opowiadań. Trzecią, kontrowersyjną i bardzo
osobistą, Nowakowski nazwał *Opowiadania*. Warto od razu po-
wiedzieć: „moich pisarzy” Nowakowski wypiera się, choć kocha
ich i podziwia, „salony” przypominają prywatne spelunki, „knaj-
py” —

1. Marek Nowakowski, *Karnawał i post*, Paryż, Instytut Literacki, 1988,
str. 189.

py" zamknięte oddziały dla paranoików, a *Opowiadania* nie są opowiadaniem. Znalazły się tu dwa teksty: *Śmierć*, wspomnienie o zmarłym pisarzu i przyjacielu Ireneusza Iredeńskiego, i *Fabuła* — tytuł winien brzmieć raczej „fabuły” — która jest obszernym notatnikiem o nierównej wartości, skomponowanym — podobnie zresztą jak *Śmierć* — na zasadzie tematu z wariacjami. Wypełniają ją pytania o własną drogę twórczą, krótkie szkice do opowiadań, marzenia o powieści i typowe dla Nowakowskiego obrazki z życia Polaków. Streszczone wątki fabularne zaprzeczają niejako potrzebę ich rozwijania. Jednocześnie uderza bolesna szczerość wyznań: walka z impotencją twórczą, z zanikiem *Lust zum Fabulieren*. W *Karnawale i poście* Nowakowski jest autorem w poszukiwaniu tematów, postaci, języka i „nadrzędnej treści”, czyli po prostu sztuki. Motywy osobiste, podobnie jak poszukiwanie fabuły, obecne były w jego twórczości od dawna. Na przykład w *Robakach*, małej powieści traktującej o rozdzielającym ciałem i przesłaniającym świat seksualizmie, o której w *Fabule* Nowakowski powiada: „W 'Robakach' motyw tęsknoty za Fabułą był post-młodzieńczym pragnieniem osiągnięcia w życiu jakiegoś porządku, harmonii, jasności. Już o tym nie marzę. Chciałbym jedynie jako pisarz-nałogowiec zanurzyć się w ogromnej, głębokiej, porywistej rzece fikcji. W takim sobie Czeremoszu wydarzeń zaczerpniętych z życia, ale podniesionych wyżej”. Nie znam lepszej, prawdziwszej recepty na dobrą literaturę.

Fabuła to temat, forma a nade wszystko bohater. Ukochanym i najbardziej udanym bohaterem prozy Nowakowskiego był Książę Nocy z opowiadania pod tym samym tytułem, które jak większość jego najlepszych utworów powstało w latach 70-tych. Książę Nocy w rozmaitych wariantach. Powraca on w *Fabule* jako „jeden z ostatnich warszawskich farmazonów” i w *Śmierci* jako Cyklop: „dziki” pisarz, nieobarczony społecznymi uwarunkowaniami i zarazem literacki bohater. Jego odmianą jest M. w *Wizerunku* (ze zbioru *Dwa dni z Aniołem*, 1987) i Janusz Miniewicz, bohater opowiadania *Nieźtomny z „Bristolu”* (*Puls* nr 37), które ku mojemu ubolewaniu nie znalazło się w *Karnawale i poście*. Innym wariantem jest *Zydowski hrabia* w części *Salony i knajpy*. Ale Nowakowski ukreślił tematowi łeb, krótko zbył bohatera i zamiast barwnego portretu, dał zaledwie obrys postaci. Kim jest Książę Nocy, a raczej, co go cechuje? To bohaterski dekadent w socjalizmie, abnegat, poszukiwacz przygód. Często na marginesie społecznym, uprawiający „szemranie zającia”, stwarza sobie w polskiej szarzyźnie własny, bajeczny świat. Otacza go aura. Pozbawiony zasad, piastuje własne zasady. To erudyta i łgarz. Wolny człowiek w zniewolonym świecie. Niebieski ptak płacący wysoką cenę za swoją niefrasobliwość. Dwa skrajne warianty tej postaci to stary pan Julian Wołoszynowski z części *Moi pisarze* i Ireneusz Iredeński w *Śmierci*. Pierwszy karmi się wyłącznie przeszłością, drugi wypiera się swojej przeszłości, kreując swoją osobowość poprzez ciągle nowe ekscesy. Wytworny eskapist a brutalny nihilista. Nowakowski podziwiał ich i umie o nich pisać. Używając jego własnego określenia: w tych por-

trechach styl jego prozy jest znacznie bardziej „karnawałowy” niż „postny”.

W eseju *Karnawał i post* pisarz tłumaczy się, dlaczego zmuszony był wybrać reportaż zamiast literatury; Czechowa, autora „Sachalina”, zamiast Bunina i Babla: „W miarę życiowego i pisarskiego doświadczenia rzeczywistość przed moimi oczami szarzała i brzydła, a jej robaczywość i wyłazająca nieustannie spod cienkiej warstewki złudzeń niewola stwarzały mało możliwości do literackich parad i popisów... Wchodząc głębiej w materię w której tkwimy, dążyłem do mocnego osadzenia opisywanych zjawisk wędzy słów, zdań i obrazów, marząc o ich wierności wobec opisywanego życia”. Co mu się, niestety, udało; Nowakowski, który zawsze Polskę opisywał, od pewnego czasu zaczął nią wymiotować. Nie można bezkarnie zajmować się „wieprzowatością powszedniego życia”. Tym określeniem posłużył się Andrzej Kijowski na pamiętnym, przerwany Kongresie Kultury, zarzucając polskiej literaturze, że nie była w wystarczającym stopniu zwierciadłem swego czasu.

W *Notatkach z codzienności* (1983) Nowakowski opowiada, jak wraz z przyjaciółmi układał fabułę do koncertu d-moll Rachmaninowa: „W tej fabule o schyłku świata i ja mam swój udział. Dałem tytuł 'świnie pożarły pawia’”. Powtórzy ten obraz w opowiadaniu *Jeden dzień w Europie* i w eseju *Karnawał i post*, podziwiając sztukę literacką Bunina: „...zarówno dobro i zło są u niego jednakowo hojnie obdarzone w trucicielskie dekadentkie piękno. Niegdyś odniosłem podobne wrażenie, słuchając płyty z pieśniami Werdyńskiego. Czulem taki sam niezdrowy czar schyłku świata, kiedy już 'świnie pożerają pawia’”. Obraz chamstwa zalewającego stary, piękny świat, świadomy swojego schyłku przynajmniej w relacjach pisarzy, zdaje się prześladować i fascynować Nowakowskiego. Odrzuca pisarstwo Babla, Bunina, Rotha i Wołoszynowskiego, skarżąc się na własną niemożność i brak uwarunkowań, a jako pisarz święci największe triumfy opiewając ich twórczość, ich życie, ich świat. Podziwia poetycką związość opowiadań Babla, odcienie fioletu u Bunina, duszne kochaństwa w powieściach Józefa Rotha. Źródła największych oczarowań Nowakowskiego zdają się bić tam, czego się z manikim uporem wyrzeka, co odrzuca jako temat i styl. A może po prostu zabrania sobie realizacji swoich tęsknot w obawie, że im nie podoła? Eseje w pierwszej części *Karnawału i postu* płyną swobodnym nurtem, z zakolami i nawrotami. Temat z wariacjami, ulubiona forma Milana Kundery, bardzo leży Nowakowskiemu. Jakaż to mądra terapia, ten odpoczynek od siebie i zanurzenie, na razie w cudzych, Czeremoszach.

W *Salonach i knajpach* opisuje Nowakowski swołocz wszelkiego typu, jako jedną wielką, wymieszaną masę społeczną. Ich „bohaterzy” to Jerzy Urban, na próżno usiłujący rozluźnić się w knajpie, para znanych malarzy podlizujących się zarówno zachodniemu marszandowi, jak lokalnemu politrukowi od sztuki, PAX-owcy usiłujący złowić narratora w swoje sieci, grupka oficerów Moczara. Najciekawszy jest krytyk literacki z opowiada-

nia *Historia pewnej przyjaźni*: parnasista, esteta nabożnie pochylony nad manuskryptami młodych pisarzy, wypisujących tasiemcove prozy-dziwołagi. Kolejny i niezbyt mocny argument przeciwko niezaangażowaniu w społeczną rzeczywistość. Nic dziwnego, że z tej perspektywy dawni bohaterzy, np. Benek Kwiaciarz, wydają mi się pełni romantyzmu. Ale czy rzeczywiście byli?

Oderwany od cudzej literatury i własnych „niebieskich ptaków”, Nowakowski przypisany jest do polskiej rzeczywistości, skazany na jej opisywanie i coraz bardziej bezradne gesty kontestacji ze strony narratora. Ich mizerny wachlarz opisał w *Salonach i knajpach*. To prawda, że jego język nigdy nie kłamał ludziom i sytuacjom, on sam jednak stał się jakby ich dobrowolnym więźniem. W naturze talentu tego pisarza leży rozszczępienie, nie łatwizna. Konflikt między wiernością wobec rzeczywistości — którą opisuje biernie, choć krytycznie — a ustawicznym poszukiwaniem formy, tematów, bohatera i owej „idei nadrzędnej”, transformującej rzeczywistość w sztukę. Stąd tęsknoty, frustracje i ciągłe powroty do własnego więzienia. Typowa, polsko-komunistyczna *la nausée*. Ale nawet komunizmu nie można obarczać winą za wszystkie swoje kryzysy. „Jak mało znaczy własny życiorys — pisze Nowakowski o Czechowie — bogactwo zewnętrznych doświadczeń, przygody, podróże”. A o Bablu: „Genialną właściwością Babla jest jego kunszt słowa, uroda, niebywała wyjątkowość tych słów, zdań, brzmiących jak poemat; mimo to nie rozbijają one toku narracji, piękno nie jest tu przysłowiowym kwiatkiem na kożuchu, wręcz przeciwnie, podnosi tę prozę wysoko, dodaje jej skrzydeł. Ta proza, będąc ziemią-realizmem, staje się równocześnie niebem-poezją”.

Istnieje wewnętrzny sens podziału tej książki na trzy części. *Moi pisarze* — to tęsknota i miłość, i na przekór im własny, ascetyczny program: polska klaustrofobia, „piętno czasów ciężkich, jałowych”, „niski pułap chmurnego nieba”. *Salony i knajpy* — to nieudana próba realizacji programu. *Opowiadania* — spięcie między rzeczywistością a marzeniami o własnej literaturze. Nie jest to całkiem dialektyczna triada; teza, antyteza i synteza splatają się tu ze sobą w samobójczym uścisku. „Jak pisać, żeby słowo przylegało do rzeczy i zjawisk... — pyta Nowakowski — Co zrobić, skoro wirujące na nieboskłonie fantazji bóżnice i cerkiewki, ludzie i zwierzęta, ptaki i kwiaty schną i rozsypują się niby dekoracje z papieru, a ziemia dyszy mordem, bestialstwem, zniszczeniem?”. Świadomy słabości swoich argumentów — ziemia zawsze dyszała mordem! — zasłania się to historią, to własnym życiorysem. Emigrant-Bunin ukochał dawną Rosję. Babel mógł pisać tak jak pisał, ponieważ apokalipsa dopiero nadciągała. Roth miał szczęście urodzić się koło Brodów, na pograniczu dwóch światów, pod dobrotliwym austriackim cesarzem. Wołoszynowski spędził dzieciństwo w Mohyłach. (Inna rzecz, że w porównaniu z dzisiejszą Warszawą te Brody i Mohyły przypominają Paryż). Jednocześnie obsesyjnie podkreśla realizm „swoich pisarzy”. Pisze o „zamglonym, choć realistycznym” opisie wydarzeń u Rotha, o „osobliwym stopie nierzeczywistego z rzeczy-

wistym, historycznego z teraźniejszym” u Wołoszynowskiego. Jak tonący brzytwy chwytą się poniekórych cech ich pisarstwa. „Te zapiski — powiada o końcowej części zbioru Wołoszynowskiego 'Przed wschodem księżycy' — są zbudowane ze zredukowanych do ostatecznej kondensacji słów. Nieraz wyłania się z nich jakiś przepaść, czeluść, tragedia, rozpacz, jeszcze coś niewypowiedzianego, co męczy, dławi i nie da się wypowiedzieć”.

Co dalej? Poszukiwanie Fabuły, pragnienie wzniesienia się ponad to, o czym od dawna pisze, oderwania się od „kreciego związku z rzeczywistością”. Tworzenie od nowa fikcji, czyli świata. Budowanie katedry. To jego własne słowa. Marzenie, aby znów, jak w młodości, obudzić się „pełen energii, z płonącym umysłem i wyobraźnią”. Chęć ucieczki, zerwania ze wszystkim splata się w *Fabule* z pasją nałogowego zbieracza, lub raczej myśliwego: co w polu widzenia, nadaje się na odstrzał, czyli opisanie! Niektóre wątki pisarz sam odrzuca, nazywając je „samograjami”. Inne, bardziej wielowarstwowe, zdaje się akceptować. W regularnych odstępach i różnych wariantach powtarza się skarga: „Tyle lat wegetacji w dolnym żywiole”. I pytanie: „Jak mogą na jałowej pustyni zakwitnąć ogrody?” Nie mogą. Trzeba samemu dogrzebać się wody i posadzić. Powrócić do własnych, autentycznych źródeł, gdziekolwiek jeszcze biją. Uprawiać stare miłości. Uważać na pierwsze zdanie: na jego styl i wewnętrzną prawdę. W *Karnawale i poście* Nowakowski gra o wielką stawkę i bardzo chciałabym, żeby wygrał. Na pohybel łuszczącemu się miastu, zdegenerowanemu społeczeństwu i ustrojowi, który Dżilas nazwał „przepisem na katastrofę”. A także na pohybel własnemu „przepisem na „nędzy słów” i „nędzy rzeczywistości”. Angielski głędzeniu o „nędzy słów” i „nędzy rzeczywistości”. Angielski jezuita i poeta, Gerald Manley Hopkins napisał: „To, na co patrzysz twardo i z uporem, patrzy twardo i z uporem na ciebie”. W zakończeniu *Fabuły* Nowakowski pisze: „Zadzierając głowę, patrzyłem aż do bólu w oczodołach. I wtedy powiedziałem słowa swojej modlitwy: Wymarzona Fabuła, boski porządek życia i literatury, zstąp z wysokości! Ale zaraz przestałem. Zwykłe niebo zwykle chmury”. I tak w kółko.

Janina KATZ HEWETSON

Zapis wewnętrzny czyli o potrzebie masek

Zastanawiam się nieraz, czy popularność dzienników nie wynika z ich naiwnego czytania. Czy nie traktuje się ich przede wszystkim jako autentycznego przekazu wiedzy o autorze i jego epoce, jako zwierciadła osobowości pisarza, a nawet czegoś w

rodzaju publicznej spowiedzi na gorąco, uważnej wobec walorów dokumentalnych, nie zaś literackich? Nie wykluczam, że takie intencje przyświecały niektórym autorom, ale chyba nie współczesnym, bo czy po lekturze dzienników Gombrowicza można jeszcze zachować w tym względzie dziewiczą naiwność? Jednak sprawa ta nadal nurtuje świadomość pisarzy i nie da się wyminąć nikomu, kto ma odwagę spróbować tej jakże trudnej formy literackiej. W sposób dobitny potwierdza to interesująca refleksja Jerzego Andrzejewskiego, zanotowana na marginesie kłopotów z własną autobiografią i rozmową o Gombrowiczu:

„Odtworzyć siebie, to oznaczałoby mniej więcej: sfotografować rzeczywistość osobistą, filmową kamerę zastąpić relacją pisemną, która byłaby zdolna utrwalić całą naszą osobowość wewnętrzną wraz z dokładnym uwzględnieniem tła. Obłąd! Szaleństwo! [...] Natomiast stwarzać siebie poddając się tak bardzo właściwej ludzkiej potrzebie twórczego zrywów — o tak, to się wydaje całkiem oczywiste. [...] Casus Gombrowicz wydaje się w literaturze skrajnym przykładem kreowania własnej osobowości zarówno na użytek publiczny, jak i własny. [...] Pod względem literackim Gombrowiczowski akt samotwórstwa jest arcydziełem, nie wydaje się jednak, aby owo osiągnięcie spełniło się wedle zamierzeń autora. Rzadko się zdarza, aby człowiek zdołał siebie przekazać w kształcie wiernym pragnieniom”.

Od 1972 roku Andrzejewski prowadził osobiste notatki i pod tytułem „Z dnia na dzień” drukował je na łamach *Literatury*, wówczas jeszcze tygodnika. Nadał im formę „dziennika literackiego” i jeszcze przed śmiercią zdołał przygotować do wydania.

Dwa tomy „Z dnia na dzień”¹ ukazały się dopiero po kilku latach, w drugiej połowie 1988 roku. Nieco wcześniej, pod koniec roku 1987, wydano „Grę z cieniem”², którą należy traktować jako dalszy ciąg spisanych aż do grudnia 1981 notatek. Andrzejewski wybrał więc formę pośrednią między intymnym dziennikiem a esejem i felietonem literackim. Myślę, że ułatwił sobie zadanie w tym zakresie, w jakim autorowi dziennika pisanego w burzliwych czasach przychodzi zmierzyć się z problematyką istotną dla społecznej świadomości. Jednak myliłby się ten, kto by sądził, że „Z dnia na dzień” wypełniają tylko lub chociaż przede wszystkim uwagi o lekturach. Można sądzić, że w podtytule („dziennik literacki”) został zaakcentowany fakt, że jest to „fabuła”, który to problem jest przecież lejtymotytem dojrzałej twórczości Andrzejewskiego. W „Grze z cieniem” zwierzenie na temat związanych z „dziennikiem literackim” ambicji twórczych uzupełnione zostało kapitalną nie tylko dla jego pisarstwa refleksją:

„Maski, więc gra, w sposób równie wrogi, jak miłosny, są

1. Jerzy Andrzejewski, *Z dnia na dzień. Dziennik literacki 1972-1979*, t. I-II, „Czytelnik”, Warszawa 1988.

2. Jerzy Andrzejewski, *Gra z cieniem*, „Czytelnik”, Warszawa 1987.

związane z twórczością literacką. Mogę, a przede wszystkim chcę, pisać tylko wówczas, gdy interesuje mnie przekazanie siebie w całej mnogości postaci, które prezentuję w zależności od okoliczności i mego wewnętrznego usposobienia. Zatem, kiedy zmieniam maski, z nich kształtując fabularne wątki, nimi zonglując wedle miary, jaka jest dana moim zdolnościom fantazjo-twórczym. [...] Agonia komediantwa uśmierca pisarza. Koniec. Reszta staje się rzeczywistością milczeniem. [...] Wcale mnie nie oburza lub gorszy, przeciwnie: raczej wzrusza, iż literatura wy-nika z oszukańczych sztuczek, z komediantwa i pozy. Jej pro-weniencje kultowe bynajmniej mojej sugestii nie osłabiają. Wszel-ki obrządek jest także grą, liturgia mszy kościelnej wydaje się w tej mierze przykładem szczególnie i pod każdym względem imponującym”.

Gdy sięgniemy pamięcią do takich dzieł Andrzejewskiego, jak „Idzie skacząc po górach”, „Już prawie nic”, „Nikt” i przede wszystkim „Miazga”, przekonamy się, że igranie maskami było jego ulubionym sposobem autokreacji. Właśnie „auto” i „krea-cji”. To znane pojęcie najlepiej oddaje specyficzną cechę pi-sarstwa Andrzejewskiego, która stała się kompozycyjną domi-nantą „dziennika literackiego” i nieprzypadkowo do tego właśnie dzieła przywiązywał Andrzejewski duże znaczenie. W dzienniku dopiero zdołał w pełni zrealizować dręczące go od dawna marze-nie dzieła otwartego, które tak charakteryzuje:

„Myślę, że właśnie ta nie pozbawiona pokory duma sprawia, iż na przestrzemi lat ostatnich wyraźnie we mnie słabnie fascy-nacja oraz zainteresowanie formami klasycznie wykończonymi, wzrastają natomiast ciągoty i pokusy, aby skoro nasza wiedza jest tak bardzo ograniczona — nie skrywać jej w patetycznych gestach form gładko wypolerowanych; niech raczej naszą nie-wiedzę oraz kondycję usidlenia wyraża forma podobna pęknię-tym głazom lub rozprężona i rozmamłana, jak gniotek zakalco-wata, zamulona...”

Forma dzieła otwartego może się okazać atrakcyjna nie tylko dla współczesnego twórcy. Atrakcyjna może być również dla czy-telnika, choć wymaga ona niewątpliwie większego trudu niż lek-tura dzieł tradycyjnych, większej chłonności intelektualnej i ar-tystycznej wrażliwości.

Próba generalną dzieła otwartego była „Miazga” — począwszy od tytułu i artystycznego konceptu opartego na niespełnieniu, jednej z najbardziej ludzkich cech, aż po mocno rozluźnioną kompozycję, w której elementy fikcji przeplatają się z dzienni-kiem literackim i paradokumentalnym zapisem „polskich ży-ciorysów”. Jednak spełnieniem tej formy niespełnionej stało się do-piero dzieło tworzone z dnia na dzień, pisane — wydawałoby się — na zupełnym „luzie” intelektualnym, w poczuciu artystycznej swobody i twórczej... suwerenności.

Ostatnie słowo postawiłem z pełną świadomością, aby od razu opatrzeć je znakiem zapytania. Od tej bowiem sprawy, w której estetyka przecina się z etyką, zaczynają się moje wątpliwości i zaczynają się także, jak mniemam, mniej lub bardziej staran-

nie, może nawet z pewną minoderią kamuflowane wyrzuty sumienia Andrzejewskiego.

Kwestia suwerenności rozumiana jest przez pisarzy rozmaicie. Trudno jednak zaprzeczyć, że w systemach totalitarnych musi się ona z konieczności łączyć z postawą polityczną, czyli, krótko mówiąc, ze stosunkiem do systemu. Jeżeli ktoś uważa, że potrafi w takich warunkach zajmować postawę „bezstronnego” kibica, to okłamuje siebie i innych. Nie ma wolności bez aktywności — żeby sparafrazować modne ostatnio w kręgach „Solidarności” hasło! Ale jeszcze bardziej podejrzana jest suwerenność pisarza, który zgodnie z marksistowską formułą wolności za busolę swego działania przyjmuje „historyczną konieczność”. Jak wiemy, Andrzejewski stał się jednym z negatywnych bohaterów „Zniewolonego umysłu”. Od tego czasu autor niesławnej broszury „Partia i twórczość pisarza” przeszedł daleką drogę i znalazł się po stronie zwanej opozycyjną. Inna sprawa, że nie przeszkodziło mu to nadal zgadzać się na wznowienia „Popiołu i diamentu”, powieści mającej kilka udanych artystycznie epizodów, wykorzystanych potem w filmie Wajdy, ale w ogólnym obrazie polskiej rzeczywistości wyjątkowo perfidnie zakłamaną, i jednocześnie ubolewać, że polskiej publiczności znany jest przede wszystkim dzięki tej książce.

Nie chcę jednak rozwijać tego wątku biografii Andrzejewskiego, był on bowiem już nieraz podejmowany przez krytykę. Ciekawsza natomiast wydaje mi się sprawa suwerenności pisarza w kontekście jego dziennika. Otóż sądzę, że jednym z powodów wyboru formy „dziennika literackiego” było pragnienie wyminięcia tego drażliwego problemu i naturalnego „zdystansowania” się od spraw politycznych. W latach 70-tych bez kagańca cenzury nie mógłby Andrzejewski drukować swych notatek. Sytuacja zmieniła się, choć nie diametralnie, w latach 1980-81, i wówczas pisarz zdobył się na zwierzenie osobiste, w którym z pewnością, rzekłbym, niechęcią, tłumacząc się naturalną dla siebie skłonnością do pesymizmu, zdradza się z niewiarą w oczekiwany przez lepszą część narodu rozwój wydarzeń.

„Nie posiadam ambicji wróżbity, więc mogę chcieć, abym się mylił i przyszłość nie mnie przyznała słuszność”.

Pisał to już w grudniu 1980 roku, ale chyba bardziej w oparciu o bogate doświadczenie życiowe niż w oparciu o cechy swego charakteru. W tym czarnowidzeniu miał oczywiście, jak pokażała historia stanu wojennego, rację — rację intelektualisty, który solidaryzując się z ogółem jest jednocześnie o bok niego, „zdany na własne doświadczenia, własną pamięć, własne rozpoznanie...”

Taką postawę można by uznać za w pełni suwerenną, gdyby... Gdyby Andrzejewski nie traktował jej z pewnym zawstyżeniem, gdyby nie szukał usprawiedliwienia w starczym zgorzknieniu, w „grze z cieniem”, w stronę którego coraz częściej spoglądał, wzdychając, że przeszłości przybywa, a przyszłości, tak go zawsze interesującej, ubywa. W dobiegającym do naturalnego koń-

ca „zapisie wewnętrznym” wątek metafizyczny wyraźnie przesłania wydłużającym się cieniem polityczną postawę Andrzejewskiego, której ostrożną artikulację można chyba tłumaczyć dawką grzechem zniewolenia. Autor reportaży „o człowieku rannym dzieckim” nigdy, przypuszczam, nie pozbył się wyrzutów sumienia, że tak łatwo uległ fanatyzmowi triumfującego komunizmu. Walczył z tym na różne sposoby... I dlatego zapewne zazdrościł Miłoszowi (może nawet podświadomie) jego, jak sam stwierdzał, suwerennej swobody.

Nie znamy „Notatek do autobiografii” Andrzejewskiego, o których wspomina w swoim dzienniku. Być może problem suwerenności znalazł w nich szersze rozwinięcie i może właśnie dlatego spoczywały one na dnie szuflady — i spoczywają do dziś — jako tekst mniej „literacki”.

W jeszcze większym stopniu tematyka metafizyczna i etyczna wypełnia „zapis wewnętrzy” Anny Kamińskiej. W roku 1965, niedługo przed spodziewaną od jakiegoś czasu, ale jakże mimo to boleśnie przyjętą śmiercią męża, znanego poety Jana Śpiwaka, powstały z nawyku do poetyckiego brulionu pierwsze notatki, które zapoczątkowały prowadzony już potem systematyczny, ten stał się najważniejszą inspiracją dalszego ciągu „Notatnika”, którego pierwszy tom ukazał się kilka lat temu, jeszcze za życia którego pierwszy tom ukazał się kilka lat temu, jeszcze za życia poetki, i obecnie został wznowiony wraz z tomem następnym³, przygotowanym jeszcze przez autorkę tuż przed śmiercią (zmarła 10 maja 1986). Pierwszy tom opatrzyła Anna Kamińska krótkim przedśłowiem, w którym zaznacza, że z dużymi oporami, jako poetka, oddaje do rąk czytelnika „swoisty raptularz życia wewnętrznego, pisany skrótami, często równoważnikami zdań, tak jak się myśli”.

Byłby więc „Notatnik” w zamierzeniu autorskim utworem realizującym ideę przeciwną koncepcji „dziennika literackiego”, heroiczną w swej utopijności próbą odśłaniania twarzy z wyrazem cierpienia po stracie ukochanego męża, odrzucenia masek? Powiedzmy od razu, że jest to raczej próba współczesnych „Tre-nów”; do dzieła Kochanowskiego nawiązuje zresztą autorka zupełnie świadomie. A jeżeli tak, to nie uniknęła — nie mogła, nie chciała? — aktu kreacji, nie uniknęła „literackości”, mimo obecnych w notatkach antyliterackich manifestacji.

Kamińską nurtuje nienowe w sztuce dążenie do identyfikacji wyrażonego i wyrażanego, znaczenia i znaku, ale nurtuje z powodów całkiem, jak sądzę, pozaestetycznych. Otóż „Notatnik” jest dramatycznym zapisem nekających wdowę wyrzutów sumienia w związku z głęboko odczuwanym grzechem życia po śmierci męża, życia niechcianego, a jednak akceptowanego, mimo pamięci o jedynej wielkiej miłości na zawsze utraconej.

Rozpaczliwy ból utraty można przeżywać w sposób nieliteracki, czyli albo przeżywać milcząc, albo w słowotoku skargi naj-

3. Anna Kamińska, *Notatnik 1965-1972*, wyd. II, „W Drodze”, Poznań 1988; *Notatnik 1973-1979*, „W Drodze”, Poznań 1988.

bardziej osobistej. I można przeżywać w sposób literacki — nadając własnemu cierpieniu cechy ponadindywidualne znaleźć się (odnaleźć) w ludzkiej wspólnoty. Wydawać by się mogło, że dla poetki wybór powinien być oczywisty. Ale Kamińska w literaturze nie odnajduje spokoju, dręcząc się „zdradą” niezjącego męża. Jak średniowieczny pokutnik nie chce oddalać cierpienia, nie chce o nim zapomnieć, nie tylko więc ogranicza swój zapis do życia wewnętrznego, starając się izolować w swym bólu od świata, ale pragnęłaby również ograniczyć go do opisu pokutniczego milczenia, „pisać tak, jakby się czytało zapis wewnętrzny”. Wie, że to niemożliwe, ale przecież prawdziwa literatura, humanistyka, wręcz każdy godny uznania trud człowieka — to zbliżyć się do niemożliwego. Takim zbliżaniem się do niemożliwego zapisu cierpienia, które ma być cierpieniem pojedynczego, konkretnego człowieka, cierpieniem osobliwym i jedynym, a jednocześnie cierpieniem człowieka współczesnego, którego świadomość została związana niemi wielowiekowej tradycji z humanistyczną przeszłością — jest „Notatnik” Anny Kamińskiej.

W sytuacji, w której powstawał, nie było miejsca na namysł nad sobą. A jednak nawet ze skąpych i lapidarnych uwag dotyczących samego procesu pisania oraz literatury w ogóle można wysnuć przekonanie, że i dla Kamińskiej „Notatnik” stanowił ważną w jej twórczości, bo nową i oryginalną, próbę literackiej ekspresji, kontynuację poezji, lecz zmierzającą jeszcze dalej w kierunku „leczenia literatury z literatury”, czyli w kierunku literatury ocenianej w kategoriach prawdy psychologicznej, nie piękna, takiej, która „nie wynosi się nad człowieka”.

Poprzez sny i wizje, cierpienie i wyrzuty sumienia, poprzez pamięć dla ostatniej miłości i troskę o kochanych wspólnie z mężem synów zmierza poetka z trudem, niczym górnik wyrębujący chodnik w kopalni, do akceptacji życia, które zostało człowiekowi dane przez Istotę Najwyższą dla spełnienia właściwej mu misji w świecie pełnym zasadzek i sprzeczności. W tej metafizycznej refleksji spotykają się nieoczekiwane tak różne przeciwieństwa osobowości, ale nie tak znów bardzo różni, bo podobnie łamiący literackie konwencje, pisarze — Kamińska i Andrzejewski, który w II tomie „Z dnia na dzień” skonstatował, że godzić się na życie, to zgodzić się na własną klęskę. Oboje więc zdawali sobie sprawę, że nie można uważać się za centrum wszechświata, że trzeba być stale w drodze, przekraczać samego siebie, ale jest to tak trudne, jak trudno scalić rozsypaną się osobowość współczesnego człowieka i napisać lub wypowiedzieć słowo „t a k”.

Andrzejewski i Kamińska zapisywali swe życie również po to, by znaleźć w nim jakiś sens. „Czasami wydaje mi się — notowała poetka w roku 1979 — że zapisując te strzępy myśli i uczuć czyham właśnie na to ostatnie zdanie, które mnie samej odśloni cały sens”. Czy zdaniem takim może być zapisana jeszcze w roku 1971 refleksja:

„Wszystko jest w nas rozsypane, rozdarte. Potrzeba jakiegoś dotknięcia wewnętrznego, aby to scalić, skupić, ześrodkować.

Tym dotknięciem może być miłość, która z elementów buduje w nas jakąś całość. Także modlitwa, ponieważ jest uprztamianiem miłości. Mówić prosto. Właśnie to, a nie co innego”.

W gąszczu pytań rzadko znajdujemy tę jedną, jedyną odpowiedź. Co nie znaczy, że nie należy jej szukać, że nie należy próbować zbliżyć się do niemożliwego.

Anna Kamińska, pozbawiona przez kilka lat możliwości druku we własnym kraju, odkrywała samą siebie w zapisie wewnętrznym. Ile było w nim masek literackich, ile ludzkich twarzy? Któż to raczy wiedzieć...

Mikołaj RUSZKOWSKI

Dziedzictwo i przyszłość

Studia o Polonii w Kanadzie pod powyższym tytułem* składają się na dwudziesty tom wydany przez Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy w Toronto, założony w 1956 przez dr. Wiktora Turka celem zbierania i przechowania dokumentacji życia i pracy imigrantów polskich w Kanadzie.

Znajdziemy w nim teksty referatów i głosy z dyskusji konferencji zwołanej w Toronto w 1987 dla zastanowienia się nad sposobami zachowania i zabezpieczenia archiwalnych zbiorów. W spotkaniu wzięli udział historycy, archiwiści i bibliotekarze.

Benedykt Heydenkorn i Rudolf Kogler analizując strukturę polskiej grupy etnicznej stwierdzają, że politykę imigracyjną Kanady dyktują potrzeby rynku pracy i że z uwagi na stałą emigrację z Kanady oraz niski wskaźnik przyrostu naturalnego, imigrację należałoby zwiększyć do 300 tysięcy rocznie. Kongres Polsko-Kanadyjski wystosował w tym duchu raport do władz, argumentując, że leży w interesie Kanady, aby w trybie przyspieszonym wpuścić uchodźców z obozów Europy Zachodniej.

Polacy napływają do Kanady spazmatycznie. Ostatnia fala od 1981 roku, licząca około 48 tysięcy, w przeważnej części osiadła w prowincji Ontario, głównie w Toronto i okolicy. Cechuje ją młodość (przeciętna wieku wynosi 30 lat) oraz przewaga mężczyzn. Bez precedensu też są wysokie kwalifikacje przyjezdnych, do których przyrównać się mogą jedynie imigranci z Indii czy Hong Kongu.

Przybysze z najnowszej fali na ogół stronią od polonijnych organizacji społecznych. Jeżeli nawiązują kontakty, to zdaniem autorów jedynie w celu uzyskania materialnych korzyści. Roz-

* Benedykt Heydenkorn ed., *Heritage and the Future. Essays on Poles in Canada*. Canadian Polish Research Institute, Toronto 1988.

ważania zamyka przegląd kulturalnych instytucji polonijnych, który odnotowuje z satysfakcją powstanie dzięki nowej fali Polskiego Towarzystwa Muzycznego. Prasa podwoiła liczbę tytułów.

W krótkim komunikacie Rudolf Kogler informuje o spisie ludności z 1986, w którym po raz pierwszy pytało o narodowość nie tylko ojca, ale i matki. W konsekwencji statystyka wykazuje jednorodnie i wielorodne pochodzenie.

Cennym nowym materiałem są wspomnienia ostatniego konsula Rzeczypospolitej Polskiej w Montrealu, dr Tadeusza Brzezińskiego, zatytułowane „Czterdzieści lat wśród Polaków w Kanadzie”. Obejmują one lata 1938-1978, od przybycia konsula Brzezińskiego na tutejszy teren aż do wycofania się z działalności polonijnej. Jest to bodaj pierwszy tego rodzaju pamiętnik dyplomaty, który przyjąwszy obywatelstwo kraju, w którym pracował, dołączył do życia społeczności polonijnej.

Dr Brzezińskiego pamiętamy m.in. jako projektodawcę idei ogólnopolonijnej akcji (*Kultura* nr 5/103, 1956), która miała obejmować całą Polonię, opierać się na niej i tę całość reprezentować, a nie ograniczać się tylko do trzech czy czterech procent uchodźców politycznych. Polonia taka, demokratyczna i samorządna, świadczyłaby też na ogólne cele bardziej świadomie i hojnie.

Może nie od rzeczy będzie przytoczyć tu realistyczne oszacowanie zorganizowanej Polonii w Kanadzie przez B. Heydenkorna i R. Koglera. Mówią oni o 7 % względnie 25 %, jeżeli liczyć przynależność do polskich parafii. Wedle tych obliczeń Kongres liczy około 14 tysięcy członków.

Książkę zamyka ilustrowane fotografiami wczesnych numerów studium B. Heydenkorna o *Gazecie Katolickiej* (1908-1915), najstarszym tygodniku w języku polskim w Kanadzie i o roli jaką spełniał w społeczności polskiej. Praca ma za zadanie zapoczątkować bardziej poważne, szczegółowe badania nad etniczną prasą polską w Kanadzie.

Florian ŚMIEJA

Instytut Literacki w Kraju

„BIBLIOTEKA KULTURY” W WYDAWNICTWACH
NIEZALEŻNYCH (UZUPEŁNIENIA)

(c.d. *Kultura* nr 1/496-2/497)

- ANDERMAN, Janusz: *Kraj świata* (1988). Warszawa, PoMOST, 1988 [wyd. rozsz.].
BOCHEŃSKI, Józef M.: *Sto zabobonów* (1987). Warszawa, IN PLUS, 1988; Warszawa, WOLA, 1988.

- BRANDYS, Kazimierz: *Nierzeczywistość* (1978). Toruń, SW TON, 1981.
CZAPSKI, Józef: *Na nieludzkiej ziemi* (1949, 2 wyd.; wyd. 3 zm. Londyn, PFK, 1969; wyd. 4 zm. Paryż, SPOTKANIA, 1984). SUPLEMENT, 1981; Warszawa, KRAĞ, 1982; Warszawa, MOST, 1986 (2 cz.); Wrocław, SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA, 1986; Skarżysko-Kamienna, SOWA, [1986?]; Łódź, FAKT, [1987?].
—: *Tumult i widma* (1981). [Warszawa 1985].
DANILEWICZ ZIELIŃSKA, Maria: *Szkice o literaturze emigracyjnej* (1978). [Toruń], TO, [1988] [ilustr.].
HELLER, Michał: *Polska w oczach Moskwy* (1984). Warszawa, GŁOS, 1985.
HERLING-GRUDZIŃSKI, Gustaw: *Dziennik pisany nocą 1980-1983* (1984). Warszawa, CDN, 1986 [w 2 t. dodano rok 1984 z KULTURY].
KACZMARSKI, Jacek: *Wiersze i piosenki* (1983). PRZEDRUK MADE IN POLAND, 1988; Warszawa, CEL, 1984.
KARPIŃSKI, Jakub: *Taternictwo nizinne* (1988). Warszawa, PoMOST, 1988; REPUBLICA, 1988; Warszawa, MYŚL [1989].
KRZYŻANOWSKI, Bronisław: *Wileński matecznik, 1939-1944* (1979) Warszawa, POKOLENIE, 1988.
LIPSKI, Leo: *Dzień i noc* (1957); *Piotruś* (1960). In: *Opowiadania zebrane*. [Lublin], FIS, 1988.
MICHNIK, Adam: *Kościół, lewica, dialog* (1977). Warszawa, NOWA, 1983 [wyd. zm. i rozsz.].
MIŁOŚZ, Czesław: *Kroniki* (1987). Łódź, FAKT, 1988.
—: *Ziemia Ulro* (1977, 2 wyd.) Wyd. anonimowe 1984.
—: *Zniewolony umysł* (1953, 10 wyd.). Toruń ZU NZS, 1981 [z przedmową A. Hutnikiewicza].
NOWAKOWSKI, Marek: *Dwa dni z Aniołem* (1984). Warszawa, PoMOST, 1988.
ORŁOŚ, Kazimierz: *Cudowna melina* (1973). Warszawa, NOWA, 1988.
—: *Historia „Cudownej meliny”* (1987). Warszawa, NOWA, 1988 [obie pozycje w jednym tomie].
ORWELL, George: *Rok 1984* (1953, 4 wyd.). Wyd. anonimowe 1983; Warszawa, ZBLIŻENIA, 1984.
ROUX, Dominique de: *Rozmowy z Gombrowiczem* (1969). [Warszawa 1984]; [Warszawa 1984].
RYMKIEWICZ, Jarosław Marek: *Umschlagplatz* (1988). Warszawa, NOWA, 1988.
SOŁŻENICYN, Aleksander: *Archipelag GULag 1918-1956*. Cz. 1-7, 3 t. (1974-1978). Toruń, SW TON, 1981 [całość?].
STEINBERGOWA, Aniela: *Widziane z ławy obrończej* (1977). Toruń, ZU NZS, 1981.
SWIANIEWICZ, Stanisław: *W cieniu Katynia* (1976, 6 wyd.). Toruń, SW TON, 1981.
TARNIEWSKI, Marek (Jakub Karpiński): *Płonie komitet* (1982). Warszawa, POKOLENIE, 1987; Wrocław, CONSTANS, 1988 [razem z wyborem publicystyki, w 2 t.].
—: *Porcja wolności* (1979). ALTERNATYWY, [198.?]; Gdynia, KZ NSZZ „S” WSM, 1981.
—: *Ewolucja czy rewolucja* (1975). Kraków, ALFA, 1981 [część?]; [Warszawa 1984].
TYRMAND, Leopold: *Życie towarzyskie i uczuciowe* (1967). Warszawa, OFFICyna LIBERAŁÓW, 1988; Warszawa, PoMOST, 1989.
WOROSZYLSKI, Wiktor: *Literatura* (1977). [Warszawa 1985].

ZESZYTY HISTORYCZNE:

- zeszyt 79, 80, 81, 82, 83, 84, 85, 86, 87. Warszawa, PoMOST, 1989.

„BIBLIOTEKA KULTURY” W WYDAWNICTWACH
OFICJALNYCH (UZUPEŁNIENIE)

- HLASKO, Marek: *Piękni dwudziestoletni* (1966, 3 wyd.). Warszawa, ALFA, 1988.
 MIŁOSZ, Czesław: *Nieobjęta ziemia* (1984). Kraków, Wydawnictwo Literackie, 1988.
 ORŁOŚ, Kazimierz: *Cudowna melina* (1973). Warszawa, Iskry, 1989.
 STEMPOWSKI, Jerzy: *Szkice literackie*. T. 1, 2. Warszawa, Czytelnik, 1988. [Część „Esejów dla Kassandry”].

„KULTURA” W DRUGIM OBIEGU

WYBÓR:

- z rocznika 1978. Warszawa, NOWA, 1979.
 — z roczników 1979-1980. Warszawa, NOWA, 1981.
 — z roczników 1981-1982. Warszawa, NOWA, 1984.
 — z rocznika 1981. Warszawa, CDN, 1982.
 — z rocznika 1982. Warszawa, CDN, 1984.
 — z rocznika 1983. Warszawa, CDN, 1985.
 — z rocznika 1984. Warszawa, CDN, 1986.
 — z rocznika 1985. Warszawa, CDN, 1987.
 — z rocznika 1986. Warszawa, CDN, 1987.
 — artykułów z nr 1-2/1984. [Warszawa, POD PRĄD, 1984].
 — artykułów z nr 3-6/1984. [Warszawa, POD PRĄD, 1984].
 — artykułów z nr 7-9/1984. [Warszawa, POD PRĄD, 1984].
 — artykułów z nr 10-12/1984. [Warszawa], POD PRĄD, 1985.
 — artykułów z nr 1-4/1985. Warszawa, POD PRĄD, 1985.
 — artykułów z nr 5-8/1985. Warszawa, POD PRĄD, 1985.
 — artykułów z nr 9-12/1985. Warszawa, POD PRĄD, 1986.
 — nr 1-3/1986. Warszawa, POD PRĄD, 1986.
 — nr 4-6/1986. Warszawa, POD PRĄD, 1986.
 — nr 7-9/1986. Warszawa, POD PRĄD, 1986.
 — nr 10-12/1986. Warszawa, POD PRĄD, 1987.
 — nr 1-3/1987. Warszawa, POD PRĄD, 1987.
 — nr 4-6/1987. Warszawa, POD PRĄD, 1987.

REPRINTY:

- 1987: 7-8/478-479. Warszawa, MYŚL, 1987.
 9/480. Warszawa, MYŚL, 1987.
 10/481. Warszawa, MYŚL, 1987.
 11/482. Warszawa, MYŚL, 1988.
 11/483. Warszawa, MYŚL, 1988.
 1-2/484-485. Warszawa, MYŚL, 1988.
 3/486. Warszawa, MYŚL, 1988; Warszawa, PRAWY MARGINES, 1988.
 4/487. Warszawa, MYŚL, 1988.
 5/488. Warszawa, MYŚL, 1988.
 6/489. Warszawa, MYŚL, 1988; Warszawa, PRAWY MARGINES, 1988.
 7-8/490-491. Warszawa, MYŚL, 1988; Warszawa, PRAWY MARGINES, 1988.
 9/492. Warszawa, MYŚL, 1988.
 10/493. Warszawa, MYŚL, 1988.
 11/494. Warszawa, MYŚL, 1989.
 12/495. Warszawa, MYŚL, 1989.

Nadesłane nowości wydawnicze

- KAMIŃSKA (Józefa). *Bibliografia publikacji podziemnych w Polsce 13. XII 1981 - VI. 1986*. Str. 555 i 5 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1989, cena £ 30, F. 300, w twardej oprawie £ 40, F. 400).
- HERBERT (Zbigniew). *Barbarzyńca w ogrodzie*. Wyd. II poprawione. Str. 205 i 3 nlb. (Wyd. Kontakt, Paryż 1989).
- HALL (Aleksander). *Polemiki i refleksje. Wybór publicystyki politycznej z lat 1978-1986*. Str. 231 i 1 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1989).
- Z lewa i z prawa. „Konfrontacje” nr 8. Str. 199 i 1 nlb. (Wyd. Institute for Democracy in Eastern Europe, New York 1989).
- OSMAŃCZYK (Edmund Jan). *Matka Boska Radosna patronka Polaków spod znaku Rodła*. Str. 126 i 2 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1989).
- Prace Kongresu Kultury Polskiej*, tom VII: *Prace ogólnonaukowe*. Red. Wojciech Skiba. Str. 295 i 1 nlb. (Wyd. PTNO, Londyn 1988).
- CZARLIŃSKI (Olgierd). *W szponach czarnych orłów. Refleksje nieortodoksyjne o rozbiorze Polski*. Str. 78 i 2 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1989).
- MIREWICZ (Jerzy, ks.). *Emigracja*. Str. 250 i 6 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1989).
- SUBOCZ (Antoni). *Zdrada. Wspomnienie z Powstania Warszawskiego 1944*. Str. 140 i 4 nlb. (Wyd. nakładem Autora, Londyn-Zurych 1988).
- KOHOUT (Pavel). *Bagno*. Tłum. Dorota Jilli, Josef Lejnar i Violetta Merth. Str. 57 i 5 nlb. (Wyd. nakładem Księgarni Polskiej w Wiedniu, 1988).
- MAZOWIECKI (Wojciech). *Wydarzenia 3 maja 1946*. Str. 151 i 1 nlb. (Wyd. Libella w serii „Historia i teraźniejszość”, Paryż 1989).
- KOŚCIAŁKOWSKA (Janina). *Łódź bukowa*. Str. 229 i 1 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1988).
- PUZYŃNINA (Gabriela z Güntherów). *W Wilnie i w dworach litewskich. Pamiętnik z lat 1815-1843 z 18 ilustracjami i 27 winiętami*. Opracowali Adam Czartkowski i Henryk Mościcki. Str. 389 i 1 nlb. (Wyd. Verbum, Chotomów 1988).
- Helena Więckowska, 1897-1984. Str. 150 i 2 nlb. (Praca zbiorowa, wyd. Uniwersytet Łódzki, Łódź 1988).
- ZIOŁKOWSKA (Aleksandra). *Moje i zastyszcane*. Str. 108 i 4 nlb. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1988, cena zł 350).
- MOZEJKO (Edward). *Between Anxiety and Hope. The Poetry and Writing of Czesław Miłosz*. Str. 189 i 3 nlb. (Wyd. University of Alberta Press, Edmonton, Alberta, Kanada, 1988).
- Cross Currents* nr 8. Str. 374 i 2 nlb. (Wyd. Dept. of Slavic Languages and Literatures of the University of Michigan, Ann Arbor 1989).
- LERSKI (George „Jur”). *Poland's Secret Envoy 1939-1945*. Str. 278 + fotografie. (Wyd. Bicentennial Publ. Co., New York 1988).
- BRANDYS (Kazimierz). *Paris, New York 1982-1984*. Przeł. Barbara Krzywicki-Herbert. Str. 180 i 6 nlb. (Wyd. Random House, New York 1988).
- Harvard Ukrainian Studies*, vol. XI, nr 3/4, December 1987. Str. 609 i 5 nlb. (Wyd. Harvard University, Ukrainian Research Institute, Cambridge MA, 1988).
- MOZEJKO (Edward). *Vasilij Pavlovich Aksenov: A Writer in Quest of Himself*. Str. 272 i 16 nlb. (Wyd. Slavica Publishers, Columbus OH, US, 1986).

Krajowa edycja "Kultury"

Od lipca 1987 roku niezależne wydawnictwo MYŚL w Warszawie wydaje *KULTURĘ* paryską. Jest to integralny przedruk każdego numeru w normalnym formacie (w białej, a nie kolorowej okładce ze względu na trudności techniczne). Krajowe wydanie ukazuje z niewielkim opóźnieniem w stosunku do wydania oryginalnego.

Cena numeru 900 zł.

Do nabycia za pośrednictwem kanałów kolportażowych.

Krajowa edycja Zeszytów Historycznych

Niezależne wydawnictwo PoMost w Warszawie rozpoczęło reedycję *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH*. Ukazały się już roczniki 1988 (nry 83, 84, 85, 86) i 1987 (nry 79, 80, 81, 82). W dalszej kolejności będą ukazywać się roczniki wstecz, licząc od 1986. Cena rocznika w estetycznej sztywnej pochewce wynosi 6.000 zł.

Numery *ZESZYTÓW* z roku 1989 będą wydawane w miarę ukazywania się edycji oryginalnej. Jest już do nabycia nr 87 (luty 1989).

ZESZYTY HISTORYCZNE można nabywać za pośrednictwem kanałów kolportażowych.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

17-12-88

W Warszawie odbyło się pierwsze Walne Zebranie Białoruskiego Zrzeszenia Studentów, które wyłoniło władze Zrzeszenia (E. Wappa — przewodniczący, J. Kalina i J. Pleskowicz — wiceprzewodniczący) oraz określiło program działania.

8-3-89

Zmarł w Warszawie w wieku 70-ciu lat Lew Kaltenberg, autor szeregu książek historycznych, w których często podejmował tematykę kresowo-ukraińską. Był on również tłumaczem literatury rosyjskiej, niemieckiej, rumuńskiej i węgierskiej.

15-4-89

Rada ministrów PRL uchyliła uchwały rządu z lat 1946-1949 o pozbawieniu obywatelstwa polskiego gen. Władysława Andersa, Stanisława Mikołajczyka, Stanisława Bańczyka, Tomasza Kołakowskiego i Stanisława Wojcika.

NAGRODY KULTURALNE „SOLIDARNOŚCI”

Komitet Kultury Niezależnej przyznał kolejne Nagrody Kulturalne „Solidarności”. Laureatami za rok 1988 zostali: redakcja *Almanachu Humanistycznego*, redakcja Biblioteki Kwartalnika Politycznego *Krytyka* za wydanie książki Karla R. Poppera „Społeczeństwo otwarte i jego wrogość”, Marian Brandys za książkę „Generał Arbuż”, Kazimierz Dziewanowski za książkę „Żłom żelazny, śmiech pokoleń”, Michał Grynberg za opracowanie książki „Pamiętniki z getta warszawskiego. Fragmenty i regesty”, Andrzej Jagodziński za książkę „Banici. Rozmowy z czeskimi pisarzami emigracyjnymi”, Jerzy Jarocki za inscenizację sztuki Sławomira Mrożka „Portret” w krakowskim Teatrze Starym, Marcel Łoziński za film „Świadkowie”, Halina Mikołajska za monodram „Śmierć Cwietajewej” oparty na eseju Anny Bojarskiej, Wojciech Młynarski i Jerzy Derfel za książkę „Róbmy swoje” (wersja 1988), Grzegorz Moryciński za wystawę malarstwa w warszawskim Teatrze Powszechnym, Kazimierz Orłoś za książkę „Cudowna melina. Historia cudownej meliny”, Jacek Petrycki za film „A może o tym nie wolno mówić?”, redakcja studenckiego miesięcznika mówionego *Przełot* z Krakowa, Andrzej Roman z zespołem za książkę „Komedianci. Rzecz o bojkoce”, Jerzy Ryba za prowadzenie galerii sztuki „Na Ostrowie” we Wrocławiu, Marian Terlecki za dokumentację video ze strajków gdańskich, Mieczysław Tomaszewski za twórcze inicjatywy edytorskie i muzykologiczne, Mirosław Wujas z zespołem za prowadzenie Przeglądu Kabaretów Amatorskich „PAKA”, Barbara Zbrożyna za twórczość rzeźbiarską.

ZACHÓD — EMIGRACJA

20-12-88

Zmarł w Sao Paulo (Brazylia) w wieku 85-ciu lat Mirosław Szabuniewicz, inżynier architekt. Odegrał on wybitną rolę w życiu Polonii brazylijskiej jako prezes SPK w latach 1977-1979 oraz jako jeden z założycieli i prezesów polskiego klubu „44”. Był projektodawcą i wykonawcą wielu pomników w Sao Paulo: m.in. Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej i Mikołaja Kopernika.

28-1-89

Zmarła na Florydzie w wieku 89-ciu lat Halina Konopacka, która w 1928 roku zdobyła złoty medal olimpijski w konkurencji rzut dyskiem.

19-2-89

Zmarł w Paryżu w wieku 88-miu lat Juliusz Tarnowski z Sucheja, przyjaciel Kultury.

23-2-89

Zmarł w Bremie w wieku 74-ech lat Hans Helmut Kirst, znany z licznych przekładów również czytelnikom polskim. Jego twórczość dotyczyła głównie drugiej wojny światowej.

3-3-89

Sekcja polonistyki Wyższej Szkoły Języków i Cywilizacji Wschodnich w Paryżu (INALCO) zorganizowała spotkanie z prof. Janem Błońskim, który wygłosił odczyt pt.: „*Ferdynand, 50 ans après*”.

18-3-89

Na dorocznym Walnym Zebraniu Rady Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce dokonano wyboru nowych władz. Prezesem Instytutu został wybrany po raz 7-my Stanisław Jordanowski, a dyrektorem dotychczasowy wicedyrektor Jerzy Prus. ■ W Los Angeles odbył się wieczór literacki grupy poetyckiej „Kraak” z udziałem Andrzeja Kołodzieja, Elżbiety Libel, Adama Lizakowskiego, Gosława Misztala i Zbigniewa Sekulskiego. Wieczór prowadziła Halina Żytkowiak.

27-3-89

Zmarł w Londynie w wieku 72-ech lat Józef Żywina, poeta i krytyk literacki.

5-4-89

Tegoroczną nagrodę Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie otrzymała Zofia Romanowiczowa za całokształt twórczości oraz Edmund Banasikowski (USA) za książkę „Zew Ziemi Wileńskiej”, uznaną za najlepszą książkę wydaną poza krajem w roku 1988. ■ Warszawski tygodnik *Polityka* przedrukowuje za moskiewskim tygodnikiem *Ogoniok* stenogram z procesu wytoczonego 18 lutego 1964 roku Josifowi Brodskiemu. Są to bardzo spóźnione rewelacje. Stenogram ten *Kultura* otrzymała bezpośrednio z Moskwy i zamieściła w numerze lipiec/sierpień 1964 roku. Na początku 1965 roku *Kultura* zamieściła szereg wierszy Brodskiego, pisanych na zesłaniu, w przekładzie Józefa Łobodowskiego.

15-4-89

W wydawnictwie Carl Hanser Verlag ukazał się tom wierszy Adama Zagajewskiego pt. „*Gedichte*” w tłumaczeniu Karla Dedeciusa. Tom ten znalazł się w kwietniu na liście najlepszych pozycji wydawniczych rozgłośni Südwestfunk w Baden-Baden.

17-4-89

Maureen Rowmundowa Piłsudska zorganizowała w Instytucie im. Józefa Piłsudskiego inaugurację książki jej Męża pt. „*Kronika rodu Piłsudskich*”.

19-4-89

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się wieczór autorski-koncert Marii Lawińskiej pt. „*Polskie bluesy*”.

22-4-89

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbyło się uroczyste zebranie i inauguracja wystawy, poświęconej 150-tej rocznicy powstania Biblioteki Polskiej. Nad wystawą objęli patronat: Jacques Chirac, mer Paryża, oraz Jacques Lang, minister kultury.

27-4-89

W College International de Philosophie w Paryżu prof. Jerzy Wojciechowski wygłosił odczyt pt. „*Le savoir comme source de problèmes*”. ■ W przyszłym miesiącu odbędzie się w Maastrich (Holandia) Kongres PEN-Clubu, na którym ma być dyskutowana sprawa ewentualnego przyjęcia do PEN-Clubu pisarzy ze Związku Sowieckiego, jak również wybory nowego prezesa Międzynarodowego PEN-u.

28-4-89

W miesiącu kwietniu w Centre du Dialogue (23, rue Surcouf, Paryż) wygłosili odczyty: 21 kwietnia Zdzisław Najder na temat „*Ojczyzna i naród jako wartości*” oraz 28 kwietnia Aleksander Hall na temat „*Polska '88 — wokół 'okrągłego stołu*”.

KRONIKA KANADYJSKA

Fundusz Wieczysty Millenium Polski Chrześcijańskiej rozdzielił w 1988 roku ogółem \$c.132.600 (w roku 1987 — \$c.115.905). Z sumy tej otrzymali: organizacje polonijne — \$ 55.900 (w tym Polsko-Kanadyjski Instytut Badawczy — \$ 15.000). Związek Harcerstwa Polskiego na szkolenie kierowników pracy, instruktorów — \$ 10.000, Instytut Naukowy w Montrealu na utrzymanie biblioteki — \$ 5.000, komórki pomocy i opieki nad nowymi emigrantami w Toronto — \$ 7.500, dział slawistyczny Biblioteki University of Toronto — \$ 1.500 na skatalogowanie prasy podziemnej. Ponadto mniejsze kwoty przyznano różnym organizacjom, zespołom młodzieżowym i artystycznym we wszystkich ośrodkach polonijnych w Kanadzie.

Na publikację — dofinansowanie — przeznaczono — \$ 4.100.

Na cele oświatowe, ściślejsze szkolnictwo, przeznaczono — \$ 33.000 w tym \$ 5.000 dla uniwersytetu w Toronto — doroczna dotacja do polonistyki, — \$ 3.500 Uniwersytet Manitoba (Winnipeg), — \$ 2.500 — wydział slawistyczny McMaster University Hamilton, — \$ 2.000 kurs języka polskiego w York University w Toronto, \$ 2.000 na pomoc celem utrzymania dwujęzycznej szkoły Jana Pawła II w Edmontonie (Alberta). Mniejsze dotacje otrzymały szkoły (właściwie kursy języka polskiego, historii itp.) różnych organizacji i parafii.

Przyznano indywidualne stypendia ogółem w sumie \$ 39.600 w tym \$ 7.000 dla dwóch studentów KUL-u, \$ 5.000 dwudziestu studentom-harczom prowadzącym kolonie zachowe, pozostałą sumę przyznano w różnej wysokości studentom na uczelniach kanadyjskich oraz dwójgu pracownikom naukowym z Polski.

Fundusz wzbogacił się, gdyż otrzymał zapis spadkowy w wysokości \$c. 290.962. Zapis nie tylko najwyższy, ale i najdziwniejszy. Pochodzi od rdzennej Kanadyjki, Mary Hime, która w 1931 roku poślubiła Polaka, Waltera Bieniewskiego, osiadłego w Kanadzie. Bieniewski służył podczas pierwszej wojny światowej w lotnictwie. Ani samotny Bieniewski, ani później małżonkowie Bieniewscy nie mieli żadnych kontaktów z Polską czy Polakami, ale byli znani w „wyższych” sferach miejscowych. Walter zmarł w 1978 roku a w październiku 1986 roku zmarła Mary Bieniewski. Byli oni bezdzietni, nie pozostawili też żadnych bliższych krewnych.

Pani Mary Bieniewski pozostawiła w testamencie m.in. zapis na polskie cele kulturalne celem uczczenia pamięci swego męża. Wykonawca testamentu, National Trust, po przeprowadzeniu badań przyznał zapis Funduszu Więzystemu.

B. H.

KRONIKA SZWEDZKA

Wydarzenia w państwach bałtyckich, zwłaszcza w Estonii i na Łotwie, były obszernie komentowane w Szwecji zarówno przez własnych wystanników jak i przez wybitnych działaczy tych krajów, którzy bez obawy i pod swoimi nazwiskami występowali na łamach szwedzkiej prasy i TV. Estonia przez kilkadziesiąt lat była połączona ze Szwecją. Okres ten Estończycy nazywają „złotym wiekiem” w swej historii. Pod rosyjskie panowanie dostali się dopiero na początku XVIII wieku po klęsce Karola XII pod Połtawą, za czasów Piotra I, który zaprowadził pańszczyznę, a chłopci estońscy dostali się pod jarzmo niemieckich baronów-obszarników, do których należały majątki ziemskie. W krótkim 20-letnim okresie niepodległości kraj ten rozwinął się zdumiewająco. Oparł się po reformie rolnej na średnich gospodarstwach chłopskich, które stały na wyższym poziomie od gospodarstw polskich. Polsce trudno było konkurować z Bałtami, np. na brytyjskim rynku. W okresie międzywojennym między Szwecją a Łotwą, a zwłaszcza między Szwecją a Estonią istniały żywe kontakty handlowe i turystyczne. Obecnie rozważane są możliwości nawiązania stosunków dyplomatycznych z Estonią, także z Łotwą, gdzie zostaną otwarte konsulaty. Szczegóły jeszcze nie są ustalone z Moskwą. ■ Poważny deficyt budżetowy, wzrastająca inflacja i powstające trudności konkurencyjne na rynkach zbytu zmuszają rząd szwedzki do daleko idących oszczędności, które m.in. uderzyły dotkliwie w obronę, oświatę i służbę zdrowia. Oszczędności te doprowadziły właściwie Szwecję do stanu rozbrojenia, co zmusiło wysokich dowódców armii i marynarki do bicia publicznie na alarm na łamach prasy. Penetracja archipelagu przez sowieckie łodzie podwodne trwa. Komandor Hans von Hofsten publicznie skierował pytanie na łamach *Svenska Dagbladet* do sowieckiego komandora Waleriana Miasnikowa (23 marca br.), dlaczego dowództwo sowieckie nadal zachowuje się „agresywnie” wobec Szwecji, „pomimo polityki odprężenia Gorbaczowa”? Rząd socjaldemokratyczny w dalszym ciągu unika nazywania po imieniu państwa, odpowiedzialnego za ten stan rzeczy. ■ Główny komendant policji Björn Eriksson uważa, że policja powinna zacząć przyjmować do służby emigrantów, gdyż skład korpusu policyjnego powinien odzwierciedlać skład narodowościowy całego społeczeństwa. Z naszej strony dodajemy, że udział fachowych przedstawicieli emigracji byłby szczególnie pożądany w oddziale policji zajmującym się cudzoziemcami i emigrantami. Z powodu braku fachowości policja nieraz popełnia błędy, zwłaszcza przy prośbach o azyl przy wjeździe do Szwecji. ■ Iszy kwartał br. obfitował w szereg interesujących spotkań. Aktywne Stowarzyszenie Kobiet Polskich ze współudziałem Towarzystwa Przyjaciół Kultury zorganizowało cały szereg wykładów literackich o tematyce polsko-szwedzkiej doktora Leona Neugera i docenta Andrzeja Uggli. Na spotkaniach Towarzystwa Przyjaciół Kultury występowali: Jan Józef Lipski, Grzegorz Palka, Zbigniew Bujak, Zbigniew Janas oraz rzecznik prasowy Ursusa Grzegorz Kostrzewa. Przybyli oni na zaproszenie Centrali Szwedzkich Związków Zawodowych jako delegacja „Solidarności”, pierwsza oficjalna od 1981 roku. ■ Redakcja Polska Radia Szwecja rozwija coraz ciekawszą działalność. Nadawane są na bieżąco, dwa razy w tygodniu, informacje o aktualnych wydarzeniach w Polsce. Jeden z jej redaktorów, Marek Michalski, był akredytowany przy wizycie ministra spraw zagranicznych Stefana Anderssona w Polsce. Poleciał jako jeden z dwóch dziennikarzy specjalnym samolotem razem z ministrem do

Polski. Andersson był najwyższym rangą politykiem szwedzkim, który odwiedził Polskę od czasu wprowadzenia stanu wojennego. Czasopismo *No-winy*, subsydiowane i zbliżone do Państwowego Urzędu Imigracyjnego, stwierdziło, że „Andersson był w czasie rozmów w Polsce wstrzemięźliwy w deklarowaniu ewentualnego udzielania Polsce pomocy ekonomicznej. Punkt ciężkości rozmów położony został na sprawach ekologii i strona szwedzka zadeklarowała gotowość przyścia Polsce z pomocą przy ratowaniu wód Bałtyku. ■ Sytuacja budżetowa i opinia społeczna powodują dalsze restrykcje w przyjmowaniu uchodźców. W roku 1988 o azyl zwróciło się 19.700 osób, a przyjęto 16.125. Z tej liczby tylko 1.348 otrzymało zgodę na zamieszkanie w Sztokholmie. W roku 1987 przyjęto 3.500, a w 1988 jeszcze ponad 2.000. Duże poruszenie w prasie oraz w społeczeństwie szwedzkim południowego województwa Blekinge wywołały niedawne decyzje o wydaleniu dwóch polskich rodzin, które przez dwa lata czekały daremnie na zezwolenie na pobyt. W pierwszym wypadku była to rodzina Kowalskich, a w drugim rodzina Satora, składająca się z rodziców i dwojga dzieci. Starsze z nich uczęszczało przez dwa lata do szkoły szwedzkiej, ucząc się bardzo dobrze. Decyzja o wydaleniu spowodowała spontaniczny pochód protestacyjny wszystkich uczniów i nauczycieli szkoły, którzy z licznymi transparentami maszerowali przez miasto. Sprawy tych dwóch rodzin są obecnie ponownie rozpatrywane przez rząd. ■ Szwedzkie związki zawodowe gotowe są udzielić pomocy „Solidarności”, podobnie jak miało to miejsce w latach 1980-1981. ■ Szwedzka rządząca Partia Socjaldemokratyczna i związki zawodowe Okręgu Sztokholm zaprosiły Lecha Wałęsę, jako głównego mówcę, do wzięcia udziału w sztokholmskich obchodach 1 maja. Docent uniwersytetu w Uppsali Andrzej Uggla rozwija bardzo pozytywną działalność na polu zapoznania sfer naukowych oraz szerszej publiczności ze zbieżnymi dziejami kultury i literatury polskiej i szwedzkiej. W pierwszych dniach kwietnia ukazała się 200-stronicowa książka Uggli pt. „Od polityki do literatury”, zawierająca siedem studiów o szwedzkiej drodze ku literaturze polskiej XIX wieku i podsumowanie treści w języku polskim i angielskim. Jednocześnie ukazała się broszura docenta Andrzeja Uggli pt. „Polacy”. Jest to bardzo interesujący skrót dziejów emigracji polskiej w Szwecji od Mieszka I do naszych czasów.

Norbert ŻABA

4 kwietnia 1989

Z OSTATNIEJ CHWILI

OŚWIADCZENIE Z DNIA 6 KWIEŃNIA 1989 ROKU

My, członkowie Konsorcjum Wydawnictw Niezależnych, jednogłośnie uzgodniliśmy, że niezależne inicjatywy wydawnicze działające w podziemiu nie będą mogły korzystać z pomocy finansowej Funduszu w momencie zalegalizowania swojej dotychczasowej działalności wydawniczej.

CDN, IWA, MYŚL, NOWA, OFICyna
LITERACKA, POKOLENIE, POMOST,
PRZEDŚWIT, WOLA.

FILMY VIDEO-KONTAKTU

I
L
M
Y
V
I
D
E
O
K
O
N
T
A
K
T
U

LECH WAŁĘSA WE FRANCJI

Reportaż z wizyty w grudniu 88

ŚWIADKOWIE

Pogrom Żydów w Kielcach w 1946r.

JACEK KACZMARSKI

Koncert 16 grudnia 88 w Paryżu

oraz

25 innych tytułów

o rozmaitej tematyce:

historycznej, politycznej, społecznej, kulturalnej

do nabycia na zamówienie telefoniczne lub listowne

**video
kontakt**

42, rue Raymond Marcheron
92170 VANVES, FRANCE
tel. (1) 46.45.87.16

(dla zainteresowanych bezpłatny katalog)

W A W E L PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

KULTURA

Listy do Redakcji

27 marca 1989.

Szanowny Panie Redaktorze,

Po dłuższej nieobecności przeczytałem w nr. 3/498 *Kultury* oświadczenie Czesława Miłosza demontujące fakt jego udziału w jury nagrody im. Ignazia Silone, przyznanej mi za rok 1988.

Nie podważając sprostowania Miłosza pozwalam sobie załączyć fotokopię zaproszenia rozesłanego przez komitet organizacyjny nagrody. Figuruje w nim następujący skład jury:

Geno Pampaloni (przewodniczący), Carlo Bo, François Bondy, Michael Foot, Giorgio Luti, Walter Mauro, Czesław Miłosz, Alberto Moravia, Jean Ivanov-Neuvecelle, Luciano Pellicani, Guglielmo Petroni, Leone Piccioni, Giuliano Procacci, Leonardo Sciascia, Salvatore Valitutti.

Okoliczności, na skutek których nazwisko Czesława Miłosza znalazło się omyłkowo w składzie jury nagrody im. Ignazia Silone, nie są mi znane.

Do sprawy mojego opowiadania *Nim będzie zapomniany* (rok 1955), poruszonej przez Miłosza w jego oświadczeniu, nie będę tu wracał. Piszę o niej w książce *Miesiące 1985-1987*.

Łączę wyrazy szacunku

Kazimierz BRANDYS

Szanowny Panie Redaktorze,

Sztokholm, 29 marca 1989.

W związku z publikacją listu p. J. Żuchowskiego (*Kultura* nr 3, 1989), stanowczo protestujemy przeciwko kampanii oskarżeń, wymierzonych w środowisko emigracji niepodległościowej w Szwecji, prowadzonej przez autora listu. Postawa pana J. Żuchowskiego spotkała się już wielokrotnie z ostrą krytyką naszego środowiska i wyrządziła niepowetowane straty działalności Kongresu Polaków w Szwecji i Rady Uchodźstwa Polskiego w Szwecji, dwóch głównych organizacji niepodległościowych w tym kraju. Nasze merytoryczne zastrzeżenia do działalności pana Żuchowskiego formułowaliśmy już parokrotnie, zarówno w lokalnych pismach jak i prasie londyńskiej, a także w *Kontakcie* i *Kulturze* (patrz „Kronika szwedzka” w nr. 1/2, 1988 r.). Nie widzimy więc powodu, by je powtarzać.

Łączymy wyrazy szacunku

Roman KOBĄ
prezes Kongresu Polaków
w Szwecji

Dr Zygmunt STANKIEWICZ
prezes Rady Uchodźstwa Polskiego
w Szwecji

Zofia STADFORS
delegat Rządu RP

Norbert ŻABA

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 443 —

WITOLD DOWOYNA SYLWESTROWICZ

LISTY NIEWYSŁANE

Dziennik z okresu wojny: wrzesień 1939 - kwiecień 1945, napisany przez oficera lotnictwa, który brał udział w kampanii wrześniowej oraz w działaniach bojowych na terenie Francji i Anglii. Od wybuchu wojny do jej zakończenia prowadził *Dziennik* w formie nigdy nie wysłanych listów do żony.

Str. 160.

Cena F. 70,00.

TOM 444 — MAREK NOWAKOWSKI

KARNAWAŁ I POST

Nowy zbiór utworów Marka Nowakowskiego zawiera opowiadania: Karnawał i post; Elegia o umarłym świecie; Pan Julian Wołoszynowski; Folwark zwierzęcy Gogola; O „Wyroku na Franciszka Kłosa”; Pod gwiazdami; Żydowski hrabia; Historia pewnej przyjaźni; Imperatyw; Przestroga; „Jubileuszowa”; „Kamieniołomy”; Sierota Euro-py; Śmierć; Fabuła.

Str. 192.

Cena F. 85,00.

TOM 446 — ZYGMUNT HAUPT

SZPICA

Opowiadania, warianty, szkice

Materiały zebrane po śmierci Autora, które nigdy nie ukazały się w wydaniu książkowym. Wstęp Renaty Gorczyńskiej. Szkic biograficzny opracował syn Autora, Arthur Haupt.

Str. 280.

Cena F. 120,00.

TOM 447 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY SIÓDMY

zawiera opracowania: Piotr Skrzynecki: *Gdy umierał prezydent Raczkiewicz*; T. Wyrwa: *Prymas Hlond we Francji 1940-1941*; T. Górski: *Błogosławiony Jerzy Matulewicz, biskup wileński*; E. de Lafrené: *Syberyjski raport*; Wywiad z Adamem Bieniem; H. Tramsen: *Wrażenia z podróży do Katynia w 1943 roku*; *Ostatnia misja Hopkinsa w Moskwie* oraz bogate działy: POLEMIKI, RECENZJE, OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 80,00.